

Diana Appleyard

Subtelna różnica klas

Przekład Blanka Kwiecińska-Kuczborska

Rozdział 1

Lucy obudziła się pierwsza. Ramię Roba przywalało ją jak kłoda. Zdjęła je ostrożnie, a on zamruczał coś przez sen, zwinął poduszkę pod głową i przewrócił się na drugi bok, prostując długie nogi. Mimo otwartego okna, w którym powiewały nowe kremowe firanki, jego ciemne, długie do ramion włosy były mokre od potu. Nadal miał fryzurę jak w dniu, kiedy go poznała. Lucy wyciągnęła się na całą długość i położyła ręce płasko na śnieżnobiałej pościeli z czystej bawełny, którą Rob uważał za rzecz kosztowną i niepraktyczną. Ale ona potrzebowała tych małych przejawów luksusu. Kiedy kupili ten dom dziewięć miesięcy temu, od razu postanowiła przemienić kwiecisto-kiczowatą sypialnię w kremowo-białą oazę spokoju. Rob uznał, że przypomina mu to wystrój sali szpitalnej.

W bladym świetle poranka – przez firankę widać było granatowe jesienne niebo przechodzące w siny, niemal widmowy brzask – dąb w ogrodzie, na którym Rob budował domek dla dziewczynek, odcinał się na tle okna gubiącymi liście konarami jak dziecięcy rysunek. Lucy spojrzała na zegarek. Siódma. Dzięki Bogu, jest sobota, dzień bez szkoły. Lada chwila Olivia wstanie, wysunie się z łóżka, jak najciszej zrobi siusiu i nie spuszczać wody, zejdzie na palcach po schodach, żeby włączyć sobie zakazany Cartoon Network. Laura będzie spać dalej, zwinięta w kłębek pod nową kołdrą z Habitatu, przyciskając do piersi sfatygowanego kangura, którego niby już nie potrzebuje.

Myśli Lucy zaczęły krążyć leniwie wokół nadchodzącego dnia, a kolejne wydarzenia układały się jej przed oczami jak obrazki w kalejdoskopie. Wspólne śniadanie w szlafrokach, potem ktoś musi iść do supermarketu – była pewna, że to kolej Roba – trzeba posprzątać, załadować pralkę, posortować rzeczy z suszarki na te do prasowania i te prosto do szafy. Lunch – powinna zrobić im jakąś porządną domową zupę, a nie dawać gotową z puszki – później lekcja jazdy konnej dziewczynek. Były na koniach dopiero dwa razy i nie kryły entuzjazmu, mimo zastrzeżeń Roba. Wyglądało na to, że Laura może naprawdę złapać bakcyła, chociaż on uważał, że to głupi, snobistyczny – i niebezpieczny – sport dla dzieci. Trudno. A wieczorem przyjęcie pożegnalne dla jednego z kolegów z pracy Roba, zwykle spotkanie w pubie, nie żadna elegancka okazja. Lucy skrzywiła się. Będzie musiała wziąć na siebie prowadzenie samochodu w drodze powrotnej, bo to jego przyjęcie. Cudownie. Spędzi cały wieczór, stojąc w pubie z puszką dietetycznej

coli, podczas gdy wszyscy inni będą się upijać. A na dokładkę wiedziała, że nie kwapią się do rozmowy z nią, bo uważają, że jest sztywna i zadziera nosa. Co jest nieprawdą. Po prostu, zwykle się nudziła. Gdyby jeszcze Rob wciągał ją do wspólnego grona; niestety rzadko zauważał, że źle się bawi. Zaciśnęła ręce na miękkim białym prześcieradle. Cholerny świat. Czy to już wszystko, co ją w życiu czeka? W jej oku bezwiednie zabłyśła łza i jak kropla deszczu pociekła po twarzy do ucha. Lucy wytarła ją zniecierpliwiona. Co za idiotyzm. Palcami – nigdy nie miała czasu pomalować paznokci – roztarła na policzku mokry ślad. Dość tego. Pora zacząć dzień.

– Lucy! Chodź tu i zrób z nimi porządek, zanim się wścieknę i wyrzucę je do ogrodu!

Z dołu dolatywał przenikliwy, nieustający, wysoki pisk, jak gwizd czajnika z gotującą wodą. Był to wrzask dziecka, które starsza siostra bezlitośnie tłucze za bezczelną kradzież spinki do włosów. Może dla większości ludzi nie jest to zbrodnia wołająca o pomstę do nieba, ale niewątpliwie było to ciężkie wykroczenie dla dziewięciolatki, której największy skarb stanowiła kolekcja błyszczących spinek. Jednakże Rob nie miał cierpliwości do wysłuchiwania sprzeczek córek o głupstwa. Był uczulony na wrzaski dzieci, podobnie jak niektórzy są uczuleni na różne produkty spożywcze.

Jego głos o przeciągłym akcencie z Lancashire, który to akcent Rob – zdaniem Lucy – obnosił jak atrybut mody, przerwał jej rozmyślenia przed lustrem. Oparta na łokciach na antycznej toalecie, wpatrywała się, na wpół ubrana, w worki pod oczami. Wiek to taka podstępna bestia, myślała ponuro. Jednego dnia skóra gładko opina twarz, a drugiego, bez dania racji, tworzy się na niej japońskie origami. Ściągnęła w dół usta, wykrzywając się w grymasie. Pomogło – worki zniknęły. Uśmiechnęła się i znowu wróciły. Boże drogi. Ubrana tylko w stanik, wyciągnęła w bok ramiona. Chryste. Kiedyś nosiła swetry z rękawami jak skrzydła nietoperza. Teraz sama miała skrzydła nietoperza pod pachami. Jakim cudem jej twarz i ciało się postarzały, podczas gdy ona wcale nie czuła się starsza? Niemniej to prawda, że wiek zaczyna już dawać się jej we znaki. Ostatnio sama zauważyła u siebie niewątpliwe oznaki starzenia – raz, gdy uznała, że komplet sztućców to świetny prezent, i drugi raz, gdy poczuła radosne podniecenie na myśl o spotkaniu w kawiarni.

– Jeśli zaraz czegoś z nimi nie zrobisz, wychodzę! – wrzeszczał Rob. – Jezu Chryste, dałem im śniadanie i chciałbym wiedzieć, czy w tym domu nie można mieć pięciu minut spokoju?

Nie można, pomyślała Lucy zgryźliwie, żałując, że wstała z łóżka. Z dwójką dzieci, które odziedziczyły po rodzicach wszystko, co najgorsze, nie można. A poza tym, sobotnie poranki zawsze były trudne. W ciągu tygodnia Robowi udawało się unikać dziecięcych awantur dzięki zastosowaniu zręcznej taktyki wczesnego wychodzenia do pracy i późnych powrotów; na sam moment bajki na dobranoc, kiedy dziewczynki były już po kąpieli i oczy kleiły im się ze zmęczenia. Podczas weekendu nie było tych okoliczności łagodzących.

– Co ty tam robisz, do ciężkiej cholery? Kawa ci już wystygła!

Rob, który wstał po niej, zaatakował dzień jak tornado, odganiając protestującą Olivie przed telewizora, wyciągając Laurę z łóżka i śpiewając głośno i fałszywie pod prysznicem, kiedy dziewczynki, umazane pastą, myły zęby nad umywalką. Lucy, chociaż zerwała się pierwsza, czuła się dziwnie ocieżała. Wszystko wymagało od niej dzisiaj nadludzkiego wysiłku – jakby poruszała się pod wodą.

– Szukam czegoś! – odrzyknęła. A potem dodała ciszej, patrząc na siebie do lustra: – Wygląda na to, że niepostrzeżenie zgubiłam gdzieś młodość.

Z westchnieniem zeszła po schodach, wodząc ręką wzdłuż ozdobnego szlaczku na ścianie. Bez dwóch zdań trzeba będzie zmienić cały wystrój wnętrza – poprzedni właściciele musieli mieć udział w sieci sklepów Laury Ashley. Wszędzie straszyły kwieciste motywy dekoracyjne, wśród których nie brakło nawet pęków polnych maków. Czuła się jak w furgonetce dostawczej Interflory. Pod szlaczkiem na schodach pyszniły się setki drobnych różyczek na kremowym tle, a już tapeta na piętrze stanowiła kwintesencję złego smaku. Cukierkowe, różowobiałe pasy wyglądały jak żywcem ściągnięte z pudła na kapelusze jakiejś piękności z Południa, o imieniu Mary-Lou. Gdyby Lucy miała dość siły, zdarłaby to wszystko – jak zrobiła w sypialni – i wybrała na ściany jednobarwne, głębokie odcienie, ale w tej chwili, mając na głowie pracę, dziewczynki i całą resztę, nie mogła o tym myśleć. Jedyna rzecz, jakiej się pozbyła, to kryzowane zasłony w bawialni – czy też pokoju wypoczynkowym, jak Rob upierał się nazywać salon, co kwitowała skrzywieniem nawet po dwunastu latach małżeństwa. Przypominały jej kurzy kuper.

Nazajutrz po przeprowadzce – kiedy Lucy gotowa była położyć się na podłodze i wybuchnąć płaczem na myśl, że nigdy nie zdoła uczynić z tego miejsca prawdziwego domu – zajrzała do nich ich nowa sąsiadka, Jackie, i powiedziała entuzjastycznie:

– Jak cudownie, prawda? Nie musicie nawet niczego zmieniać. To wygląda jak dom pokazowy.

Lucy popatrzyła na nią ze zgrozą i już otworzyła usta, żeby wyprowadzić ją z błędu i oznajmić, że zamierza zmienić wszystko, kiedy uchwyciła ostrzegawcze spojrzenie Roba. Jackie rzeczywiście mieszkała w dawnym domu pokazowym na osiedlu i – jak się później okazało – uwielbiała kolor różowy. Zerkała z podziwem również na Roba, lecz on zawsze robił wrażenie na kobietach. Lucy nie dostrzegła już, że jej mąż wygląda jak seksowny gwiazdor rocka, i śmieszyło ją, że kobiety pozerają go takim pożądlwym wzrokiem. Wygląd wyglądem, ale spróbowałyby pożyć z nim pod jednym dachem!

Wolałaby, na przykład, żeby nie kłął tak bez żenady przy dzieciach. Zdawała sobie sprawę, że jej odruchy to wynik surowego wychowania i powielanie wzorów z dzieciństwa, ale ilekroć mówił coś niecenzuralnego – co zdarzało się często – miała ochotę zatkać dziewczynkom uszy. Już widziała, jak składa im wizytę jej matka i Laura mówi nagle przy stole:

– Podaj mi tę pieprzoną sól.

Rodzice Lucy nigdy nie kłeli przy dzieciach. Kiedy raz, w jakiejś wyjątkowo napiętej chwili, matce wymknęło się słowo „cholera”, spieszyła się, jakby głośno puściła bąka na audiencji u papieża. A Lucy i jej siostra wybuchnęły histerycznym śmiechem.

Były wtedy obie w szkole z internatem i umiały kłąć jak szewc, ale – jak większość nastolatków – doskonaliły tę sztukę w towarzystwie przyjaciół, stosując wewnętrzną klapę bezpieczeństwa w obecności rodziców i nauczycieli. Posługiwały się jakby dwoma różnymi językami. Kiedy Lucy w czasach studenckich poznała Roba, w cichości ducha imponowało jej, że on nie ma takich zahamowań i przy nikim nie liczy się ze słowami. Teraz miała mu to za złe. To, co szesnaście lat temu było śmiałe, wolnomyślicielskie i radykalne, teraz było tylko wulgarne i grubiańskie.

Dziwna rzecz, jak rodzicielstwo zmienia człowieka. W dzieciństwie tyle zakazów i nakazów wydawało się jej śmieszne i niepotrzebne: nie wolno było jeść słodyczy na ulicy, używać brzydkich słów, żuć gumy, trzymać łokci na stole; trzeba było przeproszać, gdy się czknęło przy jedzeniu, prosić o pozwolenie wstania od stołu i – Boże broń – nie wolno było pluć. Gdyby ona albo Helen splunęły, jej matka dostałaby ataku serca i odwieziono by ją, skuloną w kaszmirowym swetrze, prosto do szpitala. A teraz Lucy powtarza te same przykazania, jak mantrę, swoim dzieciom. Rob uważał, że o wiele za bardzo przejmuje się tym, co myślą inni. Sam kładł duży nacisk na dyscyplinę – nieporównanie większy niż Lucy, której zarzucał zgniły liberalizm, typowy dla

klasy średniej, nadmierne przywiązywanie wagi do rzeczy nieistotnych i obsesyjną chęć imponowania ludziom czy to strojem, czy samochodem, czy domem. On sam był człowiekiem, który bez oporów otwierał drzwi w slipkach. Nie nauczono go balansować na linie między tym, co wypada a co nie, i choć Lucy sądziła, że sama nie dba o konwenanse, najwyraźniej miała je wszczepione głęboko pod skórą, jak rodzaj dowodu tożsamości, i teraz konieczność ich przestrzegania dawała o sobie znać. Zrozumiała to, kiedy niedawno Laura chciała kupić gumę balonową w miejscowym wiejskim sklepiku.

– Nie możesz żuć na ulicy! – zaprotestowała Lucy ze zgrozą. – To takie nieelegan... – Ledwo zdążyła ugryźć się w język.

– Au! Olivia, uważaj, co robisz!

Młodsza córka wpadła na nią z impetem i omal nie zwała jej z nóg u podnóża schodów. Wciąż trzymała spinkę w małej zaciśniętej piąstce, jak piracką zdobycz. Laura dogoniła ją teraz, chwyciła w pasie. Olivia pisnęła rozdzierająco, przewracając się jak długa. Laura usiadła na niej i przyszpilając ją do podłogi, usiłowała rozewrzeć jej palce, podczas gdy siostra wyrывała się i wrzeszczała jak opętana.

– Przestańcie! – powiedziała Lucy stanowczo, stając nad nimi.

– Natychmiast przestańcie!

Jak zwykle, nie zwróciły na nią żadnej uwagi. Rob wyłonił się z kuchni, wywijając gazetą.

– Dość tego, Laura! – warknął. – W tej chwili ją puść!

Słyszając nad sobą głos ojca, Laura zeskoczyła z Olivii, która znieruchomiła na beżowej wykładzinie, jakby była śmiertelnie ranna. Wyczuła, że jeśli zrobi z siebie ofiarę, uda jej się zostać stroną pokrzywdzoną i zachować spinkę. Laura wybuchnęła głośnym płaczem.

– To niesprawiedliwe! – zawołała. – To ona zaczęła! Zawsze bierzesz jej stronę. Kochasz ją bardziej niż mnie. Nienawidzę cię!

Wszystkich was nienawidzę!

Łkając, wbiegła na górę. Lucy chciała iść za nią, ale Rob ją powstrzymał.

– Zostaw ją – powiedział. – A ty wstawaj – zwrócił się do Olivii, która rozcierała wyimaginowane obrażenia z posepną miną osoby głęboko skrzywdzonej.
– Powiedziałem, wstawaj. Już! dodał Rob ostro. – Nic ci nie jest.

Olivia spojrzała z niemym wyrzutem na Lucy.

– Ręka mnie boli. – Wyciągnęła małą rączkę, jak zranioną łapkę.

Lucy schyliła się i wzięła ją w objęcia, modląc się w duchu, żeby ten incydent

nie stał się zarzewiem ich ulubionego małżeńskiego konfliktu. Rob zarzucał jej, że rozpuszcza dziewczynki, które nie doceniają tego, co mają, i uważają, że wszystko im się należy. Jeśli Rob raz jeszcze powie: „W ich wieku nie miałem nawet... „, to chyba zaczniesz krzyczeć. Na taki argument najchętniej wróciłaby do łóżka i przykryła się z głową śnieżnobiałą bawełnianą kołdrą.

– Puść ją, nie jest niemowlakiem – powiedział Rob. – A ty zwrócił się surowo do Olivii, która tuliła się teraz do nóg matki, pochlipując cicho – idź do swojego pokoju i posprzątaj albo nici z konnej jazdy. Nie tylko dzisiaj, ale w najbliższych tygodniach.

No, już cię tu niema.

Olivia otworzyła usta, żeby zaprotestować, lecz zobaczyła minę ojca i zmieniła zdanie. Znała go aż za dobrze. Nie dawał się tak łatwo owinąć wokół palca – nie to co mama.

Kuśtykając, weszła na schody i Lucy dopiero teraz zauważyła na jej nogach swoje własne nowe, czarne zamszowe platformy. Na górze mała odwróciła się i pokazała język. Rob jęknął głucho. Lucy zagryzła wargi, żeby się nie roześmiać. W następnej chwili dziewczynka zaczęła wesoło podśpiewywać, pogodzona z losem. To błogosławieństwo jej wieku, pomyślała Lucy. Żyje sobie beztrudnie w pięcioletniej kolorowej bańce mydlanej. Laura natomiast przeżywa wszystko bardzo głęboko. Aż za bardzo. Jeśli zdołała osiągnąć taki poziom hysterii w wieku dziewięciu lat, to kiedy skończy trzynaście, Rob będzie musiał wyprowadzić się z domu, bo nie zdoła przejść przez próg z powodu zmasowanego ataku żeńskich hormonów.

Kiedy Olivia zniknęła w zaciszu swojej sypialni, Rob zwrócił się do Lucy fałszywie cierpliwym tonem:

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego, do kurwy nędzy, tak trudno jest nauczyć je odrobinę dyscypliny? Wystarczy pobyc z nimi chwilę podczas weekendu, żeby widzieć, że przez cały tydzień robią, co chcą. Dlaczego pozwalasz im się tak zachowywać? Są rozpuszczone jak dziadowski bicz. To oburzające, jak Laura się do ciebie zwraca.

– A co powiesz na to, jak się zwraca do ciebie? – odparowała Lucy ze złością. – Dlaczego to jest zawsze moja wina? Dlaczego uważasz, że ty nie ponosisz za nie żadnej odpowiedzialności? I proszę cię, proszę, nie klnij przy nich. Jaki przykład im dajesz? Zupełnie jakby żyły w środowisku biedoty robotniczej.

Ledwo to powiedziała, miała ochotę ugryźć się w język. Spojrzenie Roba, dotąd zirygowane, zrobiło się zimne jak lód.

– Może lepiej przemyśl najpierw własne postępowanie, zanim zaczniesz rzucać oskarżenia na środowisko robotnicze. O którym zresztą, tak czy owak, nic nie wiesz – dorzucił lodowato. – Gdybym ja się tak w domu zachowywał, ojciec złożyłby mi skórę. To, że twoi rodzice byli zawsze, jak twierdzisz, uprzedzająco grzeczni dla siebie, nie znaczy jeszcze, że nasze dzieci mogą rosnąć w poczuciu całkowitej bezkarności. Jeśli tak dalej pójdzie, to koniec z jazdą konną i tymi wszystkimi bzdurami.

– Rob, proszę cię... – Lucy potarła dłonią czoło. – Nie zaczynaj znowu. Może pojedziesz ze mną choć raz, żeby na nie – popatrzeć? Ani razu jeszcze nie byłeś. Laura jest naprawdę dobra i obie to uwielbiają.

– Mam dobrowolnie patrzeć, jak moje córki jeżdżą konno? – potrząsnął głową i roześmiał się. – Byłoby to dla mnie równie przyjemne, jak wrywanie paznokci. Poza tym chcę obejrzeć mecz rugby.

– To bardzo miło z twojej strony... – Lucy starała się nie podnosić głosu, żeby dziewczynki nie słyszały. – Proszę cię. Czy nie moglibyśmy częściej wychodzić razem? Byłoby o tyle weselej. Ja też nie bawię się tam szampańsko. Nie robię tego dla siebie.

– Doprawdy? – zadrwił Rob. – Słuchaj, przestańmy się kłócić. – Przyciągnął ją do piersi. – Wracajmy do łóżka – powiedział, całując ją w kark.

– Rob, proszę... – Lucy odsunęła się. – Nie teraz. Mamy mnóstwo roboty.

– Oczywiście. – Popatrzył na nią ciemnymi, zmrużonymi oczami. – Trzeba sprzątnąć w kuchni ze stołu, co jest o wiele ważniejsze, prawda? Pójdę tylko skończyć kawę, jeśli ci to nie przeszkadza. Mam nadzieję, że to nie koliduje z twoimi planami? Nie chciałbym wchodzić ci w drogę.

Lucy zmusiła się do spokoju. Zawsze to robił. Zaczynał kłótnię, wybuchał złością, prowokował ją, a potem się wycofywał i udawał, że to ona spowodowała cały konflikt. Był mistrzem w zrzucaniu na nią winy. I dlaczego jest taki cholernie agresywny i robi ze wszystkiego piekło? Błogi spokój – oto czego pragnęła. Czemu nie można zmieść problemów pod dywan? To czyni życie znacznie łatwiejszym. Ostatnia rzecz, o jakiej marzyła, to długotrwała awantura, bo odbyli taką w zeszłym tygodniu, kiedy Rob odmówił pójścia w niedzielę na lunch do jej rodziców. Wiedziała, że jej matka doprowadza go do szału swoimi czynionymi w dobrej wierze ofertami sfinansowania prywatnej szkoły dla dziewczynek. „To by im przyniosło tyle korzyści i poznałyby tyle miłych dzieci”. Rob jednak twardo stał na stanowisku, że na potrzeby swojej rodziny sami będą łożyć, wielkie dzięki. Chociaż matka nie chciała go drażnić, to jednak chętnie rozwodziła się nad tym, jak

świetnie powodzi się rozmaitym dawnym przyjaciółom Lucy i jak doskonale Miles czy kto tam, radzi sobie w City. Problem polegał na tym, że rodzice nie do końca akceptowali zawód dziennikarza – to po prostu nie była odpowiednia profesja. Ojciec, prawdę mówiąc, uważał dziennikarzy za gatunek stojący na drabinie rozwoju o stopień wyżej od ameby.

Lucy poszła za mężem do kuchni i trzaskając białymi drzwiczkami laminowanych szafek, które z rozkoszą wymieniłaby na grube półki ze starego drewna i duży kredens, poszukała czystej filiżanki.

– Podaj mi „Telegraph”, dobrze?

Rob, nie podnosząc oczu znad rubryki sportowej „Maila”, przesunął w jej stronę nietkniętą gazetę. Lucy otworzyła dział „Styl Życia”.

„Wraca styl minimalistyczny” – przeczytała. „Podłoga z jasnych desek w połączeniu z czystą bielą ścian w kuchni i salonie... „

No właśnie, pomyślała, patrząc z rozpaczą na wzorzyste linoleum i zielono-pomarańczową kwiecistą tapetę. W dawnym domu wydała fortunę na zdarcie wielobarwnej wykładziny dywanowej i zastąpienie jej neutralnymi w kolorze matami z sizalu. Ale Roba kłuły w stopy ostre włókna i narzekał, że to jak noszenie włosiennicy na nogach. Tak naprawdę, pomyślała, rozglądając się wokół, to najchętniej położyłaby tu wszędzie szerokie drewniane deski, ale to by kosztowało majątek, a poza tym taka podłoga wyglądałaby nieco pretensjonalnie w budynku z czerwonej cegły z lat siedemdziesiątych.

Złożyła starannie gazetę i zaczęła sprzątać resztki śniadania ze stołu – rozsypane płatki, lepka strużkę rozlanego miodu i niedojedzone jajka na bekonie Roba wraz z zostawioną połówką grzanki. Nie dawał się przekonać, żeby jeść ciemne pieczywo i teraz dziewczynki też uznały, że wolą tę białą, bezwartościową watę. Lucy ciągle przegrywała walkę na froncie zdrowej żywności i bezskutecznie wstawiała do lodówki „margarynę lepszą niż masło”, gdyż Rob wołał masło prawdziwe. Jego arterie muszą być w opłakanym stanie. Skrzywiła się na widok butelki pełnotłustego mleka na stole i przelała jej zawartość do dzbanka. Odstawiła talerze do zmywarki i przetarła blat wokół Roba. Nigdy nie przestawało jej zdumiewać, że on potrafi siedzieć pośrodku totalnego bałaganu i nawet tego nie zauważać.

Wypluła ściereczkę w zlewie i popatrzyła przez okno. Był pogodny jesienny dzień, jeden z tych, które zachęcają do okręcenia się szalikiem i pójścia na spacer po dywanie z liści. Nie żeby tu były jakieś liście, pomyślała ponuro. Każdy mały czerwony listek, który odważył się spaść z drzewa, był natychmiast zgarniany

grabiami do jaskrawozielonego kosza na śmieci albo wchłaniany przez ogrodowy odkurzacz. Na całym osiedlu tylko trawnik przed domem Roba i Lucy nie był starannie przystrzyżony w równiutki kwadracik. Nawet kwiaty stały wszędzie w karnych szeregach. Begonie i niecierpki w sąsiednim ogródku zaczynały już więdnąć, niebawem zostaną wyrwane i wyrzucone, żeby zrobić miejsce nowym sadzonkom na wiosnę. Tego lata Lucy miała jedyny ogródek w okolicy, który nie wyglądał jak wymiociny w technikolorze. Wołała kępki lawendy i polnych kwiatów o miękkich, pastelowych barwach – czy też raczej wołałaby, gdyby udało jej się przekonać Roba, że praca w ogrodzie jest o wiele przyjemniejszym zajęciem podczas weekendów niż wylegiwanie się na kanapie lub chodzenie z dziećmi na obiad do pubu.

Rob był całkiem zadowolony z ich nowego miejsca zamieszkania, ale ona nie potrafiła wykrzesać z siebie żadnego entuzjazmu. Poprzedni dom stał się dla nich za ciasny – kiedyś zderzyli się wszyscy w przedpokoju i już myślała, że trzeba będzie wezwać straż pożarną, by ich rozplatała. Lucy chciała po prostu kupić coś większego w tej samej miejscowości, jednak Rob dał się skusić na „małe, ekskluzywne osiedle” na obrzeżach pobliskiej wioski, z osobnymi ogródkami i garażem. Dla niej obecny dom był zupełnie bez duszy, jak budowla z klocków Lego. A wszystkie sąsiednie domy były dokładnie takie same – co jej przypominało koszary. Miała także wrodzoną niechęć do mieszkania w miejscu, gdzie u wejścia powiewały dwie duże flagi. To typowe dla Roba – pierwszy do wyśmiewania pretensjonalnych aspiracji innych, sam uparł się zainwestować w dom powyżej ich możliwości finansowych głównie po to, żeby zaimponować swoim rodzicom.

Dzięki Bogu, to popołudnie niosło z sobą promyk słońca w postaci ponownego spotkania z Martą. Poznała ją w zeszłym tygodniu na lekcji jazdy konnej dziewczynek. Już po dziesięciu minutach patrzyła z rosnącą nudą i drętwiejącym na twardej ławce siedzeniem, jak ospałe kucyki – koński odpowiednik trójpalczastego leniwca – chodzą w kółko na lonży z dziećmi na grzbietach. Jeśli mały jeździec choć na chwilę przestawał walić drżącymi nogami w bok zwierzęcia, kucyk zapadał w śpiączkę. Nagle furtka gwałtownie odskoczyła w bok i weszła wysoka kobieta w ciemnych okularach, tłumiąc pod nosem przekleństwo. Dwie matki, siedzące przed Lucy i z zapałem omawiające zalety szkoły z internatem, spojrzały na nią przez ramię z wyraźnym niesmakiem. Kobieta przesunęła okulary na czubek głowy i zauważywszy wesoły błysk w oku Lucy, odpowiedziała uśmiechem, przysiadając się do niej.

– Cześć – szepnęła. – Jestem Marta. Zawsze się musimy spóźnić. Wiedziałam, że to będzie cholernie upierdliwe. Nigdy się nie mogę wyrobić na czas, zwłaszcza w sobotę.

Hannah, niezwykle surowa nauczycielka, która zdołała już sterroryzować Laureę i Olivie, patrzyła teraz groźnie na małą dziewczynkę pośpiesznie wciągającą opierającego się kucyka przez ogromną bramę po drugiej stronie.

– Mam na imię Lucy – odszepnęła Lucy. – Czy to pierwsza lekcja twojej córki?

– Yhm... Dopiero się tu sprowadziliśmy. Do Modrzewiowej Farmy w Lower Winchborough.

Lucy spojrzała na nią zdumiona.

– Nie wiedziałam, że była wystawiona na sprzedaż. My też mieszkamy w Winchborough. To znaczy, na obrzeżach.

– Kupiliśmy ją okazji – rzuciła Marta niedbale. – Od przyjaciół moich rodziców. A ty? Gdzie mieszkasz?

– W osiedlu Wiśniowy Sad – powiedziała Lucy, krzywiąc się kwaśno przy tej nazwie.

Wszystkie tamtejsze adresy, podkreślające „wiejski” charakter miejsca, brzmiały równie pretensjonalnie: Zaulek Białych Brzóz, Aleja Żłocistych Jabłoni.

– Wygodnie i blisko – skwitowała Marta. – Doskonale.

Niczym nie okazała, że to gorsza strona wioski. Lucy pogratulowała sobie w duchu, że włożyła nową zamszową kurtkę i kaszmirowy szalik, który dostała od matki na ostatnie urodziny. Marta miała na sobie elegancki płaszcz do kostek, czarne dżinsy i prześliczne skórzane kozaczki na płaskim obcasie. Lucy miała ochotę zapytać, gdzie je kupiła, ale uznała, że jeszcze za wcześnie.

– Czy ty zawsze tak wieje nudą? – spytała Marta scenicznym szeptem.

Lucy uśmiechnęła się pod nosem.

– Jest lepiej niż w zeszłym tygodniu – odszepnęła. – Pozwolili im jeździć truchtem.

– Jezu! – jęknęła Marta i odchyliła się energicznie na drewniane oparcie ławki.

– Nikt nigdy nie spadł?

– Dotychczas nie. Jeszcze za wolno jeżdżą.

– Ile lat mają twoje dzieci?

– Pięć i dziewięć. A twoje?

– Emily ma osiem, a młodsza, Sophie, pięć.

– Gdzie chodzą do szkoły?

– Do Radlett. A twoje?

– Do państwowej podstawówki. Jest bardzo blisko nas – dodała Lucy.

– Słyszałam, że to dobra szkoła. Nie jestem jakoś szczególnie zachwycona Radlett, pełno tam wypindrzonych nastolatek podjeżdżających własnymi kabrioletami, ale Sebastian nalegał...

– Mój mąż nalegał na szkołę państwową.

Był to drażliwy temat dla Lucy. Mogliby – z trudem – pozwolić sobie na wysłanie dziewcząt do Radlett, prywatnej szkoły w pięknej okolicy między Lower Winchborough a sąsiednią wioską, Stanton Harcourt, gdzie przedtem mieszkali, ale Rob stanowczo się sprzeciwił. Utrzymywał, że nie ma powodu wybrzydzać na szkoły państwowe, on sam taką skończył z dobrym rezultatem, a jeśli ktoś jest zdolny, i tak zawsze się przebije. W owym czasie, przygnieciona obowiązkami w nowej pracy i kolejną przeprowadzką, nie miała siły się wyklócać. Poza tym wyrzucała sobie, że jest snobką, krzywiąc się na akcent niektórych dzieci i fakt, że mundurkiem szkolnym może być podkoszulek. Olivia i Laura radziły sobie nieźle, ale cóż, nie był to otoczony splendorem start życiowy. A Lucy musiała przyznać sama przed sobą, że brakuje jej splendoru. Najbardziej wystawne przyjęcia, w jakich brała ostatnio udział, to kinderbale dla podekscytowanych pięciolatek przejadających się ciastkami.

– Musisz mnie odwiedzić, jak już rozpakuję choć część tych pieprzonych pudeł – odezwała się Marta.

– Z przyjemnością.

– Co robi twój mąż? Pracuje gdzieś tutaj?

– Nie, w Oksfordzie. Jest dziennikarzem... Wydawcą gazety. Ja pracuję dorywczo w radiu. A kim jest twój mąż?

– Maklerem giełdowym. Jeździ codziennie do Londynu, co ma tę zaletę, że nie siedzi mi na głowie. I umożliwia kupowanie markowych ciuchów.

Lucy roześmiała się.

– A ty pracujesz?

– Zwariowałaś, skarbie? Po co?

– Lucy spojrzała na nią ostro i zobaczyła, że Marta szczerzy do niej zęby.

– Nie mam odpowiednich kwalifikacji. Jestem ciemna jak tabaka w rogu. Wy, kobiety pracujące, napawacie mnie śmiertelnym lękiem.

Akurat! Marta nie ulękłaby się nawet Dartha Vadera cierpiącego na migrenę, pomyślała Lucy.

– Nic nie umiem – ciągnęła Marta. – Choć nie, to nieprawda. Całkiem nieźle potrafię pić. Musisz przyjść do nas kiedyś z mężem na kolację. Sebastian na pewno

chętnie go pozna. Nie obiecuję dobrego jedzenia, ale będzie mnóstwo alkoholu.

– Byłoby bardzo miło – powiedziała Lucy ze ściśniętym gardłem.

Rob na pewno się nie zgodzi. Ludzi, z którymi się zaprzyjaźniała, zawsze uważał za śmiertelnie nudnych, ilekroć zaś spotykał kogoś takiego jak Marta – niewątpliwie osoba z towarzystwa – jego sposób mówienia stawał się jeszcze bardziej plebejski. A poglądy polityczne, które głosił na widok konserwatystów, do jakich z całą pewnością zaliczał się Sebastian, ustawiały go nieco na lewo od Lenina.

– Pojedziesz po zakupy?

Rob podniósł oczy znad gazety i zrobił żalostną minę.

– A muszę?

Lucy szybko rozważyła w myślach, czy woli zostać w domu z dziećmi, borykać się ze sprzątaniami i humorami Laury, czy jeździć z wózkiem po supermarkecie. Samotne sprawunki wygrały.

– Już dobrze, dobrzeją to zrobię – powiedziała wielkodusznie, takim tonem, jakby to było wielkie poświęcenie z jej strony.

Narzuciła kurtkę i zamiast torebki wzięła miękki słomkowy koszyk, do którego włożyła portfel i telefon komórkowy. Rob mówił, że wygląda z nim jak Czerwony Kapturek, ale ona uważała, że to miły atrybut dyskretnie podkreślający jej wiejski styl życia. Zatrzymała się w drzwiach.

– Możesz trochę posprzątać? I postaraj się znaleźć toczki dziewczynek, bo zaraz jak wrócę, jedziemy na konie. Ich bryczesy są w rzeczach do prasowania.

Rob odłożył gazetę z wymownym westchnieniem.

– Idź już – powiedział.

Lucy zawróciła samochód na podjeździe, w ostatniej chwili zgrabnie wymijając małego chłopca pędzącego na rowerku z szybkością błyskawicy. Było zimniej, niż myślała – włączyła ogrzewanie i puściła taśmę Vana Morrisona. Wyjechała przez szeroką bramę osiedla i skręciła w lewo do centrum wioski, mijając po drodze te prawdziwe, jej zdaniem, wiejskie domy: małe, stare dworki i cofnięte od ulicy większe, kamienne posesje. Nowe centrum handlowe było położone dwie mile na zachód i stanowiło niewątpliwą wygodę, choć może nie szczyt urody. Kojący, tęskny głos Vana Morrisona przywiódł jej na myśl wakacje i podróże, a także młodość. Gdy miała osiemnaście lat, wszystko wydawało się możliwe, a bycie dorosłym oznaczało wolność i przygodę. W rzeczywistości okazało się, że oznacza zupełnie coś innego. Oznacza pracę i spłatę kredytu za dom, nieznośne dzieci i kłótnie o to, kto ma załadować zmywarę. Przez myśl przebiegło jej coraz częściej

nachodzące ją pytanie, co by się stało, gdyby dalej jechała przed siebie, zostawiła dom, rodzinę i wybrała przyszłość, w której będzie miejsce tylko dla niej i dla rozciągających się przed nią nieograniczonych możliwości. Ale im na pewno skończyłyby się w kuchni ręczniki papierowe, a Rob nigdy by nie znalazł szkolnego podkoszulka Olivii, bo tylko Lucy wiedziała, że służy on w tej chwili jako posłanie dla kucyka Barbie.

Pograżona w myślach, skręciła automatycznie na parking przed supermarketem. Kiedy drogę w ostatniej chwili przeciął jej ciemnozielony rangę rover, wbiła wściekły wzrok w kierowcę, chcąc na niego ze złością zatrabnąć. Cholerni mężczyźni. Mignęła jej opalona twarz, niedopałek wiszący w kątku ust i gęste, jasne włosy zaczesane do tyłu. Przebiegł ją dreszcz. Niech to wszyscy diabli. Ten facet wyglądał zupełnie jak Max.

Rozdział 2

Jedyna rada, jaką Caroline Beresford kiedykolwiek odważyła się dać swojej nastoletniej córce Lucy na temat małżeństwa, brzmiała: „Szukaj mężczyzny z perspektywami życiowymi”. Lucy odparła ostro, że dziewczyny z jej pokolenia nie muszą już przeżywać swojego życia wyłącznie poprzez mężczyzn, wielkie dzięki. Ona i jej koleżanki, powiedziała, przewracając się na brzuch na zielonej lnianej kapie, nie będą się realizować poprzez status męża. Kobiety z jej pokolenia zmieniają świat, nie będą już koncentrować się na praniu bielszym niż śnieg i tym, jak zatrzymać przy sobie mężczyznę.

– Nie ma znaczenia, co robi mąż – mówiła Lucy gniewnie, obdzierając ciemnobrązowy lakier z paznokci; jeśli pokryło się czterema warstwami, można było ściągnąć wszystko za jednym zamachem – ważne jest to, co się samej osiągnie w życiu. Wyjdę za mąż, jeśli w ogóle zechcę wyjść za mąż, za mężczyznę, którego pokocham, a nie za tego, który ma perspektywy. Całe to gadanie o lepszym starcie życiowym – ciągnęła – to anachronizm, który ma skłonić ludzi do pobierania się w obrębie tej samej klasy i powielania małżeńskiej pułapki. Właśnie wiara, że kobiety nie mogą osiągnąć niczego bez mężczyzny, trzyma je w jarzmie od pokoleń. Spójrz na siebie. Masz dyplom uniwersytecki i co z tym zrobiłaś? Jakie są twoje życiowe osiągnięcia?

– Moje córki – powiedziała Caroline. – Wy jesteście moim życiowym osiągnięciem. A teraz wstawaj.

Lucy podniosła się niechętnie i nadal w chłopięcej koszulce zawodnika rugby, w której spała, odkąd dostała ją od kapitana szkolnej drużyny, starającego się (nadaremnie) zaciągnąć ją do łóżka, powlokła się do łazienki po grubej czekoladowej wykładzinie, na której ginał ciemny kolor jej paznokci u nóg. Nowa łazienka stanowiła przedmiot dumy i radości jej rodziców i zawierała ostatni krzyk mody, bidet.

W łazience Lucy popatrzyła na siebie w lustrze, odgarniając postrzępione włosy z twarzy, a potem zaczęła myszkować w szafce. Skąd się biorą te cholerne pryszczki? I gdzie się podział Clearasil? Pieprzona Helen musiała go podwędzić. Jej wstrętne siostra miała pryszczki tylko na czole i bez trudu mogła je ukryć, podczas gdy pryszczki Lucy miały naturę ekshibicjonistyczną i lubiły być na widoku – na nosie albo na środku policzka – w glorii świateł i reflektorów.

Leżąc w wannie, z puszczonego na cały regulator radiem zagłuszającym dźwięk

odkurzacza, z którym sprzątaczką kręciła się po domu niczym uprzykrzona osa, Lucy postanowiła, że jej życie będzie wyglądać zupełnie, ale to zupełnie inaczej niż życie jej matki. Nie dla niej spotkania brydzowe przy dżinie z tonikiem, poranna kawa z domowymi ciasteczkami na porcelanie Wedgwooda, celebrowana przed wyjściem pana domu do pracy, prestiż wynikający z kariery męża, wielkości domu i szkół, do jakich chodzą dzieci. Dziecko studiujące w Oksfordzie było o niebo lepsze od seksu, a dwie córki w szkole z internatem stawiały jej matkę o kilka szczebli wyżej od najbliższych przyjaciółek, które mogły sobie pozwolić tylko na prywatną szkołę dzienną dla swoich pociech. Dawało jej to możliwość wtrącania do rozmowy zwrotu: „Oczywiście, bez dziewczynek mam teraz o wiele więcej czasu... „ – co czyniła niby to niedbale, ale regularnie.

Ani też, uznała Lucy, nastawiając „Listę przebojów”, nie zamierza w przyszłości wypełniać sobie dni dobroczynnością, jak jej matka – całym tym dźwiganiem gorących posiłków niewdzięcznym, śmierdzącym podopiecznym pomocy społecznej z blokowisk w pobliskim mieście ani sprzedawaniem obrzydliwych abażurów w sklepie charytatywnym. A ponieważ w ich wiosce nie było właściwie prawdziwych biedaków, to wszystko oznaczało, zdaniem Lucy, niekończące się przekazywanie sobie bezużytecznych szpargałów przez zamożnych mieszkańców, którzy chowali potem niepotrzebne wazy, abażury i misy pod schodami, w oczekiwaniu na nową akcję charytatywną organizowaną przez kościół.

Lucy zaplanowała już sobie całą przyszłą karierę. Marzyła o tym, żeby się dostać do telewizji, a kiedy – czy raczej: jeśli – będzie miała dzieci, zostanie pisarką i będzie wystukiwać na kuchennym stole prozę, która przyniesie jej nieśmiertelność. Albo będzie bez przeszkód kontynuować wspinanie się po drabinie sukcesu, wzbudzając bezgraniczny podziw ojca swoją niepohamowaną ambicją, a dzieci odda pod opiekę niani. I tak chowanie dzieci niezbyt jej się uśmiechało, zwłaszcza własnymi rękami. Caroline, zaniepokojona, że Lucy może oblać maturę, starała się w owym czasie dać jej jakieś poczucie celu – w końcu wydali fortunę na edukację – i podsuwała różne możliwości odpowiedniej kariery. Może jakiś dobry kurs dla sekretarek? Albo pomaturalna szkoła artystyczna, jeśli nie chce od razu iść na uniwersytet? Lucy dostawała szału: przecież matka musiała mieć w swoim czasie jakieś zainteresowania i choć trochę buntowniczą naturę, bo w jej młodości stosunkowo niewiele kobiet studiowało. Ale kiedy pytała ją, czy w czasach studenckich spotykała się z chłopcami i czy była choć raz na marszu protestacyjnym, najbardziej postępową i niezależną rzeczą, jaką Caroline mogła się

pochwalić, była funkcja wiceprzewodniczącej Studenckiego Koła Miłośników Sztuk Pięknych.

Matka żyje w przekonaniu – rozmyślała Lucy ze złością – że jedyny zawód stosowny dla kobiety to sekretarka lub nauczycielka. I to tylko do czasu, aż spotka Właściwego Mężczyznę. Dobrze, że jesteś taka ładna, powtarzała. A kiedy Lucy się złościła, dodawała:

– Możesz się śmiać, ale to bardzo pomaga.

Ilekcio Caroline mówiła o kimś na stanowisku, zawsze używała rodzaju męskiego – automatycznie zakładała, że to mężczyzna – i Lucy ciągle dręczyła ją pytaniem: „Skąd wiesz, że to «on» a nie «ona»?” Dlaczego, na miłość boską, pokolenie jej matki podporządkowywało wszystko mężczyznom? Jeśli jadły z siostrą posiłek w restauracji, a przy sąsiednim stoliku siedzieli jacyś biznesmeni, Caroline kazała córkom ściszać głos. W podtekście chodziło o to, żeby nie zakłócały ważnej rozmowy głupią, dziewczęcą paplaniną. Irytowało ją też, jak matka biega wokół ojca – ale tak widziała zapewne wybraną przez siebie karierę.

Lucy uważała, że ojciec jest strasznie rozpieszczony. Kiedy ona i Helen były małe, Caroline prezentowała mu je po powrocie z pracy, dopiero gdy były wykapanne, różowe i pachnące. Przed jego przyjściem wszystkie zabawki były uprzątnięte, a dom, ciepły i przytulny, czekał na pana i władcę. To było absurdalne, jak matka panikowała, kiedy obiad nie był całkowicie gotowy na jego powrót. Wyjście za męża jest jak zaprzędanie się w niewolę, uznała Lucy.

Złościło ją też, że główne – choć ukryte – nadzieje, jakie rodzice z nią wiązali, sprowadzały się do jej dobrego zamążpójścia. Kiedy wytknęła ojcu, że mama marnuje swoje wykształcenie, zajmując się wyłącznie domem i dziećmi, odparł po prostu, że jej dyplom przydał się choćby po to, żeby stała się inteligentniejszą partnerką dla niego.

Mydląc palce u nóg, Lucy postanowiła, że jej związek małżeński – a jeszcze lepiej wolny związek; tak czy owak zamierzała żyć z mężem przed ślubem – będzie oparty na całkowitej równości i jej partner będzie zarówno robić sprawunki czy karmić mokre niemowlę o trzeciej w nocy, jak wychodzić rano z teczką pod pachą i stemplem: „Żywiciel rodziny”* na czole.

I jeszcze całe to dziewczęctwo, wokół którego pokolenie jej rodziców robiło tyle szumu. Bez sensu. Dla Lucy był to idiotyzm – tylko brzydule i szare myszki chciały pozostać dziewczycami, te z długimi cienkimi warkoczykami, które szyły poszewki na poduszki, udzielały się w harcerstwie i nigdy nie malowały oczu ani nie goliły nóg.

Jednakże w wieku lat szesnastu Lucy – choć wolałaby się do tego nie przyznawać – nadal była dziewicą. W każdym razie sensu stricto – zakosztowała już pieszczot z chłopcami z sąsiedniej szkoły, lecz na tym się kończyło – toteż większość informacji, jakie miała o seksie, pochodziła z książek Harolda Robbinsa, wykradanych z sypialni rodziców i czytanych po kryjomu w łazience lub pod kołdrą przy świetle latarki. Zastanawiające, że opisy z tych powieści nie odpowiadały jej własnym doświadczeniom. Ich bohaterkę – zawsze blondynkę o złocistej skórze – uwoził zwykle w siną dal szejk arabski albo mistrz wyścigów motocyklowych. Trudno to było porównać do topornych uścisków kapitana szkolnej drużyny piłkarskiej, którego paczka papierosów gniotła ją boleśnie w pierś, podczas gdy on przelewał pół litra śliny w jej usta. Lojalnie nosiła te książki do szkoły, gdzie na ich marginesach pojawiały się wkrótce uwagi w rodzaju: „No nie!!!” lub „Co???” Nastolatka nie potrafi komunikować się z przyjaciółkami bez użycia armii wykrzykników albo znaków zapytania. Samo życie było jednym wielkim wykrzyknikiem.

Ale jeśli Max dopnie swego, jej dziewictwo odejdzie niedługo w zapomnienie. Żegnaj, cnoto. Chodziła z Maksem już od pół roku i niedawno powiedział, że jeżeli w końcu mu nie ulegnie, to on chyba fizycznie eksploduje i odleci mu wszystkie guziki w dzinsach. Znała Maksa od dziecka – był synem jednej z nienagannie ubranych przyjaciółek matki z przedpołudniowych spotkań przy kawie, a ona i Max chodzili razem do prywatnej podstawówki. Matka bardzo sobie ceniła tę przyjaźń, gdyż jego ojciec był członkiem parlamentu z ramienia konserwatystów i w związku z tym miał znaczącą pozycję społeczną. Caroline nigdy nie posunęłaby się do czegoś tak niesmacznego, jak łaszenie się do kogoś o wyższym statusie, ale w cichości ducha cieszyła ją ta znajomość. W wieku dziesięciu lat Lucy i Max stracili ze sobą kontakt – Max wyjechał do swojej szkoły z internatem, a Lucy do swojej, gdzie miała przekształcić się w młodą damę i spotkać „miłe” koleżanki z „miłymi” braćmi.

Spodziewała się, że będzie się jej tam podobać, a tymczasem czuła się jak mała, wyrwana z korzeniami roślinka. To było jak więzienie, w którym miejsce zimnookich strażników zajmowały stare, pokryte brodawkami lesbijki. I choć na pozór Lucy była bardziej pewna siebie i wygadana niż jej nieśmiała młodsza siostra, to właśnie ona mocniej tęskniła za domem, rodzicami i psem. Wiedziała, że pobyt tu jest powszechnie uważany za przywilej, ale doprawdy, jak można myśleć, że zamknięcie kogoś w instytucji pełnej obsypanych brodawkami lesbijek jest przywilejem? Nocami płakała w poduszkę na wąskim łóżku, wspierana jedynie

słabą pociechą sąsiadki obok, która widywała swoich rodziców wszystkiego dwa razy do roku, gdyż mieli plantację herbaty w Kenii.

– Przynajmniej twoi rodzice mieszkają w tym samym kraju – szeptała do Lucy.
– Pomyśl, jak ja się czuję. Moi rodzice nie żyją nawet w tej samej strefie czasowej!

Kiedy Lucy i Max ponownie się spotkali, łączyła ich wspólna niedola uprzywilejowanego dzieciństwa.

A spotkali się w bardzo odpowiednim momencie. Do tej chwili umierała w domu z nudów. Spędzała dni wakacyjne, szcزتując bezustannie włosy, żeby wyglądać jak Alexandra Bastedo z filmu *The Champions*, oglądając w lustrze swoje pryszcze i puszczając na okrągło płyty Davida Cassidy. Pomiedzy dziewiątym a trzynastym rokiem życia David Cassidy był jej idolem.

Helen wolała Donny'ego Osmonda, ale Lucy uważała, że ma stanowczo za wielkie zęby i okropną fryzurę, która wygląda jak peruka. Jeśli można go było uznać za przystojnego, to tylko w porównaniu z jego braćmi. Muppety, czy co? Jak można brać poważnie kogoś, kto śpiewa *Puppy Love*? David Cassidy był o wiele bardziej wyrafinowany. Omdlewała na dźwięk jego lekko zadyszanego głosu. Całe wieczory spędzała, leżąc z głową przy adapterze i słuchając płyt. Ściany w pokoju miała wytapetowane jego plakatai, a najbardziej lubiła ten, na którym stał przy pięknym, siwym koniu. W myślach bezustannie pisała do niego listy miłosne i gorąco wierzyła, że gdyby się spotkali, on też zakochałby się w niej od pierwszego wejrzenia i zrozumiał, iż są sobie przeznaczeni. To, że ona miała wtedy dwanaście lat, a on osiemnaście, nie miało żadnego znaczenia. Śpiewał tylko dla niej, a kiedy zobaczyła go w filmie, myślała, że umrze z miłości. Całym sercem znienawidziła jego partnerkę, bo była pewna, że coś ich łączy.

Max był jej pierwszym prawdziwym chłopcem. Ci w szkole się nie liczyli, bo wszystko sprowadzało się do słów: „Podobasz się mojemu kumpłowi”, pocałunków na ławce w parku do drętwienia ust i chichotania z przyjaciółkami po odzyskaniu oddechu. Nie rozmawiała z nimi o niczym, Boże broń, to by było zbyt krepujące. A poza tym, o czym mieliby rozmawiać? Z Makssem było inaczej – przede wszystkim dlatego, że zaczęli się umawiać na prawdziwe randki. Miał samochód, co Lucy niezmiernie imponowało. Spotkali się – jak na ironię, zważywszy na jego późniejsze zakusy na jej cnotę – na prywatce, na którą prawie siłą wypchnęła ją Caroline.

Była połowa wakacji i Lucy siedziała w swoim pokoju, wyglądając apatycznie przez okno. Zadzwoił telefon, matka odebrała i dobiegł ją jej głos:

– Naprawdę? Tak, jest w domu. Nie, jestem pewna, że będzie zachwycona.

Prawie nikogo tu teraz nie zna. Właśnie, to prawdziwy problem, kiedy ktoś się uczy poza domem, wiem coś o tym.

Lucy zmarszczyła ze złością brwi. Czy matka musi z niej robić taką bidusię przed obcymi?

– Około ósmej? Doskonale.

– Czym mam być zachwycona? – spytała Lucy chmurnie, schodząc ze schodów w dżinsach, które bez butów na platformie były o dziesięć centymetrów za długie.

– Rupert Jackson zaprosił cię na prywatkę. Dzwoniła jego matka. Jest bardzo miła. Muszę zorganizować...

– Dobrze, dobrze – przerwała Lucy niecierpliwie. – Jaki Rupert? Czyja go znam?

– Oczywiście, że go znasz. Chodziliście razem do szkoły, on był o rok wyżej. Musisz go pamiętać, to bardzo sympatyczna rodzina.

Lucy jak przez mgłę przypomniała sobie małego lizuska w butelkowozielonej czapce, który omal jej nie przewrócił w parku podczas zabawy w kradzione pocałunki.

– Był okropny. Chyba nie spodziewasz się, że pójde?

– Oczywiście, że pójdziesz. Może poznasz tam kogoś miłego? Nie zaszkodzi spróbować, kochanie.

Przez następnych kilka dni Lucy udawała obojętność i znudzenie, ale w głębi ducha czuła rosnącą panikę. W co się ubrać? Rupert studiował w Harrow. Nie będzie nikogo znała. Miała wielki pryszcz, a skończyło się jej specjalne mleczko do czyszczenia twarzy.

Kiedy nadszedł oczekiwany wieczór, Caroline usiłowała za wszelką cenę wepchnąć ją w elegancką sukienkę, żeby Lucy zrobiła dobre wrażenie na rodzicach Ruperta. W końcu mieli basen. Ale Lucy za nic w świecie nie pokazałaby się w sukience. Po krótkiej, choć gwałtownej sprzeczce wygrała i włożyła brązową bluzkę z gniecionej bawełny, koraliki w kształcie serduszek i niemożliwie obcisłe niebieskie dżinsy. Spryskała się perfumami i obejrzała w lustrze łazienki. Zatuszowała pryszcz korektorem, ale z bliska nadal był widoczny. Miała nadzieję, że będzie ciemno.

Na lokówce zapaliło się czerwone światelko, co znaczyło, że się dostatecznie rozgrzała. Lucy usiadła po turecku na podłodze w sypialni i ostrożnie wywinęła grzywkę. Jej blond włosy, niegdyś do pasa, teraz do ramion, były idealnie proste i rozdzielone na środku. Dzięki Bogu, ten sterczący kosmyk wreszcie odrósł i dał się

zaczesać. Jeden z chłopców z sąsiedniej szkoły państwowej powiedział jej, że wygląda jak blondynka z ABBY, co uznała za wątpliwy komplement, bo tamta miała ogromny tyłek.

– Chodź wreszcie, kochanie!

Caroline stała u dołu schodów, stukając niecierpliwie nogą o podłogę, szalenie elegancka w oliwkowym kaszmirowym bliźniaku, perłach i granatowych spodniach od Jaegera. Czekała na Lucy, raz jeszcze pociągnęła usta czerwoną szminką przed lustrem w holu i poprawiła jasne włosy. Miała nadzieję, że Lucy się spodoba. Naprawdę powinna była włożyć sukienkę.

– Już idę! – odrzyknęła Lucy z irytacją, lekko podniesionym tonem, który tak denerwował matkę.

Ostatnie muśnięcie rzęs tuszem i roztarcie palcem niebieskich cieni, którymi pomalowała nie tylko powieki, ale i łuk pod brwiami, wypełniając zagłębienie na biało, co „podkreślało oczy” zdaniem „Jackie”, magazynu dla dziewcząt, który stanowił biblię jej i Helen.

Bardzo ostrożnie zeszła po schodach. Jej dzinsy były tak ciasne, że po praniu musiała wciągać je na leżąc i podciągać zamek błyskawiczny z pomocą wieszaka. Wizyta w ubikacji zajmowała jej godzinę. Czasem, kiedy miała na sobie tę właśnie parę – rozmiar osiem, pomyślała z dumą – czuła się zdrętwiała od pasa w dół.

– Pa! – Wetknęła głowę do salonu.

Helen leżała nadąsana na podłodze przed telewizorem, zła, że nie została zaproszona; ojciec spał na skórzanej kanapie, a Ben, ich seter, ułożył mu się w nogach. Ci dwaj byli nierozłączni, zjednoczeni przeciwko domowi pełnemu kobiet. Ojciec otworzył jedno oko.

– Wychodzisz? Nie przebierasz się?

Lucy chwyciła poduszkę z pobliskiego fotela i rzuciła w niego. Złapał ją i odrzucił, ale Lucy zdążyła już zamknąć drzwi, więc poduszka odbiła się i spadła na podłogę. Caroline westchnęła ciężko. Że też oni zawsze muszą się tak wygłupiać i robić taki bałagan!

W samochodzie Lucy bawiła się nerwowo literką L, którą nosiła na łańcuszku na szyi. Czuła rosnące zdenerwowanie – to była jej pierwsza prawdziwa prywatka. Matka puściła w radiu muzykę klasyczną, co brzmiało dla niej jak marsz pogrzebowy.

– Nie możemy posłuchać czegoś innego?

Caroline jęknęła, ale Lucy zaczęła kręcić gałką, aż trafiła na stację dla młodzieży. Kiedy volvo zjeżdżało wolno długim podjazdem, Lucy ponagliła w

myślach matkę, żeby zmieniała biegi. W końcu nie wytrzymała.

– Mamo, proszę cię, wrzuć dwójkę. Zarzynasz samochód.

Światła domu w tylnej szybie zaczęły się oddalać. Lucy poczuła skurcz żołądka, jak w chwilach kiedy wracała do internatu. Odwracała się wtedy w samochodzie, żeby spojrzeć za siebie po raz ostatni, wchłonąć każdy szczegół – solidną bryłę starego kamiennego domu o złocistych, miodowych ścianach, które zdawały się promieniować ciepłą, letnią poświatą; okna swojej sypialni, w które zaglądały rdzawe, jesienne liście bluszczu; koślawą przybudówkę, pełną narzędzi ogrodniczych i pudeł z jabłkami, które Caroline nabożnie zbierała co roku i przetwarzała na jabłeczniki, musy jabłkowe, soki z jabłek i tarty z jabłkami, aż Lucy miała ochotę krzyknąć na widok czegokolwiek, co miało w sobie jabłka. Kiedy jej rodzina była już całkiem nasycona, Caroline zaczynała piec ciasta dla reszty wioski i wystawiać przy drodze pudła z pozostałymi jabłkami z napisem: „Do wzięcia”.

Prywatka odbywała się w dużym garażu przy ostentacyjnie wielkim domu Ruperta. Przez otwarte drzwi Lucy dojrzała błyszczącą, srebrną kulę wiszącą u sufitu i smugi czerwonego, żółtego i zielonego światła z głębi, gdzie puszczano muzykę. Rytmiczna linia basu zespołu Blondie zagłuszała wszelkie próby rozmowy i Lucy, nie wiedząc czemu, poczuła ulgę, że nikt jeszcze nie tańczy.

U bramy oświetlonego ogrodu powitała ich mama Ruperta.

– Nie wchodź ze mną – syknęła Lucy do matki.

Przez chwilę żałowała nawet, że nie ma przy niej Helen dla moralnego wsparcia, ale uznano, że siostra jest za młoda.

– Ty musisz być Lucy – powiedziała mama Ruperta wylewnie.

O Boże, pomyślała Lucy, zaraz mnie pocałuje. Wyciągnęła rękę. W następnej chwili matka delikatnie popchnęła ją do środka.

– Idź, kochanie. Nikt cię nie ugryzie. Jest trochę nieśmiała, bo nikogo tu nie zna – zwróciła się Caroline konfidencko do matki Ruperta.

Lucy miała ochotę zamordować ją wzrokiem, ale Caroline całowała właśnie w policzek panią domu, mówiąc:

– Cudownie pani wygląda.

Tamta wzniosła oczy do nieba.

– Rupert! Ta jego muzyka! Nie słyszę własnych myśli.

Tymczasem Lucy dostrzegła wysokiego ciemnowłosego młodzieńca, niechętnie odrywającego się od grupki młodych mężczyzn, z których wszyscy ubrani byli w identyczne sztruksowe spodnie i prążkowane koszule z podniesionym

kołnierzykiem. Młodzieniec podszedł do nich nonszalancko i zmierzył ją od stóp do głów ciężkim spojrzeniem. Na chwilę w jego oczach zapalił się błysk zainteresowania na widok jej urody, ale szybko zgasł, głównie dlatego, że przecież jej nie znał. Nie potrzebował poznawać nikogo nowego, miał dosyć przyjaciół.

– Cześć – powiedział, nie patrząc jej w oczy.

Lucy zorientowała się, że jest już kompletnie pijany.

– Rupert – zaszczębiotała jego matka nerwowo – to jest Lucy.

Lucy Beresford. Pamiętasz Lucy? Chodziliście razem do szkoły.

Przyszła – dodała triumfalnie – na twoje piąte urodziny. Wyobrażasz sobie?

Roześmiała się i Rupert popatrzył na nią niewidzącym wzrokiem.

– Naprawdę? – bąknął, jego twarz zdradzała kompletny brak zainteresowania.

Lucy pomyślała, że szanse na to, aby w odpowiednich komórkach jego mózgu zapalił się błysk pamięci, są bardzo małe.

– Przedstaw Lucy swoim znajomym – nakazała mu matka, odwracając się do grupy nowo przybyłych gości.

– Znasz tu kogoś? – Rupert zachwiał się lekko, prowadząc ją do stołu z napojami.

– Właściwie nie – odparła Lucy, marząc, aby znaleźć się sto mil stąd.

– Wapniaki zaraz sobie pójdą – oznajmił, pochylając się nad nią i przyglądając się jej z bliska. Była całkiem ładna. Zupełnie w porządku.

Lucy odepchnęła go w ostatniej chwili, kiedy się na nią zatoczył.

– Uups! – powiedział, łapiąc równowagę, niczym niezrażony.

– Palisz?

Wyciągnął paczkę czarnych sobranie z tylnej kieszeni, oglądając się, czy matka nie widzi.

– Dzięki. – Lucy wyjęła papierosa i wzięła zapałki z jego trzęsących się rąk. Jeszcze gotów przypalić jej włosy.

– Poczęstuj się. – Wskazał jej stół z puszkami piwa oraz ponczem, w którym pływały kawałki jabłek i pomarańczy.

– Dzięki – powiedziała znów Lucy, ale już go nie było.

Chwilę później usłyszała wybuch śmiechu w jego grupie i poczuła na sobie sześć par oczu. Zaczerwieniła się ze złości i nalala sobie ponczu do papierowego kubka. Będzie musiała się upić. Wszystko razem zapowiadało się koszmarnie i była pewna, że ma już na bluzce plamy potu pod pachami.

Zastanawiała się, jak by tu się wymknąć i wymyślić jakiś powód, dla którego

musi natychmiast zadzwonić po rodziców, kiedy drzwi otwarły się z hukiem i weszła grupa chłopców, z których pierwszy wydał jej się dziwnie znajomy. Wyróżniał się z tłumu nie tylko dlatego, że był bardzo przystojny, jasnowłosy i opalony, lecz także dlatego, że miał na sobie wielki włochaty kaftan afgański, ściągnięty jakby prosto z grzbietu jaka. Zrzucił go z siebie, jak skórę barania, na podłogę, ukazując białą koszulę bez kołnierzyka i bardzo obcisłe, wyblakłe dżinsy. W jednej ręce trzymał butelkę kanadyjskiej whisky, a w drugiej paczkę gitanów.

Dlaczego wydawał jej się znajomy? Kiedy odwrócił się ze śmiechem do jednego z chłopaków, nagle ją olśniło. To był Max! Mały Max, nieznośny Max, z którym współzawodniczyła w skokach w dal w swoim ogrodzie w wieku lat sześciu, grała przez niekończące się godziny w ping-ponga i, niech to! – kapała się na golasa, na czym przyłapała ich zszokowana Caroline. Max był pierwszym chłopcem, któremu dobrowolnie pokazała majtki. Czy powinna tym właśnie mu się przypomnieć?

Niezdecydowana, już chciała niepostrzeżenie odejść na bok, kiedy pochwycił jej spojrzenie. O Boże! Co będzie, jeśli jej nie pozna? Co powinna zrobić? Poczowała, że na jej policzki wypełza krwawy rumieniec. Max uśmiechnął się szeroko i pewnym krokiem podszedł prosto do niej.

– Lucy, to ty, prawda? Ale wyrosłaś... – Oszacował ją wzrokiem, nie przestając się uśmiechać.

– Max, chłopie, jak się masz? – przerwał im Rupert, zbliżając się chwiejnie. – Jak było u jankesów? – Chciał go trzepnąć w ramię, ale nie trafił i obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

Max odsunął się na bezpieczną odległość.

– Spadaj, Rupert – powiedział. – Ledwo się trzymasz na nogach.

– Cześć, Max – powiedziała Lucy, starając się za wszelką cenę zachować chłodny spokój, chociaż policzki ją paliły. Na jej bluzce widać było każdą plamkę i po prostu wiedziała, że musi mieć ślady potu. Trzymała ręce ciasno przy sobie.

– Co za świństwo pijesz? – spytał, zaglądając jej do kubka, w którym był wstrętny poncz. – Napij się whisky – zaproponował, sięgając po czysty papierowy kubek.

Lucy nigdy dotąd nie miała w ustach whisky. Ale musiała pokazać Maksowi, że jest dziewczyną nowoczesną i wyzwoloną. Wypiła duszkiem i poczuła, że kręci się jej w głowie. Max patrzył na nią z podziwem.

– Skąd znasz Ruperta? – spytała, przekrzykując głośną muzykę.

– Byłem z nim na nartach w zeszłym roku – odkrzyknął Max. – To dupek, ale

jego basen w lecie się przydaje.

Opowiedział jej, że w ramach wymiany spędził rok w szkole średniej w Ameryce, że omal go stamtąd nie wylali za picie i szmuglowanie dziewcząt do internatu, że rodzice kupili mu właśnie całkiem niezły wóz. Mówił z lekkim amerykańskim akcentem i nie uszło jej uwagi, że jest nieco zapatrzony w siebie. Ale był taki przystojny. W myślach układała już sobie rozmowę przez telefon z przyjaciółką na drugi dzień.

– Chcesz zatańczyć? – zapytał, kiedy ze stereo rozległ się wibrujący głos Bryana Ferry’ego. – *Lets Stick Together* – śpiewał tęsknie, gdy tańczyli z niezwykle skupieniem na odległość ramienia, nie patrząc na siebie.

I do tego całkiem niezły z niego tancerz, pomyślała Lucy, kiedy kołysał pewnie ramionami, poruszając się tylko od pasa w górę. Umiejętność nowoczesnego tańca była wysoce cenionym atrybutem – żadna dziewczyna nie chciała chłopaka, który walcował jak własny ojciec. Kątem oka widziała, że przyjaciele Maksa poszturchują się i wystawiają w górę kciuki na znak aprobaty.

– Nie zwracaj na nich uwagi – powiedział. – To idioci. Po prostu mi zazdroszczą.

Lucy znów się zaczerwieniła.

Po półgodzinie tańca temperatura w pomieszczeniu zbliżyła się do punktu wrzenia od wirujących ciał i gorących oddechów młodzieży rozpalonej ponczem jabłkowym, do którego Max dolał whisky. Max chwycił Lucy za rękę i wyciągnął na chłodne powietrze. W ogrodzie objął ją ramieniem.

– Chodzisz z kimś? – zapytał niedbale.

– Z nikim specjalnym – odparła powściągliwie, żeby sobie nie pomyślał, że jest na każde skinienie.

– To dobrze – stwierdził i pochylił się nad nią.

Stuknęli się nosami. Spróbowali raz jeszcze. Tym razem niewygodne części twarzy ominęły się. Dobry tancerz, a do tego dobrze całuje, pomyślała Lucy, starając się pamiętać o oddychaniu. Całowała się już z chłopcami z jęczyzkiem i lubiła to, pod warunkiem że jej nie obślinali. Chłopcy w szkole mieli albo wyschnięte usta, albo buchali śliną, co przypominało w jednym wypadku całowanie się z własną babcią, a w drugim z pralką. Usta Maksa były ciepłe i robił to jak należy.

Zaczynali się właśnie rozgrzewać – Max zgrabnie wepchnął nogę między jej uda – kiedy Lucy, ku swej zgrozie, zobaczyła nad sobą mamę Ruperta. Odepchnęła

Maksa, który miał zamknięte oczy.

– Wracajcie do środka – powiedziała uprzejmie mama Ruperta, jakby nigdy nic.

– Zaziębicie się.

Lucy zauważyła, że trzyma w ręku latarkę. Zapewne po to, aby wypłoszyć z krzaków ściskające się pary.

Wewnątrz wszystko się kotłowało, nikt nie starał się już trzymać w ryzach. Na środku leżał jeden z kolegów Ruperta, kompletnie nieprzytomny, a grono dziewcząt tańczyło wokół, owijając go łańcuszkiem. Max posadził Lucy na jednym z pufów pod ścianą. W następnej chwili usłyszała jakiś charkot. Chłopak obok, o którym myślała, że śpi, przechylił się i zwymiotował w szczelinę między poduszkami. Lucy zerwała się jak oparzona.

Dyskdokej spojrział na zegarek, zobaczył, że już północ i pora kończyć. Chwała Bogu. Czas na Nilssona. Kiedy popłynęły miłosne słowa piosenki, Max wziął Lucy w ramiona i zaczęli się kiwać, ciasno objęci, w takt tęsknej melodii. Ci, którzy z trudem trzymali się na nogach, starali się sprawiać wrażenie, że nie mają ochoty tańczyć i głośno dopingowali swoich przyjaciół. Gdy przebrzmiały ostatnie takty, rozblysło ostre, neonowe światło. Lucy szybko schyliła głowę, żeby zakryć włosami twarz, i skierowała się do drzwi. To całe całowanie mogło zetrzeć jej korektor, którym zatuszowała pryszcz, a nie miała najmniejszej ochoty przedwcześnie zniechęcić Maksa.

Na podjeździe było gęsto od samochodów. Pary, których mama Ruperta nie zdołała wypłoszyć, wynurzały się teraz z krzaków, otrzepując się z gałązek i rozcierając mokre plamy na ubraniu po obściskiwaniu się na wilgotnej ziemi. Kiedy Max i Lucy wyszli, trzymając się za ręce, zobaczyli, że ich matki stoją razem, każda obok swojego volvo, pogrążone w konwersacji. Matka Maksa wiedziała z gorzkiego doświadczenia, że syn będzie zbyt pijany, żeby sam prowadzić. Lucy starała się uwolnić dłoń z ręki Maksa, ale nie chciał jej puścić.

– Pożegnajmy się już teraz – syknęła.

Max pociągnął ją niespodziewanie w krzak rododendrona.

– Uff – westchnęła, kiedy wziął jej twarz w obie dłonie i mocno pocałował.

– Daj mi twój telefon. Zadzwonię jutro.

– Jest w książce – powiedziała, wyskakując z krzaka na odgłos zbliżających się kroków. – Cześć, mamu. To jest Max. Max, czy pamiętasz...

Max uśmiechnął się promiennie.

– Oczywiście, że panią pamiętam, pani Beresford – powiedział wylewnie, wyciągając rękę. – Robi pani najlepsze ciasto czekoladowe na świecie!

Lucy patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. A więc uwodzi też matki. Caroline, całkiem oczarowana i nieprzyzwyczajona do takiej bezpośredniości ze strony przyjaciół Lucy, podała mu rękę z szerokim uśmiechem. Lucy schowała się za nią i dopiero teraz zauważyła, że ma rozpięte sześć górnych guzików bluzki.

Nastąpiły ogólne pożegnania i Lucy zobaczyła, że jej matka ma na twarzy swój uprzejmy, sztuczny uśmiech, który nie sięgał oczu i któremu zwykle towarzyszyło energiczne potakiwanie głową. Matka Maksa, Annabelle, której nie widziała od lat, zawsze trochę ją onieśmiała. Państwo Yorke byli tacy olśniewający! On był wschodzącą gwiazdą Partii Konserwatywnej, a ona słynęła z elegancji i wydawała niezwykle wytworne przyjęcia – choć mieli gospodynię, która była także doskonałą kucharką, co stanowiło niewątpliwą pomoc, jak mówiła Caroline. Archie, ojciec Lucy, choć nie skąpił pieniędzy na dom, krzywił się na myśl o gosposi na stałe, więc Caroline musiała się zadowolić sprzątaczką.

Otworzyła teraz drzwi samochodu i Lucy wysunęła dłoń z ręki Maksa.

– Zadzwoń – szepnął jej do ucha.

Kiedy nachyliła się, żeby wsiąść, przesunął ręką po jej pupie. Lucy szybko zamknęła drzwi. Gdy samochód ruszył, obejrzała się i zobaczyła, że matka Ruperta gestykuluje żywo, mówiąc coś do Annabelle i Maksa. Była ledwo widoczna z za jego olbrzymiego, włochatego kaftana i wyglądała, jakby mocowała się z niedźwiedziem. Natknęła się na ten kaftan, gdy z przerażeniem oglądała śmietnisko z pogniecionych kubków i paczek papierosów, jaskrawo oświetlone ostrym światłem. Podniosła go z podłogi i znalazła śpiącego pod nim błogo chłopca, tego samego, który przedtem wymiotował.

W drodze powrotnej Lucy kręciła się na siedzeniu, przepęlniona szczęściem. Max, myślała, Max, Max. Czowała się, jakby otrzymała pod choinkę prezent, o jakim zawsze marzyła. Zamknęła oczy i zobaczyła jego twarz, jego półprzymknięte namiętnie powieki, i przeszedł ją dreszcz.

– Zimno ci? – spytała Caroline. – Włączę ogrzewanie. Powinnaś była wziąć płaszcz, jest o wiele chłodniej, niżby się można spodziewać...

Lucy nie przerywała potoku słów matki, pogrążona w świecie fantazji. Są na plaży, pod plecami ma ciepły piasek, Max pochyla się nad nią i...

– Lucy! Pytałam, co sądzisz o Maksie. Muszę przyznać, że wydał mi się bardzo miły.

Gdybyś tylko wiedziała, pomyślała Lucy. I nagle przeszła ją straszna myśl, która ścieła ją lodem: a jeśli nie zadzwoni? Może zawsze czaruje dziewczyny na prywatkach, obiecuje, że zadzwoni i nie dzwoni? Może powinna była mu zapisać

swój numer; może nie będzie mu się chciało szukać w książce telefonicznej. Może z własnej winy straciła szansę. Może zobaczył jej pryszcz i go odrzuciło. Musi stracić trochę wagi i przestać jeść słodczyce. Obiecała sobie, że jeśli Max zadzwoni, nigdy więcej nie weźmie do ust żadnego batonika. Mając Maksa, nie potrzebuje czekolady.

Następnego dnia Lucy podskakiwała na dźwięk każdego telefonu. Rano nastąpił szereg najnudniejszych w świecie telefonów do matki, a kiedy zadzwoniła jej przyjaciółka, Jo, myślała tylko o tym, jak ją spławić. W końcu powiedziała, że oddzwoni, tak bardzo zależało jej, żeby nie blokować linii. W porze lunchu była już kupką nieszczęścia i zaofiarowała się wziąć Bena na spacer. Kiedy pies zaczął się głupio cieszyć na widok smyczy, zadzwonił telefon.

– Halo? – powiedziała Lucy apatycznie, przygotowana na głos jeszcze jednej przyjaciółki matki, chcącej umówić się na brydza.

– Lucy?

Zdała sobie nagle sprawę, że słyszy głośnie bicie. To biło jej serce. Ręka zwilgotniała jej od potu i musiała uważać, żeby nie upuścić słuchawki.

– Tak? – powiedziała, pilnując się, żeby nie powiedzieć: „Max”.

– Tu Max. Jak się masz? Miałem rano strasznego kaca. To przez ten przekłety poncz. Jedyna pociecha, że ten dupek, Rupert, musi się czuć jeszcze gorzej. Widziałaś, jak się przewrócił?

Lucy roześmiała się, przypominając sobie Ruperta, który runął nagle jak długi, jakby go ktoś zdzielił pałką w głowę.

– Pójdiesz ze mną wieczorem na drinka?

Lucy zmusiła się, żeby udąć wahanie. Potem powiedziała niedbale: – OK.

– Świetnie. Przyjadę po ciebie o ósmej. Pamiętam, gdzie mieszkasz.

– Dobrze. – Nastąpiła długa pauza. – To cześć.

– Cześć.

Nadal słyszała jego oddech po drugiej stronie.

– Cześć – powtórzyła. Nie miała ochoty odkładać słuchawki.

– Cześć – powiedział. – Moglibyśmy zostać przy telefonie do wieczora, ale mój stary nie byłby chyba tym zachwycony.

– Jasne – spieszyła się Lucy i czym prędzej odłożyła słuchawkę.

Oparła się o ścianę, oddychając ciężko. Zadzwonił. Zadzwonił i przyjeżdża po nią dzisiaj wieczorem. O Boże. W co się ubrać? Pobiegła na górę. Nie miała co na siebie włożyć. W pół godziny cała zawartość jej szafy znalazła się na podłodze

sypialni.

– Mamo – powiedziała Helen, przechodząc obok jej drzwi. Chyba było włamanie. Albo grasował tu włamywacz, albo Lucy ma randkę.

Kiedy zadzwonił dzwonek i rozległo się ujadanie Bena, który zawsze skakał na drzwi, a potem rzucał się na przybysza całym ciężarem, Caroline pobiegła podmalować usta, a Lucy, trzymając Bena za obrozę, uchyliła drzwi.

– Pies – syknęła. – Uważaj.

– Nie ma problemu – uśmiechnął się Max. – My mamy labradora, ale jest już za stary na takie numery.

Lucy otworzyła drzwi i Ben skoczył mu na pierś. Max chwycił go za przednie łapy, a pies radośnie polizał go na powitanie po twarzy. Max roześmiał się. Większość ludzi skrzywiłaby się z obrzydzeniem i sięgnęła po chusteczkę, pomyślała Lucy, a on tylko otarł się niedbale i odepchnął Bena, który przywarł mu do nóg.

O ile to możliwe, wyglądał jeszcze przystojniej niż zeszłej nocy. Tym razem nie miał na sobie skóry jaka, co Lucy przyjęła z ulgą, bo jej ojciec i afgańskie kaftany jakoś do siebie nie pasowali. Był ubrany w niebieską dżinsową koszulę, której kolor idealnie podkreślał jego opaleniznę, i kremowe płócienne spodnie. Na gołych nogach miał nieco podniszczone brązowe sandały. Jakimś cudem wyglądał zarazem niedbale – jakby nie przykładał wagi do stroju – i olśniewająco. Lucy bała się na niego spojrzeć, żeby się nie zaczerwieniła.

– Wyjdziemy od razu? – zaproponowała, aby nie dopuścić do krępującego spotkania z rodzicami.

– Lepiej wejdę i przywitam się z twoimi starymi – odparł.

Lucy poczuła ruch za plecami, matka odsunęła ją za łokieć i zanim się obejrzała, całowała Maksa w oba policzki z okrzykiem:

– Max, jak miło! Chodź, przywitaj się z ojcem Lucy. Na pewno cię pamięta.

Caroline uśmiechała się, przekrzywiając kokieteryjnie głowę. Dajcie mi torebkę na wymioty, pomyślała Lucy. Czy matka nie mogłaby być trochę bardziej dystygowana?

Max bez oporu wszedł do dużego salonu, którego okna wychodziły na wypielegnowany trawnik. Archie nalewał sobie właśnie wieczorną szklaneczkę dżinu z tonikiem i obejrzał się z irytacją, słysząc nieproszonego gościa.

– Archie, kochanie, to jest Max. Pamiętasz Maksa Yorke’a?

Syna George’a i Annabelle?

Lucy już widziała, jak ojciec chłodnym spojrzeniem mierzy Maksa od stóp do głów. Odnosił się podejrzliwie do wszystkich młodych ludzi, bo aż za dobrze pamiętał, jaki sam był w ich wieku. Ale ten chłopak sprawiał niezłe wrażenie. W każdym razie wyglądał na pewnego siebie.

– Max – powiedział, witając się z nim uściskiem dłoni. – Dobrze znam twojego ojca. Doskonale gra w golfa, choć zapewne nie ma teraz na to czasu. Napijesz się czegoś?

– Bardzo chętnie, sir – powiedział Max.

Sir? Tytułuje ojca „sir”? Lucy spojrzała na niego spod oka. Kpi sobie? Nie, na jego szczerej twarzy nie było śladu ironii – Max starał się po prostu być uprzejmy.

– Piękny wieczór – powiedział Archie. – Może oprowadzę cię po naszym ogrodzie?

O Boże, pomyślała Lucy, patrząc błagalnie na matkę. Każe Maksowi podziwiać swoje pomidory. Nawet Max nie może być szczególnie zainteresowany grządką pomidorów. Matka zrozumiała jej spojrzenie i wtrąciła:

– Archie, daj spokój, młodzi na pewno woleliby już wyjść.

– Nonsens – powiedział ojciec Lucy. – Chodź, chłopcze.

Przez dwadzieścia minut Max, z Benem u nogi, przemierzał posłusznie ogród i zwiedzał cieplarnię, a Lucy z matką patrzyły zdumione na rosnącą komitywę obu mężczyzn. Archie rzadko okazywał komuś sympatię przy pierwszym spotkaniu i Caroline z córkami podejrzewały skrycie, że najchętniej otoczyłby dom fosą, podniósł most zwodzony i wpuszczał tylko dobrych znajomych, a całą resztę odstraszał wrzącym olejem.

Zanim wrócili, Max musiał naogładać się pomidorów na całe życie, ale nadal dzielnie się trzymał.

– Doskonale – dobiegł Lucy głos ojca, gdy zbliżali się ścieżką. – A więc umówimy się na partyjkę?

– Na partyjkę? – spytała Lucy, nie mogąc się już doczekać, żeby zagarnąć Maksa dla siebie.

– Golfa – wyjaśnił Max. – Nie wiedziałem, że twój ojciec jest członkiem Royal Cotswold.

Kiedy wsiedli wreszcie do jego samochodu, powiedział z entuzjazmem:

– Twój rodzice są cudowni!

– Tak, niewątpliwie – przytaknęła cierpko, myśląc: A ja?

Max ruszył szybko i pewnie, a kiedy dom zniknął im z oczu, zatrzymał się i dodał:

– Ale nie tak cudowni jak ty. Wyglądasz fantastycznie.

Zaciągnął hamulec i odwrócił się do niej. Dotknął jej twarzy.

Lucy poczuła, że puls bije jej jak oszalały, a całe ciało wibruje jak napięta struna.

– Chodź tutaj, ty cudowna istoto – powiedział Max.

Lucy, której nikt dotąd nie nazwał cudowną istotą, była zahipnotyzowana. Przyciągnął ją do siebie – pisnęła przy zderzeniu z hamulcem ręcznym – i obdarzył długim, gorącym pocałunkiem.

– Tak się cieszę, że poszedłem na tę prywatkę – powiedział.

Szczyście Lucy byłoby pełne, gdyby jej pleciony pierścionek nie zaplątał się w jego włosy.

– Możesz mnie już puścić – powiedział Max ze śmiechem, starając się odsunąć po pocałunku.

– Nie mogę – odparła Lucy. – Mam uwięzioną rękę.

Rozdział 3

Dwieście mil dalej Rob Atkinson wracał na rowerze do domu, po wieczornej rundzie rozwożenia gazet. Robił to dwa razy dziennie, co było zajęciem nużącym, ale stosunkowo niezłe płatnym, nie mówiąc o tym, że mógł się do woli najeść ulęgałek. Zamykając za sobą cicho drzwi, usłyszał głos matki:

– Czy to ty, Rob? Chodź i zjedz kolację, zanim wystygnie.

– Nie! – odkrzyknął. – To mleczarz.

– Jesteś nieznośny. – Opasana fartuchem matka ukazała się w drzwiach. – Nie dasz sobie nic powiedzieć, co? – dodała, patrząc na jego sweter. – Gdzie masz nową kurtkę? Zaziębisz się. Chodź, tato już usiadł do stołu. I zdejmij buty.

Rob posłusznie ściągnął zabłocone adidas. Matka była głęboko przeciwna tej formie obuwia i doprowadzała go do szału, nazywając je trampkami. Jego ojciec, kiedy je po raz pierwszy zobaczył, wybuchnął śmiechem.

– Po co ci takie buty? Co masz zamiar trenować? Dłuższe leżenie w łóżku? Robienie większego bałaganu w pokoju?

Ojciec zawsze w ten sposób żartował i pokpiwał z niego. Kiedy Rob był mały i oglądał w telewizji jakiś film o duchach, ulubionym kawałem ojca było gaszenie wszystkich świateł i pukanie od zewnątrz w szybę.

We frontowym pokoju paliło się w kominku, a babcia Roba siedziała w fotelu jak najbliżej ognia, przeglądając kolorowe pismo z programem telewizyjnym.

– Nie jesz z nami, babciu? – spytał Rob, bardzo głośno.

– Zjadłam wcześniej trochę ciasta – odpowiedziała. – Nie jestem głodna. – I kładąc rękę na brzuchu, dodała: – Gniecie mnie w żołądku.

– Wychodzisz gdzieś dzisiaj pohulać, babciu? Na dyskotekę albo na wrestling?

– Co on mówi? – Staruszka skierowała pytający wzrok na matkę Roba, która wniosła tacę z parującą wazą.

– Nie zwracaj na niego uwagi. Wyglupia się.

– No, no... – Staruszka potrząsnęła głową i pogroziła Robowi. – Jesteś zupełnie jak twój ojciec.

Rob roześmiał się i wziął gazetę.

– Wygrałeś coś? – spytał, patrząc na wyniki totalizatora sportowego.

– Akurat.

– Rob, odłóż to – upomniała go matka. – Kolacja na stole. Gdzie się podziewa Claire?

– Zawołam ją – podskoczył Rob.

Nie miał wątpliwości, gdzie jest Claire. Wałkoni się na łóżku, słuchając tych beznadziejnych Bay City Rollers. On sam kupił właśnie za ciężko zarobione pieniądze swoją pierwszą gitarę elektryczną i słuchał prawdziwych muzyków, jak Black Sabbath i Led Zeppelin. Próbował teraz przekonać matkę, żeby go puściła na koncert Whitesnake, który występował w St George's Hall w Blackburn, lecz ona twierdziła, że będzie tam pełno chuliganów, i nie chciała, by wracał ostatnim autobusem, chociaż mieszkali tylko o kwadrans od Blackburn.

Kiedy był młodszy, Rob bardzo się buntował przeciwko nadopiekuńczości matki, ale teraz zrozumiał, że to tylko dowód, jak bardzo go kocha. Matki jego kolegów nie wiedziały i nie dbały, co oni robią i gdzie są – zwykle kręcili się przy smażalni frytek na końcu ulicy, rozbijali się na rowerach, albo popalali podkradzione papierosy. A ostatnio, ku jego irytacji, mówili w kółko o tym, jak by tu się dostać do jedyne klubu nocnego w Blackburn i popodrywać dziewczyny. Dziewczyny, zdaniem Roba, były niemądre i niewarte zachodu; chodziły za nim na przykład po szkole, mówiąc różne głupoty, takie jak: „Podobasz się mojej przyjaciółce, Suzanne, czy chciałbyś z nią chodzić?”, na co można było je tylko zdruzgotać spojrzeniem. Opowiadały też takie głodne kawałki, jak: „Wyglądasz zupełnie jak David Essex, naprawdę”.

Nie, z dziewczynami jest tylko kłopot i do tego trzeba ponosić dodatkowe wydatki. Nie tylko na bilety do kina, ale i chipsy potem. A Rob zbierał teraz na motocykl, do czego nie przyznał się mamie, bo wpadłaby w panikę.

Większość czasu spędzał nad książkami. Był lubiany i miał duże grono przyjaciół, ale w przeciwieństwie do wielu kolegów – którzy i tak spodziewali się, że wylądują na zasiłku dla bezrobotnych, bo przemysł w mieście upadał – miał ambicję studiować na uniwersytecie. Ojciec chciał, żeby prosto po szkole poszedł pracować do gazety; w końcu był kierownikiem drukarni i na początek mógł załatwić mu posadę choćby gońca w redakcji, a taki bystry chłopak jak jego syn już by sobie później poradził. Rob dorastał w oparach roztopionego ołowiu – największą przyjemność sprawiały mu odwiedziny u ojca w pracy i obserwowanie z wysokiego stołka, co się dzieje w nagrzaney, buchającej dymem zecerni. A już najbardziej lubił patrzeć na maszynę drukarską. Fascynował go widok gorących form zakładanych na potężne cylindry i pędząca wstęga papieru z jutrzejszymi wiadomościami, dostępnymi dzisiaj. Zawsze chciał być dziennikarzem, bo ojciec mówił, że tam się zarabia prawdziwe pieniądze.

Jak się spodziewał, Claire leżała na łóżku, słuchając na cały regulator Rollersów.

– Kolacja! – wrzasnął. – Chodź, mama się wścieka.

Po kolacji ojciec odchylił się w krzesło i wytarł usta chusteczką.

– Wszystko było bardzo smaczne – oświadczył.

Matka uśmiechnęła się. Wiedziała, co teraz nastąpi.

– Wychodzę się przejść. – Wstał i gwizdnął na psa, który wynurzył się spod kanapy. – Idziesz, Rob?

– Nie, dzięki, tato. Muszę odrobić lekcje.

– Ty i te twoje książki. Zupełnie jakby człowiek mieszkał z Einsteinem. Claire?

– Muszę umyć włosy – powiedziała, uśmiechając się. To należało do codziennego rytuału.

– Wobec tego pójdę sam. – Ojciec z westchnieniem sięgnął po kurtkę i wyszedł do pubu.

Po odrobieniu lekcji Rob poszedł się przewietrzyć. Na tyłach szeregu bliźniaczych domków, z których ich był ostatni i nieco większy od pozostałych, co pozwalało Robowi pokpiwać, że stoją o szczebel wyżej od sąsiadów, znajdowała się duża sadzawka. W nocy to rozlewisko wody miało w sobie coś niesamowitego. Było takie gładkie, takie nieprzeniknione. Zeszłego lata utopiło się tu dziecko i od tej pory wszędzie stały znaki ostrzegawcze. Rob przystanął na ścieżce, która biegła wokół wody. i puścił w czerń parę kaczek z płaskich kamyków. W lesie na drugim brzegu zahukała sowa. Usłyszał za sobą kroki i odwrócił się bez niepokoju. To była mama, owinięta w ciepły, zimowy płaszcz.

– Wiedziałam, że cię tutaj znajdę. Zrobiło się trochę chłodno, co?

– Nie jest mi zimno. Tata już wrócił?

– Akurat! – powiedziała.

Rob roześmiał się. Mama nigdy nie zabraniała ojcu wychodzić wieczorem do pubu, jak matki niektórych kolegów – twierdziła, że ciężko pracuje i należy mu się trochę przyjemności. Fajna była para z tych jego staruszków. Potrafili siedzieć przy telewizji, trzymając się za ręce, i ciągle ze sobą rozmawiali w lekki, trochę kpiący sposób, jak żadni inni rodzice, których znał. Ale jego mama była mądra, jak twierdził ojciec. Najmądrzejsza z całej rodziny. Pracowała jako sekretarka w miejscowej podstawówce i, zdaniem taty, miała głowę do liczb. Była w niej też żelazna determinacja, że jej dzieci muszą, jak mówiła, „coś w życiu osiągnąć”.

- Mamo? – odezwał się nagle Rob. – Czy jesteś szczęśliwa?
- Szczęśliwa? – powtórzyła. – Co za pytanie. – Pomyślała przez chwilę. – Tak
- powiedziała. – Jestem szczęśliwa. Czemu pytasz?
- Byłem ciekaw.
- Dziwny z siebie chłopak. Chodź, czas wracać. Zimno jak w psiarni.
- Objęła go i poszli razem w stronę domu.

Rozdział 4

Lucy, leżąc na łące za domem z głową na piersi Maksa i patrząc na wieczorne niebo prześwitujące przez liście starego jawora, czuła się absolutnie szczęśliwa. Max, oparty na łokciu, palił papierosa i wydmuchiwał kółeczka, które jak sygnały dymne unosiły się w górę i rozpląwały na tle ledwo widocznego księżyca. Jasne włosy Lucy opadały na jego niebieską flanelową koszulę, a palce lewej ręki dziewczyny bawiły się od niechcienia jej szylkretowymi guzikami.

– Max... – Lucy przewróciła się na brzuch i oparła podbródek na splecionych palcach.

– Co? – spytał leniwie, pstrykając w powietrze żarzącym się niedopałkiem, który szerokim łukiem wylądował na środku pola.

– Nie powinienesz tak robić, możesz wywołać pożar – zwróciła mu uwagę. – O czym myślisz?

Max, który nie myślał o niczym oprócz tego, że drętwieje mu ręka, uśmiechnął się pod nosem. Dlaczego kobiety zawsze chcą wiedzieć, o czym się myśli?

– O tobie – skłamał. Położył się koło niej, twarzą przy jej twarzy. – Myślę o tym, jak bardzo chciałbym się z tobą kochać.

Przez całe to czekanie niedługo zwariuję. – Zrobił żalostną minę.

Lucy przyjrzała mu się spod oka. Mówił o tym od roku, jakby skazywała go na fizyczne cierpienie przez to, że nie chce z nim spać. Ale on nie musiał się o nic martwić ani wchodzić ukradkiem z twarzą jak burak do Poradni Świadomego Macierzyństwa, żeby spróbować dostać pigułki antykoncepcyjne. A potem szmuglować je do domu jak tykającą bombę zegarową. Gdyby jej matka odkryła, że bierze pigułkę, nie pozwoliłaby jej spotykać się z Maksem, bez względu na to, jak jest miły. Córka na pigułce byłaby towarzysko równoznaczna z osobą zarażoną trędem.

– Chciałabyś pojechać do Devon?

– Co?

– Do naszego domu. Jedziemy w przyszłym tygodniu, całą rodziną. Mama już tam jest, wietrzy pokoje i tak dalej. Zgódź się – powiedział prosząco, przewracając się na plecy. – Będziemy się świetnie bawić. Polubisz tam wszystkich, mamy naprawdę zgraną paczkę.

– Czy twoi rodzice na pewno tam będą?

– Oczywiście. – Max połaskotał japo nosie źdźbłem trawy. – A co? Myślisz, że

chcę cię zwabić i wykorzystać?

– Tak – odparła Lucy.

Max roześmiał się.

– Spróbować nie zawadzi. Ale serio, jedź z nami. Prawdę mówiąc, to propozycja mojej mamy.

Warto ją namówić, mówił sobie, odwożąc Lucy do domu. Co prawda, spotykał się tam przedtem z pewną dziewczyną, ale jakoś to załatwi. Rodzice ciągle gdzieś wychodzili i był pewien, że Lucy w końcu się podda. A jeśli nie, będzie musiał ją rzucić. W końcu jak długo mężczyzna może czekać.

Lucy, w nowych rurkowych džinsach, obcisłym białym sweterku z krótkimi rękawami i w okularach słonecznych na czubku głowy, czuła się niesłychanie ekskluzywnie, kiedy pędzili szosą do Devon przy wtórze ogłuszającej muzyki The Doors. To, że Max lubił The Doors, niewątpliwie świadczyło o jego wyrafinowanym guście. W jej szkole nikt nawet o nich nie słyszał i chociaż Jim Morrison trochę pojękiwał, był absolutnie cudowny.

Szkoda, że już nie żyje. Zapaliła dwa papierosy i jednego podała Maksowi. Max prowadził zjedną ręką na kierownicy, a drugą na jej udzie. Patrzyła na niego z ukosa. Próbowwała kiedyś naszkicować jego profil na tylnej okładce brudnopisu, ale trudno było odtworzyć ten orli nos, gęste włosy nad czołem, wyraziste brązowe oczy, pełne, niemal dziewczęce usta i dołeczek w podbródku. Lubiła obserwować go ukradkiem i była świadoma, jak reagowały na niego inne dziewczęta – kiedy wchodził do pubu, niemal wszystkie odprowadzały go wzrokiem. O czym – oczywiście – doskonale wiedział. Lubiła też sposób, w jaki się poruszał, jego lekki, niedbały krok, który miał w sobie coś z tańca.

– Na pewno będziemy mieć niejedną okazję, żeby zostać sami – odezwał się, a Lucy poczuła gęsią skórę.

Jeśli okaże się beznadziejna w łóżku? Co druga dziewczyna z jej klasy się w nim kochała i Lucy zabroniła mu przyjeżdżać, bo niektóre były o niebo atrakcyjniejsze od niej. Dzień w dzień otwierała jedyną gazetę, która przychodziła do internatu, i czytała jego horoskop, najpierw sobie, potem reszcie koleżanek z klasy, które dostawały palpacji i omdlewały.

Kiedy dojeżdżali na miejsce, Lucy przysypiała po długiej podróży krętymi, wąskimi drogami, na których mieścił się tylko jeden samochód. Max kłął siarczyście przy mijaniu aut jadących z naprzeciwka z deskami surfingowymi na dachach, wielkimi bagażnikami pełnymi koców i parawanów plażowych, i dziećmi

śpiącymi na tylnych siedzeniach. Wyrwała ją z drzemki cisza po wyłączeniu stereo, kiedy stanęli.

Reflektory samochodu oświetlały biały, podniszczony front domu. Max zaprowadził ją na tył, gdzie dostrzegła w oddali krętą linię plaży usianą kadłubami przewróconych łódek. Przed domem był drewniany taras z dwoma fotelami bujanymi i ławką na łańcuchach. Mokre ręczniki rozwieszane na barierce trzepotały na wieczornym wietrze, deska surfingowa młodszego brata Maksa. Henry'ego, stała oparta o stopnie schodów obok innych wakacyjnych akcesoriów: starego kija do krykieta, fajki do nurkowania, nowej pary nart wodnych. Przez otwarte drzwi werandy napływały dźwięki muzyki klasycznej. Max objął Lucy ramieniem i wprowadził ją do środka.

Annabelle, w granatowym swetrze, beżowych szortach i boso. z ciemnymi włosami założonymi za jedno ucho, kroїła sałateę na dużym drewnianym stole kuchennym. Na ich widok odłożyła nóż.

– Witajcie, kochani!

Uściskała serdecznie Maksa i ucałowała Lucy, która się trochę speszyła – jej rodzina nie była taka wylewna.

– Młodzież wreszcie dotarła? – spytał ojciec Maksa, George, wchodząc z drinkiem do kuchni. Podobnie jak Annabelle, był już mocno opalony. – Napijecie się czegoś? – potrząsnął zachęcająco szklanką.

– Tak, proszę – odpowiedziała Lucy, wciągając w nozdrza zapach mokrych ręczników i morza, zmieszany z polędwicą duszoną w winie, bulgocącą w dużym rondlu na piecyku.

Po rozpakowaniu samochodu Lucy i Max zasiedli na werandzie, każde z dużym kieliszkiem schłodzonego sauvignon w ręce. Po drugiej stronie zatoki migotały światła najbliższego miasta, odbijając się długimi refleksami w kołyszącej się kojąco ciemnej wodzie. Twarz Lucy owiał ciepły, letni wiatr; z ulgą zrzuciła z otartych nóg nowe klapki. Max miał na sobie stare, przeżarte solą sandały; jego nogi były już zabrązowane, a kępki włosów na dużych palcach wyblakłe od słońca. Huścili się na podwieszanej na łańcuchach ławce; Max przygarnął ją ramieniem, a ona objęła go w pasie, trzymając rękę na jego koszulce w biało-granatowe paski. Pochylił się i zaczął ją całować.

– Przepraszam, że przeszkadzam. – George, zupełnie niespeszony, stanął w drzwiach, odcinając się potężną sylwetką na tle światła bijącego z kuchni. – Chcecie jutro pojechać motorówką?

Stoi na wodzie.

Lucy, zadowolona, że nie widać w ciemności jej purpurowej twarzy, podążyła wzrokiem we wskazanym kierunku i dostrzegła na brzegu zarys łódki przykrytej płachtą. Max opowiadał jej o tej motorówce jeszcze w samochodzie, podniecony swoją i ojca nową zabawką.

Tej nocy spała smacznie w szerokim dębowym łożu, na pościeli ze stuprocentowej bawełny, pod kołdrą z gęsiego pierza. Annabelle dała jej pokój naprzeciwko sypialni Maksa, co Lucy uznała po trosze za kuszenie losu. Sypialnia George'a i Annabelle była na końcu korytarza. Goła podłoga z desek skrzypiała alarmująco, kiedy Lucy wstała w nocy do łazienki. Zarzuciła na siebie duży sweter, który pożyczyła od ojca; nie śmiała wyjść w samej koszuli nocnej z obawy, że spotka George'a i spali się ze wstydu. Obaj panowie popijali jeszcze na tarasie, kiedy szła spać. a gdy pochyliła się, żeby pocałować Maksa na dobranoc, ten szepnął: „Do zobaczenia później”. Przez pół godziny leżała, patrząc na kłamkę, która jednak ani drgnęła. Jedyne dźwięki, jakie słyszała w nocy, to chrobot psich pazurów na drewnianej posadzce – wiekowy, czarny labrador, William, uprawiał nocne wędrówki po domu.

Gdy zeszła rano do kuchni, powitał ją zapach kawy i smażonego bekonu. Annabelle, jak się Lucy wkrótce przekonała, zawsze wstawiała pierwsza, żeby przygotować śniadanie „dla chłopców”: tak nazywała Maksa, Henry'ego i George'a. Dla Lucy przebywanie w domu pełnym mężczyzn było miłą odmianą; podejrzewała, że Annabelle zaprosiła ją głównie dlatego, żeby mieć jakieś damskie towarzystwo. Annabelle, która na co dzień nie gotowała, z przyjemnością bawiła się teraz w panią domu, choć nie posuwała się do sprzątanania – od tego miała kobietę, która podczas wakacji przychodziła sprzątać i prac, a przez resztę roku opiekowała się domem. Annabelle miała szczęśliwą rękę do wynajdywania „prawdziwych skarbów”.

Lucy i Annabelle bardzo szybko nawiązały kontakt. Annabelle zabierała ją do drogich sklepów do Salcombe, kupowała jej stroje żeglarskie i apaszki, a nawet sprawiła jej żółty sztormiak, bo dżinsowa kurteczka Lucy nie była najodpowiedniejszym strojem na morskie wyprawy. Max nie posiadał się z zachwyty, że obie tak świetnie się dogadują, i przez cały pierwszy tydzień Lucy czuła, że nieustannie rośnie w jego oczach. Pasowała do rodziny jak sześcianik w kostce Rubika.

Drugiego tygodnia pobytu, po szampańskim wieczorze w klubie jachtowym,

późną nocą wyszli z przystani i nieco chwiejnie wspięli się po skarpie do domu. W uszach wciąż dudniła im muzyka dyskotekowa, a nogi plątały się od nadmiaru piwa.

– Zaparzę herbatę – zaofiarowała się Lucy.

– Nie trzeba.

Max stanął tuż za nią; odłożyła pokrywkę czajnika i odwróciła się do niego, przyparta do kuchenki. Usta Maksa smakowały francuskimi papierosami i piwem, skóra pachniała Ambre Solaire i morskim powietrzem.

– Kocham cię, wiesz – powiedział.

Bez słowa wziął ją za rękę i wyprowadził na werandę. Usiedli na skrzypiącej huśtawce i całowali się. Po chwili Lucy próbowała wstać.

– Lepiej już chodźmy...

– Ciii... – Głos Maksa był zduszony, a twarz rozpalona. Przyciągnął ją bliżej, mimo że się opierała. – Zostańmy dziś razem szepnął z ustami przy jej szyi.

– To niemożliwe... Twoi rodzice... Henry...

– Od dawna śpią.

Lucy najchętniej by się sprzeciwiła. Drętwiała ze wstydu na myśl, że Max zobaczy ją nago, czuła nieznośne skrepowanie, że ona też go tak zobaczy, a już najbardziej bała się, że jego rodzice się obudzą. Ale jak długo mogła mu odmawiać? Max nie był typem chłopca, który czekałby w nieskończoność – dziewczyny ustawiały się do niego w kolejce. Choćby tego wieczoru niejaka Camilla, niech ją szlag, bez żenady próbowała go podrywać, kiedy Lucy wyszła do toalety. Trzymała rękę na jego udzie i oboje podskoczyli zażenowani, gdy wróciła z powrotem do stolika. Lucy nic nie powiedziała, ale miała poważne wątpliwości, czy Max umiałby pozostać wierny. Zwłaszcza jeśli nie będzie chciała z nim spać.

– OK.

Kiedy zaczęli się skradać po schodach, spleceni palcami za ręce, podbiegł do nich radośnie William, szorując głośno pazurami po podłodze.

– Ciii – próbował go uciszyć Max, kiedy pies zaczął walić ogonem o solidne, dębowe słupki w balustradzie. – Spać! – nakazał mu stanowczo.

William wyszczerzył zęby i zaczął entuzjastycznie podskakiwać, nie bacząc na swój artretyzm i podeszły wiek. Lucy zachichotała.

– Idź na górę! – syknął do niej Max, próbując jednocześnie zaciągnąć Williama z powrotem do jego koszyka.

Pies zapał się przednimi łapami i usiadł. Trafiła mu się w nocy wspaniała gratka i nie zamierzał tak szybko rezygnować z towarzystwa. Max ciągnął go

zadkiem po podłodze w kierunku kuchni, a pies gwałtownie kręcił łbem, starając się uwolnić z obroży. W końcu Max zmienił strategię i zaszedł go od tyłu, po czym zaczął pchać go przed sobą jak wózek. William zaskowyczał w proteście.

Lucy weszła na palcach po schodach do swojego pokoju. Była zdrętwiała z przerażenia, ale czuła też dziwne uniesienie. Może nareszcie „to zrobi”. W łazience stanęła nago przed lustrem. Ciemna opalenizna ramion silnie kontrastowała z białą piersi, a biała litera V poniżej powieliała krój jej majtek od bikini. Wciągnęła brzuch. Zobaczyła swoje żebra. Twarz nie wyglądała najlepiej – była zaczerwieniona z nadmiaru alkoholu i rozmazał się tusz do rzęs. Lucy spryskała się zimną wodą i podmalowała oczy. Szybko umyła zęby, owinęła się ręcznikiem i, niosąc w ręku ubranie, przemknęła korytarzem do swojego pokoju.

Max leżał w jej łóżku. Z dołu dochodziło przeraźliwe skomlenie zamkniętego w kuchni Williama, który drapał pazurami w drzwi.

– Przekłęty kundel – mruknął Max z uśmiechem.

Jego barki odcinały się głębokim brązem od białej pościeli. Nie wydawał się w najmniejszym stopniu skrępowany, gdy tymczasem Lucy nie bardzo wiedziała, co z sobą zrobić – głupio jej było zrzucić ręcznik, jak jakaś bezwstydną lafirynda, a jeszcze głupiej wchodzić z nim do łóżka. Cholera. Etykieta bzykania.

W końcu błyskawicznie odrzuciła ręcznik i natychmiast wśliznęła się pod kołdrę.

– Chwileczkę – powiedział Max. – Chcę na ciebie popatrzeć.

Odsunął delikatnie pościel z jej drżącego ciała. Pomimo ciepłego powietrza, napływającego przez otwarte okno, Lucy poczuła gęsią skórę. Była pewna, że nie chce tego robić. To były rzeczy zarezerwowane dla dorosłych, jak kredyt hipoteczny, konto w banku i posiadanie własnej pralki. Coś na przyszłość, nie na chwilę obecną.

– Jesteś piękna – powiedział Max, patrząc na nią z zachwytem.

Lucy spróbowała się uśmiechnąć, ale wargi przykleiły się jej do zębów. Max przysunął się do niej; jego skóra była ciepła, przesycona słońcem, Lucy poczuła, że pulsowanie krwi rozsadza jej żyły, nerwy są napięte jak postronki, a Max przyciąga ją jak magnes. Pogładził jej włosy i zajrzał w oczy. Patrzyli na siebie, zdumieni gwałtownością swoich uczuć. Opuścił głowę na jej ramię. Wezglowie starego łóżka zaczęło rytmicznie walić w ścianę, kiedy Max poczynił próbę, żeby się z nią kochać.

– Cholera – zaklął pod nosem i wstał.

Podłoga zaskrzypiała i po chwili Max wrócił. Kiedy znów zaczął, stukanie

ucichło.

– Co zrobiłeś? – spytała szeptem.

– Podłożyłem ręcznik – odszepnął.

Nagle, pod wpływem ostrego bólu, omal nie usiadła. – Au! – syknęła.

– Wszystko w porządku – uspokoił ją Max. – Zrelaksuj się.

Starła się zrelaksować, ale jej uda same się zaciskały. Ta pozycja była taka odarta z godności, jakby była żabą rozłożoną na stole do wiwisekcji...

Ból powoli ustał. Lucy nie była może u szczytu ekstazy, ale Max poruszał się delikatnie, i kiedy zamknęła oczy, zaczęła pograżać się w ciemnym świecie, gdzie nie istniało nic oprócz ich ruchu i zapachu jego skóry.

Głośne wycie sprowadziło ich znienacka na ziemię. Max znieruchomiał.

– Co do ciężkiej...

Rozległ się potężny łomot. Dochodził z kuchni. Max i Lucy zamarli na dźwięk drzwi otwieranych w sypialni rodziców.

– Max? Czy to ty?

Głos Annabelle wypełnił korytarz. Lucy z przerażeniem wstrzymała oddech. Max, zastygły nad nią, z niedowierzaniem patrzył na uchylające się drzwi jej pokoju. Był pewien, że zamknął je mocno na klamkę.

Szczelina poszerzyła się, wychodząc prosto na sypialnię jego rodziców. Nie było sposobu, żeby Max mógł zejść teraz niezauważenie z łóżka, a gdy tylko Annabelle podejdzie bliżej, musi, chcąc nie chcąc, złapać ich in flagranti. Co gorsza, księżyc wyszedł właśnie zza chmur i oświetlał jasną poświatą cały pokój.

– Ja pójde – dobiegł ich zaspany głos George'a i Annabelle wróciła do sypialni, mówiąc: – Strasznie długo nie wracają. Może powinniśmy...

Usłyszeli zbliżające się kroki George'a, Max przylgnął do Lucy i leżeli wtuleni, trzęsąc się jak liście osiki. Lucy nie śmiała otworzyć oczu. Czekwała na dźwięk otwieranych szerzej drzwi.

Tymczasem George zatrzymał się i stanowczym, szybkim ruchem je zamknął. Patrzyli na siebie oniemiało, gdy schodził ciężko po schodach, mrucząc ze złością: „Przeklęty pies”. Potem dobiegł ich odgłos klapsa i skowyt. George wrócił na górę.

– Pies zrzucił talerze ze stołu – poinformował żonę. – Powinniśmy byli posprzątać po kolacji.

– Max i Lucy już są?

– Ani śladu – powiedział George.

Drzwi sypialni trzasnęły i usłyszeli skrzypienie łóżka, kiedy kładł się z powrotem.

Nazajutrz rano William był mocno obrażony. Demonstracyjnie przycupnął w kącie na obolałym siedzeniu i kładł uszy po sobie, ilekroć George znalazł się w pobliżu. Zbite talerze zostały zmiecione i wyrzucone, a Annabelle dostało się niewdzięczne zadanie posprzątania śladów jego niestrawności po objedzeniu się sosem Bearnaise.

Leżąc w nocy obok Maksa i słuchając jego spokojnego oddechu, Lucy długo nie mogła zasnąć. Kiedy wolno – i bardzo, bardzo cicho, jak myszy pod miotłą – znów zaczęli się kochać, Max robił to niespiesznie i z większą czułością. Lucy zaczęła czuć coś na kształt przyjemności. Nie była to może pełna symfonia rozkoszy, ale sekcja smyczkowa. Max zapadł później natychmiast w sen, a ona leżała i patrzyła na jego twarz, piegi na nosie, rzęsy na policzku i zarys ust. Nigdy dotąd nie spała z nikim w jednym łóżku i była to dla niej podniecająca nowość. W końcu zapadła w drzemkę i obudziło ją zdrętwiałe ramię. Popatrzyła na zegarek – była piąta rano.

– Max – szepnęła, szturchając go – lepiej już idź.

Obudził się z trudem, zamrugał i uśmiechnął sennie.

– Jeszcze nie – sprzeciwił się i dodał słowami Szekspira z *Romeo i Julii*: – „Jeszcze ranek nie tak bliski, słowik to, a nie skowronek się zrywa...”

– Och, przestań chrzanić! – powiedziała ze śmiechem. – Musisz już iść. Pośpiesz się!

Max z ociąganiem zwlókł się z łóżka. Światło brzasku oświetliło jego szerokie barki, kiedy schylił się, by włożyć spodnie. Lucy obserwowała go uważnie. Naprawdę był bardzo piękny. I w końcu nie było tak źle.

– Kocham cię – powiedział.

Drzwi otworzyły się cicho i zamknęły. Lucy pogładziła ręką ciepłe wgłębienie po jego ciele. I zasnęła.

Zeszła rano na śniadanie z poczuciem, że ma wypisane SEKS na czole. Bała się spojrzeć na Maksa i aż podskoczyła, kiedy George położył jej rękę na ramieniu.

– Dobrze spałaś? – spytał bez śladu ironii.

– Tak, dziękuję – pisnęła nieswoim głosem, odsunęła cichutko krzesło i wśliznęła się za stół krętym, węzowym ruchem.

Kiedy sięgała po dzbanek z kawą, jej ręka zderzyła się z ręką Maksa. Podniosła głowę i ich oczy się spotkały. Przez chwilę żadne z nich nie mogło oderwać wzroku. Patrzyli na siebie, jakby odkryli się na nowo, połączeni wspólnym sekretem. Annabelle, która pochylała się, żeby dołożyć Henry’emu plasterk

bekonu z patelni, pochwyciła ich spojrzenie. Dobry Boże, pomyślała, oni naprawdę się kochają. George, który również dostrzegł wyraz ich oczu, westchnął w duchu: Szczęściarz!

Rozdział 5

Ostatniego dnia wakacji pogoda się popsuła. Na niebie nad zatoką zgromadziły się chmury, a łódki podskakiwały na wzburzonym, stalowym morzu. Lucy wstała z ciężkim sercem, czując, że dzisiaj następuje koniec pewnej epoki. Czekają ją tyle zmian – matura, uniwersytet, Prawdziwe Życie. Z rodziną Maksa czuła się jak u Pana Boga za piecem. Wszyscy byli tacy mili, George zabierał ją na łódkę, Henry uczył jeździć na nartach wodnych, a Annabelle okazywała zachwyt, że może wydawać pieniądze na taką ładną dziewczynę – co, zdaniem Lucy, było jej misją życiową. Z zapalem szastała pieniędzmi na dom, na siebie, na chłopców – sypały się jej z rąk jak konfetti na weselu.

Annabelle chciała wyjechać wczesnym przedpołudniem, żeby uniknąć korków. Był to również koniec przedłużonego weekendu, co oznaczało tłok na drogach i kawalkady przeładowanych samochodów, z dziećmi siedzącymi na mokrych ręcznikach, matkami rozmyślającymi ponuro o stertach rzeczy do prania i ojcami w samobójczych nastrojach przed poniedziałkowym powrotem do pracy. Annabelle, jak zawsze doskonała organizatorka, układała wszystko od rana w porządne stosiki, a nawet oddzieliła wilgotne kostiumy kąpielowe i włożyła je do plastikowych torebek. William usiadł na złożonym ręczniku i machał ogonem w nadziei, że ktoś go zauważy i pogłaska. Nie cierpiał zmian, a ponadto przyzwyczał się już do zapachów tego domu i codziennych spacerów po plaży. Ponieważ wszyscy go ignorowali, poszedł do swojego koszyka pod stołem. Dopiero kiedy tam dotarł, zobaczył, że koszyk został spakowany. Zniechęcony, okrążył stół cztery razy i wreszcie położył się na twardej podłodze, wypuszczając z siebie powietrze jak przebita opona.

Lucy starała się być użyteczna, ale odkryła, że bardziej przeszkadza, niż pomaga. Spakowała już torbę, łącznie z szortami dżinsowymi, sztywnymi od słonej wody – w swoim czasie uznała, że zabawnie będzie w nich popływać – i żółtym bikini podniszczonym od codziennego noszenia. Przeglądając się w lustrze, pogratulowała sobie wyglądu – twarz miała opaloną na złoty brąz, a włosy niemal do białości rozjaśnione słońcem.

Max kręcił się w kółko, nie mając nic do roboty. Matka spakowała za niego wszystkie rzeczy, co Lucy uważała za sporą przesadę. Ale on nie potrafił nawet własnoręcznie nastawić wody w czajniku. Kiedy Lucy zaczęła sprzątać po śniadaniu – Max gapił się przez okno na morze, a George z irytującym szelestem

przerzucał strony gazety – Annabelle prędko wyjęła jej talerze z rąk.

– Henry jeszcze nie jadł – powiedziała. – Nie przejmuj się, zostaw to, kochanie.

Lucy zastanawiała się, czy nie powinna pójść i go obudzić. Był patentowanym leniem, którego musiało się na siłę ściągać z łóżka. Schodził na śniadanie później niż wszyscy, nadal w piżamie, ziewając, z włosami sterczącymi jak strzecha. Jego pokój zawsze wyglądał jak po najeździe włamywaczy. Annabelle sprzątała go co rano, mówiąc pogodnie:

– Chłopcy! Doprawdy, Lucy, pamiętaj, żeby nie mieć synów!

Lucy miała na tyle oleju w głowie, aby powstrzymać się od komentarza, że przecież mogliby sami po sobie posprzątać.

– Może byście poszli na spacer? – zaproponowała Annabelle, chcąc zostać w domu sama i doprowadzić wszystko do należytego porządku.

– Dobry pomysł – podchwycił George, podnosząc się z fotela. Lubił przebywać z Maksem i Lucy. – Chodź, William.

William westchnął jeszcze ciężiej. Czy nikt w tym domu nie zdawał sobie sprawy, że na dworze jest bardzo zimno, a on jest już labradorem w pewnym wieku?

– Ty nie – powstrzymała go ostro Annabelle. – Jesteś mi potrzebny do załadowania samochodu.

George opadł z powrotem na fotel z miną podobną do tej, jaką miał William.

Lucy włożyła duży sweter Maksa. Lubiła chodzić w jego rzeczach i przywłaszczyła już sobie kilka jego T-shirtów i bluz.

Szli wolno brzegiem morza, wiatr rozwiewał im włosy i przyklejał ubranie do ciała. Max stanął i pociągnął na siebie Lucy, upadając na wznak. Poczowała pod palcami mokre ziarenka piasku, jej twarz znalazła się tuż nad jego twarzą. Zaczynała mu schodzić skóra z nosa, białe drobinki ostro kontrastowały z różowymi plamkami pod spodem. Jego oczy były ciemniejsze niż zwykle w opalonej twarzy, której wyraz stał się nagle nadspodziewanie poważny.

– Kocham cię – powiedział.

Ułożyła się wygodniej na jego ciele, podpierając się na łokciach, żeby mu nie ciążyć.

– Wyjdiesz za mnie? – spytał.

Lucy sturlała się na piasek, wybuchając śmiechem.

– Nie bądź śmieszny!

Nie patrząc na nią, zgarnął garść piasku i przesypał między palcami.

– Nie mówię „teraz” – powiedział ze złością, wyciągając sterczący z ziemi

patyk. – Po studiach.

Lucy przestała się śmiać i przyjrzała mu się uważnie. Chyba żartuje? Przrzekać sobie coś takiego w ich wieku? Dziwny pomysł.

– Nie możemy jeszcze robić takich planów – powiedziała, przewracając się na plecy. Oczywiście, że Max żartuje, musiał żartować, ale czy naprawdę to powiedział? Coś podobnego! – Kto wie, co będzie? Ja jadę do Manchesteru, ty do Bristolu... wszystko może się zdarzyć.

Taką właśnie ją lubił, zniechęciłby się do niej prędzej, niż myśli, gdyby się go kurczowo trzymała. On i jego koledzy nazywali takie dziewczyny pijawkami.

Spojrzała na niego z ukosa i pociągnęła pojednawczo za rękaw. Wyszarpnęła się. Zirytowana wstała i odeszła. Po paru krokach zatrzymała się, pewna, że Max zaraz złapie ją w pasie od tyłu. Ale nie podbiegł. Odwróciła się i zobaczyła, że on nadal leży nieruchomo na piasku, jak wyrzucony przez morze kawał drewna. Wróciła do niego.

– Przestań się obrażać – powiedziała, stając nad jego zapiaszczoną, leżącą twarzą ku ziemi postacią.

Odsunął się od niej.

– Nie obrażam się – mruknął głosem stłumionym przez warstwę wełnianego swetra. – Mam wrażenie, że wcale mnie nie kochasz – dodał z urazą.

– Jak możesz tak mówić! Pozwoliłam ci... uprawialiśmy...

– Wiem! – Max walnął dłonią w piasek. – Ale skąd mogę wiedzieć, że jak wyjedziesz na studia, to nie będziesz tam spać z innymi chłopakami? Kto wie, co się tam będzie działo?

Lucy popatrzyła na niego ze złością. Nie знаła go od tej strony. I niezbyt jej się podobało to nowe oblicze.

– Posłuchaj – powiedziała spokojnie. – Nie mam zamiaru chodzić z nikim innym. Możesz do mnie przyjeżdżać, kiedy tylko zechcesz. Przecież się nie rozstajemy, prawda? Dlaczego mielibyśmy spać z kimś innym?

– Ja ręczę za siebie, ale skąd mogę wiedzieć, co ty zrobisz?

– A skąd ja mogę wiedzieć, co ty zrobisz? – zauważyła Lucy całkiem rozsądnie.

– To nie w porządku! – wybuchnął.

– Och, przestań być taki cholernie dziecinny – zirytowała się. – Co byś właściwie chciał usłyszeć?

– Chciałbym usłyszeć, że nie będziesz chodzić z nikim innym.

– Dobrze – zgodziła się Lucy, powtarzając jak mantrę: – Nie będę chodzić z nikim innym. I zakładam, że ty też nie.

– Och, zamknij się – warknął Max. – Przestań tak wszystko warunkować.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Wydaje mi się, że mówisz trochę bez sensu – zauważyła.

Ale nie chcąc na koniec psuć kłótnią takich wspaniałych wakacji, uśmiechnęła się i pochyliła, żeby go objąć. Max odsunął się, skoczył na nogi jak oparzony i odszedł. Patrzyła za nim, niewiele rozumiejąc. Czy można przewidzieć, co strzeli mężczyźnie do głowy? W pierwszej chwili chciała za nim pobiec, ale się rozmyśliła. Niech go wszyscy diabli. Usiadła na piasku, czując, jak wilgoć przenika przez spodnie, i schowała twarz w jego golfie. Pachniał wodą kolońską i papierosami. Zamknęła oczy.

Po kilku minutach niechętnie wstała.

Z ciężkich, obrzmiałych chmur spadł teraz nagły deszcz, siekąc ją w twarz ostrymi strugami. W jednej chwili przemokła do nitki, ze zlepionych w strąki, pociemniałych włosów ciekły strużki wody, wsiąkając w sweter Maksa.

Poszła wolno plażą, ciągnąc nogi po mokrym piasku. Położyła rękę na zielonym kadłubie jednej z łódek, wyciągniętych na brzeg i niepotrzebnych już po skończonym sezonie. Plaża była pusta, domy na skarpie wyglądały na opuszczone i zamknięte na głucho.

Weszła z piasku na usiany obślizgłymi glonami pas kamieni, za którym pięły się w górę, do domu Maksa, sfatygowane drewniane schodki, wydeptane przez lata dziesiątkami sandałów i kłapek.

Usiadła na najniższym stopniu i wystawiła twarz na ostre podmuchy wiatru.

– Lucy...! – dobiegło ją zduszone, ledwo słyszalne nawoływanie Annabelle.

– Już idę! – krzyknęła i z ociąganiem zostawiła plażę, wchodząc na górę.

– Jak ty wyglądasz! – załamała rękę Annabelle.

Kuchnia była pusta, wszystkie bagaże leżały już porządnie spakowane w dużym volvo. William, z niepewną miną, wyglądał przez okno z tylnego siedzenia. Wyłączona kuchenka powoli stygła, krzesła przykrywały białe pokrowce.

– Max czeka już w swoim samochodzie. Włożyłam tam twoją torbę – powiedziała Annabelle. – Był jakiś... Czy wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście. – Lucy pocałowała ją w policzek. – Dzięki za piękne wakacje. Było cudownie. Wszyscy byliście dla mnie tacy mili. – Ledwo się powstrzymała, żeby nie dodać z dygnięciem: „Dziękuję bardzo za zaproszenie”, co było obowiązującą formułką, którą kazała jej wygłaszać matka po każdym kinderbalu. „Co się mówi? Dziękuję bardzo... „ Stała w najlepszej sukience, z drapiącym żabotem z przodu i opadającymi po zabawie rajtuzami, ściskając w ręce

paczuszkę z kawałkiem tortu na pożegnanie, którego nigdy potem nie jadła.

– Czas na nas – powiedział George, pogrążając kluczykami. – Chodź, kochanie. Nie zapominaj, że mamy dzisiaj Hendersonów na kolacji. Trzymaj się, Lucy. – Objął ją serdecznie, nie bacząc na mokry sweter. Lucy wydała zduszony pisk, kiedy miażdżył jej żebra. – Na pewno wkrótce się zobaczymy. Nie pozwól mojemu synowi jechać zbyt szybko.

– Nie pozwolę – obiecała z bladym uśmiechem i wyszła z nimi na podjazd.

– Annabelle zamknęła drzwi z zafrasowaną miną kobiety, która robi w myślach przegląd kilkuset czekających ją zadań. Lucy usłyszała, że Max zapala silnik swojego golfa. Przebiegła obok samochodu jego rodziców, posyłając całusa Henry’emu. Nawet przez zalane deszczem okno można było dostrzec, że się zaczerwienił. Lucy stała się na najbliższe lata jego sekretnym marzeniem i właśnie w tej chwili obiecał sobie, że ożeni się tylko z blondynką.

Max nie spojrzał na nią, kiedy wsiadała.

– Jestem przemoczona do suchej nitki – powiedziała, ściągając przez głowę jego mokry sweter. T-shirt, który miała pod spodem, oblepiał jej ciało. – Włącz ogrzewanie, ty też zmokłeś.

Deszcz ściekał mu z włosów na twarz. Prawa powieka drgała nerwowym tikiem.

Lucy wyjęła z tylnej kieszeni wilgotną paczkę papierosów i zapaliła jednego dla nich obojga. Wziął go bez słowa i ruszył z gwałtownym piskiem opon.

– Wolnego! – zawołał George z samochodu z tyłu. Annabelle spojrzała na męża.

– Mam wrażenie, że oni się...

– To nie nasza sprawa – uciał George.

Max puścił na cały głos muzykę. Lucy dotknęła go pojednawczo w ramię, ale się otrząsnął. Doprawdy, zachowywał się bardzo dziecinnie.

– To nie w porządku. Nie rób tak. Nie psuj wszystkiego powiedziała.

Po dłuższej ciszy skręcił gwałtownie na pobocze i stanął. Minęło ich auto rodziców z trzema zaniepokojonymi twarzami patrzącymi przez okno. Lucy modliła się, żeby nie stanęli, myśląc, że zabrakło im benzyny.

Ku jej zgrozie, Max ukrył twarz w ramionach położonych na kierownicy i zaczął szlochać.

– Max... – Ostrożnie spróbowała go pogłaskać.

– Powiedz, że za mnie wyjdiesz – wybuchnął, nie podnosząc głowy. – Teraz. Powiedz to teraz. Wszystko mi jedno gdzie i kiedy, po prostu to powiedz.

– OK, OK, wyjdę za ciebie. Ale – dodała szybko – jeszcze nie tak prędko. To będzie nasz sekret, dobrze? Nie musimy o tym nikomu mówić i tak dalej, prawda?

– Jasne – powiedział. – Po prostu chciałem się przekonać, czy przejdzie ci to przez usta.

– Jesteś kompletnym wariatem – stwierdziła i wybuchnęła śmiechem.

On też zaczął się śmiać. Podniósł głowę i objęli się mocno, nie zwracając uwagi na sznur wracających z wakacji samochodów.

– Obiecuj, że będziesz mnie zawsze kochać – poprosił Max, owijając sobie jej mokre włosy wokół palców. – Potrzebuję cię, Lucy.

– Obiecuję – powiedziała.

Wiedziała, że już nigdy nie zobaczy go w chwili takiej słabości.

Rozdział 6

No to jesteśmy na miejscu – powiedziała Caroline, wchodząc do pokoiku Lucy w akademiku. – Jesteś pewna, że masz wszystko, co trzeba? Powlekę ci kołdrę. Chyba należałoby pomyśleć o kupieniu jakiś lepszych firanek. – Z obrzydzeniem potarła w palcach przezroczyste nylonowe zasłonki i wzięła się za ścielenie łóżka.

Lucy czuła się głęboko upokorzona, wchodząc do hallu z matką. Wszystkie inne dziewczyny były bez rodziców, za to z olbrzymimi plecakami. Caroline w granatowej plisowanej spódnicy do kolan i blezerze od Ralpha Laurena stanęła na chwilę, rozglądając się niepewnie dokoła – mała wysepka czystości w morzu niechlujstwa. Nie tak sobie wyobrażała uniwersytet – i nie tak go pamiętała. Kiedy spytała jedyne go studenta na zewnątrz, który wyglądał jako tako, czy jest tu portier, spojrzał na nią, jakby nie miała piątej klepki. I do tego nawet nie zaoferował się, że pomoże Lucy wnieść po schodach ciężką torbę. Caroline, przyzwyczajona do zwyczajów w szkole z internatem, gdzie przełożona zawsze witała je u progu, uznała panujące tu porządki za skandaliczne. Nic dziwnego, że Archie wolał zostać w samochodzie.

– Mamo, idź już...

Lucy starała się nie okazywać zniecierpliwienia, ale była świadoma faktu, że parę dziewczyn zajrzało już do niej przez drzwi i zobaczyło, jak jej matka otwiera i zamyka szuflady, sprawdza, czy działa światło i czy firanki da się zaciągnąć. Nie dało się.

Lucy chciała przyjechać tu sama pociągiem, ale nawet ją pokonał stos rzeczy, które musiała ze sobą zabrać, nie mówiąc już o olbrzymim filodendronie, którego hodowała od maleńkiej roślinki, a teraz był wielkości niedużej stodoły. W cichości ducha miała nadzieję, że kiedyś uschnie, bo już się jej znudziło nieustanne pamiętanie o tym, żeby go podlewać. W końcu zgodziła się z rodzicami, że będzie lepiej, jeśli ją odwiozą.

Archie pożegnał się z nią w samochodzie, starając się nie okazać wzruszenia. Lucy uściskała go, wdychając z zamkniętymi oczami zapach cygar, ciepłego kaszmiru i Old Spice'a. Ilekroć czuła ten zapach, zawsze stawała się na powrót sześciolletnią dziewczynką, bezpieczną we wrogim świecie.

– Nic tam po mnie – powiedział. – Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebować pieniędzy. Za pierwszym razem pewno ci doślę, ale później zamknę sakiewkę. – Uśmiechnął się, ukazując siateczkę zmarszczek wokół oczu.

– Nie jedz za dużo. – Lucy poklepała go po wystającym brzuchu.

– A ty na odwrót. Jesteś o wiele za chuda. I ucz się... Nie przyjechałaś tu wyłącznie dla rozrywki.

Lucy jęknęła i przytuliła go mocniej.

Była zdumiona nagłym poczuciem osierocenia, jakie ją ogarnęło. W końcu w wieku osiemnastu lat nie powinno się już obawiać rozstania z rodzicami. Po raz pierwszy w życiu poczuła się sama jak palec. Musi wziąć na siebie całą odpowiedzialność za własne życie, nikt nie będzie się już nią opiekować. Czekał ją nagły skok w głęboką przepaść dorosłości.

Czuła, że zbiera jej się na płacz, ale wkroczenie do akademika z czerwonym nosem i zapuchniętymi oczami nie byłoby najszcześniejsze. Wzięła się w garść.

– Uściskaj ode mnie Bena – powiedziała do ojca.

Nie mógł z nimi jechać, bo jej filodendron – w pozycji leżącej – zajmował cały bagażnik, więc musiała się z nim pożegnać na stopniach domu. Helen trzymała go za obrozę, a on patrzył na nią żalonym wzrokiem opuszczanego psa. Serce się jej ścisnęło nawet przy pożegnaniu z Helen, co już było przesadą. Doskonale wiedziała, że ledwo odjadą, siostra pogna do jej sypialni i zacznie myszkować w szafie, żeby zobaczyć, jakie ubrania Lucy zostawiła. A potem będzie je nosić, rozciągać i zasmradzać zapachem swoich obrzydliwych perfum.

Ku wściekłości Lucy, Caroline zarezerwowała jej pokój w akademiku tylko dla dziewcząt, ale nie miała na to wpływu, bo była w tym czasie w Devon. Dopiero po przyjeździe odkryła, że matka umieściła ją w miejscu bardziej odpowiednim dla nowicjuszek zakonnych. Z błyszczącej broszurki wydawanej przez uniwersytet dowiedziała się, że istnieje też parę mniejszych, koedukacyjnych domów studenckich, ale nie, matka musiała ją wepchnąć do St Margaret's Hall, który z pewnością wybierały dziewczyny przekonane, że przyjemniej im będzie w wyłącznie damskim towarzystwie. Nie mogła się już doczekać, żeby je poznać.

Max był bardzo zadowolony, kiedy mu powiedziała, gdzie będzie mieszkać. Zaofiarował się, że odwiezie ją do Manchesteru, jednak Lucy uznała, że to nie jest dobry pomysł. Zaczynała nowe życie i nie miała najmniejszej ochoty, żeby znów wpędzał ją z tego powodu w poczucie winy. Zdumiewające, że w ogóle miał czelność zgłaszać do niej pretensje, bo ilekroć sama napomykała o jego wierności, stawał się dziwnie milczący i szybko zmieniał temat. Zżymała się w duchu, że byłby najszcześniejszy, gdyby została w domu i siedziała przy oknie, wyszywając poduszki i wyglądając jego powrotu. Miała wrażenie, że próbuje wymuszać jej uległość poprzez demonstracje złego humoru, jak wtedy na plaży. Kilka miesięcy

rozłąki dobrze im zrobi – w końcu on wyjeżdżał do Bristolu, gdzie miał w perspektywie o wiele bogatsze życie towarzyskie, jako że większość ich przyjaciół wybrała Bristol albo Exeter. Tylko nieliczni wyjeżdżali na północ. Jeśli ich związek przetrwa tę próbę, może mają przed sobą przyszłość.

– Dobrze już, dobrze, idę, kochanie.

Matka uściskała ją i Lucy poczuła, że zaraz wybuchnie płaczem. Zagryzła wargi i pochyliła się nad walizką, walcząc z zamkami.

– Pa, kochanie – powiedziała Caroline. – Jesteś pewna, że masz wszystko, co trzeba?

– MAMO!

Caroline posłusznie wyszła i po kilku sekundach Lucy usłyszała, jak rozmawia na korytarzu z jakąś dziewczyną. Wytknęła głowę przez drzwi.

– My też jesteśmy z południa – mówiła Caroline. – Dorset? Co za piękne strony! My jesteśmy z Cotswolds. Tak, rzeczywiście, u nas też jest bardzo ładnie. Ale w lecie przyjeżdża strasznie dużo turystów. Jak podróż, nie było korków na drodze? Moja córka, Lucy, ma pokój tu zaraz na lewo. Będzie studiować anglistykę. Naprawdę? To wspaniale!

Lucy jęknęła, wycofała się i czekała. Jak było do przewidzenia, starannie uczesana blond głowa wsunęła się z powrotem przez drzwi.

– Spotkałam taką miłą osobę. Ona też studiuje anglistykę. Może być...

– Dam sobie radę! – Lucy niemal wrzasnęła. – Proszę cię, mammo, umiem sama zawrzeć znajomość. Pozwól mi się rozpakować.

– W porządku – powiedziała Caroline. – Nie ma powodu podnosić głosu. I pamiętaj – dodała – najlepszy sposób, żeby poznać dużo ludzi, to zapisać się do rozmaitych kółek.

– Już mi to mówiłaś, mammo.

Uśmiechnęły się do siebie.

– Będzie mi ciebie strasznie brakowało! – Caroline podeszła i jeszcze raz zamknęła ją w objęciach.

Lucy, z głową przy jej ramieniu, wciągnęła w nozdrza zapach jej perfum.

– Idź już, mammo. Tato czeka.

Caroline odwróciła się i wyglądając ostatnim muśnięciem jej kołdrę, wyszła.

Nareszcie sama, Lucy rozejrzała się po pokoju. Gdyby stanęła na środku i wyciągnęła w bok ramiona, mogłaby pewno bez trudu dotknąć obu ścian. Samo łóżko zajmowało sześćdziesiąt procent przestrzeni. Oprócz tego stało tu jeszcze maleńkie biurko, stolik nocny i wbudowana szafa z półkami. Lucy spojrzała z

rozpaczą na swój kuferek i walizki. Nie ma mowy, żeby zmieścić to wszystko. Przywiozła o wiele za dużo rzeczy, nie mówiąc o ogromnej kolekcji płyt, które też musi gdzieś upchnąć. Może pod łóżko? I co zrobić z nowym adapterem, który ojciec jej kupił? Trudno – będzie musiał stanąć na biurku.

Najważniejsze, że jest tu wreszcie sama, wolna i niezależna. Może leżeć cały dzień w łóżku. Może puszczać na cały głos muzykę. Może kupić sobie butelkę martini i wypić ją za jednym zamachem. Może spać, z kim chce, i nikt się o tym nie dowie. Co za fantastyczna wolność. Z jej oka spłynęła łza. I co za samotność. Otarła łzę niecierpliwym ruchem, zła na siebie za dziecinne rozklejanie się, i wyjęła fotografie rodziców, Helen i Bena, a także jedno zdjęcie Maksa, na którym, opalony i przystojny, stał na motorówce. Przypięła je wszystkie do ściany nad łóżkiem. Potem rozwinęła swoje plakaty i przez chwilę zastanawiała się, gdzie dać akwarelę Moneta. Może u wezłowania.

Kiedy oklejała ściany plakatami, wrócił jej dobry humor. Coraz bardziej utwierdzała się w tym, że podjęła właściwą decyzję. Wszyscy w szkole uważali, że kompletnie zwariowała, wybierając Manchester, bo wyniki, jakie uzyskała na maturze, pozwalały jej starać się o przyjęcie nawet do Oksfordu lub Cambridge. Ale gdzieś głęboko tkwiła w niej potrzeba zmiany. Wszyscy dookoła wybierali się do Bristolu, Exeter albo Londynu i czuła się, jakby popełniała jakąś perwersję. Sama nie bardzo wiedziała dlaczego, lecz kiedy już się zdecydowała na anglistykę, uparła się, że będzie ją studiować w Manchesterze. Tutejsza filologia stała na naprawdę wysokim poziomie i cieszyła się doskonałą opinią, toteż niezmiernie ją irytowało, że wszyscy uważali jej decyzję za jakiś żart. Przyjaciele dokuczali jej, że tylko patrzeć, jak przyłączy się do ruchu lewicowego i będzie chodzić na demonstracje pacyfistyczne. Jednak Lucy już podczas pierwszej jesiennej wizyty na uniwersytecie pokochała to miasto tętniące życiem i energią, choć na początku przeżyła szok, że ludzie mówią tu całkiem inaczej. Nigdy nie była tak daleko na północy, oprócz wakacji spędzonych w Szkocji, gdzie ojciec pojechał na ryby, i uważała, że to, co się słyszy w telewizji jako północny akcent, jest specjalnie wyolbrzymiane. Tymczasem, gdy brała taksówkę z dworca, musiała trzy razy prosić taksówkarza, żeby powtórzył to, co mówi.

Kiedy teraz zjechali z autostrady, ojciec skrzywił się nieznacznie, wjeżdżając w dzielnicę szarych wieżowców. Na domiar złego padał deszcz i wszystko wyglądało jeszcze bardziej odpychająco i ponuro. Rodzice nic nie powiedzieli, lecz widać było, że nie są zachwyceni, a może nawet trochę się o nią boją. Lucy wiedziała, że matka optowała za jej wyjazdem z Maksem do Bristolu, gdzie miała parę

przyjaciółek i mogłaby przyjeżdżać na wspólne wyprawy do eleganckich magazynów.

Kiedy jechali przez centrum miasta, wszystkie sklepy były zamknięte oprócz paru kiosków z gazetami, osłoniętych kratami. Lucy przypomniała sobie, że w zeszłym roku w pobliskim Moss Side były zamieszki i nawet teraz miasto wyglądało jak sprzątnięte pobojowisko – było nienaturalnie spokojne, opuszczone i nieco groźne. Lucy wzdrygnęła się na ten księżycowy krajobraz. Jedyne zamieszki, jakie mieli w Burford, zdarzyły się, gdy miejscowe władze chciały zbudować tu poprawczak i zdeterminowane starsze panie w tweedach i z koszykami na zakupy usiadły przy wyznaczonej parceli na rozkładanych krzeselkach, trzymając nad głową tabliczki z uprzejmym napisem: „To nie jest dobry pomysł”.

Rozległo się ostre pukanie do drzwi. Lucy, która wieszła właśnie nad biurkiem plakat z Francuzem w czarnej pelerynie niosącym butelkę wina, zawołała:

– Proszę!

Obejrzała się i zobaczyła niezwykłą postać w długiej, wyszywanej paciorkami spódnicy i dziurawym swetrze w jaskrawe pasy. Dziewczyna była boso, miała strzechę rozjaśnionych do białości włosów i podkreślone grubą czarną kreską oczy, które wydawały się ogromne w jej opalanej, drobnej twarzy. Lucy od razu odgadła, że to nie jest ta „miła osoba”, którą spotkała matka.

– Jestem Annie. – Jej czysty głos o nienagannym akcencie zdumiewająco nie pasował do cygańskiego wyglądu.

Lucy zeskoczyła z łóżka tak energicznie, że plakat zsunął się za biurko.

– Lucy – przedstawiła się. – Też jesteś z pierwszego roku?

– Wszystkie na tym piętrze jesteśmy z pierwszego roku. Nowicjuszki, niech to szlag. Jestem tu już od wczoraj – powiedziała Annie, zdrapując schodzący z paznokci lakier. – Wróciłam właśnie z kibucu i wołałam przyjechać prosto tutaj, niż składać wizytę rodzicom i wysłuchiwać ich opieprzu.

– Poznałaś już kogoś? Są tu jakieś fajne dziewczyny? – Lucy pomyślała o tych, które widziała na korytarzu.

– Same myszy – skrzywiła się Annie. – Te, które dotąd spotkałam, spędzają cały czas na wieszaniu obrazków z pieprzonymi króliczkami i ustawianiu szamponów w łazience. Przyłapałam nawet jedną, jak nakleja etykietkę ze swoim nazwiskiem na kawałku sera, który wkładała do lodówki. Zjadłam go – dodała z niejaką satysfakcją.

Lucy parsknęła śmiechem.

– Co będziesz studiować?

– Anglistykę i filozofię. Totalna nuda. Nie mam zamiaru się przemęczać. Poszłam na studia tylko po to, żeby dostać stypendium i móc dalej podróżować. Kto to jest? – spytała, patrząc z podziwem na zdjęcie Maksa.

– Mój chłopak. Max.

– Nie wyrzuciłabym go z łóżka. Ma jakichś kumpli?

– Nie wiem, czy przypadliby ci do gustu – powiedziała Lucy. – Wszyscy zaczynają właśnie studia w Bristolu.

– Bogate bubki?

– Bogate bubki.

– Tu takich nie ma. Na północy do nich strzelają – oświadczyła Annie.

– A ty skąd jesteś?

– Z Londynu. Mieszkamy w Chelsea. Lepiej nie pytaj. Mój ojciec jest sędzią. Matka zajmuje się wspinaniem po drabinie towarzyskiej. Nie jestem w tej chwili ich ulubienicą.

Ma w sobie coś z zagubionego dziecka, pomyślała Lucy. Jakaś dziwną mieszaninę wyzywającej pewności siebie, wulgarnego języka i zaczepnej bezbronności. Od razu przypadła jej do serca.

– Lubisz styl punkowy? – spytała Annie.

– Niektóre elementy – powiedziała Lucy ostrożnie.

Było w niej dość z Caroline, żeby uznać punków za nieco niechlujnych i odstręczających. A Max nie cierpiał zarówno ich samych, jak i ich muzyki.

– Super. W klubie studenckim gra dziś świetny zespół, widziałam plakaty. To lepsze niż te wszystkie idiotyczne wieczorki zapoznawcze. Chyba że – dodała złośliwie – nie możesz się już doczekać, żeby dać buzi nowym koleżankom i zapisać się do kółka teatralnego. Chodź ze mną. Będzie fajnie. Może odkryjemy nowy talent.

– Sama nie wiem... – powiedziała Lucy niepewnie. – Ja i Max...

– Och, do jasnej Anielki! – przerwała Annie. – Po co tu przyjechałaś?

Po tej pierwszej nocy spędzonej na szaleńczych podskokach w oparach potu, pośród tłumu czarno ubranych studentów, i po zjedzeniu o świcie kebabu na chłodnym jesiennym powietrzu, Lucy poczuła się w pełni wprowadzona w życie miasta. Po czym zwymiotowała na nowe kozaczki.

Już po paru tygodniach czuła się, jakby mieszkała tu od zawsze. Wszystko wokół aż kipiało energią. Większość studentów – oprócz tych z kierunków inżynierskich, oczywiście – ubierała się w fantazyjne, kolorowe ciuchy,

wyszukiwane na straganach w miejscu zwanym Affleck's Pałace. Lucy kupiła tam sobie za dwadzieścia funtów niemal całą nową garderobę, złożoną z powłóczystych indyjskich szat i z koszul dziadka, a do tego fantastyczną białą koronkową spódnicę, która musiała być kiedyś po prostu halką, a teraz wyglądała bosko z brązowymi skórzanymi kozaczkami, i nieco wyleniały długi futrzany płaszcz, który kosztował jedyne pięć funtów. Co wieczór można było słuchać innych zespołów, od punkowych poprzez tradycyjne gitarowe do New Romantic. Annie zabroniła jej lubić Adama Anta, ale Lucy i tak go lubiła. Annie wolała bardziej mroczną muzykę, jak afrykańskie reggae, i kazała jej słuchać i podziwiać pieśniarzy o takich imionach jak Prince Nico Mbarga. Do głębi gardziła populistycznymi upodobaniami Lucy. Jedyne ustępstwo, jakie czyniła dla popu, to skryty podziw dla Teardrop Explodes, Echo and the Bunnymen i The Cure, ale to były zespoły w dużej mierze subkulturowe.

Annie i Lucy z dumą nosiły znaczki pacyfistyczne i co wieczór do późna w noc omawiały najbardziej palące problemy ludzkości, od długów krajów Trzeciego Świata po konieczność bezwzględnego nakazu powszechnego rozbrojenia. Annie miała talent do gromadzenia wokół siebie najdziwniejszych ludzi, z którymi Lucy normalnie nigdy by się nie zaprzyjaźniła, ale których uważała za fascynujących, bo ich doświadczenia życiowe tak dramatycznie różniły się od jej własnych doświadczeń. Miała też parę bliższych koleżanek na swoim roku, które nie wyglądały jak uciekinierki z obozu dla uchodźców, ale musiała je trzymać z daleka od Annie. Niemal co wieczór, po zamknięciu baru, gromadzili się w kilka osób w pokoju Annie lub Lucy i przy głośnej muzyce, w oparach dymu, wrzucając niedopałki do filiżanek z kawą, naprawiali zło tego świata.

Annie była najbardziej inspirującą przyjaciółką, jaką Lucy kiedykolwiek miała. Jedynym przedmiotem sporu między nimi – pomijając docinki Annie, że Lucy składa się z samych zahamowań – była ilość narkotyków, jaką Annie brała. Ciągle szukała dróg zapomnienia, jakby chciała uciec sama przed sobą.

Przyzwyczajona do surowych reguł panujących w internacie i w domu, Lucy uważała styl życia Annie, w którym dzień mieszał się z nocą, za niesłychanie odkrywczy i niezależny. Ale był też bardzo męczący. Aż za często wślizgiwały się obie do akademika o piątej nad ranem z mocnym postanowieniem, że wstaną na wykład o dziesiątej, lecz po całonocnym siedzeniu w klubie nie było to takie łatwe. Lucy czuła, że jest już inną osobą, o wiele bardziej wyzwoloną, o wiele bardziej tolerancyjną w stosunku do ludzi. Może – zadawała sobie ostrożnie pytanie – naprawdę stała się socjalistką? Nie, to niemożliwe. Za często myślała włosy i jeszcze

ani razu nie kupiła „Robotnika Socjalistycznego”.

Annie poza tym sypiała, z kim popadło. Miała mało wybredny gust i bez zbędnych formalności szła do łóżka z różnymi nieciekawymi cherlakami – w celach eksperymentalnych, jak twierdziła, bo przecież mężczyzna, który jest brzydki i nudny, musi być w czymś dobry. Nie utrzymywała żadnych kontaktów z rodzicami, podczas gdy Caroline w ciągu pierwszego semestru słała do Lucy list za listem, a od czasu do czasu paczkę żywnościową z buteleczkami multiwitamin. W gawędziarskim tonie pisała o wszystkim, co się dzieje w domu i ogrodzie, o tym, że Archie tak ciężko pracuje, o planach wyjazdu na narty po świętach – czy Lucy chce z nimi jechać? Tym razem chyba wybiorą się do Kitzbuhel, tam jest tak ładnie. Czy Lucy ma dość pieniędzy na ubrania? Jej listy na zmianę cieszyły Lucy i irytowały – życie matki wydawało jej się takie błahe. A tymczasem ona sama zostawiła już za sobą wiek niewinności i z hukiem wkroczyła w wiek zdobywania doświadczeń.

Wraz z przyjaciółmi zupełnie ignorowała małą grupkę dość zagubionych „bogatych bubków”, którzy przez przypadek dostali się tu na wolne miejsca na fizyce i chemii. A także trzymała się z daleka od szarej masy przyszłych inżynierów, którzy niczym nie wybijali się z tłumu.

Szybko odkryła, że wystarczy chodzić na parę wykładów w tygodniu i wszystkie seminaria, żeby bez większego wysiłku wyrobić sobie opinię pilnej studentki. Jedyni, którzy naprawdę zdawali się uczyć, to studenci ostatniego roku prawa i ci z kierunków inżynierskich, ale ci ostatni byli zbyt nudni, żeby zająć się czymś innym. Za to studenci filozofii w ogóle nic nie robili. Snuli się tylko ze smętnym wyrazem twarzy, próbując zdobyć narkotyki.

Rozmawiała z Maksem dość często przez telefon, ale w miarę upływu czasu mieli sobie coraz mniej do powiedzenia. W końcu te rozmowy zaczęły ją męczyć, a do tego drażnił ją jego akcent.

Zdążyła zapomnieć, jak Max mówi, i teraz ta elegancka angielszczyzna wydawała się jej sztuczna. Max zamieszkał w akademiku przeznaczonym wyłącznie dla chłopców, głównie dlatego, że miał on własną piwnicę z winem i tradycję kolacyjek w męskim gronie. Lubił wszystkie takie znamiona świetności – zostało mu to po jego ekskluzywnej szkole z internatem, pomyślała Lucy z sarkazmem.

Czystym przypadkiem przechodziła właśnie przez hall, kiedy zadzwonił telefon.

– Halo – powiedziała, żałując poniewczasie, że go odebrała. To na pewno do jednej z myszy.

– Lucy?

– Max! – Odsunęła telefon od ucha. Dziwnie było go usłyszeć. Natychmiast ogarnęła ją irytacja. Mówił z taką arogancką, pewną siebie nutą, czego przedtem nie zauważyła.

– Lucy, to ty? Masz jakiś inny głos.

Nie zdawała sobie sprawy, że jej głos się zmienił. Ale od jakiegoś czasu zaczęła podświadomie odchodzić od starannej wymowy i kiedy po raz pierwszy bezwiednie powiedziała: „Yhm, taaa... „, jej przyjaciele długo turlali się ze śmiechu i przedrzeźniali ją bez końca. Annie niemal natychmiast porzuciła swój własny akcent i zaczęła cedzić słowa jak rodowita mieszkanka Manchesteru, ona sama jednak nie posunęła się aż tak daleko, choć od dawna nie mówiła już wzorową angielszczyzną.

– Oczywiście, że to ja – powiedziała, starając się, żeby zabrzmiało to jak dawniej. – Jak się masz?

– Tak sobie. Mam strasznego kaca. Zalałem się wczoraj w trupa. Ale to nieważne – ożywił się. – Chodzi o to, że chcę przyjechać do ciebie w przyszłą sobotę. Jules też się ze mną wybiera, ma tam przyjaciół na politechnice.

Zapadła cisza. Lucy nagle pomyślała: Nie chcę, żeby przyjeżdżał, wszyscy będą z niego podkpiwać. Annie go zabije. Albo się z nim prześpi. Będę musiała go ukrywać.

– Cudownie – powiedziała.

– Głowa mi pęka – oświadczył Max, wysiadając z golfa i prostując długie nogi. Chryste, co on ma na sobie? Był w pasiastej muszce – niech go diabli!

– Gdzie jest Jules? – spytała, ciągnąc go szybko do hallu wejściowego swojego akademika.

– Zostawiłem go u przyjaciela. Co za przygnębiające miasto, Lucy. Naprawdę ponura dziura, jak w *Coronation Street*.

– Wcale nie – powiedziała Lucy ze złością.

– Nie? Musisz przyjechać do Bristolu. Przenoszę się w przyszłym roku do prawdziwego mieszkania. Rodzice Cat kupują jej piękny lokal, będziemy dzielić go w parę osób. Mówiłem ci o Cat? Jest na moim roku. Fajna dziewczyna. Mieszkanie będzie na Royal York Crescent, w Clifton.

Urwał, czekając, że zrobi to na Lucy odpowiednie wrażenie. Nie zrobiło. Ty nadęty bufonie, pomyślała.

Skoncentruj się na jego urodzie, powiedziała sobie stanowczo. Jest o wiele przystojniejszy niż którykolwiek z tutejszych chłopaków. Wyglądał tak zdrowo i

dorodnie, mimo narzekań na kolejnego kaca. Większość jej przyjaciół była pokryta ziemistą bladością, wynikającą z braku snu, nadmiaru alkoholu i diety złożonej z chipsów i pizzy na wynos. Nigdy nie potrafili zdążyć na posiłek w stołówce – Lucy odkryła, że w ogóle nie jest w stanie zdążyć z niczym na czas. Myśl o pójściu na pociąg napawała ją przerażeniem. Wstanie z łóżka zabierało jej rano – czy po południu – godzinę. Od dawna planowali pojechać gdzieś na wycieczkę, choćby do Peak District, starym zdezelowanym fordem Rebeki, koleżanki z roku, ale potrzebowali pięciu godzin, żeby zacząć się ruszać.

– To twój pokój? – Max rozejrzał się po maleńkiej klitce, nie kryjąc zdumienia.

– Wszystkie pokoje są takie.

– Niewiarygodne.

Kiedy szli korytarzem, towarzyszył im trzask otwieranych i zamykanych za ich plecami drzwi, jako że myszy pocztą pantoflową dowiedziały się, że Lucy idzie z jakimś bardzo przystojnym nieznajomym. Teraz, w pokoju, Max rzucił skórzaną torbę na podłogę i wyciągnął się jak długi na łóżku, z butami wysuniętym poza krawędź.

– Chodź tutaj – powiedział.

– Chcesz kawy? – spytała desperacko.

Dlaczego nie chce, żeby ją dotykał? Dziwne. Przecież to Max, jej chłopak, mężczyzna, dla którego odrzuciła mnóstwo innych facetów – co prawda, byli zbyt obojętni, żeby nalegać, albo zbyt pijani, żeby się skupić. Ze zdumieniem pomyślała: Nie chcę go tutaj, w moim pokoju. Wygląda tu zupełnie nie na miejscu i jeśli jeszcze raz coś skrytykuje, to go wyrzucę. Poczula, że jest dla niej jakimś strasznym ciężarem i najchętniej by się go niepostrzeżenie pozbyła, ale jak to zrobić, nie natykając się na Annie albo kogoś z przyjaciół? Uosabiał wszystko, czym gardzili.

– Nie, nie chcę kawy – prychnął rozdrażniony. – Jechałem przez cztery godziny w koszmarnym ruchu, ogrzewanie się zepsuło i odpadła jedna z wycieraczek. Chcę ciebie, a potem dużego, mocnego drinka. OK?

Lucy stłumiła irytację i położyła się obok niego. Nie było to łatwe, gdyż w łóżku ledwo sama się mieściła. Już raz spadła, kiedy przewracała się w nocy z boku na bok. Max wcisnął się w ścianę; oparła się na łokciu, patrząc mu w oczy. Poglądził ją po policzku.

– Tęskniłaś za mną, Lucy-Luce? Nie, pomyślała.

– Tak – powiedziała. – Oczywiście, że tęskniłam.

Jego uśmiech powoli znikł i twarz przybrała poważny wyraz, który miał

wyrażać pożądanie. Wyreżyserowana namiętność, oceniła to Lucy, być może niesprawiedliwie. Pocałował ją i zaczął jej ściągać sweter przez głowę.

– Nie chce zejść – jęknęła, kiedy T-shirt, który miała pod spodem, zatrzymał się na uszach.

Max szarpnął i oboje sturlali się na podłogę, zrzucając ze stolika nocnego kubek z niedopitą kawą.

– To szczyt wszystkiego! – rozzłościł się Max. – Może pójdziemy do hotelu?

– Nie stać nas na hotel – zaproponowała Lucy.

– Tato dał mi złotą kartę American Express. Mogę nią zapłacić, nie będzie miał nic przeciwko temu.

Lucy patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Jak tak, to możesz mnie wziąć na kolację – powiedziała.

Wskoczyła z powrotem na łóżko i ściągnęła podkoszulek.

poniewczasie przypominając sobie, że nie ma pod spodem stanika. Zawstydziała się i wśliznęła pod kołdrę.

Max, nie odrywając od niej oczu, zdjął granatowy blezer i muszkę, i zaczął rozpinąć koszulę. Wyglądała na wyprasowaną. Lucy nie prasowała niczego od miesięcy. Max odwrócił się tyłem i zdjął spodnie. Zapomniała już, jakie piękne ma ciało. Wsunął się obok niej i poczuła ciepło jego skóry.

– Tęskniłem za tobą – szepnął jej do ucha.

Lucy miała szaloną ochotę się roześmiać. Dlaczego on podchodzi do tego z taką powagą? Zamknęła oczy i postanowiła poddać się chwili. Zaczynała właśnie się rozluźniać, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem.

– Co do chole... – Max się odwrócił.

– Cześć – powiedziała Annie. Lucy wyjrzała spod niego.

– Annie, mogę cię przeprosić?

– Proszę bardzo. – Annie w najmniejszym stopniu nie straciła kontenansu. – Potrzebne mi są twoje notatki na temat Coleridge'a. Muszę napisać esej, bo nasz profesorek wypieprzy mnie z seminarium. Masz może je gdzieś tutaj? – Zaczęła buszować po biurku.

– Annie... eee... to jest Max – pisnęła Lucy.

Max zsunął się z niej i z trudem starał się przewrócić na bok pod kołdrą.

– Miło mi – powiedziała Annie. – Pozwolisz, że nie będę ścisnąć ci dłoni.

Max się roześmiał.

– Do zobaczenia później – dodała. – Wpadniecie do baru na harcerzyka? – Zniknęła za drzwiami. – No to na ra.

- Kto to był, na miły Bóg? – spytał Max. – I co to, do cholery, jest harcerzyk?
- To Annie. Moja przyjaciółka. Poznasz ją później.
- Wszyscy tutaj mają nie po kolei w głowie – oświadczył.

Kiedy dużo później wyszli razem z pokoju, Lucy była nadal w stanie lekkiej hysterii na wspomnienie Maksa, który w samym ręczniku na biodrach powędrował korytarzem do łazienki i zapomniał się zamknąć. Niestety, w tym samym czasie najbardziej myszowata z myszy, Fiona, też postanowiła wziąć prysznic. Otworzywszy drzwi, natknęła się na godny pozazdroszczenia widok nagusieńkiego Maksa.

– Uuuch... – pisnęła.

Max obdarzył ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem; jego wspaniała męska postać musiała jednak nieco ucierpieć w jej oczach poprzez fakt, że miał na głowie kwiecisty czepek kąpielowy Lucy.

– Zaraz wychodzę – powiedział. – Możesz poczekać, jeśli chcesz.

– Nic by mnie to nie obeszło – relacjonowała później z przejęciem Fiona swojej przyjaciółce, Emily – gdyby nie to, że używał mojego mydła.

Kiedy Lucy operowała suszarką przy schylonej nisko głowie – nosiło się dużo włosów, Annie właśnie zrobiła sobie trwałą, w której wyglądała jak kakadu w stanie permanentnego zdziwienia – Max rzucił:

– Umówiłem nas na wieczór z Julesem i jego kumplami. – Leżał na łóżku w samych bokserkach, czytając *Beowulfa*. – Straszne gówno – powiedział, rzucając książkę na podłogę. – Czemu to nie jest po angielsku?

– To jest po angielsku – zdenerwowała się Lucy. – Po staroangielsku. Och, zamknij się! – syknęła, widząc przez spuszczone pasma jasnych włosów, że Max się z niej śmieje.

– Stałaś się nieludzko poważna, Lucy-Luce – powiedział, pociągając ją za gumkę od majtek. Kiedy zaczęła wkładać swoją ulubioną długą, białą, koronkową spódnice, popatrzył z niedowierzaniem: – Chcesz w tym wyjść?

– Oczywiście – odparła zaczepnym tonem. – A bo co?

Rozległo się walenie do drzwi, które były teraz zamknięte na klucz. Klamka poruszyła się i usłyszeli zirytowany głos Annie:

– Lucy, idziemy do baru, a potem do Piekiełka. Przyjdziecie? Max skrzywił się i pokręcił przecząco głową.

– Jasne! – odkrzyknęła Lucy. – Zobaczymy się później.

– I przestańcie się bzykać! – zawołała Annie na pożegnanie. – Bo powiem portierowi.

Usłyszeli stukot jej szpilek na linoleum korytarza i zduszone przekleństwo, kiedy coś upuściła.

– Masz czarujących przyjaciół – powiedział Max. – Wszyscy są tacy?

– Dobry Boże, nie – odparła Lucy. – Tylko Annie jest taka dystygowana.

Chcąc nie chcąc, Lucy dała się zaciągnąć na spotkanie do nowo otwartej winiarni na Deansgate. Jej paczka nigdy tam nie chodziła, bo drinki były trzy razy droższe niż w barze studenckim i lokal zaanektowała grupa „bogatyh bubków”, którzy starali się udawać, że są w Oksfordzie.

Już z ulicy usłyszała ryki i głośne wybuchy śmiechu, a jak weszli, zobaczyła Julesa i jego przyjaciół rozpartych na krzesłach, z nogami na stole pełnym niedopitych szklanek i zmiętych pudełek po papierosach.

Max podkraść się i podciął krzesło pod Julesem, który wylądował na podłodze.

– Ty cholerny draniu! – wrzasnął.

Kelnerka, którą była studentka drugiego roku, wzniosła oczy do nieba z rozpaczą. Lucy posłała jej współczujące spojrzenie.

– Jules, pamiętasz Lucy...

Lucy uśmiechnęła się do rozciągniętej na podłodze postaci, rozcierającej nogę.

– Cześć – powiedziała.

Jules podniósł się i oszacował ją pełnym uznania wzrokiem.

– Poznaj naszą paczkę – powiedział. – Jonno, Sebastian, Michael i Sophie.

Zwróciły się na nią cztery pary niezbyt przyjaznych oczu. – Cześć, cześć...

– Jesteście wszyscy z politechniki? – spytała. Nie miała nic złego na myśli, ale zabrzmiało to jak krytycyzm.

Zignorowali ją.

– Czego się napijesz? – spytał Max.

– Piwa – powiedziała. Spojrzał na nią ze zgrozą. – Starcza na dłużej i jest o wiele tańsze – wyjaśniła.

Po godzinie słuchania opowieści o niezwykłych pijackich wyczynach Julesa, Sebastiana, Jonna i Maksa, miała ochotę położyć się i umrzeć. Składały się z wesołych anegdotek o rozbitych samochodach rodziców, skokach do basenu w pełnym ubraniu, wybitych oknach w cieplarni i zasypianiu w różnych dziwnych miejscach. Jules właśnie zakończył kolejną historyjkę o tym, jak jego brat, ledwo

został sprzedawcą Aston Martina w Londynie, rozwalił nowy samochód po całonocnej bibie, po czym wysiadł, obejrzał wrak i powiedział po prostu: „W porządku, koledzy, to wóz służbowy”. Wszyscy przy stoliku wybuchnęli śmiechem, a Lucy nie wytrzymała i wstała.

– Max, obiecałam Annie, że do nich dojdziemy...

Odwrócił się do niej z wyrazem irytacji, który się rozplątał na widok jej wściekłej miny.

– OK, rozumiem – powiedział. – Chodźcie, chłopaki, pójdziemy poznać kulturę północy.

Podnieśli się i wysypali na ulicę. Studentka dorabiająca sobie jako kelnerka z ulgą odprowadziła ich wzrokiem. Za kogo oni się mają? Skąd to wyobrażenie, że wszystko im wolno?

W przeciwieństwie do winiarni, bar studencki był ciemny i obskurny. Lucy wypatrzyła Annie z paczką w ich zwykłym kącie, nad opróżnionymi kuflami.

– Przyniosę piwo – zaofiarował się Max.

Lucy stanęła skrepowana nad siedzącymi przyjaciółmi, z grupą Julesa za plecami.

– Annie, Flo, Nick, Pete, Simon... a to Jules i...

Przedstawili się sobie, mierząc się nieufnym wzrokiem. Nastąpiło szuranie krzesłami, kiedy jedni robili miejsce drugim. Eleganckie sztruksy wcisnęły się obok wytartych dżinsów. Sophie, w białej bluzce z perełkami od Laury Ashley, wsunęła nogi w bordowych aksamitnych rybaczkach obok kupionej na starzyźnie jedwabnej spódnicy Annie, zwieńczonej niemożliwie wyszarganą dżinsową kurtką Pete'a, z którym Annie aktualnie spała. Pete był miłym facetem, ale Lucy nie zdobyłaby się na to, żeby z nim spać. Bardzo wysoki i chudy jak patyk, ubierał się od stóp do głów na czarno i farbował na czarno włosy, co w połączeniu z jego niezwykłą bledością sprawiało nieodparte wrażenie, że ma się do czynienia z młodym, melancholijnym grabarzem. Pete pochłaniał niewiarygodne ilości substancji halucynogennych, a w braku tychże wchłonał w zeszłym tygodniu słoik lekarstwa na astmę, co się skończyło wizytą na pogotowiu.

Max wrócił z czterema kuflami piwa. Paczka Lucy zaczęła przewracać kieszenie w poszukiwaniu drobnych.

– Nie, nie – powstrzymał ich Max. – Ja stawiam.

Popatrzyli na niego jak na wariata. Wszyscy zawsze sami kupowali sobie piwo.

Max wcisnął się obok Lucy.

– Słyszałem, że byłaś w Cheltenham – zwrócił się uprzejmie do Annie. –

Wobec tego musisz znać...

Nie było to najszcześniejsze nawiązanie rozmowy. Annie, która nie chciała mieć nic wspólnego ze swoim mieszczańskim wychowaniem, niemal już uwierzyła, że chodziła do szkoły w dzielnicy robotniczej Moss Side. Zignorowała go kompletnie i odwróciła się z powrotem do Pete'a.

– Oczywiście, nie to miałam na myśli, ty idioto, ironizowałam tylko, jasne, że nie sprzedałam duszy...

Pete, który już wszedł na orbitę dzięki taniej marokańskiej trawce, kiwał tylko tępo głową, strzepując popiół ze skręta do popielniczki Manchester United. Jules, obok niego, zaciągał się ponuro papierosami Benson and Hedges.

– Mówię poważnie, kurna, a ten pieprzony gliniarz powiedział...

– Ale w sensie egzystencjalnym...

– Goły! Goły jak pieprzony święty turecki na masce alfa romeo!

Lucy patrzyła na nich z rozpaczą. Jej przyjaciele najwyraźniej uznali grupę Julesa za bandę kompletnych dupków. Kopnęła Pete'a w kostkę i wbiła w niego wściekły wzrok. Pete westchnął i zwrócił się do Julesa:

– Gdzie studiujesz?

– W Bristolu – odparł Jules z dumą.

– Nie dostałeś się do Oksfordu, co? – skwitował Pete i znów odwrócił się do niego tyłem.

Lucy musiała walczyć ze sobą, żeby nie parsknąć śmiechem w obrażoną twarz Julesa. Łączenie ich razem to był wielki błąd.

– Max – Lucy klepnęła go w ramię – jesteś pewien, że chcesz iść do klubu? Jestem już zmęczona.

– Tak, chodźmy – upierał się, rozochocony po wypiciu pięciu piw.

Musieli stać zimną nocą w kolejce, żeby się dostać do środka. Wielki, czarny wykidajło z ogoloną głową i założonymi na brzuchu rękami blokował drzwi. Kiedy wchodzili, obejrzał Lucy lubieżnie od stóp do głów. Nerwowo poprawiła koronkową spódnicę, która była dość obcisła.

– Wpiszcie się – powiedział beznamiętnie bramkarz.

Pomięta strona, zagryzmołona żartobliwymi imionami, była poplamiona krwią. Sophie, która wypijała około dwunastu szprycerów, szła podtrzymywana przez Julesa i Jonna, którzy również chwiali się na nogach. Wszyscy się wpisali i pokazali legitymacje studenckie. Max zapłacił za Lucy, co kazało Pete'owi rzucić nerwowe spojrzenie na Annie, ale ona już zapłaciła za siebie.

Kiedy schodzili po schodach, hałas i żar uderzyły ich jak obuchem. W środku

było gęsto od falujących ciał.

– Muszę do łazienki – jęknęła Sophie.

– Nie radzę – powiedziała Lucy.

Po kilku minutach Sophie wyszła z toalety z wyrazem niekłamanej grozy.

– Podłoga lepi się od czegoś obrzydliwego i wieki całe nie mogłam się dostać do żadnej kabiny – powiedziała. – Nie wiem.

co oni tam robią. A potem z jednej wyszły trzy dziewczyny naraz.

Annie popatrzyła na nią z politowaniem.

– Chodź, idziemy zatańczyć – pociągnęła Pete’a.

Zaczęła szaleńczo podskakiwać, podczas gdy on stał nieruchomo, z zamkniętymi oczami, i jedynym ustępstwem, jakie robił na rzecz sztuki tańca, było niemrawe falowanie palcami.

Reszta ich grupy stała ciasno zbita, nie mogąc rozmawiać z powodu ogłuszającej muzyki. Trzymali kurczowo szklanki z piwem, które co chwilę ktoś potrącał i wylewał. Lucy była mokra od potu, tym bardziej że miała narzucony na siebie swój wyleniały futrzany płaszcz.

– Usiądźmy gdzieś! – wrzasnął jej Max do ucha.

– Gdzie? – odkrzyknęła bezradnie.

Było tylko kilka miejsc do siedzenia na beczkach wokół lepkich, koślawych stolików, a na każdej beczce siedziały już co najmniej dwie osoby. W końcu Lucy miała dość i wyciągnęła Maksa na lodowate nocne powietrze. Zdjął z siebie sweter i dał jej, żeby go zarzuciła na swoje futerko. Lucy była zdumiona. Żadnemu z jej przyjaciół nic podobnego nie przyszłoby do głowy, bo zostałoby poczytane za gest seksistowski.

W jej pokoju kochali się bez słowa, a Max był o wiele subtelniejszy i powściągliwszy niż przedtem. Obudziła się przed nim, kiedy poranny brzask zaczął przenikać przez firanki. We śnie wyglądał jak dziecko, niemal bezbronne. Ale Lucy czuła, że nie jest już taka, jaką chciałby ją widzieć, i ze zdumieniem odkryła, że nawet teraz, w tej intymnej chwili, czeka, aby wyjechał.

Rozdział 7

Z ostaw mnie w spokoju... – Annie, proszę cię. Od wieków nic nie jadłaś. Lucy przykucnęła przy łóżku Annie w jej zaciemnionym i zatechłym pokoju. Na krześle leżał stos ubrań, podłoga była zasłana popielniczkami i brudnymi kubkami po kawie. Na stoliku nocnym stała szklanka z resztką czerwonego wina i pływającym w niej petem. Lucy skrzywiła się i odstawiła szklankę na podłogę. Na jej miejsce postawiła talerz z fasolką pomidorową na grzance, którą podkraśla myszom i przygotowała w pokoju rekreacyjnym.

– Musisz wstać. Od tygodnia nie byłaś na wykładach i profesor przyparł mnie dzisiaj do muru, co się z tobą dzieje. Nie przyszedłaś we wtorek na seminarium z seksownym doktorem Ashworthem, a sama wiesz, jak lubisz patrzeć na jego tyłek. No i miałaś oddać ten esej o Coleridge’u najpóźniej w zeszłym tygodniu. Wstawaj!

– Lucy podniosła brzeg kołdry.

– Nie! – wrzasnęła Annie, przyszpilając palcami przykrycie do materaca. – Mam to gdzieś.

– Jesteś głupia – ciągnęła Lucy. – Nie jest tego wart. Sama mówiłaś, że nawet go zbytnio nie lubisz. I że jest beznadziejny w łóżku.

– Bo jest – dobiegł ją zduszony głos Annie. – To nie o to...

– Więc o co? – zniecierpliwiła się Lucy.

Wstała i rozsunęła zasłony. Annie zaciągnęła kołdrę wyżej na głowę.

– Zostaw to!

Do pokoju wpadł snop światła, bezlitośnie oświetlając różne stopnie rozkładu na talerzach z niedopałkami i należące do myszy kubki, teraz brudne i lepkie. Na biurku leżał stos notatek i poplamiona winem kartka, na której Annie zaczęła pisać swój esej. Lucy zabrała się do sprzątnięcia.

– Wstawaj. Po południu pójdziemy na wykład, a potem do biblioteki. Będę nad tobą stać, dopóki nie napiszesz tego cholernego eseju. Musisz go oddać przed końcem semestru.

– Przestań mną rządzić.

– Ktoś musi. Annie, proszę cię, weź się w garść. To niepodobne do ciebie, przecież nigdy się nie poddajesz. Jak skończysz ten esej, pójdziemy poszaleć. W centrum sztuki pokazują *Eraserhead*. Chciałaś to zobaczyć.

– Annie jęknęła, przewróciła się i wbiła wzrok w ścianę.

– To dopiero mnie wykończy – powiedziała z nikłym uśmiechem.

– Annie, czy chodzi tylko o Pete’a?

Lucy dopiero teraz zauważyła obok śladu po szklance z winem jakiś list na eleganckim kremowym papierze, napisany równym, starannym pismem.

Annie wychyliła się spod kołdry i pochwyciła go pospiesznie.

– Nie chcę się wtrącać – powiedziała Lucy. – Ale się martwię.

– Jezu, Chryste! – Annie usiadła na łóżku, owijając się kołdrą. Miała na sobie wyciągnięty czerwony T-shirt. – To od mojej matki. Posłuchaj tylko: „W świetle twojego zachowania – przeczytała, imitując swój dawny akcent panienki z dobrego domu – ojciec uważa, że nie nadeszła jeszcze stosowna pora na twój przyjazd do domu”. – Zmiała list.

– Co zrobiłaś? – spytała Lucy miękko.

– No, wyjechałam do Izraela. – Annie wzruszyła ramionami. – Przyłapali mnie w szkole na narkotykach. Pozwolili mi zrobić maturę, ale zaraz potem uciekłam. Rodzice po mnie przyjechali i robili wokół całej sprawy takie cholerne halo, że nie mogłam z nimi wytrzymać. Nie byłam w stanie jechać do domu. Mój kochany tatuś jakoś to wszystko zatuszował, dla dobra swojej kariery, ma się rozumieć. Mam trochę własnych pieniędzy w funduszu powierniczym, udało mi się część wyjąć i całe lato jeździłam po świecie. Mama zadzwoniła w zeszłym tygodniu i wszystko było dobrze, dopóki znów nie zaczęła śpiewki, jak zmartwiłam ojca i zawiodłam całą rodzinę. Wkurzyłam się, że nie może sobie tego darować, i odłożyłam słuchawkę. Dajmy temu spokój, Lucy. To nieważne.

– Możesz pojechać do mnie – powiedziała Lucy, niezbyt pewna, jak jej rodzice to przyjmą. Wiedziała jednak, że jakoś to będzie, Caroline nie potrafiłaby znieść myśli o tym, że jej koleżanka jest chwilowo bezdomna, choćby nawet wyglądała bardzo dziwnie.

– Nie, dzięki. Nie wnosiłabym w tej chwili z sobą zbyt wiele życia i radości. Mogę zostać tutaj, Nick ofiarował mi miejsce na podłodze w swoim mieszkaniu. – Wyprostowała zmiętą powłóczkę na kołdrze drżącymi, bladymi rękami. – Nie wiem jeszcze, czy wrócę na uczelnię w przyszłym semestrze, to wszystko jest takie – cholernie nudne. I pełno tu dupków. Chciałabym znów gdzieś wyjechać. – Przeczesała palcami sterczące i nieco tłuste, jasne włosy. A potem obdarzyła Lucy cudownie niewinnym i pełnym wdzięku uśmiechem. – Pojedziesz ze mną? Lucy oddała jej uśmiech.

– Wiesz, że nie mogę.

– Konformistka! – prychnęła Annie, opadając z powrotem na poduszkę. – Czy kiedykolwiek zrobisz w życiu coś choć odrobinę ekscytującego, panno Lucy

Beresford?

– Odpieprz się. I wstawaj.

Zbierając brudne naczynia, Lucy pomyślała, że Pete wybrał nie najlepszy moment, żeby zerwać z Annie. Oświadczył, że chce uporządkować sobie parę spraw, co było chyba, jej zdaniem, zadaniem zbyt ambitnym.

– Weź ciepłą kąpiel – powiedziała. – To cię postawi na nogi!

Annie, po raz pierwszy od dawna, wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Stało się – stwierdziła Lucy ponuro. – Jestem moją matką.

W ciągu następnych paru dni Annie nieco się rozpogodziła. Chodziła na wykłady, pod czujnym okiem Lucy skończyła pisać esej i poszły razem obejrzeć *Eraserhead*. Film był okropny. Jedna z głównych postaci robiła właśnie coś ohydneho z ołówkiem i kurczakiem, kiedy Annie syknęła:

– Spływamy. Chodźmy się upić.

Kupiły w sklepie nocnym butelkę dżinu i parę toników, i pobrzękując siatką, wróciły do akademika. Po drodze spotkały Nicka, którego wzrok znacznie się ożywił na widok dżinu.

– Nic z tego – powiedziała Annie. – Wieczór panieński.

Siedząc na podłodze, oparta plecami o łóżko Annie, Lucy wysłuchiwała historii jej życia, opowiedanej dość chaotycznie. Usłyszała o starszym bracie, Sebastianie, bardzo zdolnym studencie ostatniego roku prawa w Cambridge, i o pięknej młodszej siostrze, Alexandrze, która była jeszcze w szkole w Cheltenham. A także o aborcji w ostatniej klasie liceum. Na koniec obie się rozkleiły i zaczęły chlipać pijackimi łzami.

– Kocham cię – oświadczyła Annie, obejmując ją czule.

– Ja też cię kocham. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. – Przyłgnęły do siebie w rozpaczliwym uścisku.

– Lepiej już pójdę – powiedziała Lucy, starając się podnieść.

Podłoga podjechała jej pod twarz. – Uuup... – sapnęła i popęzła na czworakach w stronę drzwi. – B’ranoc – dodała, wypadając na korytarz.

Leżała na linoleum i próbowała sobie przypomnieć, gdzie jest jej pokój.

– Dobranoc! – krzyknęła Annie przez drzwi.

– Nie mogę wstać! – syknęła Lucy, chichocząc głupkowato. – Będę musiała spać na korytarzu.

Nazajutrz rano obudziła się z głową ciężką jak worek cementu. Ciężyły jej

powieki i ciało miała jak z ołowiu. Spróbowała poruszyć nogami. W porządku. To znaczy, że nie jest całkowicie sparaliżowana. Szparkami oczu zerknęła na zegarek przy łóżku. Jezu, jest już po dwunastej! Opuściła dwa wykłady. Jęknęła i zdała sobie sprawę, że leży w pełni ubrana na kołdrze. Wzrok miała zamglony, bo nie zdjęła na noc szkieł kontaktowych.

Przebrała się mozolnie, spryskała twarz wodą i powlokła się korytarzem do ubikacji. Musi obudzić Annie.

Zapukała do jej drzwi, ale odpowiedziała jej cisza. Były zamknięte od środka, więc Annie musiała tam być.

– Annie! – syknęła przez drzwi, czując, że głowa jej pęka. Wstawaj. Czuję się okropnie. A ty? – Brak odpowiedzi. – Annie! krzyknęła. – Obudź się!

Nadal cisza. Mieszkały na trzecim piętrze, więc nie mogła zajrzeć przez okno. Trzymając się za głowę, zeszła po schodach. Na zewnątrz policzyła, które okno należy do Annie. Było zasłonięte, lecz nieco uchylone. Rzuciła kamykiem, ale chybiła. Spróbowała jeszcze raz, tym razem celnie. Jednak nadal nie wywołało to śladu życia.

Zaczęła wpadać w panikę. Tylko trup nie obudziłby się po takim szturmie. W pobliżu nie było nikogo, kogo mogłaby prosić o pomoc. Wróciła do budynku i zaczęła walić w każde drzwi po drodze. Wszyscy byli na wykładach. Wybiegła z powrotem i skierowała się pędem do męskiego akademika po drugiej stronie ulicy. Może będzie tam jakiś strażnik, sprzątaczką albo ktoś, kto będzie miał klucze.

– Uważaj! – Ktoś chwycił ją za ramię, gdy tuż obok przemknął samochód, prawie się o nią ocierając. – Nic ci się nie stało?

– Nie, nie, ja tylko... – Obejrzała się i zobaczyła wysokiego chłopaka z długimi ciemnymi włosami. Miał bladą twarz i niemal czarne oczy. W jednej ręce trzymał notes, drugą miał nadal zaciśniętą na jej ramieniu.

– Możesz mi pomóc? – spytała bez namysłu. – Chodzi o moją przyjaciółkę, ona... Boję się o nią, pokój jest zamknięty i nie mogę jej dobudzić.

– Nie widzę w tym nic niepokojącego – uśmiechnął się chłopak. – Mam to samo z większością przyjaciół.

– Nie, naprawdę... – Lucy była bliska łez. – Ostatnio przeżywała kryzys i boję się, czy...

– Gdzie ona jest? – spytał.

Mówił spokojnie i bez pośpiechu, miał miły, głęboki głos, o lekko północnym akcencie, ale nie manchesterskim. Bardziej z okolic podmiejskich.

– Tu, w St Margaret's. Wiem, że to brzmi głupio, ale czy mógłbyś się

pośpieszyć?

Pociągnęła go pędem do akademika i w górę po schodach.

– Tu jest jej pokój – powiedziała bez tchu. – Annie! – krzyknęła, szarpiąc klamkę. – Annie, proszę, obudź się!

Żadnego odzewu.

– Mógłbyś wyłamać drzwi?

– Jasne, ale czy jesteś pewna, że ona tam jest? Bo może wyjść nieco głupio.

– Jestem pewna. Annie nigdy nie zamyka drzwi na klucz, kiedy wychodzi.

– OK – powiedział. – Na twoją odpowiedzialność.

Zebrał się w sobie i napałł ramieniem na drzwi. Pchnął raz i drugi, trzymając się klamki, ale drzwi ani drgnęły.

– Musimy zastosować bardziej radykalne środki. – Z tymi słowami walnął całym ciałem o drzwi, ale i to nie dało rezultatu.

– Jasna cholera! – zaklął, rozcierając ramię.

Na drewnie przy zamku pokazały się pęknięcia.

– Spróbuj jeszcze raz! – błagała Lucy.

Znów z całą siłą zaatakował drzwi – tym razem z głośnym trzaskiem ustąpiły i oboje wpadli do środka. Panował tu półmrok, zaciągnięte zasłony poruszały się lekko na wietrze. Kołdra była wybrzuszona. Lucy podbiegła do łóżka i ściągnęła ją jednym ruchem.

Annie leżała z głową odrzuconą do tyłu, z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami. Była blada jak śmierć.

– O Boże! – jęknęła Lucy. Chwyciła ją za ramiona i delikatnie potrząsnęła. – Annie, obudź się...

Annie była bezwładna jak szmaciana lalka. Poduszkę pokrywały wymioty, a na podłodze leżała otwarta mała brązowa buteleczka.

Chłopak odepchnął Lucy i chwycił Annie za przegub.

– Przedawkowała narkotyki. Dzwon po pogotowie. Szybko!

Lucy stała jak wrośnięta w ziemię. Nie mogła się poruszyć.

Zakręciło się jej w głowie od tego widoku, od zaduchu panującego w pokoju.

– Idź już! – wrzasnął chłopak.

Wyrwała się z odrętwienia. Zbiegła po schodach do telefonu w hallu, wykręciła 999 i starając się panować nad głosem, podała adres.

– Tylko przyjedźcie szybko! – błagała, a łzy ciekły jej po policzkach.

– Przyjediemy, kotku, nie martw się – uspokoił ją ciepły głos o manchesterskim akcencie.

Wróciła do pokoju. Chłopak owinał Annie w kołdrę i wziął ją na rękę. Zobaczyła tylko białka jej oczu, kiedy ją wynosił.

– Boże, Boże – powtarzała. – Coś ty zrobiła?

Na dole w hallu minęli parę zdumionych studentek, wychodząc naprzeciw syrenie ambulansu. Bez zastanowienia oboje wskoczyli do środka obok Annie. Lucy opowiedziała po drodze, co się stało. Gdy mknęli po zatłoczonych ulicach, pomyślała: Wszędzie wokół życie aż kipi, a Annie...

– Jeszcze oddycha – powiedział sanitariusz, zakładając Annie maskę tlenową. Lucy trzymała przyjaciółkę mocno za rękę.

W szpitalu stracili ją z oczu. Usiedli na pomarańczowych plastikowych krzesłach w poczekalni.

– Chcesz kawy? – spytał chłopak, sięgając do kieszeni po drobne.

– Poproszę – powiedziała Lucy.

Czuła się strasznie. Kac, zmęczenie, przerażenie – jakby życie stanęło na głowie. Popatrzyła na zegarek. Powinna być teraz na wykładzie. Nikt z ich przyjaciół nic nie wie – siedzą, ziewając, robiąc notatki, rysując esy-floresy, a Annie tu umiera. To się wydawało nierealne. Świat zwariował.

– Dzięki. – Sięgnęła po parujący plastikowy kubek.

– Słodzisz?

– Tak, nie... Sama nie wiem... – Wybuchnęła płaczem. Boże, przepraszam...

Chłopak odstawił swój kubek obok krzesła, przyklęknął i delikatnie ją objął.

– Wylizę się z tego – powiedział. – Nie wzięła wszystkiego. Lucy pochyliła się nad nim, dotykając twarzą jego włosów.

– Dziękuję – szepnęła.

Podniosła wzrok i ich oczy się spotkały. Miał niezwykle oczy, czarne i lekko skośne. Jego skóra pod ciemnym zarostem była bardzo blada. Jaka piękna twarz, pomyślała Lucy mimo woli i zaraz się tego zawstydziała.

– Proszę państwa...

W drzwiach stała pielęgniarka.

– Czy to państwo przyjechali z tą młodą dziewczyną? – Zerknęła na trzymaną w ręku kartę. – Z Anną Rosco?

– Tak. – Lucy wstała. – Co z nią? Jak się czuje?

– Ma pani telefon do jej rodziców?

– Nie. Ale wiem, że mieszkają w Londynie, w Chelsea, a jej ojciec jest sędzią.

– Trzeba się skontaktować ze Stowarzyszeniem Prawników – wtrącił chłopak. – Na pewno go odnajdą.

- Możemy się z nią zobaczyć?
- Jeszcze nie teraz.
- Szkoda. Na pewno musisz już iść – zwróciła się Lucy do chłopca.
- Upiekło mi się seminarium. – Usiadł na krześle. Spojrzał na nią spod oka i uśmiechnął się lekko. – Jestem Rob. Rob Atkinson.
- Lucy – odpowiedziała ze zmęczonym uśmiechem. – Lucy Beresford.
- Poczekam z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko temu.
- Nie, nie mam – powiedziała.

Rozdział 8

Czekali całą wieczność w ponurej, małej poczekalni, pijąc kawę o chemicznym smaku. Lucy, zdając sobie sprawę, że musi wyglądać okropnie, poszła poszukać łazienki. Nawet korytarz był tu przesycony metalicznym, ostrym zapachem, a jaskrawe, neonowe światło potęgowało jej ból głowy. Co za koszmarnie miejsce, żeby w nim chorować, pomyślała.

W łazience spryskała twarz wodą i ignorując tabliczkę z napisem: „Woda niezdatna do picia*”, zmoczyła usta. Zaraz potem ogarnęła ją panika, że zarazi się chorobą legionistów. A może te bakterie rozprzestrzeniają się przez urządzenia klimatyzacyjne?

Lustro potwierdziło jej najgorsze obawy – miała ogromne, czarne obwódki wokół oczu, rozmazany tusz i włosy przetłuszczone u nasady, bo nie zdążyła ich umyć. Nie umyła nawet zębów i czuła w ustach obrzydliwy smak. Musi uważać, żeby na niego nie chuchać. Przyłożyła dłoń do twarzy i powąchała swój oddech. Faj. Jej twarz była poszarzała i jedyne, co mogła zrobić z włosami, to przeczesać je ręką. Zwisały smętnie po bokach jak uszy spaniela. Ten chłopak musi mi tylko współczuć, pomyślała.

Kiedy wróciła, przeglądał jedno z tych pism, których się nigdy nie kupuje, a które zalegają w strzępach stoliki wszystkich poczekalni.

– Czy wiedziałaś, że chomik potrafi codziennie zjeść tyle, ile sam waży? – spytał.

– Nie miałam pojęcia – przyznała, uśmiechając się po raz pierwszy od wieków. W drzwiach pokazała się pielęgniarka.

– Wasza przyjaciółka wyzdrowieje. Zrobiliśmy jej płukanie żołądka, więc nie czuje się teraz najlepiej, ale jest przytomna. Chcecie ją zobaczyć?

– Ja tu zostanę – powiedział Rob.

Lucy podziękowała mu wzrokiem. W tak krótkim czasie stał się dla niej ostoją. Była w nim siła i kojący spokój.

– Czy szpital skontaktował się z jej rodzicami? – spytała pielęgniarkę, kiedy szły korytarzem. Dlaczego pielęgniarki zawsze chodzą tak szybko?

– Tak. Zdaje się, że są już w drodze. W każdym razie jej matka. Nie wiem, jak z ojcem.

Annie leżała w sali na końcu korytarza, oddzielona częściowo parawanem. Na sąsiednich łóżkach jęczały, chrapały i stękały stare kobiety.

– Mieliśmy miejsce tylko na oddziale geriatrycznym – wyjaśniła pielęgniarka.

Cudownie, pomyślała Lucy. Jakaś staruszka, bezzębna i łysiejąca, chwyciła ją szponiastą ręką za ramię.

– Wiesz, kim jestem?

– Dobrze już, dobrze, Margaret... – Pielęgniarka poklepała ją uspokajająco. – Wracaj do łóżka.

Lucy niepewnie podchodziła do przyjaciółki – nie miała pojęcia, co powiedzieć. Annie leżała z twarzą odwróconą do ściany. Nadal była w swoim czerwonym podkoszulku. Wokół unosił się przenikliwy zapach wymiotów i środków odkażających.

– Annie – odezwała się Lucy miękko.

Annie powoli się odwróciła. Miała twarz bladą jak alabaster i pokrytą cienką warstwą potu. W kąciu jej oka pokazała się łza i jak kropla deszczu na szybie spłynęła, po policzku, a potem na wystrzępione białe prześcieradło.

Lucy ostrożnie przysiadła na łóżku, na żółtym kocu w kratkę – zupełnie jak kocyk dziecka, pomyślała.

Annie nic nie mówiła, patrzyła tylko na nią bez słowa. Lucy wytarła drugą łzę, która zawisała jej na rzęsach.

– Widziałam cię już w lepszym stanie – powiedziała spokojnie.

Annie wolno i z trudem podniosła rękę, żeby wytrzeć oczy. – Czy oni... – Głos miała ledwo słyszalny, ochrypnięty. Przełknęła ślinę.

– Twoja matka zaraz tu będzie.

Annie skrzywiła się.

– Tutaj? – zachrypiała, patrząc na rząd kaszlących i odpluwających flegmę staruszek. – Nie mogę się już doczekać.

Lucy roześmiała się cicho.

– Jak się czujesz?

– A jak myślisz? Wepchnęli mi do gardła rurę grubości szlauchu i zwróciłam wszystko, co jadłam przez ostatni tydzień. A ta pizza była dostatecznie obrzydliwa, kiedy miałem ją w ustach za pierwszym razem.

Lucy prychnęła śmiechem.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytała miękko. Annie odwróciła twarz i nie odpowiedziała.

– Tak mi przykro... Nie powinnam cię była zostawiać.

– Spałaś na korytarzu? – spytała Annie.

– Nie. Dowlokłam się jakoś do siebie, choć Bóg raczy wiedzieć jak. Znowu

podpadłyśmy myszom. Kazań nas wyrzucić.

– I dobrze. Nie cierpię tego baraku. Chętnie się stamtąd wyniosę.

– Najpierw musimy zjeść wszystko, co mają w lodówce – powiedziała Lucy. – I zużyć ich szampony.

– I zedrzeć ich naklejki ze słoiczków z kawą.

– I wsadzić gołych facetów pod wszystkie prysznice.

– I zabrać im misie.

– I spalić ich puchate kapcie.

– Włożyć amfetaminę do ich wypchanych torebek.

– Przestań! – Lucy zakrztusiła się ze śmiechu.

Annie też zaczęła chichotać, lecz nagle urwała. Na korytarzu dał się słyszeć energiczny stukot wysokich obcasów, a potem ostry kobiecy głos, autorytatywny i nie znoszący sprzeciwu.

– Gdzie jest moja córka?

– O kurwa – jęknęła Annie. – Schowaj mnie.

– Jak?

Parawan został zdecydowanym ruchem rozsunięty i do środka wtargnął ostry zapach perfum. Lucy wstała.

– Kochanie!

Kobieta nachyliła się nad Annie i Lucy zobaczyła drogi granatowy żakiet, lśniące kasztanowe włosy zatknięte za ucho i ogromne złote klipsy. Przesunęła się w nogi łóżka.

– Poczekam na korytarzu.

– Nie wychodź... – poprosiła Annie.

Kobieta odwróciła się do Lucy. Była wierną kopią Annie – tylko starannie wymalowaną i z pierwszą zapowiedzią zmarszczek wokół oczu. Miała na sobie wykończony na kremowo kostiumik Chanel, a na szczupłych rasowych nogach w jedwabnych pończochach granatowe czółenka ze złotymi klamkami. Czarna skórzana torebka z zapięciem w kształcie litery C stała oparta o jedną z nóg łóżka.

– Co za okropne miejsce! – powiedziała głośno matka Annie, rozglądając się dokoła. Głos miała tak ostry, że można by nim ciąć papier. – Czemu nie dali ci separatki, kochanie? Zaraz o to zapytam. Jesteś tutaj taka... na widoku. – Jej szczupłymi ramionami wstrząsnął dreszcz.

– Nie jestem aż tak ważnym przypadkiem – powiedziała Annie.

– A powinnaś być, kochanie. Tato to załatwi. Przyjedzie później, prowadzi dzisiaj ważną sprawę. Dzięki Bogu, Christianne użyczyła mi ich samolotu. –

Strzepnęła nieistniejący pyłek ze spódnicy. – Gdzie jest lekarz? Siostro! – krzyknęła głośno w stronę drzwi; Annie skrzywiła się. – Muszę z nim porozmawiać. Siostro! – Odwróciła się z powrotem do Annie i odgarnęła jej włosy z czoła. – To było takie niemądre. Co ci przyszło do głowy?

– Pójdę już – powiedziała Lucy.

Annie chwyciła ją za sweter.

– Nie, nie, nie idź... Mamo, to jest Lucy.

Matka Annie wbiła w nią przenikliwy wzrok; na górnych powiekach miała grubą czarną kreskę, a jaskrawoczerwone usta wyglądały na świeżo pomalowane.

– Pójdę z tobą – oświadczyła. – Muszę znaleźć ordynatora. Kochanie, tato chce, żeby cię przetransportowano samolotem do Londynu. Nie możesz tu zostać.

– Nie! – Annie była przerażona. – Czuję się już dobrze, naprawdę. Powiedzieli, że wypuszczą mnie niedługo do domu.

– Właśnie o tym mówię. Możesz wrócić do domu. Będziemy mieli na ciebie oko.

– Nie możesz mnie zabrać jak paczki. Nie chcę do was jechać.

– Kochanie – głos jej matki przybrał niebezpieczny ton – nie rozmawiajmy o tym teraz, w obecności obcych, dobrze?

Wzięła Lucy pod rękę i wyprowadziła ją na korytarz.

– Czy to ty jesteś jej najlepszą przyjaciółką? – spytała.

Lucy chciała uwolnić ramię, ale matka Annie trzymała ją w żelaznym uścisku.

– Tak sądzę – przyznała.

– Powiedz mi – zażądała pani Rosco – czy to narkotyki? Znowu? Nie masz pojęcia, przez co przeszliśmy z tą dziewczyną. Nie mam siły jeszcze raz tego znosić. Jej ojciec będzie wściekły, za dwa tygodnie mieliśmy być w Meribel. Nie mogło się to stać w gorszej chwili. Teraz ktoś będzie musiał się nią opiekować. Doprawdy, jest taka strasznie samolubna.

Lucy patrzyła na nią zdumiona. To przypominało narzekania na jazdę w korku. Gdyby ona była na miejscu Annie, Caroline siedziałyby przy łóżku, tuląc ją w objęciach, i obie zalewałyby się łzami. A wypacykowana twarz matki Annie nie wyrażała żadnych uczuć.

– Do tego Alexandra, nasza młodsza córka, wraca ze szkoły na święta. Co mam jej powiedzieć? Że jej siostra jest narkomanką?

– Nie jest narkomanką – powiedziała Lucy. – Tylko przeżywała trudne chwile.

– A pani list się walnie do tego przyczynił, miała ochotę dodać.

– Pewno znowu jakieś kłopoty z chłopakiem – prychnęła jej matka. – To też już

znamy.

Lucy miała ochotę strząsnąć jej rękę, zawrócić, wyciągnąć Annie z łóżka i uciec z nią gdzie pieprz rośnie.

Kiedy doszły do drzwi wahadłowych, pani Rosco nagle stanęła. To Margaret, która wyłoniła się z głębi korytarza, uczepiła się desperacko jej drogiej, skórzanej torebki.

– Wiesz, kim jestem? – spytała szeptem, przysuwając usta zlepione śliną tuż do jej twarzy.

– Prawdę mówiąc, nie wiem i wcale nie chcę wiedzieć. Proszę mnie puścić – powiedziała matka Annie, po czym pchnęła stanowczo drzwi.

Obie opuściły oddział, pozostawiając za sobą zdumioną staruszkę, która odprowadzała je wzrokiem przez szybę. Świat, który ją otaczał, stał się jeszcze bardziej niezrozumiały. Ta pani wyglądała tak miło. Margaret chciała poprosić ją o pomoc. Gdyby tylko mogła sobie przypomnieć, kim jest, puściliby ją do domu.

Rob szedł w ich stronę korytarzem. Lucy westchnęła z ulgą.

– Kto to jest? Jej chłopak?

– Uratował jej życie – powiedziała Lucy. – Wyłamał drzwi.

Pani Rosco skrzywiła się z niesmakiem, puściła Lucy i nie racząc mu nawet kiwnąć głową, ruszyła dalej w poszukiwaniu ordynatora.

– Kim jest ta urocza kobieta? – spytał Rob.

– To matka Annie.

– Nic dziwnego, że biedna dziewczyna przedawkowała. Mogę ją zobaczyć?

– Chyba tak.

Wsadziła głowę przez drzwi.

– Możemy jeszcze wejść do Annie?

– Tak – odparła pielęgniarka. – Ale nie siedźcie długo. Ona musi odpocząć.

Weszli cicho do sali. Staruszki na widok mężczyzny podciągnęły wyżej kołdry. Rob uśmiechnął się do nich szeroko.

– Dzień dobry – powiedział wesoło, kłaniając się wiekowej damie w różowej lizesce. Pomachała mu dłonią pokrytą starczymi plamami.

Annie leżała tyłem do nich.

– Annie, to jest Rob. Chciał się z tobą przywitać. To on wyłamał drzwi.

Usłyszeli cichy śmiech, a potem Annie się odwróciła. Jej twarz była jeszcze zalana łzami, ale już malowało się na niej zaciekawienie.

– Wywołałam niezły skandal – stwierdziła nie bez satysfakcji. Usiadła. – Nie wiem, jak się dziękuję komuś za uratowanie życia. Nigdy jeszcze tego nie robiłam.

Obowiązuje tu jakaś etykieta?

Rob uśmiechnął się bez śladu skrępowania.

– Możesz kiedyś odwzajemnić mi się tym samym. Ale ostrzegam cię, ramiona bolą potem jak cholera. Lepiej poszukaj siekiery.

– Będę pamiętała – powiedziała Annie ze śmiertelnie poważną miną.

– No to spadam. Widzę, że już ci lepiej. Zostawiam was same. Może się jeszcze zobaczymy – powiedział, patrząc na Lucy.

– Może – odparła Lucy, czując, że się czerwieni.

Obie odprowadziły go wzrokiem.

– Ja tu umieram, a ty poznajesz zdumiewających mężczyzn? On jest zabójczy. Dlaczego nie spotkałyśmy go wcześniej? Jest taki cudownie niechlujny. Co studiuje?

– Historię i filozofię – powiedziała Lucy marzycielsko.

– Czemu go dotąd nie widziałam?

– Nie mam pojęcia. Chyba mało się udziela. Gra w jakimś zespole.

Zobaczyły, że Rob staje przy drzwiach i wdaje się w poważną rozmowę z Margaret a potem obejmuje ją w pól i prowadzi do łóżka. Staruszka usiadła z błogim uśmiechem na pomarszczonej twarzy, pociągnęła go ku sobie i pocałowała w policzek. Rob uśmiechnął się do niej ciepło, spojrzał w stronę Annie i Lucy i widząc, że jest obserwowany, pomachał im wesoło na pożegnanie.

– Widziałaś to? – Lucy opadła na łóżko Annie.

– Odchrzań się. – Annie zwinęła się w kłębek pod kołdrą. – Chyba właśnie odzyskałam chęć do życia.

–

Rozdział 9

Przed przyjazdem do Manchesteru ani razu nie jechałam autobusem – powiedziała Lucy, patrząc przez zalaną deszczem szybę na mokre ulice i śliskie chodniki, na których skuleni pod parasolami ludzie walczyli z ostrymi podmuchami wiatru.

Rob, który siedział obok, z ramieniem zarzuconym na metalowe oparcie siedzenia za jej plecami, spojrzał na nią zdziwiony.

– Jakim cholernym cudem udało ci się wejść w dorosły wiek i nie zakosztować rozkoszy naszego piętrowca?

– Mama wozila nas wszędzie samochodem.

– Nie wiesz, co to prawdziwe życie, co?

Chwycił ją za końce czerwonego szala, który był teraz szczytem mody – kiedy padało, zakładało się go na głowę i przerzucało jeden koniec przez ramię. Wolno przyciągnął ją do siebie, nie spuszczać z niej kpiącego wzroku. Lucy zamknęła oczy w oczekiwaniu pocałunku. Po chwili otworzyła je zdumiona i zobaczyła, że on zatrzymał się kilka centymetrów od jej twarzy. Serce waliło jej jak oszalałe, miała wrażenie, że zaraz wyskoczy jej z piersi, jak ptaszek z klatki. Rob patrzył na nią bez słowa. Nawet jazda autobusem była z nim wielką przygodą.

Rob żył według innych zasad niż te, które jej wpojono. Nigdy nie spotkała nikogo, kto tak mało poświęcałby uwagi temu, co myślą o nim inni ludzie. Sama, od małego wdrażana do przestrzegania konwenansów towarzyskich, była oczarowana faktem, że on zupełnie nimi się nie przejmuje. Jadł na ulicy. Przychodził na spotkania z nią z potarganymi włosami, których po nocnych szaleństwach nawet nie tknął grzebień. Pluł (co się jej nie podobało) i rozmawiał z każdym tak samo, od profesora po zmiataacza ulic, który go poprosił o ogień. Miał czas dla wszystkich, jak zegarynka.

Rob wpatrywał się w nią przez chwilę, potem opadł z powrotem na siedzenie. Podniósł rękę i zaczął teatralnie wyliczać na palcach:

– Ustalmy więc. Nigdy nie jechałaś autobusem. Nigdy nie grałaś w totka. Nigdy nie jadłaś ryby z frytkami, jak to możliwe?, i nigdy nie dorabiałaś sobie podczas weekendów. Nawet w supermarkecie? Jesteś rozpuszczona – powiedział, przyciągając ją znów do siebie – jak dziadowski bicz. Jaka jesteś?

– Rozpuszczona jak dziadowski bicz – powtórzyła posłusznie.

Po powrocie ze szpitala znalazła kartkę na drzwiach: „Spotkajmy się w barze o ósmej. Margaret wystawiła mnie do wiatru”. Nie było podpisu. Wyczerpana opadła na łóżko. Przepelniała ją jeszcze troska o Annie, ale gdzieś w głębi duszy zaczęła się tlić iskierka szczęścia.

W szpitalu powiedzieli jej, że Annie musi zostać jeszcze na noc, ale na drugi dzień będzie ją mogła zabrać do domu. Przez chwilę miała ochotę poprosić Annie do telefonu, żeby opowiedzieć jej o randce z Robem, uznała jednak, że byłoby to trochę nie fair.

Wchodząc do baru studenckiego, zobaczyła Roba pogrążonego w ożywionej rozmowie z barmanem. Miał na sobie wytarte czarne levisy, brązowe kowbojki i granatowy sweter z wielką dziurą na łokciu. Przez ramię przerzucił zniszczoną kurtkę motocyklową z czarnej skóry. Spojrzał na nią dopiero, kiedy znalazła się tuż przy nim.

– Cześć – powiedziała nieco zdenerwowana.

Pociągnął długi łyk piwa.

– Przepraszam, czy my się znamy? – spytał. – Nigdy nie widziałem tej kobiety na oczy, a ty? – zwrócił się do barmana, który potrząsnął głową z szerokim uśmiechem. – Czekaj, czekaj... – Klepnął się dłonią w czoło. – Teraz sobie przypominam. To ty kazałaś mi wyłamać drzwi, prawda?

– Tak, to ja – powiedziała z uśmiechem.

– Mówiłem ci, że jej wygląd zwiastuje kłopoty – zwrócił się konfidencjonalnie do barmana, geja, który patrzył w niego jak w księżyc.

Rob kupił jej kufel piwa, okręcił ją w kółko i poszli usiąść na sali.

– Jak się ma twoja przyjaciółka? – spytał.

– Miała się już dobrze, jak wychodziłeś – powiedziała Lucy wolno – ale potem wróciła jej cholerna matka i zaczęła rozstawiać wszystkich po kątach. Zdaje się, że postanowiła zabrać Annie do domu. Nie wiem, czy Annie się zgodzi, ma jakieś koszmarnie stosunki z rodzicami. Strasznie mi przykro, że nie mogę jej pomóc. Czułam się okropnie, zostawiając ją tam samą.

– Nic więcej nie mogłaś zrobić – pocieszył ją Rob. – Może się mylę, ale podejrzewam, że twoja przyjaciółka ma skłonności do dramatyzowania. Kończ piwo. Mam darmowe bilety do Hacjendy.

Myślała, że nosi kurtkę motocyklową tylko dla efektu, ale nie. naprawdę miał motocykl. Stary, zdezelowany i cuchnący smarem, jednak najprawdziwszy na świecie.

– Włóż to – powiedział, kiedy wyszli na mroźne powietrze, chuchając kłębami

pary.

– Muszę?

Wyszczerył do niej zęby w odpowiedzi. Kiedy włożyła kask, poczuła się jak astronauta. W środku było gorąco i pachniało potem.

– Może trochę podśmierdywać – krzyknął Rob przez ramię. Ostatnio nosił go mój kumpel, Eddie, który nie jest wzorem czystości. Wygodnie ci?

Lucy kiwnęła głową.

– Musisz to podnieść... – Odwrócił się i postukał w ruchomą zasłonę. – Musisz to podnieść, jeśli chcesz rozmawiać.

– Co?

Na motocyklu wziął jej ręce i opasał się nimi mocno w pasie. Lucy chwilę wierciła się nerwowo, w końcu przyłgnęła mu do pleców. Wydało jej się to nieco zbyt intymne, ale kiedy ruszył, jej zażenowanie minęło jak ręką odjął.

– Kurczę blade! – krzyknęła mu przy kasku, gdy ruszyli jak strzała mokrymi ulicami.

To było niesamowite uczucie. Po kilku minutach uznała, że lepiej nie patrzeć i złożyła głowę w kasku na jego ramieniu. Miał ramiona jakby stworzone do tego celu. Przyjechali na miejsce w mgnieniu oka, jej zdaniem nie mogło minąć więcej niż dziesięć sekund. Rob zatrzymał się gwałtownie, podparł motocykl i zeskoczył. Lucy siedziała jeszcze przez chwilę oszołomiona. Czowała się, jakby powietrze wyssało ją z samolotu na wysokości trzech tysięcy metrów. Zsiadła na miękkich nogach i musiała chwycić się ramienia Roba. Wolno zdjęła kask i potrząsnęła włosami, które sterczały z przodu, mokre i nastroszone. Spódnica zawinęła się jej tak wysoko, że widać było rąbek pasa u rajstop. Obciągnęła ją szybko. Szpilki, jak się właśnie przekonała, nie były najlepszym obuwem na motor. Pędząc przez ulice z szybkością dźwięku, nie zwróciła uwagi, że przyciska do gorącej rury wydechowej jeden z obcasów, który się stopił i został z niego żaloszony kikut. Cudownie. Będzie teraz kuśtykać jak kuternoga.

W klubie było gorąco, parno i niesłychanie ekscytująco. Nie było to jednak odpowiednie miejsce na intymne rozmowy. Ilekroć Rob coś do niej mówił, Lucy wrzeszczała: „Co? Słucham?”, i zbliżała ucho do jego ust. Rob znał tu mnóstwo ludzi i po rundzie dookoła klubu wylądowali w barze z grupą jego kumpli, którzy, jak się okazało, grali razem z nim w zespole. Ponieważ nic nie słyszała, spędziła cały wieczór, uśmiechając się i kiwając głową. Musieli myśleć, że mają do czynienia z głuchoniemą. Sytuację pogarszał fakt, że wszyscy byli bardzo wysocy i musieli się schylać, aby usłyszeć, co Lucy mówi. Miała wrażenie, że zmusza ich do

większego wysiłku, niż było warto. Ale dobrze się czuła w ich gronie, choć Rob wyraźnie starał się ich pozbyć.

W końcu, o północy, znaleźli się na ławce, pogryzając kurczaka z Kentucky Fried Chicken, Lucy w motocyklowej kurtce Roba zarzuconej na własne okrycie. Tu, we względnym spokoju, dowiedziała się, że Rob pochodzi z Darwen, małego miasteczka w Lancashire. Jego ojciec właśnie stracił pracę w drukarni po kłótni między związkami zawodowymi a właścicielami gazety. Wydawcy z dnia na dzień wyrzucili niemal wszystkich drukarzy i nawiązali współpracę z firmą, w której nie było związków zawodowych. Rob mówiło tym z wielką góry czai Lucy domyśliła się, że ojciec jest dla niego bardzo ważną osobą. Miesiąc po zwolnieniu dostał wylewu. Matka, która pracowała jako sekretarka w szkole, odeszła z pracy, żeby się nim opiekować. Rob miał także siostrę, Claire, która jeszcze chodziła do szkoły. Chciał być dziennikarzem, jeśli nie zostanie gwiazdą rocka. Grał na gitarze i śpiewał w studenckim zespole punkowym o nazwie Rubbish.

– Dajemy jutro krótki występ w Rafters na Deansgate. Chcesz przyjść? – spytał.

– A co z Annie?

– Weź ją ze sobą. – Wzruszył ramionami.

O pierwszej odwiózł ją z powrotem do St Margarefs. Lucy czuła lekkie mdłości po smażonym kurczaku i zapachu smaru. Czuła także, że zaczyna być odrobinę zakochana.

– A więc masz ochotę przyjść? – spytał od niechcienia, zdjął kask i przeczesał rękami gęste ciemne włosy.

Lucy, którą uda paliły, jakby siedziała na rozżarzonej ogniu, marzyła o ciepłej kąpieli. Ale nie miała jeszcze ochoty się żegnać.

– Jesteśmy do niczego – dodał Rob, wyszczerzając do niej zęby.

– Przyjdę – powiedziała. – Obie przyjdziemy. No to dobranoc.

Ociągała się, ale nie zrobił żadnego ruchu, żeby ją pocałować.

– Do zobaczenia – powiedział, wsiadając z powrotem na motocykl. – Przy okazji, pasuje ci taka fryzura.

Sięgnęła ręką do czoła. O Boże! Jej grzywka sterczała jak szczotka.

Nazajutrz o dziesiątej poszła po Annie. Zaraz za drzwiami wahadłowymi natknęła się na Margaret.

– Jestem Margaret – obwieściła staruszka radośnie. – Popatrz.

– Na wypłóviałym szlafroku miała przypiętą plakietkę z imieniem. – Teraz, jak już wiem, kim jestem, w przyszłym tygodniu będę mogła iść do domu. – Odeszła, powłócząc nogami w wytartych kapciach i mrużąc coś do siebie z

ukontentowaniem.

– To świetnie! – krzyknęła za nią Lucy. – Bardzo się cieszę.

Annie nie było. Jej łóżko zostało starannie pościelone wystrzępioną, choć czystą pościelą.

– Twoją przyjaciółkę już wypisali – powiedziała kobieta z sąsiedniego łóżka. – Matka wzięła ją do domu.

Cholera jasna! To była ostatnia rzecz, o jakiej Annie marzyła. Wola rodziców musiała wziąć górę. Lucy położyła rękę na świeżo przygotowanym łóżku, które nie nosiło żadnych śladów przeżyć Annie. Rozgrywające się tu dramaty życia i śmierci stawały się tylko jeszcze jednym łóżkiem do pościelenia. Szpitale to dziwne miejsca. Odwróciła się i poszła na poszukiwanie pielęgniarki, którą znalazła pochyloną nad stosem papierów.

– Hmm... – Nie bardzo wiedziała, jak zacząć. – Moja przyjaciółka, Annie, to znaczy Anna Rosco leżała wczoraj tam na końcu sali. Nie wie pani, co się z nią stało? Miałam ją dzisiaj zabrać do domu.

Pielęgniarka obrzuciła ją niechętnym spojrzeniem.

– Jej ojciec przyjechał tu z samego rana. Zabrali ją samolotem do Londynu na leczenie specjalistyczne.

– Aha... – Lucy przestępowała z nogi na nogę. – Powiedzieli, do jakiego szpitala?

– Nie mam pojęcia – odparła pielęgniarka krótko. – Jest pani członkiem rodziny?

– Nie. Tylko przyjaciółką.

Ruszyła do wyjścia, ale odwróciła się jeszcze.

– Cieszę się z powodu Margaret – dorzuciła.

– Słucham? – Nie zrozumiała pielęgniarka.

Lucy wskazała głową staruszkę, która układała teraz zawartość swojej szafki na łóżku.

– Cieszę się, że wraca do domu. Pielęgniarka popatrzyła na nią dobrotliwie.

– Ona nigdzie nie wraca – wyjaśniła łagodnie.

Trzy dni później rodzice Lucy zabrali ją samochodem do domu na święta Bożego Narodzenia. W przeddzień wyjazdu przespała się z Robem. Stało się to po jego kolejnym występie, kiedy stała w ścisku i duchocie z boku sceny, na której Rob wydawał niezrozumiałe, ochryple okrzyki, a reszta zespołu skakała po śliskich deskach na jednej nodze. Lucy nie mogła się w tym doszukać żadnej melodii ani

nawet harmonii, ale Rob niewątpliwie miał charyzmę. Nie uszło jej uwagi, że w pierwszym rzędzie studentów podrygujących przy scenie przeważały dziewczyny. Koncert był momentami zagłuszany przeraźliwym wyciem i Lucy, po godzinie mając dość, wymknęła się po cichu na dwór. Widocznie nie nadaje się na fankę.

Na szczęście wkrótce dobiegł ją ostatni rozdzierający ton, zupełnie jak miauczenie kota, któremu ktoś nadepnął na ogon. Otworzyła drzwi pożarowe do przedsiionka i znów buchnął na nią żar ze środka. Rob zeskoczył ze sceny i zaczął się przeciskać przez tłum, szukając jej.

– Rob! – krzyknęła z korytarza. – Tu jestem!

Podszedł do niej, ociekając potem. Włosy miał mokre, a czarny, obszarpany T-shirt cały w wilgotnych plamach. Wytarł kroplę potu z oka i uśmiechnął się do niej. Nawet w takim stanie zapierał jej dech w piersiach.

– Jacy byliśmy? – spytał.

– Okropni – powiedziała Lucy z uśmiechem. – Do Haircut One Hundred jeszcze trochę wam brakuje. Miałam wrażenie, że słucham wypadku drogowego.

– Doskonale – stwierdził. – Właśnie o taki efekt mi chodziło. Mogę wziąć u ciebie prysznic?

Pojechali do jej akademika. Dotychczas, w ciągu tygodnia, Rob pocałował ją dokładnie dwa razy. Za pierwszym razem, na ich drugiej randce, kiedy przy pożegnaniu wychylił się z motocykla i nie dotykając jej, pocałował ją miękko w usta. Lucy zastygła, czekając na coś więcej, ale on odsunął się i szybko odjechał. Albo mu się nie podobała, albo zgrywał niedostępnego, albo miał romans z tustym barmanem. Za drugim razem szli przez dziedziniec po wykładzie, z którego ją odebrał. Gawędzili o wszystkim i o niczym, kiedy nagle chwycił ją za ramiona i obrócił ku sobie. „Pocałujmy się”, zaproponował i wobec całej gromady studentów złożył na jej ustach długi pocałunek. Jednak dalej nic nie nastąpiło i Lucy sama nie wiedziała, co o tym myśleć.

W akademiku pociągnęła go szybko na górę, a kiedy zaczął śpiewać na schodach, uciszyła go gniewnie. Obowiązywał zakaz przyjmowania w nocy mężczyzn, który zlekceważyła z Maksem, ale nie chciała przeciągać struny. W pokoju dała mu różowy ręcznik kąpielowy i mydło. Powąchał je.

– Będę miał powodzenie wśród ciot – powiedział, puścił do niej oko i zniknął z jej kosmetyczką w kwiatki przewieszoną przez rękę.

Siedziała na łóżku dręczona niepewnością. Co teraz? Nazajutrz miała jechać do domu i spotkać się z Maksem. Był przecież rzekomo jej chłopakiem, tymczasem nie mogła znieść myśli, że miałyby z nim spać, skoro w jej sercu niepodzielnie

panował Rob. Ale co będzie, jeśli Rob wcale jej nie chce? Wtedy skończy sama jak palec. Maks uśmiechał się do niej z fotografii; zdjęła ją ze ściany szybkim ruchem. Nie da się ukryć, był przystojny. I reprezentacyjny. W porównaniu z nim, Rob wyglądał dość niechlujnie. Ale też seksownie, z tymi swoimi długimi włosami, jasną cerą i niemal czarnymi oczami. I ten jego kolczyk. Normalnie Lucy nie lubiła mężczyzn noszących kolczyki, ale Rob wyglądał w nim dobrze, jak cygański punk.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Przydarzył mi się przykry wypadek – syknął Rob, wsuwając się do środka w różowym ręczniku owiniętym niedbale wokół pasa. Jego długie, blade ciało było mokre i porośnięte na piersi kędzierzawymi włosami, schodzącymi ciemną linią w dół. Jasnowłose Max był niemal zupełnie nieowłosiony. W gruncie rzeczy pójsie do łóżka z Robem byłoby czymś w rodzaju antropologicznego doświadczenia.

– Jaki wypadek? – spytała, ledwo wstrzymując się od śmiechu.

– Zapomniałem zaciągnąć zasłony w prysznicu. – Pokazał jej swoje ubranie, zmoczone do nitki.

– Nie martw się – powiedziała ostrożnie. – Możesz tu zostać.

– Jesteś pewna? – Patrzył na nią poważnie.

– Tak, jestem pewna. – Wsunęła zdjęcie Maksa pod materac.

– Masz jakieś karty? – spytał. – Co?

– Karty. Albo gry. Na przykład Monopol albo Grę w detektywa. Lubię zwłaszcza tę ostatnią.

– Wyobraź sobie, że nie mam.

– Szkoda. Będziemy musieli wymyślić coś innego. Mogłabyś mi pożyczyć jakiś sweter? Zimno mi.

Lucy, nie patrząc na niego, podała mu swój największy podkoszulek. Należał kiedyś do Maksa.

– Dzięki. – Położył się na łóżku.

– Mogę cię o coś spytać? – odezwała się Lucy.

– Jasne – powiedział, nie otwierając oczu.

– Czyja ci się podobam?

– Wyglądałaś bardzo atrakcyjnie z tymi sterczącymi włosami.

Uszczypnęła go w ramię.

– Bo wcale nie starasz się... nie próbujesz... – urwała speszona.

– Chodzi ci o to, że się na ciebie nie rzucam? – Jej zażenowanie wyraźnie go bawiło. – Co w tym dziwnego? Masz śmieszne imię i nigdy nie jeździłaś autobusem. A do tego uważasz, że Haircut One Hundred są lepsi od nas.

Lucy zapaliła papierosa.

– Mam butelkę wina w szafie.

– A masz też korkociąg?

– Nie – przyznała. – Nie mógłbyś wepchnąć korka?

Rob usiadł na łóżku, chwycił zgrabnie szyjkę butelki i popchnął korek. Bez rezultatu. Popchnął mocniej. Korek nagle wpadł do środka i kołdrę Lucy zalała czerwona struga wina.

– Co mama na to powie? – stropiła się Lucy, starając się zetrzeć plamę zrzuconym przez niego ręcznikiem.

Rob chwycił ją za rękę.

– Dobrze, poddaję się – powiedział. – Możesz mnie uwieść.

– Nie jestem pewna, czy jeszcze tego chcę – odparła Lucy. – Jesteś cały lepki.

– Kochanie się z Robem było czymś zupełnie innym niż spanie z Makssem. Nie musiała niczego udawać, choć czuła, że powinna coś z siebie dać, żeby wydać mu się gorętszą. Rob był bardzo namiętny i o wiele bardziej skoncentrowany na jej odczuciach niż Max. To było ważne doświadczenie i stanowiło początek niebezpiecznej fascynacji.

Rozdział 10

Lucy! – zawołała Helen z dołu. – To do ciebie. Chyba Max. Lucy, która siedziała przy biurku w swoim pokoju, na próżno starając się wymyślić coś oryginalnego na temat Swifta – uważała *Podróże Guliwera* za najgłupszą książkę, jaką czytała, i jedynie odrobinę mniej nudną od *Raju utraconego* Milтона – wstała z poczuciem winy. Miała zamiar zadzwonić do niego od razu po przyjeździe, ale ilekroć brała za telefon, nachodziły ją bardzo plastyczne obrazy nocy spędzonej z Robem i bała się, że może jej to nieco utrudnić rozmowę.

Helen stała się niemożliwa, odkąd zdobyła w sąsiedniej męskiej szkole chłopaka, który przypadkiem również mieszkał w pobliżu. Dzwonił do niej bez przerwy, w przeciwieństwie do milczącego Roba, i zabierał ją na przejażdżki austinem swojego ojca. Lucy za nic w świecie nie pokazałaby się w samochodzie, który wyglądał jak kawałek tortu czekoladowego. Chłopak nazywał się Will i miał mnóstwo zębów. Jeszcze jedna wersja Donny’ego Osmonda w tweedowej marynarce.

Caroline ustroiła balustradę schodów żywymi zielonymi gałązkami z ogrodu – w ogóle cały dom wyglądał jak kącik Świętego Mikołaja w eleganckim sklepie, z mnóstwem białych świec, kokardek w kratkę i iglastych stroików. Ben popadł w niełaskę, bo wpędził kota na choinkę i przewrócił idealne drzewko, ubrane ściśle według wzoru z „Homes and Gardens”.

– Kochanie! – rozległ się w słuchawce tchnący pewnością siebie głos Maksa. – Dzięki Bogu, że już przyjechałaś. Umieram z nudów. Jeszcze jedna runda po sklepach z moją matką wyprawi mnie na tamten świat. Co powiesz na wieczorne szaleństwo w pubie?

Lucy westchnęła w duchu. Nie była pewna, jak zniesie to spotkanie, ale wszystko było lepsze od czekania przy milczącym telefonie. Po raz pierwszy w życiu czuła się obsesyjnie zazdrosna. Z kim Rob spędza czas? Kim są jego przyjaciele? Prawie nic nie wiedziała o jego życiu, chociaż on wypytywał ją bez końca o dom i rodzinę, głównie po to, żeby z niej pokpiwać.

Kiedy rodzice po nią przyjechali, czekała z bagażami w hallu, bo Rob nadal leżał w jej łóżku, paląc skręta i czytając Wordswortha. Pocałował ją na pożegnanie niemal z roztargnieniem.

– Zadzwonisz? – spytała Lucy. – Zostawiłam ci numer na biurku.

– Yhm... – mruknął, nie podnosząc oczu.

– Idę już – powiedziała.

– Pa.

– Pa. – Lucy ociągała się, stojąc przy drzwiach z walizką pełną brudów.

– Świetny seks – rzucił i spojrzał na nią znad książki. – Musimy to powtórzyć, jeśli znajdziesz wolną chwilę.

– Będzie mi bardzo miło – odparła Lucy uprzejmie.

– Wesółych świąt! – powiedział, odłożył książkę i zanurkował pod kołdrę.

– Wesółych świąt! – uśmiechnęła się, patrząc, jak nakrywa się po czubek głowy i wystają mu tylko włosy.

Była w połowie schodów, kiedy usłyszała, jak krzyczy za nią na cały głos na rzecz jej współlokatorów:

– Mam nadzieję, że nie stracisz teraz dla mnie szacunku!

Kiedy Max pociągnął za staroświecką rączkę dzwonka, Lucy musiała mocno wziąć się w garść, zanim poszła otworzyć drzwi. Wyglądziła rękami długą, czarną aksamitną spódnicę. Wygląd gotycki właśnie wchodził w modę i nim nadszedł koniec semestru, wszyscy chodzili ubrani jak obsada filmu *Zombie: Żywe trupy*.

Ostrożnie otworzyła drzwi. Max stał w smudze światła; płatki śniegu lśniły mu we włosach. Wyglądał jak bożonarodzeniowa pocztówka. Brakowało mu tylko dużej białej krezy i stroju kołędnika. Lucy, chociaż była zdecydowana mu się oprzeć, mimo woli poczuła podziw dla jego niezwyklej urody. Co ona wyprawia? Dlaczego ugania się za zwariowanym motocyklistą, który gra w okropnym zespole punkowym i klnie jak szewc? I nie tylko klnie, ale najbezcelniej w świecie z niej kpi i wyśmiewa się z jej grzywki.

– Mogę wejść? Zimno jak diabli.

– Oczywiście. – Lucy przywołała się do porządku. Wszedł do przedpokoju, odsuwając gałązkę glicynii, która zdobiła ciężkie dębowe drzwi. Delikatnie ujął Lucy za podbródek i podniósł jej twarz ku sobie.

– Tak bardzo za tobą tęskniłem – powiedział.

Objął ją czule i pocałował w usta. Lucy czuła się, jakby miała zdradę wypisaną na czole.

– Wejdz, proszę – powiedziała, przytrzymując za obrożę szalejącego Bena.

Matka ustawiła w przedpokoju ciężkie cynowe świeczniki, które oświetlały hall niczym katedrę. Ilekroć Lucy schodziła na dół, miała wrażenie, że powinna odśpiewać *Ave Maria*.

Caroline wyłoniła się bezszelestnie z salonu.

– Max, mój drogi, jak miło cię widzieć. Jak się ma twoja matka?

– Wyrównuje narodowy dług Brazylii – powiedział Max z uśmiechem. – Święty Mikołaj będzie potrzebował nie sanek, ale tira na nasze prezenty.

– Nie bądź złośliwy! – Pogroziła mu palcem z sympatią. Dlaczego Lucy jest taka nieswoja? – A jak się ma twój ojciec? – kontynuowała Caroline z ożywieniem. – Oglądaliśmy go wczoraj wieczorem w telewizji. Wypadł doskonale. A ten dziennikarz, który przeprowadzał z nim wywiad, był naprawdę bezczelny.

– Tak pani uważa? – spytał Max uprzejmie.

Starał się ignorować karierę ojca, wyciągając ją na wierzch jak kartę atutową tylko wtedy, gdy to było absolutnie konieczne. W okresie młodzieńczego buntu w liceum, gdy nosił długie włosy i kaftan afgański, zawsze lekcewał fakt, że ojciec jest członkiem parlamentu z perspektywą zostania ministrem. Jednakże już w Bristolu przekonał się, że dodaje mu to prestiżu. Lucy przedtem nie przywiązywała wagi do zajęcia George'a, za to kiedy Max przyjechał do Manchesteru, drętwiała ze strachu, żeby prawda nie wyszła na jaw. Dla jej przyjaciół syn torysowskiego parlamentarzysty był kimś w rodzaju syna antychrysta.

– Chodź, napij się czegoś z Archiem – zaprosiła go do salonu Caroline.

Ojciec też powitał Maksa z wylewną serdecznością. Lucy starała się wyobrazić sobie Roba w podobnej sytuacji, ale nie umiała. Gdzie on teraz jest, co robi? Czuła się jak pociąg, który toczył się latami po wygodnej, dobrze znanej trasie i nagle został przestawiony na zupełnie inne tory.

Patrzyła uważnie na Maksa i obserwowała, jak czaruje jej rodziców odpowiednio dobranymi opowieściami z życia studenckiego, przyznając ze skruchą, że za mało się uczy, i jak stara się ich ująć miłą rozmową. Skomplementował Caroline, że tak pięknie przystroiła dom, i spytał Archiego, co słyhać na giełdzie. Z pełną wdzięku pewnością siebie siedział na ich czarnej skórzanej kanapie z kieliszkiem czerwonego wina w ręce, pytał Caroline, czy może zapalić, śmiał się z dowcipów Archiego, głaskał z roztargnieniem Bena. Był taki swobodny i tak w każdym calu tu pasował, że znów zadała sobie pytanie, co ona, do diabła, robi. Rodzice za nim przepadają, jest doskonały pod każdym względem, więc dlaczego tak ją drażni? Dlaczego ma wrażenie, że jego urok jest syntetyczny, wypracowany, że w gruncie rzeczy Max jest śmiertelnie znudzony, tylko gładko wykonuje, co należy? Wcale cię nie znam, pomyślała nagle. Nie wiem, co jest pod spodem, pod tą ogładą i uprzejmością. Nie wiem nawet, czy coś tam naprawdę jest, czy też wszystko koncentruje się na powierzchni, a pod polorem kryje się pustka.

Ale zapewne jest niesprawiedliwa. Był miłym kompanem i niemal zawsze dobrze się z nim bawiła. Jednak wydawał się taki strasznie konwencjonalny! Na samą myśl o Robie ogarniała ją obezwładniająca, mroczna tęsknota.

Nazajutrz rano, dwa dni przed Bożym Narodzeniem, leżała do południa w łóżku, walcząc ze straszliwym kacem, który ścisnął jej czoło żelazną obręczą. Poprzednią noc spędziła z Makssem na prywatce u jednego z jego przyjaciół, która skończyła się zbiorową kąpielą o północy w krytym basenie. Wtedy wydawało jej się to świetnym pomysłem, ale jak się później okazało, wejście do wody w stanie nietrzeźwym powoduje, że wychodzi się z niej jeszcze bardziej pijanym, i kiedy Max, który był również zalany w trupa, odwiózł ją do domu, dosłownie wtoczyła się przez drzwi. Wiedziała, że musiał spać w samochodzie, udając, że został na noc u przyjaciela, bo Annabelle nie wybaczyłaby mu, że prowadził w takim stanie. Teraz, kiedy George szykował się do objęcia ważnego stanowiska, jego rodzina była bardzo wyczulona na takie sprawy i Max wysłuchiwał niekończących się ostrzeżeń, żeby nie przyniósł im wstydu. Dawny Max nazwałby to „pieprzeniem” i robił swoje, ale nowy Max, student Bristolu, brał sobie to mocno do serca.

Lucy leżała nieruchomo, wiedząc, że prędzej czy później matka, zniescierpliwiona jej leniuchowaniem, przyniesie jej herbatę do łóżka. Nagle dobiegł ją jakiś niecodzienny dźwięk, jakby bzyczenie tysiąca rozsierdzonych pszczoł. Nie brzmiało to jak odgłos samochodu, raczej... motocykla. Motocykl? Usiadła. Usłyszała dzwonek do drzwi. Zerwała się z łóżka i wyjrzała na schody, ubrana jedynie w stary podkoszulek ojca.

– Nie oczekujemy żadnej dostawy – mówiła matka.

Jakiś niski głos odpowiedział jej coś półgłosem i matka wyraźnie się zawahała. „Słucham?” Lucy pobiegła do łazienki, której okno wychodziło na front domu. Oparty o przybudówkę stał znajomy poobijany motor, kapiąc smarem na nieskazitelnym żwirowym podjeździe. Oderwała się od okna i oparła o ścianę, czując zawrót głowy.

– Kim pan jest? – dobiegł ją ze schodów uprzejmy głos matki, zarezerwowany dla obcych. – Przyjacielem Lucy?

Lucy pobiegła z powrotem do siebie i pospiesznie wciągnęła dzinsy. Zerknęła do lustra i jęknęła na widok swojej bladej, spoconej twarzy i oczu, które straszyły czarnymi, rozmazanymi obwódkami, bo zapomniała zmyć makijaż. Spryskała się wodą przy umywalce w pokoju i przejechała szczotką po włosach. Nie miała już czasu umyć zębów – bała się, że matka zdąży wyprosić Roba z domu. Chwyciła

sweter i lotem błyskawicy zbiegła ze schodów.

Caroline stała tyłem do niej, podtrzymując otwarte drzwi. Na jej wspartej na framudze, wypielegnowanej dłoni o pomalowanych na różowo paznokciach połyskiwał pierścienek zaręczynowy z rubinem wielkości przepiórczego jaja. Lucy z rozpędu omal jej nie staranowała.

– Uważaj! Ten człowiek... ten pan mówi, że jest twoim przyjacielem. Oczekiwałaś kogoś?

– Nic mi o tym nie wiadomo – powiedziała Lucy z uśmiechem.

– Nad ramieniem matki zobaczyła Roba ściskającego swój kask. Był ubrany od stóp do głów w czarną skórę.

– Cześć – powitała go.

– Przepraszam, ale chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni – wtrąciła Caroline, cofając się nieco, żeby przepuścić Lucy.

– Mamo, to jest Rob, kolega z uniwersytetu.

– Witam! – Caroline obdarzyła Roba jednym ze swoich czarujących uśmiechów. – Przepraszam, że nie byłam zbyt gościnna, ale... cóż, Lucy nic nam nie wspomniała, że spodziewa się gościa i...

– Nic nie szkodzi – powiedział Rob. – Nie wiedziała, że przyjadę.

– Proszę wejść – zaprosiła go Caroline.

Lucy, która z trudem powstrzymywała się od śmiechu, wyciągnęła rękę po jego kask. Nastąpiła krótka szamotanina, którą wygrała. Rob zdjął długie skórzane rękawice, które również od niego wzięła. Wszedł ciężko do przedpokoju.

– Lepiej zdejmij buty – syknęła Lucy.

Rob rozpiął cholewy i ściągnął buty, opierając się o framugę drzwi. Miał wielką dziurę w skarpetce, z której wystawał długi biały palec.

– Napije się pan kawy? – spytała Caroline z kuchni, sięgając po kubki wiszące na haczykach w kredensie.

– Wolałbym piwo – powiedział Rob.

– Piwo. Lucy, mogłabyś zajrzeć do barku? Zdaje się, że tato kupił trochę piwa na jutrzejsze przyjęcie. Stoi z tyłu. A szklanki do piwa są na najwyższej półce.

– Mogę wypić z puszki. Chcę tylko przepłukać gardło czymś zimnym. Człowiek strasznie się grzeje na motorze, nawet jak na dworze jest zimno.

– Naprawdę? – zdziwiła się uprzejmie Caroline, patrząc na wyświechtaną skórzaną kurtkę, którą rozpinał.

– Mogę skorzystać z ubikacji?

– Toaleta – powiedziała Lucy – jest po drugiej stronie korytarza.

– Wobec tego skoczę do toalety – powiedział, wieszając kurtkę na jednym ze stylowych, drewnianych krzeseł wokół dębowego kuchennego stołu.

Kiedy przechodził obok, poczuła jego zapach. Zapach rozgrzanej skóry, zimnego, świeżego powietrza i papierosów. Zrobiło jej się słabo z pożądania.

Matka odwróciła się do niej z znakiem zapytania na twarzy.

– Doprawdy, Lucy – powiedziała bardzo spokojnie – wiesz, że jestem teraz zajęta po uszy, jutro mam to przyjęcie i rodzinę na obiedzie pierwszego dnia świąt. Nie mogę – ściszyła głos jeszcze bardziej – przyjmować teraz dodatkowych gości. A zwłaszcza ludzi, których nie znam. To było bardzo bezmyślne z twojej strony.

– Ja go nie zapraszałam – odszepnęła Lucy. – Nie miałam pojęcia, że przyjedzie. Bądź dla niego miła – poprosiła błagalnie.

– Nigdy nawet o nim nie wspominałaś. Jak on się nazywa?

– Rob – syknęła Lucy, słysząc dźwięk spuszczonej wody i trzask drzwi łazienki.

– Dzięki – powiedział Rob, biorąc puszkę piwa z jej ręki. – Oderwał kółeczko, rzucił je na stół i usiadł wygodnie na krześle, pociągając długi łyk. – Super!

Lucy zobaczyła, że matka patrzy na metalowe kółeczko. Oderwane kółeczka od puszek nie powinny leżeć ot, tak sobie, na stole. Wyrzucało się od razu do kosza. Sięgnęła po nie i schowała je w dłoni.

– Przyjechał pan z daleka? – spytała Caroline, podnosząc czajnik i robiąc kawę dla siebie i Lucy.

– Z Lancashire.

– Z Lancashire? Wyjechał pan tak wcześnie rano?

– Tak. – Rob odchylił się w krześle. – Nudziłem się w domu, więc pomyślałem sobie, że odwiedzę Lucy.

– Nie miałam pojęcia, że wiesz, gdzie mieszkam – wtrąciła Lucy, zdumiona.

– Spytałem w dziekanacie – oświadczył niedbale. – Tego dnia, kiedy wyjechałaś. – Lucy wlepiała w niego wzrok. Patrzył jej prosto w oczy z szerokim uśmiechem. – Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe?

– Ależ skąd... Jasne, że nie. Cieszę się, że cię widzę.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział, nie spuszczać z niej oczu.

Stojąca przy zlewie Caroline pochwyciła ich spojrzenie. Boże drogi, pomyślała. Ale szybko przywołała się do porządku. Nie mógł być jej chłopakiem. Co z Makssem?

– Mogę zapalić? – spytał Rob, sięgając do kieszeni kurtki wiszącej na oparciu krzesła.

– Proszę – powiedziała Caroline, ale włączyła wyciąg nad kuchenką, który

zaczął głośno szumieć.

– Rob położył na stole stare, blaszane żółto-zielone pudełeczko i zdjął pokrywkę. W środku był zwitek bibułek, czerwona paczuszka tytoniu i – jak Lucy dostrzegła – porcja trawki.

Caroline podała dwie parujące filiżanki kawy i, patrząc nerwowo na zegar, usiadła. Za pół godziny miała być u fryzjera, ale z jakichś przyczyn za nic nie chciała zostawić Lucy samej z Robem. W ich spojrzeniach było dość elektryczności, żeby oświetlić całą ulicę. Ten chłopak, nawet z mokrymi od potu włosami i w tej okropnej starej koszulce, emanował niemal dotykającą zmysłowością.

– Z jakiej miejscowości w Lancashire pan pochodzi? – spytała uprzejmie.

– Z Darwen.

Caroline wyraźnie nic to nie mówiło, ale bohaterstwo podtrzymywała temat.

– Słyszałam, że w niektórych rejonach Lancashire jest bardzo ładnie. Znamy parę osób z Lancashire, prawda, kochanie? – zwróciła się do Lucy. – Na przykład Chambersów. Mieszkają pod Clitheroe. To niedaleko od pana, prawda? Zna ich pan może? Bardzo mili ludzie.

– Nie – uśmiechnął się Rob. – Nie sądzę, że bym ich znał.

Caroline, która wyczuła w jego głosie leciutką kpinę, zaczerwieniła się i zmieszana brnęła dalej:

– Co pan studiuje? Lucy bardzo chwali wasz uniwersytet.

– Historię i filozofię.

Lucy dostrzegła, że matka skrzywiła się nieznacznie na słowo „filozofia”. Brzmiało to dla niej mało konkretnie i za jej czasów studiowanie na dwóch kierunkach jednocześnie nie było w modzie.

– A pańscy rodzice? – kontynuowała. – Czy pana ojciec pracuje w Darwen? – Wymówiła nazwę miasteczka, jakby leżało w Mongolii.

– Już nie. Wywalili go i zapadł na zdrowiu – oświadczył Rob bez ogródek.

– Cóż, tato Lucy też niedługo przechodzi na emeryturę, prawda, kochanie? – powiedziała Caroline sztucznie pogodnym tonem. – Sama nie wiem, co z nim zrobimy, jak będzie cały dzień siedział w domu. A teraz – dodała, wstając – muszę, niestety, już iść. Mam zamówionego fryzjera. – Przejechała dłonią po nieskazitelnych włosach. – Kochanie, dopilnuj, żeby pies był w domu, jeśli – wyjdziecie, i powiedz pani Hodges, że zostawiłam jej pieniądze na kredensie, a jutro nie musi przychodzić. W lodówce jest pasztet, a w spiżarni świeży chleb i ser, gdybyście byli głodni.

Wyszła z kuchni i po chwili wróciła, wkładając płaszcz z wielbłądziej wełny. Wyciągnęła rękę do Roba.

– Miło mi było pana poznać. Żałuję, że nie mogę zaprosić pana na noc, ale niestety jesteśmy teraz trochę zajęci. Może innym razem?

Rob zgasił skręta i nie wstając z krzesła, podał jej rękę.

– Na pewno się jeszcze spotkamy – powiedział i Caroline dostrzegła w jego oczach wesołe chochliki.

Jest bardzo pewny siebie, pomyślała. Odwróciła się do Lucy, żeby się z nią pożegnać, ale jej córka, zwykle tak powściągliwa i pełna rezerwy, wpatrywała się w gościa z magnetyczną fascynacją, jakiej jeszcze u niej nie widziała.

Kiedy trzasnęły drzwi wyjściowe. Rob pochylił się nad stołem.

– Nie jesteś zła, że przyjechałem? – spytał miękko. – Nudziłem się w domu i postanowiłem zrobić sobie małą przejażdżkę.

– Małą? Z Lancashire? – roześmiała się Lucy.

– Autostradą to nie tak daleko – odparował. – Zwłaszcza przy sprzyjającym wietrze.

– Przyznaj się, tęskniłeś za mną.

– Całkiem możliwe – wyszczerzył zęby. – A może po prostu chciałem zobaczyć, jak żyje ta druga połowa.

– No i jak żyjemy?

– Jeszcze nie wiem. Widziałem tylko kwatery służby. Możesz mnie zabrać do lochów?

Do kuchni weszła pani Hodges i, nie patrząc na nich, zaczęła rozpinać kwiecisty fartuch.

– Odstawię tylko odkurzacz, proszę pani, i już pójdę, jeśli to na dziś wszystko. Po południu mamy świąteczne przyjęcie w ratuszu. Dziękuję za pyszne ciasto. Niepotrzebnie robiła sobie pani tyle kłopotu.

– Pani pieniądze leżą na kredensie – powiedziała Lucy. – Mama wyszła. Mówiła, że nie musi pani przychodzić jutro, przy Wigilii, damy sobie sami radę.

Pani Hodges podeszła do kredensu i wzięła kopertę.

– Zapłaciła mi podwójnie! – ucieszyła się. – Lucy, twoja mama jest w dechę, daję słowo! O, przepraszam – powiedziała, dopiero teraz dostrzegając Roba. – Nie wiedziałam, że masz towarzystwo.

Już mnie nie ma. – Zaczęła wkładać podniszczony płaszcz nieprzemakalny.

– Podwożę panią – zaofiarował się Rob.

– Co, złotko?

– Podwiozę panią – powtórzył głośniejszym głosem. – Na motocyklu.

Pani Hodges podeszła do okna i wyjrzała, obrzucając krytycznym wzrokiem zdezelowany pojazd.

– Na tym gracie? Nie, dziękuję bardzo.

– Na pewno nie? – spytał Rob. – Chętnie panią podrzucę.

– Dzięki, słodziutki. Pójdę pieszo. To niedaleko. Spacer dobrze mi robi.

Otworzyła drzwi i zawołała wesoło:

– Pa, pa, to na razie, Lucy, skarbie!

Rob i Lucy usłyszeli, jak chichocząc pod nosem, drepcze po podjeździe. Popatrzyli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

– Jak ty czarujesz te wszystkie starsze kobiety? – spytała Lucy.

– Nie wiem. Mam do tego wrodzony dar.

– I co ja mam teraz z tobą zrobić?

– Przychodzi mi na myśl to i owo. Jak długo twoja mama będzie u fryzjera?

– A bo co? – spytała Lucy niewinnie.

– Moglibyśmy rozegrać małą partyjkę Detektywa.

– Pójdę poszukać w pudle ze starymi gramami – powiedziała.

Ale nigdy do tego pudła nie doszła.

Rozdział 11

Annie? Lucy ponownie z wahaniem zapukała. Przyjechała już dwa dni temu i nadal nie było śladu przyjaciółki, tylko nowe drzwi do jej pokoju błyszczwały lśnącymi zawiasami. Westchnęła. Może Annie w ogóle nie wróci. Dzwoniła do niej kilka razy podczas świąt, ale zawsze rozmawiała tylko z filipińską pokojówką. Chyba Annie dałaby jej znać, gdyby miała zrezygnować ze studiów?

– Jeszcze jej nie ma – powiedziała do Roba, który leżał rozwalony na jej łóżku.

Praktycznie niemal się już do niej wprowadził. Cudownie było mieć go przy sobie, ale pokój, zaprojektowany dla połowy jednej osoby, z najwyższym trudem mieścił dwie. Mogli stać we dwójkę na nogach tylko wtedy, gdy jedno z nich stało w szafie. Na szczęście Rob nie wniósł ze sobą niemal żadnych rzeczy oprócz kasku.

Annie wróciła tydzień po rozpoczęciu semestru. Lucy, która właśnie wyglądała przez okno, dostrzegła jej jedyne w swoim rodzaju włosy Zbiegła na dół po dwa stopnie naraz.

– Gdzie się podziewałaś? – napadła na nią ze złością. – Zamartwiałam się na śmierć. Nie przekazywali ci moich wiadomości?

– Nie – powiedziała Annie. Wyglądała na przygaszoną, jakby zgasło w niej światło. – Dopiero wczoraj wróciliśmy z Meribel.

– I jak tam było? – spytała Lucy, zaniepokojona jej apatią.

– Białło. Białło, zimno i roło się od przyjaciół moich rodziców. Przez ostatnie trzy tygodnie byłam oglądana jak jakiś dziwoląg i jeśli jeszcze raz ktoś mnie spyta, jak się czuję, wyrzygam mu się na buty. Chyba ostatnio weszły w modę córki, które brały narkotyki. Każda szanująca się rodzina powinna mieć dziecko na odwyku. Choć w tym jednym względzie nie zawiodłam moich rodziców.

– Cieszę się, że wróciłaś. Strasznie mi ciebie brakowało.

Annie spojrzała na nią z wdzięcznością.

– Przynajmniej jest ktoś, komu na mnie zależy – powiedziała z goryczą. – Muszę się czegoś napić – oświadczyła, kiedy wniosły bagaże po schodach. – Moja cholerna matka obserwowała mnie jak jastrząb za każdym razem, gdy nalewałam sobie kroplę wina, chociaż sama ciągnie dżin jak Królowa Matka.

– Mam trochę wódki.

– Dawaj.

Lucy otworzyła drzwi swojego pokoju i Rob, który drzemał jak zwykle na jej łóżku – przesypiał zdumiewająco dużo czasu – rozbudził się i podniósł głowę.

– Cześć – powiedziała Annie, wyraźnie zdumiona.

– Pamiętasz Roba, prawda? – przedstawiła go Lucy jak wzorowa gospodyni.

– Jak mogłabym zapomnieć? Widzę, że się dogadaliście – stwierdziła Annie, rzucając jedną ze swoich toreb na podłogę.

– Można tak powiedzieć.

Lucy i Rob wymienili spojrzenie, które wszystko mówiło. Po jego wizycie w jej domu Lucy spędziła resztę świąt w nastroju uniesienia. Na szczęście Max wyjechał – po nikłych protestach – z rodzicami na narty do Verbier. Proponował jej, żeby pojechała z nimi, ale powiedziała, że ma mnóstwo nauki.

Annie pociągnęła duży łyk wódki i odkaszlnęła.

– Mam zamiar to rzucić – powiedziała, podnosząc kieliszek i wpatrując się w jego zawartość. – To trucizna. Postanowiłam zostać abstynentką i wegeterianką.

Spojrzelili na nią zdumieni.

– Kim on jest? – spytała Lucy. Annie uśmiechnęła się szeroko.

– Nazywa się Rollo.

– Rolo? – spytał Rob. – Jak czekoladki? Lucy westchnęła, Annie go zignorowała.

– Poznałam go w Meribel. Jest trenerem narciarskim. To znaczy, będzie. Na razie sprząta domki. Ma fioła na punkcie zdrowej żywności, nie wkłada do ust niczego, co może być szkodliwe. Jest byłym narkomanem, uczył się w Eton – wyjaśniła, jakby to wszystko tłumaczyło. – Więc, jak widać, coś nas łączy, co jest miłe – dodała ironicznie.

– Ale najważniejsze, czy on jest miły? – dopytywała się Lucy, podając Robowi szklanekę wódki z nieklarowanym sokiem pomarańczowym z kartonu.

– Niezbyt – przyznała Annie beztrąsko, kładąc nogę na jednej ze swoich toreb.

– Jest wciąż dość pokrecony i moja mama go nienawidzi, więc wszystko w porządku.

– Musimy na to iść.

Stali objęci przed plakatem na drzwiach związku studentów. Duże litery głosiły:

„Demonstracja przeciwko podatkowi pogłównemu. Wyjazd autokarami 7 wieczorem w piątek”.

– Dlaczego? – spytała Lucy. Nie była wielką entuzjastką demonstracji, czuła się zażenowana na myśl o manifestowaniu swoich poglądów na ulicy.

– Bo to ważne – wyjaśnił Rob. – Nie możemy pozwolić, żeby Margaret Thatcher robiła wszystko, co się jej podoba. Jeśli to – wejdzie w życie, moi rodzice będą musieli płacić cztery razy wyższą stawkę. Nie stać ich na to. Uważasz, że to sprawiedliwe, żeby twoi i moi starzy płacili tyle samo?

– Nie – przyznała Lucy. – Ale gdzie będziemy spać?

– Nie masz w sobie żyłki włóczęgowskiej, co? – roześmiał się Rob.

– Dobrze, pojedziemy – zgodziła się Lucy, urażona. – Weźmiemy ze sobą Annie?

– Pannę makrobiotyczną? Jeśli da się odciągnąć od soczewicy, może z nami jechać.

Annie dotrzywała słowa, rzuciła narkotyki i alkohol. Twierdziła, że już na zawsze, ale Rob i Lucy zakładali się między sobą, jak długo to potrwa. Jako osoba, która nie uznaje półśrodków, przestała także jeść białe pieczywo, mięso i produkty mleczne oraz nosić cokolwiek, co mogło być powiązane ze światem zwierząt. Dawało się ją teraz rozpoznać już z daleka po człapaniu sandałów z rafii. Żywiła się wyłącznie obrzydliwą papką z soczewicy, soi i tofu, która bulgotała przez cały dzień na maszynie elektrycznej w pokoju rekreacyjnym, a smakowała i pachniała jak rzygowiny psa. Jej ubrania, zawsze w stylu cyganerii, teraz składały się w całości ze swetrów z surowej wełny i długich do ziemi batikowych spódnic. Spod drzwi jej pokoju wydobywały się smugi dymu z kadzidełek, snując się po korytarzu jak kłęby londyńskiej mgły. Miała także jedno ucho zaobrączkowane w pięciu miejscach i szczyciła się tym, że jest pierwszą osobą w Manchesterze, która nosi kolczyk w nosie. Małe dzieci pokazywały ją palcami na ulicy.

W sobotę rano Lucy obudziła się zeszywniała, obolała i zmarznięta. Ona, Annie, Rob i grupka ich przyjaciół przedrzemali noc na stacji Euston. Przepędzono ich z miejsca na miejsce co najmniej cztery razy, teraz marzyła o gorącej kąpieli i parującej filiżance kawy. Bolał ją każdy miesiąc i już wiedziała, że wypicie wieczorem paru mocnych piw nie było najlepszym pomysłem. Wydał jej się jeszcze gorszy, kiedy przez okna wpadły pierwsze promienie wiosennego światła.

– Muszę iść do łazienki – jęknęła do Roba.

– Kible są tam. – Machnął ręką w kierunku korytarza.

– Ty to wiesz, jak zapewnić dziewczynie godziwą rozrywkę – powiedziała, wysuwając zdrętwiałe nogi ze śpiwora.

Łazienka była pełna dziewcząt myjących zęby i spryskujących twarze wodą.

Panowała atmosfera radosnego braterstwa i wszyscy wokół nosili znaczki: „NIE dla pogłównego!”

Demonstranci zaczęli się zbierać o jedenastej w Kennington Park. Poranna mgła ustąpiła słonecznemu dniu i zapanował nastrój świątecznego festynu, który podkreślała liczna obecność sprzedawców lodów i hot dogów.

– Jasny gwint! – powiedział Rob. – Nie spodziewałem się, że będzie tyle ludzi. Słuchajcie, gdybyśmy się przypadkiem zgubili, spotkamy się na Euston około ósmej, OK?

– Dobra – powiedziała Annie, rozglądając się wokół z wyraźną fascynacją. To było o wiele bardziej ekscytujące niż demonstracja przeciwko eksperymentom na zwierzętach, którą urządziła przed stacją Picadilly.

– Maggie musi odejść! Maggie musi odejść! – podniósł się okrzyk, który zaczął nieść się po tłumie jak kręgi wody po stawie.

Lucy chwyciła Roba mocno za rękę. Uśmiechnął się do niej z góry, jego twarz również wyrażała radosne podniecenie.

– Nic się nie bój – powiedział. – Trzymaj się blisko mnie, wszystko będzie dobrze.

Przez całe przedpołudnie trwała atmosfera beztroskiego święta. Grafy zespoły amatorskie, ludzie tańczyli albo leżeli na trawie i palili marihuanę w ciepłym słońcu. Lucy uznała, że demonstracje protestacyjne to świetna zabawa. Miło było brać udział w takim dużym, pokojowym zgromadzeniu. Kto, jeśli nie studenci, ma walczyć o słuszną sprawę? Była z siebie dumna. Miała taką dojrzałą świadomość społeczną.

O pierwszej uformował się pochód. Annie zdążyła już zniknąć, wessana przez wir ludzi. Okrzyki zmieniły się na: „Nie będziemy płacić! Nie będziemy płacić! Pogłównemu nie, nie, nie!” Mężczyzna przebrany za Margaret Thatcher przemawiał do tłumu przez megafon. Atmosfera była nadal stosunkowo pogodna i Lucy z przyjemnością posuwała się w ciżbie w kierunku Trafalgar Square, podchwytyjąc okrzyki i uśmiechając się do rodziców z dziećmi. Wzdłuż całej trasy stali przejęci młodzi ludzie, sprzedając „Robotnika Socjalistycznego”. Rob kupił egzemplarz i wsunął do kieszeni.

O trzeciej większość pochodu była już na Trafalgar Square. Lucy i Rob znaleźli się dość daleko od sceny, ale przemowy Tony’ego Benna i innych lewicowych parlamentarzystów były nagłośnione i wywoływały gromkie okrzyki aprobaty wśród zgromadzonych. Lucy wiwatowała wraz z innymi. Wszystko co mówili, brzmiało całkiem rozsądnie. Była dumna, że popiera słuszną sprawę. Dziesięć

minut później przez tłum przebiegła podawana z ust do ust wiadomość, że na Downing Street są jakieś zamieszki. Podobno demonstranci przedarli się przez barierki i zaczęli obrzucać kamieniami siedzibę premiera. Paru z nich aresztowano.

– Rob, może powinniśmy się wycofać? – spytała Lucy z wahaniem.

– Co? – odrzyknął ponad gwarem tłumu. – Nie bądź głupia. Nic nam nie grozi.

W tym samym momencie na plac nastąpił szturm demonstrantów z Whitehall. Naparła na nich fala ludzi i omal nie porwała z sobą Lucy, która w ostatniej chwili zdołała rozpaczliwie chwycić Roba za rękę. Teraz cały tłum ruszył z powrotem w kierunku Whitehall, naprzeciw kordonowi policji. Za barierą Lucy zobaczyła z daleka rząd policjantów, wielu było na koniach.

– Rob! – krzyknęła. – Nie podoba mi się to. Lepiej wracajmy.

Obok niej zapłakało głośno dziecko. Matka, która niosła transparent: „Pogłównie to niesprawiedliwość!”, pochyliła się nad nim. ojciec zaczął się niespokojnie rozglądać dokoła.

– Którędy można by się stąd wydostać? – spytał z silnym północnym akcentem.

– Sama nie wiem! – odrzyknęła Lucy, ale jej słowa zginęły w ogólnej wrzawie.

Młodzież w wojskowych strojach i dredach na głowie, zaczęła ubliżać policji. Poleciała najpierw jedna butelka, potem następne, a za nimi grad cegieł. Spadały na tłum, który starał się rozbiec, jak mrówki spod przewróconego kamienia. Cała masa ludzka siłą bezwładu posuwała się nieubłaganie w stronę kordonu policji; niektórzy z demonstrantów przepychali się do przodu, wygrażając pięściami i miotając obelgi, inni próbowali wydostać się z ciżby. Matka obok Lucy zakryła dziecku uszy. Po jej twarzy płynęły łzy. Kiedy tłum zafalował, dziecko się przewróciło.

– Rob! – Lucy pociągnęła go gwałtownie za kurtkę.

Odwrócił się, zobaczył, co się stało, i chwycił dziecko na ręce spod nóg napierającego tłumu.

– Proszę, niech mi pan pomoże – zwróciła się do niego błagalnie matka chłopca.

Zaczęli się przedzierać do przodu. Dzielili ich już kilka kroków od kordonu. Nad ich głowami leciały cegły, butelki, śmieci, wszystko, co wpadło w rękę. Niebo zasłoniły różnego rodzaju pociski, wokół rozlegały się wyzwiska i przekleństwa, zmieszane z krzykami o pomoc.

Nagle tuż przed nimi rozstały się barierki.

– Tędy! – krzyknął Rob, z furią torując sobie drogę łokciami poprzez zbitą

masę.

W tym momencie w wyłomie pokazał się policyjny transporter i zaczął, nie do wiary, wjeżdżać w tłum.

– Uważaj! – zawołał Rob, gdy ich na siłę rozdzielano.

Lucy potoczyła się do tyłu, potrącona błotnikiem transportera, który parł jak lodołamacz w rozwścieczonych i przestraszonych ludzi.

– Mój syn! – krzyknęła kobieta obok. – Michael! Michael, gdzie jesteś?

Lucy chwyciła ją za ramię i pociągnęła na obrzeże placu. Może zdołają się przedrzeć do Roba. Jednakże sprawa wydawała się beznadziejna. Tłum był zwarty i nieustępliwy.

– Proszę! – łkała Lucy, płacząc razem ze swoją towarzyszką. Proszę nas przepuścić! Ta pani zgubiła dziecko.

Ponad gwarem tłumu dał się słyszeć nowy dźwięk – stukot końskich kopyt. W przerwę zrobioną przez transporter wjechała policja konna i Lucy patrzyła z przerażeniem, jak na demonstrantów sypią się razy pałek. Były rozdawane całkiem na chybił trafił: ojcowie pochylali się nad dziećmi, żeby je osłonić, matki chwyciły w ramiona przestraszone maluchy. Ale gniewne buntownicze okrzyki nie milkły, były coraz głośniejsze i coraz bardziej prowokujące. Jakiś blondyn obok Lucy, z twarzą wykrzywioną nienawiścią, uniósł w górę ręce, w których trzymał akumulator.

– Nie! – krzyknęła z rozpaczą, kiedy rzucił go z całą siłą w stronę oddziału policji.

Trafił prosto w głowę konia, który zalał się krwią z głębokiej rany pod okiem. Z rusztowania, na którym wznosiło się podium dla mówców, sypało się w dół wszystko, co było pod ręką – oderwane deski, puszki po farbach, gaśnice. Ponad gwizdami tłumu, dźwiękiem syren i rżeniem przestraszonych koni słyszeć było brzęk wybijanych szyb. Jeden z koni niemal otarł się o Lucy spoconym bokiem.

– Proszę nas przepuścić! – krzyknęła do siedzącego na nim policjanta.

Spojrzał na nią z kamienną twarzą i nie powiedział nawet jednego słowa.

Szczęśliwie między ludźmi otworzyła się luka, Lucy pociągnęła kobietę za sobą i pobiegły do St Martin-in-the-Fields. Wdrapały się po stopniach. Po twarzy kobiety płynęły strugi łez.

– Niech się pani nie martwi. – Lucy objęła ją serdecznie. Rob zaopiekuje się pani synkiem. Znajdziemy ich.

Już mówiąc to, wiedziała, że w tej chwili jest to niemożliwe. Ale przynajmniej były tu względnie bezpieczne. Wokół nich tłoczyli się rodzice z dziećmi, zdumieni

i przerażeni.

– Zdawałoby się, że jesteście od tego, żeby nas bronić! – krzyknęła jedna z matek w stronę nadciągających posiłków policyjnych.

– Chodźmy – zarządziła Lucy. – Obejdziemy kordon z drugiej strony.

Dyszając ciężko, zbiegły po schodach. Na rogu placu spojrzął ze zgrozą na pobliskie budynki. South Africa House wyglądała, jakby zdobywała go grupa powstańców. Wszystkie szyby były wybite i przez okna wlewali się demonstranci. Trudno było uwierzyć, że to Londyn w słoneczny, wielkanocny dzień. To była anarchia.

Przez przeszło godzinę Lucy i jej towarzysza, Helen, błąkały się wśród tłumu, szukając Roba. W końcu uznały, że to beznadziejne. Helen, która przyjechała z rodziną autobusem z Halifax, zgodziła się z Lucy, że jedyne, co mogą zrobić, to liczyć na umówione spotkanie wieczorem na stacji Euston. Przygnębione zeszły z Trafalgar Square. Było wpół do szóstej, demonstracja się skończyła. Ale wokół panował chaos, a zamieszki przeniosły się z placu na Charing Cross Road. Utworzono barykady z koszy, a śmieci podpalono.

Przed nimi jechał wolno ulicą, rozglądając się nerwowo, jakiś mężczyzna w porsche. Pracował w City i starał się wrócić do domu. Motłoch otoczył go ciasnym kręgiem, grupka młodych ludzi otworzyła drzwi samochodu i wyciągnęła go na zewnątrz. W swoim garniturze i krawacie wyglądał dziwnie niestosownie przy ich bojówkach. Przewrócili go na ziemię. Wstał i z otwartymi ustami patrzył, jak wylamują mu wycieraczki. Chciał zaprotestować, ale znów wylądował na plecach. Podniósł się z trudem, wyrwał kluczyki ze stacyjki, chwycił swoją teczkę, odwrócił się i uciekł. Gawiedź pożegnała go gwizdami i cofnęła się, kiedy ktoś otworzył wlew benzyny i wrzucił do środka zapaloną zapałkę. Wydobył się grzyb dymu, zajęła się benzyna w baku. Po chwili całe auto stało w płomieniach. Buchnęła fala gorąca, Lucy chwyciła Helen za rękę i uciekły, nie oglądając się za siebie. Biegły w stronę Oxford Circus pośród morza zniszczeń. Szyby wystawowe były porzbijane, sklepy plądrowane przez hordy ludzi, pasażerowie wyciągani z samochodów. Jakiś człowiek najspokojniej w świecie niósł zagrabiony telewizor środkiem chodnika.

– Przepraszam – powiedział, wymijając je.

Lucy nie wierzyła własnym oczom. To byli ci sami ludzie, którzy tak pogodnie bawili się w Kennington Park, którzy tańczyli przy muzyce i wygrzewali się na słońcu? Zmienili się teraz w rozpasaną, plądrującą tłuszcę. Wydawało jej się niemożliwe, żeby jej rodacy mogli się w ten sposób zachowywać.

Doszły do Euston na piechotę nieco po siódmej. Helen była już w stanie bliskim

histerii. Lucy uspokajała ją, że jej mąż poradzi sobie z powrotem do domu, a Rob na pewno przyniesie Michaela na miejsce spotkania. Czekwały w kawiarni, drżały im ręce. Wszędzie wokół snuli się wytrąceni z równowagi ludzie, zbyt zszokowani, żeby zebrać myśli. Zstąpili z dobrze znanego sobie świata do piekieł.

O ósmej Lucy i Helen zaczęły poszukiwania w głównej hali dworca, gdzie kłębił się zdenerwowany tłum i co chwilę rozbrzmiewały komunikaty podróżne. Stały pod tablicą z rozkładem jazdy, rozglądając się na wszystkie strony. Nagle Lucy ponad głowami ludzi dostrzegła Michaela. Niesiony na barana, trzymał w jednej ręce hamburgera, a w drugiej baseballową czapkę Roba.

– Tam! – krzyknęła do Helen i zaczęły z cyrkową zręcznością przedzierać się przez tłum.

Wreszcie Rob postawił Michaela przed matką. Helen upadła na kolana i przywarła do niego z płaczem. Chłopiec był całkiem spokojny.

– Dostałem hamburgera! – pochwalił się. – I Rob dał mi to! – Zakręcił czapkę na palcu.

– No i jak się bawiłaś? – spytał Rob, oplatając Lucy ramionami.

– Kiedy następnym razem zabierzesz mnie do Londynu – powiedziała – wolałabym pójść do zoo.

Helen pociągnęła ją za rękaw.

– Musimy już iść. Pojedziemy stąd pociągiem. Dziękuję ci bardzo za pomoc.

– Ja nic nie zrobiłam.

– Więc podziękuj swojemu chłopakowi. Taki facet trafia się jeden na milion.

Rob pochylił się i uściskał Michaela.

– Trzymaj się, kolego.

– Mogę założyć sobie taki kolczyk jak ty? – spytał mały.

– Nigdy w życiu – oświadczyła jego matka, pociągając go szybko za sobą.

Caroline i Archie popijali wieczorną szklaneczkę dzinu z tonikiem, oglądając główne wydanie wiadomości w telewizji. Spędzili dzień na obrywaniu martwych kwiatów z krzaków róż i podcinaniu roślin, a Archie skosił jeszcze trawnik nową kosiarką-tractorem. Yorke'owie mieli przyjść na kolację, ale zirytowana Annabelle zadzwoniła godzinę temu, że George'a wezwano pilnie do Londynu.

– Doprawdy, nie mogą dać człowiekowi chwili spokoju – dodała.

– Spójrz tylko na nich. – Archie z niesmakiem skrzywił się na widok grupy młodych ludzi rzucających cegły i kamienie z rusztowania. – To oburzające. Samo sprzątnięcie będzie teraz kosztować miliony. Czy oni w ogóle myślą o tym, kiedy

zaczynają rozruchy? Że zwykli ludzie będą musieli płacić rachunek za ich awantury?

Ciepły, spokojny salon wypełnił nieprzyjemny odgłos zamieszek. W smudze zachodzącego światła tańczyły drobinki kurzu, Ben zakręcił się przed kominkiem i ziewnął, po czym opadł u nóg Archiego.

Kamera najechała na tłum i pokazała zbliżenie małej grupki cofającej się przed nacierającym koniem.

– Wielkie nieba! – krzyknęła Caroline. – To Lucy!

– Co takiego? – Archie nachylił się gwałtownie, rozlewając drinka. – Gdzie?

– Tu, przy samym koniu, obok tej kobiety i dziecka, i... o Boże, to Rob.

– Kto to jest Rob?

– To ten kolega, który przyjechał ją odwiedzić, kiedy byłeś w pracy, tuż przed świętami. Co ta Lucy wyprawia?

– Nie mam pojęcia. Ale musimy sprawdzić, czy nic się jej nie stało. – Podniósł się z fotela.

– Co robisz? – spytała Caroline, kiedy sięgał po telefon.

– Dzwonię na policję – powiedział ponuro.

Jednak zanim zdążył wykręcić numer, telefon zadzwonił. Była to Annabelle.

– Widzieliście Lucy? Czy to nie okropne?

Caroline odebrała Archie'emu słuchawkę.

– Co?

– Lucy jest w telewizji. Wśród demonstrantów. – Annabelle nie kryła grozy. – Nie chcę być nieuprzejma, ale co taka dziewczyna jak Lucy robi z tymi ludźmi? A jeśli prasa się dowie, że jest sympatią Maksa? Znajdzie się to we wszystkich gazetach.

– Nie wiemy, co tam robi – powiedziała Caroline chłodno. – Ale w tej chwili chodzi nam głównie o jej bezpieczeństwo. Większość demonstrantów zachowywała się pokojowo, chyba wiesz.

– Wiem, tylko się martwię. Myślisz, że nic się jej nie stało?

– Nie sądzę. Archie miał właśnie dzwonić na policję.

– Kochanie, nie miej mi za złe, ale nie wspominajcie nic o George'u, dobrze?

– Oczywiście, że nie. Dlaczego mielibyśmy wspominać?

Odłożyła z grymasem słuchawkę. Lucy może wpakować ich w większe tarapaty, niż jej to przyszło do głowy. Archie zaczął wykręcać numer, ale położyła mu dłoń na ręce.

– Zostaw. Lucy wkrótce sama zadzwoni.

Jednakże Lucy nie zadzwoniła. Podróż powrotna do Manchesteru zajęła im przeszło sześć godzin jazdy na stojąco w dusznym, zapchanym pociągu, pośród pijackich ryków. Kiedy dobrnęli do akademika, Lucy ostatkiem sił walnęła się na łóżko. Rob, również ledwo żywy, zdjął jej delikatnie kurtkę i ściągnął buty. Potem położył się ostrożnie na podłodze, uważając, żeby nie urazić barku, w który oberwał cegłą.

Rozdział 12

Wiesz już? – Głos Annabelle był miły i uprzejmy, ale Caroline wyczuła w nim napięcie.

– O czym? – spytała ostrożnie.

– Chodzi o nasze niemądre dzieci. – Annabelle zaśmiała się nerwowo. – Wygląda na to, że ze sobą zerwali. Max jest w domu. Strasznie to przeżywa.

– O mój Boże... – Caroline była wstrząśnięta. Dlaczego Lucy jej nie powiedziała? – Nie miałam pojęcia, wiesz, jaka jest dzisiejsza młodzież, w ogóle się nie odzywają, dopóki nie zabraknie im pieniędzy. Jestem naprawdę zdumiona, byli tacy zakochani.

– Właśnie – powiedziała Annabelle. – Mnie też jest bardzo przykro. Może byś z nią porozmawiała, jak sądzisz? To stało się tak nagle.

– Spróbuję – obiecała Caroline. – Ale wątpię, czy to coś da. Lucy jest już dostatecznie dorosła, żeby sama o sobie decydować. W każdym razie uściskaj ode mnie Maksa. To cudowny chłopak i bardzo go lubimy.

– Wiem. – Głos Annabelle zdradzał, że jest bliska łez. – A Lucy była dla mnie jak córka. Będzie mi jej naprawdę brakowało, Caroline.

Lucy nie chciała kończyć z Maksym tak brutalnie. Oczywiście, odkąd zaczęła sypiać z Robem, wiedziała, że to musi nastąpić, ale jedną z jej mniej atrakcyjnych cech była niemożność stawienia czoła nieprzyjemnym sytuacjom. Wolą ją ignorować z nadzieją, że same się jakoś rozwiążą. Toteż kiedy w połowie letniego semestru Max zjawiał się niespodziewanie w jej akademiku, wpadła w panikę. Przyszedł do niej z wielkim bukietem róż. Był to bardzo romantyczny gest, który na niewiele się zdał, jako że Lucy leżała w łóżku z Robem.

Kiedy zapukał do drzwi, krzyknęła:

– Zjeżdżaj! – myśląc, że to Annie lub ktoś z przyjaciół.

Nastąpił długi moment ciszy, a potem usłyszała głęboko zszokowany głos Maksa:

– Lucy! – Nie tego się spodziewał po przyjściu z kwiatami i jeździe w szlachetnym porywie przez cztery godziny w deszczu.

– O mój Boże! – jęknęła Lucy, patrząc ze zgrozą na Roba, który, niech go wszyscy diabli, zaczął się śmiać.

Dowiedział się o Maksie już jakiś czas temu, kiedy znalazł jego zdjęcie

upchnięte na dno szuflady.

– Kto to jest? – spytał, podnosząc fotografię w górę w dwóch palcach.

Lucy rzuciła się ze złością, żeby mu ją wydrzeć i chcąc nie chcąc, musiała się wytłumaczyć, że Max był jej chłopakiem i ciągle trochę jest. Tak jakby.

– Aha – pokiwał głową Rob – teraz już rozumiem, czemu twoja matka patrzyła na mnie z taką miną, jakby czuła smród wdzierający się spod drzwi. – Przyjrzał się fotografii uważniej. – Czy to jego łódź?

– Tak – przyznała Lucy niedbałym tonem.

– Wyjaśnijmy to sobie – powiedział Rob spokojnie, kładąc się z powrotem na łóżku. – Chodzisz z nim i chodzisz ze mną? Nie widzisz w tym żadnej sprzeczności? Czy może ja czegoś nie rozumiem?

– On nie jest naprawdę moim chłopakiem – powiedziała. – Bardziej przyjacielem. – Starła się, żeby wypadło to lekceważąco, ale serce biło jej jak szalone.

– Więc dlaczego schowałaś jego fotografię?

– Oddaj mi ją natychmiast, inspektorze Clouseau!

– Dobrze. – Rob podniósł ją wysoko nad głowę. – Oddam, jeśli mi obiecasz, że nigdy już nie pójdziesz z nim do łóżka. Słyszałaś? Nigdy! – Zrobił groźną minę, naśladując niemiecki akcent.

– Obiecuję – zachichotała. – A teraz oddaj mi to zdjęcie. Pognieciesz je.

– Ma bardzo dziewczęcą twarz – powiedział Rob.

– Zamknij się.

– Lucy? – Max zapukał ponownie.

Lucy, w stanie bliskim hysterii, wypchnęła Roba z łóżka. Dzięki Bogu, że zamknęła drzwi.

– Wychodź – syknęła.

– Gdzie? – spytał. – Mam wyfrunąć przez okno jak Piotruś Pan?

– Schowaj się do szafy.

Rob był goły. Przemknął na drugą stronę pokoju.

– Robię to tylko dlatego – szepnął – że zawsze chciałem schować się w szafie. Nago.

– Poczekaj! – krzyknęła Lucy przez drzwi. – Właśnie spałam.

Rozejrzała się rozpaczliwie po pokoju w poszukiwaniu dzinsów. Wisiały na oparciu krzesła. Włożyła je, stojąc na jednej nodze, i wciągnęła sweter przez głowę. Uchyliła ostrożnie drzwi, udając zaspaną.

– Max, co ty tu robisz?

– A jak myślisz? Sądzisz, że przyjechałem odwiedzić dziewczynę z twarzą jak żaba, która znalazła mnie pod prysznicem? Lucy, wpuść mnie wreszcie, na miłość boską!

– Nie mogę. – Gorączkowo szukała wymówki. – Annie tu jest. Właśnie... właśnie zwymiotowała. Wszystko jest na podłodze. – Z szafy rozległo się parsknięcie.

To nie było romantyczne spotkanie, o jakim Max marzył. Jakie widział w myślach przez całą drogę z Bristolu – a była to cholernie długa droga.

– Wobec tego ty wyjdź – powiedział.

– Nie mogę – oświadczyła z uporem. – Nie mogę jej zostawić.

– Jasna cholera! – zaklął. – Będę w barze.

Po chwili usłyszała wściekły stukot jego butów na schodach. Zrezygnowana cofnęła głowę przez drzwi. Jak się teraz z tego wyplątać? Otworzyła szafę. Rob stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Wyglądał absolutnie groteskowo.

– To cena, jaką się płaci za grzech – obwieścił z patosem. Mogę już wyjść? Jaja mi zmarzły.

Lucy mimo woli zachichotała. A potem usiadła ciężko na łóżku, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła się śmiać. Ale jednocześnie czuła narastającą desperację. Będzie musiała podjąć jakąś decyzję. Rob włożył levisy.

– Jak na kogoś, kto jest bardziej twoim przyjacielem niż chłopakiem – powiedział sarkastycznie – to wprawił cię w niezłą panikę. Do zobaczenia później.

O kurczę, pomyślała.

Gdzieś w głębi ducha miała wątpliwości, czyjej wybór jest słuszny. Kochała Roba na zabój, pragnęła go do szaleństwa, rozśmieszał ją do łez, był inteligentny, ale... ale jakiś głosik w środku mówił jej: „To nie jest mężczyzna dla ciebie. Jest inny. Nie dba o rzeczy, które dla ciebie są ważne. Co powiedzą rodzice? Czy będzie pasować do twoich przyjaciół w domu? Co on chce zrobić ze swoim życiem?” Wszystkie te pytania Rob uznałby za śmiechu warte, jakby żadna z tych kwestii nie była istotna. Przestań planować, mówił zawsze. Jesteś taka cholernie rozsądna. Kto wie, co będzie? Dla niego liczyła się tylko miłość, dobra zabawa i liźnięcie trochę świata; daleki był od troski o swoje miejsce w społeczeństwie, w którym przyjdzie mu żyć. Przyszłość z Robem to jeden wielki znak zapytania. Na pewno byłaby ekscytująca, ale absolutnie nieprzewidywalna. Natomiast przyszłość z Maksem to terytorium, po jakim poruszała się całe życie. Dobrze jej znany twardy grunt. Ale nie mogła stracić Roba. Na myśl o tym, że mógłby się kochać z kimś innym, robiło jej się niedobrze.

Zeszła do baru i kupiła sobie piwo. Podeszła z nim do stolika, przy którym siedział Max; z całej jego postaci bił gniew i uraza. Drżącą ręką postawiła kufel na stole, rozlewając trochę piwa.

– No więc? – odezwał się. – Powiedz mi, o co naprawdę chodzi. Całe to gadanie o Annie to bzdura, prawda? Proszę cię, Lucy, nie okłamuj mnie.

Miał twarz ściągniętą bólem. Irytacja, że się tak bezmyślnie i zniechęcająco pojawił, minęła jej jak ręką odjął. Był naprawdę zmartwiony i Lucy jeszcze nigdy nie widziała, żeby tak bardzo stracił pewność siebie. Miała ochotę go objąć i pocieszyć. Kwiaty, które jej przyniósł, leżały teraz na podłodze i już zdawały się więdnąć.

– Max... – zaczęła z wahaniem. Zrobiła palcem kółko w rozlanym piwie. – Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale chyba powinniśmy dać sobie trochę czasu...

Natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd. Każdy wiedział, że zwrot: „Nie wiem, jak ci to powiedzieć”, oznacza zerwanie. Max spojrzał na nią oniemiały, skoczył na równe nogi i bez słowa wyszedł z baru, roztrącając podwójne drzwi wahadłowe. Lucy poderwała się i pobiegła za nim. Chłopak przy sąsiednim stole, widząc jej nagłe wyjście, wstał, rozejrzał się i wziął jej piwo.

– Max, poczeka! – krzyknęła.

Był zimny wieczór i jej słowa zaginęły w wirze chłodnego wiatru tańczącego między budynkami. Max nie zatrzymał się.

– Proszę cię, Max! Strasznie mi przykro!

Zacząła biec za nim i dogoniła go w końcu przy samochodzie, gdy usiłował otworzyć drzwiczki. Chwyciła go za ramię.

– Nie odjeżdżaj w ten sposób... Odwrócił się do niej z wściekłością.

– Chcesz, żebym został?

Jego twarz, taka piękna, była wykrzywiona płaczem. Lucy nie mogła na to patrzeć.

– Zostaw – zachnął się, kiedy sięgnęła do jego policzka. – Nie dotykaj mnie. Jak mogłaś? Jak mogłaś to zniszczyć?

W jego oczach dojrzała prawdziwy żal. Poczuli się nagle, jakby znów byli dziećmi. Tak dobrze go znała, znała go od podszewki. Lepiej niż kogokolwiek innego. I kochała go. To było jak kubeł zimnej wody. Chwyciła go za kurtkę, ale on otworzył już drzwi, wyrwał się i wsiadł. Zatoczyła się do tyłu, zahaczając obcasem o chodnik.

Max zapalił silnik i gwałtownie ruszył.

– Kochałem cię! – krzyknął przez okno.

Lucy otuliła się ramionami. Głos rozsądku jej mówił: Nie przejmuj się. Przecież bardziej kochasz Roba. A mały, cichy głosik gdzieś z głębi szeptał: Popełniłaś błąd.

Rozdział 13

A to – powiedziała Caroline, ostrożnie podnosząc podniszczone zdjęcie Lucy siedzącej nagusieńko na golden retrieverze i uśmiechającej się anielsko do obiektywu – to jest Lucy w wieku trzech lat.

Peggy, która bała się ruszyć na stylowej kanapie Caroline w obawie, że straci filiżankę herbaty stojącą na kruchym stoliku przy jej masywnym kolanie, pochyliła się leciuteńko do przodu z nerwowym uśmiechem. Została poczęstowana earl greyem, którego nigdy wcześniej nie piła i który, jej zdaniem, smakował jak ciepłe perfumy. Ale nie chciała urazić Caroline pytaniem, czy nie ma jakiejś prawdziwej herbaty.

– Jaka śliczna! – wyraziła zachwyt, a Lucy zgrzytnęła zębami. W rewanżu Peggy pokazała Caroline zdjęcie Roba w wieku osiemnastu miesięcy, wyglądającego jak kartofel z uszami.

To nie Peggy wymyśliła, żeby spotykać się w domu Beresfordów po ogłoszeniu zaręczyn, które nakazały poznać się obu rodzinom. Ona i Jack uważali, że najlepiej byłoby spotkać się gdzieś w połowie drogi, na neutralnym gruncie – może w jednej z restauracji przydrożnych sieci Little Chef? Od czasu wylewu Jack nie lubił długich podróży samochodem, prawdę mówiąc, w ogóle nie chciał ruszać się z domu. Peggy nie mogła się pogodzić z tym, jak bezradny stał się ten pewny siebie i żywotny mężczyzna. Co prawda poruszał się bez pomocy i porozumiewał bez kłopotów, ale we wszystkim innym zdawał się na nią, jakby prawdziwe życie już się dla niego skończyło.

Na słowa „Little Chef i pytające spojrzenie Archiego Caroline zaczęła gwałtownie potrząsać głową.

– Little Chef? Kochanie, czy znasz jakąś restaurację sieci Little Chef gdzieś w połowie drogi przy M6, gdzie moglibyśmy się spotkać?

Archie był bardzo uprzejmy, a nawet serdeczny, bo Peggy w rozmowie przez telefon od razu mu się spodobała. Była bezpośrednia i bezpretensjonalna, co go natychmiast ujęło, chociaż musiał się mocno wysilać, żeby zrozumieć jej akcent.

– Może raczej spotkalibyśmy się w jakimś miłym hoteliku? – spytała szeptem Caroline. – Sprawdź, gdzie jest jakiś elegancki, zaciszny pensjonat.

– Może znajdziemy jakiś hotel? – zapytał Archie. – I zabawimy się wieczorem?

Po drugiej stronie telefonu nastąpiła chwila ciszy. Peggy nie wiedziała, jak to

powiedzieć, ale nie było ich stać na noc w hotelu. Jack dostawał bardzo skromną rentę, a pieniądze z odprawy dawno się skończyły. Archie zrozumiał jej wahanie i szybko powiedział:

– Nie, to śmieszne. Naturalnie, że musicie państwo przyjechać do nas. Na obiad.

Peggy była nieco zaskoczona.

– Na obiad? Chyba nie zdążymy. – Odsunęła słuchawkę i spytała szeptem: – Tatusiu, dojedziemy do Cotswolds na obiad?

– Jeśli się pospieszymy – usłyszał Archie cichy, zduszony głos.

– To nie jest aż tak daleko – powiedział nieco skonfundowany. – Podróż z Lancashire nie powinna zająć więcej niż cztery godziny. I muszą państwo zostać na noc, oczywiście.

– Spróbujemy wyjechać koło szóstej rano – obiecała Peggy.

Archie odsunął słuchawkę od ucha i zmarszczył stropiony brwi.

– To z pewnością nie będzie konieczne.

– Ale mówił pan o obiedzie? Archie dopiero teraz zrozumiał.

– Ma pani na myśli lunch. Nie, nie, bardzo przepraszam. Jemy obiad koło szóstej wieczorem, musiałem się źle wyrazić, proszę mi wybaczyć...

Peggy odczekała chwilę, a potem powiedziała z godnością:

– Z przyjemnością przyjedziemy na kolację. Dziękujemy za zaproszenie.

Rob zaraz po studiach znalazł pracę w dawnej gazecie ojca, w której przynajmniej pamiętano lata wiernej służby drukarza przed późniejszym brutalnym zwolnieniem. Lucy, po wielu wahaniach i namysłach – oraz subtelnych sugestiach rodziców, żeby zapisała się na kursy podyplomowe, najlepiej w Londynie – dostała niespodzianie ofertę pracy reportera w lokalnym radiu w tym samym mieście, gdzie wychodziła gazeta Roba, co automatycznie przesądziło o jej dalszej karierze. Wysłała tam wprawdzie swoje podanie, podobnie jak do wielu innych redakcji, ale właściwie nie spodziewała się odpowiedzi. Nie była to może szczególnie imponująca ani lukratywna posada, ale była.

Urządzili się wygodnie – jeśli można się wygodnie urządzać w wilgotnym, zimnym domku, gdzie stosunek myszy do ludzi wynosił jakieś 35 do 2 i samo wyjęcie ubrania z szafy łączyło się z pewnym ryzykiem – w małej miejscowości niedaleko miejsca pracy.

Wygodniej byłoby zamieszkać w samym mieście, ale Lucy w tym wypadku stawiała zdecydowany opór. Rob ciągnął ją coraz dalej w stronę mroźnej północy, podczas gdy większość ich przyjaciół albo zostawała po studiach w Manchesterze,

albo podejmowała kursy podyplomowe w Birmingham lub Londynie. Przeprowadzka do Blackburn wydawała się jakimś rozmyślnie ironicznym posunięciem, któremu wszyscy powszechnie się dziwili. Annie, która wyskrobała pracę magisterską na trójkę, w przeciwieństwie do piątki Lucy i zdumiewającego dyplomu z wyróżnieniem Roba (Lucy nie przypomniała sobie, aby kiedykolwiek poświęcał czas nauce), pojechała do Verbier i zamieszkała z Roilo, który awansował ze sprzątanía domków do pracy w pubie. Dla Lucy i Roba nie był to wielki skok w karierze, lecz Annie, jak zawsze, nie przywiązywała żadnej wagi do takich przyziemnych spraw. W pewnym momencie przeraziła nawet Lucy stwierdzeniem, że być może zdecyduje się na dziecko, ponieważ takie małenstwo daje się łatwo przemieszczać z miejsca na miejsce, nieprawdaż? Mogłoby jeździć z nią w dalekie podróże. Miło by było mieć towarzystwo.

Lucy, która nieomylnym okiem potrafiła wypatrzeć najładniejszą miejscowość w okolicy, wybrała dla nich Clitheroe, małe miasteczko położone w Ribble Valley. Było niewątpliwie malownicze i zamieszkane przez „lepsze” towarzystwo. Zrobiło dobre wrażenie nawet na Caroline, która obejrawszy podczas pierwszej wizyty ubrane w tweedy kobiety z typowymi koszykami na zakupy, orzekła, że jest tu prawie jak u nich. Lucy pomyślała, że musiała się spodziewać czegoś w rodzaju walących się chałup z ruinami młynów w tle. Tymczasem były tu doskonałe sklepy, przyjaźni ludzie i całkiem dobra winiarnia. W każdym razie miasteczko doczekało się najwyższego komplementu z ust Caroline w postaci stwierdzenia:

– Może następnym razem wezmę tu tatę, żeby się trochę rozerwał.

Jednakże mimo podwójnych zarobków stać ich było jedynie na wynajęcie domku z dwiema sypialniami na górze i łazienką na dole, bez centralnego ogrzewania, za to z bojlerem elektrycznym, który drżał i bzyczał, jakby miał lada chwila wybuchnąć. Salonik był ogrzewany kominkiem i Lucy, która zwykle wracała przed Robem, musiała w nim co wieczór rozpalać, jak podkuchenna pod piecem. Rob przysięgał, że widział myszy w czapkach z nausznikami.

Jedyna pociecha, że było to i tak o kilka klas lepsze od ich poprzedniego domu. Na ostatnim roku zamieszkali wraz z Annie i Nickiem, przyjacielem Roba ze studiów i kolegą z zespołu, który nosił fantastyczne, zielone włosy. Pod tymi włosami krył się miły i wrażliwy człowiek, jednak rzeczywiście wyglądał dość zatrważająco. Lucy w dniu rozdania dyplomów przedstawiła go rodzicom i nie bez skrytej uciechy obserwowała reakcję matki. Ale rzecz zdumiewająca – Nick, który normalnie prawie się nie odzywał i był skupiony głównie na poszukiwaniu nielegalnych używek, wdał się z nią w ożywioną rozmowę, a Caroline wspomniała

później, że to „uroczy chłopak”. Matka nigdy nie przestawała zadziwiać Lucy.

Ich studenckie mieszkanie nie tylko nie leżało w najzdrowszej dzielnicy miasta, ale odznaczało się wieloma wadami. Podobnie jak w Clitheroe nie było centralnego ogrzewania, tylko kominek na gaz, którego spaliny mogły zabić konia. W zimie okna regularnie pokrywały się od wewnątrz szronem, co było zjawiskiem dotychczas uważanym przez Lucy za niemożliwe, a klozet przy najmniejszym spadku temperatury zamarzał. W skali niedogodności stało to wyżej niż oszronione szyby. Można zapewne znieść raz czy drugi widok owoców własnego korzystania z toalety, ale kiedy odwiedziło ją dwoje lub troje ludzi, cały dom zaczynał śmierdzieć jak latryna i konieczne stawało się zamknięcie jej na kłódkę. Co oznaczało, że musieli nawzajem zadawać sobie dociekliwe pytanie: „Jak bardzo ci się chce?”*, dopóki wszyscy nie zaczęli przestępować z nogi na nogę. Wskakiwali wtedy do przedpotopowego samochodu Nicka i jechali do pobliskiego centrum rekreacyjnego. Oferowało ono ponadto dodatkową atrakcję w postaci pryszniców (oraz kabin kąpielowych, gdzie jednakże kurki przy wannach były zapieczone, a same wanny obrosnięte brudem). Korzystanie z toalety w nocy miało jeszcze jedną wadę – leżące w piwnicy, wilgotne pomieszczenie przyciągało gromadę nastawionych towarzysko ślimaków, które stadnie ślizgały się w ciemności po mokrej podłodze.

Caroline odwiedziła ją w tym domu tylko raz i więcej się nie pokazała. Zrobiła kilka podstawowych błędów – a) otworzyła lodówkę (co Lucy raz na zawsze zarzuciła po tym, jak coś ruszyło się z tyłu) i b) próbowała zapalić gaz w kuchence. To również było zabronione, odkąd Annie podpaliła sobie włosy. Gaz z początku nie leciał, a potem wybuchał jak gejzer, w związku z czym gotowanie stawało się zajęciem wysoce niebezpiecznym. Postanowili żywić się wyłącznie potrawami na wynos. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że jedynie Lucy dbała od czasu do czasu o wyrzucanie opakowań, a i wtedy problem się nie kończył, bo wystawione plastikowe worki na śmieci natychmiast rozrywała sfora bezpańskich, wygłodniałych psów, które rzucały się na resztki jak dzikie hieny. Wprawdzie Lucy pokochała Manchester, ale to mieszkanie porzuciła bez żalu.

Rob był od jakiegoś czasu posiadaczem starego samochodu grata, który trzeba było uruchamiać za pomocą łyżeczki, a podczas jazdy łapać ręką przez okno wycieraczki, bo miały tendencję do odrywania się od szyby i powiewania na wietrze. Zaproponował, że przywiezie rodziców na spotkanie do domu Lucy, jako że ojciec już nie prowadził, a Peggy nie czuła się pewnie za kierownicą na tak długich trasach.

Archie wielokrotnie ofiarował się kupić Lucy nowy samochód, jednak ona nie chciała, wiedząc, że Rob nie czułby się z tym dobrze. Poza tym nie mogli sobie pozwolić na benzynę do dwóch samochodów, a Rob uparł się, żeby zatrzymać swój rozlatujący się motocykl, którym jeździł rano do pracy, jeśli tylko udało mu się go zapalić. Lucy natomiast wlokła się do Blackburn ich starym gratem, z towarzyszeniem serii pierdnieć i dychawicznych podrywów. Nie działał pierwszy bieg, toteż ruszanie na światłach pod górę stanowiło prawdziwy test na wytrzymałość w kłębach spalin i przy zapachu palącej się gumi.

W drodze na wizytę do jej rodziców – na szczęście nie padało, więc Rob nie musiał pilnować wycieraczek – Lucy starała się prowadzić nieprzerwaną ożywioną rozmowę. Bardzo polubiła Peggy i Jacka. Początkowo okrażali ją ostrożnie z daleka; zwłaszcza Peggy nieustannie za wszystko przeproszała – „Przepraszam, że musimy jeść we frontowym pokoju” i „Nie zwracaj uwagi na babcię Roba, dobrze?” Starsza pani dobiegała już osiemdziesiątki i zdarzało jej się produkować szereg dość przeraźliwych nagłych głośnych dźwięków. Kiedy Lucy za pierwszym razem była tego świadkiem, pies wybiegł jak oszalały z pokoju, a Rob omal nie udusił się ze śmiechu. Z czasem Lucy zjednała sobie nawet Claire – która właśnie wybierała się na uniwersytet – przyznając, że też lubi Bay City Rollers, i pożyczając jej swoje ciuchy. Claire uwielbiała do nich przyjeżdżać na parodniowe wizyty, bo dzięki temu czuła się dorosła. Uważała, że Lucy jest cudowna, piękna i dystygowana, i bez przerwy pytała ją, co widzi w jej okropnym bracie.

Caroline powitała ich wylewnie – prawdę mówiąc, tak wylewnie, że Lucy miała ochotę ją udusić. Bała się, że matka potraktuje Jacka jak jednego z pacjentów po wylewie w grupach fizjoterapeutycznych, w których pomagała co dwa tygodnie jako wolontariuszka – że zacznie do niego bardzo głośno i wyraźnie mówić. Ale musiała oddać jej sprawiedliwość – Caroline szybko opanowała sytuację i pierwsza dyskretnie wzięła Jacka pod ramię, kiedy się potknął, wysiadłszy z samochodu po długiej i dość ryzykownej, dzięki Robowi, jeździe. Biedna Peggy od razu się zmieszała, gdy Caroline nachyliła się, żeby ją pocałować. Rodzice Roba nigdy publicznie się nie całowali, toteż zaczerwieniła się po białka oczu i nadstawiła policzek z jednej strony, a potem bardzo szybko z drugiej i obie panie zderzyły się mocno brodami. Archie, widząc to, poprzestał na uścisku dłoni. Lucy ze zdumieniem obserwowała zdenerwowanie rodziców. Zwykle w sytuacjach towarzyskich byli zupełnie swobodni, teraz jednak nie bardzo wiedzieli, jak się zachować wobec Jacka i Peggy, bo nie mieli doświadczenia w obcowaniu z ludźmi ich pokroju.

Lucy nie bez wzruszenia zauważyła, ile trudu zadała sobie Caroline – rozpałała w kominku i w każdym pokoju ustawiła wielkie, kunsztownie ułożone bukiety kwiatów. Kiedy usiedli do stołu, zrobiła także swoją zwykłą iluminację ze świec: grubych, kościelnych w cynowych świecznikach na obu końcach długiej, sklepionej jadalni, i mniejszych w antycznych, mosiężnych kinkietach na ścianach.

Jeszcze przed posiłkiem nastąpił niezręczny moment, kiedy Archie zapytał:

– Może mają państwo ochotę na drinka?

Peggy spojrzała ostro na Jacka, któremu nie wolno było w zasadzie pić alkoholu. Ale może ten jeden raz mu nie zaszkodzi. Spodziewała się, że poprosi o piwo, i omal nie spadła z krzesła, kiedy powiedział:

– Poproszę džin z tonikiem.

Lucy, widząc zdumioną minę Peggy, wtrąciła szybko:

– Świetny pomysł. Ja wezmę to samo.

– A ja napiję się kropelkę wina – powiedziała stanowczo Peggy.

– Białego czy czerwonego? – spytał Archie. – Mamy całkiem niezłe chablis i doskonałe, łagodne chambertin. Mina Peggy wyrażała niepewność. – Na pewno zasmakuje pani chablis – podsunęła Lucy.

– To brzmi zachęcająco, ale czy nie jest za słodkie?

– Nie, nie, wcale nie jest słodkie – powiedziała Lucy.

– Tak czy owak – wtrącił Archie – powinniśmy właściwie zacząć od szampana, czyż nie?

Rob i Lucy wymienili szybkie, porozumiewawcze spojrzenia. Caroline uśmiechnęła się i wstała.

– Przyniosę kieliszki – zaofiarowała się i poszła zanurkować do kredensu, gdzie trzymała swój bogaty komplet kryształów.

Lucy nagle zebrzało się na płacz. Rodzice zachowywali się wspaniale, mimo że wiedziała, iż w głębi serca wcale nie są do końca przekonani co do słuszności jej wyboru. Oboje zdążyli już dobrze poznać Roba, polubić jego poczucie humoru i przyzwyczać się do jego niedbałego sposobu ubierania się i zupełnego braku zainteresowania sprawami materialnymi. Caroline twierdziła nawet, że mężczyzna o tak niewzruszonych zasadach, jest godny podziwu. Ale czy da Lucy szczęście? Czy zapewni jej standard, który uprzyjemnia życie? Czy Lucy będzie mieć to wszystko, co zawsze uważali za w oczywisty sposób jej przynależne? Te obawy Caroline i Archie wyrażali tylko między sobą, wśród czterech ścian. Wszyscy widzieli, jak bardzo Lucy i Rob są zakochani, ale czy różnice między nimi nie spowodują później tarć?

Przed jedzeniem Peggy spojrzała z przerażeniem na rzędy noży i widelców przy talerzu. Strasznie dużo zamieszania jak na zwykły posiłek. Starła się ze wszystkich sił powstrzymać burczenie w brzuchu, gdyż zasiedli w końcu do stołu dopiero przed dziewiątą. Popatrywała z niepokojem na Jacka, czy nie zemdleje z głodu – w domu jedli zwykle kolację o szóstej.

Wcześniejsza rozmowa w salonie też niezbyt się kleiła. Najgorszy moment nastąpił, kiedy Archie spytał, gdzie Jack pracował przed przejściem na rentę.

– W prasie – powiedział Jack.

– Rozumiem... – kiwnął głową Archie, myśląc, że był dziennikarzem. – Bardzo ciekawa praca. Całe szczęście, że złamano ten absurdalny strajk drukarzy.

Nastąpiła martwa cisza, podczas której Lucy miała ochotę zsunąć się z krzesła i schować pod dywan.

– Byłem kierownikiem drukarni – powiedział Jack sztywno. Archie zatopił wzrok w swoim dżynie z tonikiem.

– Ach, tak...

– Z milczenia, które zapadło, uratował ich dopiero powrót Peggy i Caroline z obchodu domu.

Tej nocy Caroline długo nie mogła zasnąć. Dałaby wszystko, żeby mieć pewność, że Lucy będzie szczęśliwa.

Rozdział 14

Rob poprosił ją o rękę na swój własny, wysoce oryginalny sposób. Ten wieczór nie zaczął się jakoś szczególnie romantycznie, ale ich wieczory rzadko bywały romantyczne.

– Jeśli jeszcze raz mnie opieprzy, to popamięta!

Rob krążył ze złością po saloniku, upiękaszonym kwiecistymi zasłonami, które Caroline kupiła Lucy wraz z dwiema poduszkami o tym samym wzorze.

– To tylko takie drobiazgi – powiedziała, krzątając się po ich domu, który wydawał się dla niej za mały – ale jednak robią różnicę.

Lucy leżała wyciągnięta na sofie, wyczerpana po całym dniu znoszenia kaprysów prezenterki-primadonny, z którą współpracowała jako osoba przygotowująca materiał do wywiadów. Miał to być tłusty kasek zlecony jej przez dyrektora rozgłośni, któremu wyraźnie się podobała i który zawsze przysuwał do niej krzesło odrobinę za blisko. Przypominał jej wielkiego, tłustego borsuka, ale go tolerowała, bo lubiła swoją pracę – przynajmniej wtedy, gdy nie musiała współpracować z tą koszmarną babą, przy której Joan Collins była wcieleniem słodyczy. Filigranowa prezenterka przypominała jej złośliwą karlicę, wiecznie wypatrującą ofiary, żeby się na niej wyżyć.

Shirley Cross – z programu *Shirley Cross przedstawia!* (oklaski) – zjadała swoje współpracownice na śniadanie. Już po tygodniu każda z nich biegła z płaczem do biura dyrekcji, błagając o przeniesienie do innej audycji, innej stacji, gdziekolwiek. W latach siedemdziesiątych miała swój własny program w rozgłośni ogólnokrajowej i nieuchronnie spadała coraz niżej w dziennikarskim rankingu. Z jaśniejszej gwiazdy stała się dogasającą iskierką. Jednak czepiała się pazurami przebrzmiałej sławy, niepomna tego, że dla wszystkich innych w radiostacji jest upiornym przeżytkiem.

Niebywale leniwa, wpływała do studia na pół godziny przed programem, oczekując, że wszystko zostanie podane na tacy. Lucy pracowicie wystukiwała przesłodzone życiorysy i pytania do jej gości, ale te ostatnie były rzadko wykorzystywane, jako że jedyne, o czym Shirley chciała rozmawiać, to wspominki z szalonych lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Bill, który razem z nią zbierał materiały, doczekując w lokalnej rozgłośni należnej mu z BBC emerytury, mówił:

– Jeśli jeszcze raz wspomni o Hollies, pójdę i osobiście ją uduszę.

Podczas przerwy muzycznej Shirley patrzyła na nich jastrzębim wzrokiem

przez okno reżyserki i jeśli tylko zauważyła jakąś wymianę zdań, syczała przez intercom:

– Kawy. Bezkofeinowej. Natychmiast.

Albo:

– Muszę zjeść coś słodkiego. Czuję, jak spada mi poziom cukru we krwi.

Kiedy wiedziała, że przebrała miarę – co zdarzało się często – przyzywała na ratunek cały swój syntetyczny wdzięk, oblepiając ofiarę górą cukrowej waty.

Podlizywała się bezwstydnie swoim.. sławnym” gościom – i zwykle udawało jej się namówić gwiazdy pantomimy z Opera House w Manchesterze na półgodzinną przejażdżkę do ich radia, pod warunkiem że wysłano po nie samochód. Lucy nieraz siedziała z głową opartą na rękach o ósmej rano, starając się wymyślić interesujące pytania do kogoś, kto pięć lat temu występował w serialu *Sąsiedzi* – w dwóch epizodach.

– O co chodzi tym razem? – spytała Roba, nie otwierając oczu.

Rob podniósł jej nogi i usiadł obok na sofie.

– Pomyliłem podpis pod zdjęciem – powiedział. Ramiona mu zadrżały. – Wykryli to dopiero w korekcie.

Lucy otworzyła oczy i zgaśniła go wzrokiem.

– Co znowu nabroiłeś?

– Trochę mi się pomieszało. Mieliliśmy ten groteskowy policyjny rysunek faceta z maską małpy, który obrabował jubilera na głównej ulicy, i podpis powinien brzmieć:.. Czy ktoś widział tego człowieka?”, co już samo w sobie było dość śmieszne. Ale potem dostałem też artykuł ze zdjęciem nowej przewodniczącej fundacji charytatywnej z Blackburn i...

– Pomyliło ci się jedno z drugim.

– To nie było trudne. Wyglądała, jakby miała na sobie maskę małpy.

– Rob – powiedziała Lucy surowo – musisz poważniej podchodzić do swojej pracy. Co zrobimy, jeśli cię wyleją? Pamiętasz, co było z tym tytułem, który próbowałeś przemycić? Tym o pastorze, który wypłoszył z kościoła wiernych, grząc z ambony o piekle i wieczystym potępieniu?

– „Rozpierzchnięte stado”?

– A ta inna historia? – kontynuowała Lucy. – O rzeźbie przedstawiającej małe niedźwiadki wczepione pazurami w drzewo?

– „Dzieci – uwaga na misie”? Uważałem, że to zabawne.

– Nie wszyscy podzielają twoje specyficzne poczucie humoru.

– Wiem, czym się to skończy – powiedział Rob z nieszczęśliwą miną. –

Wyznaczą mi tydzień pokuty w sądzie magistrackim w Blackburn na rozprawach o jeździe po pijaku, zakłócaniu porządku i niepłaceniu abonamentu telewizyjnego.

– Żebyś tylko znów nie pomylił zarzutów. Zeszłym razem przypisałeś żonie dyrektora banku, która zapomniała opłacić abonament, trudnienie się paserstwem.

– Wyglądała mi na chytrą sztukę.

Lucy roześmiała się.

– Pamiętaj tylko, żeby nie dać się wyrzucić. Mamy przed sobą całą przyszłość.

– Jeśli o to chodzi – powiedział Rob – to mam ci coś do powiedzenia.

Przez dwa spędzone razem lata Rob nigdy nie zająknął się na temat ich przyszłości. Przez dwa lata musiała odpierać delikatne indagowanie matki, pogodzonej już z tym, że są nierozłączni, i o wiele bardziej bezpośrednio pytania Peggy, która była mocno zgorzona faktem, że otwarcie żyją ze sobą bez ślubu – i to tak blisko domu.

– Na kocią łapę – powtarzała – tak to się nazywało za moich czasów. Nie rozumiem – powiedziała do Lucy podczas jednej ze swoich wizyt, które oboje uwielbiali, bo sprzątała im cały dom i gotowała gorące posiłki – jak mój syn może być taki głupi i nie doceniać, że zdobył w tobie prawdziwą perłę.

– Rob – zagadnęła go innym razem, gdy gderliwie zmywał naczynia w ich maleńkiej kuchni – dlaczego nie zrobisz z Lucy uczciwej kobiety?

– Nigdy mnie o to nie prosiła – odparł. – A poza tym dlaczego nikt się nie martwi o to, żeby ze mnie zrobić uczciwego mężczyznę?

– Ty i te twoje żarty – mruknęła Peggy, wyjmując z torebki własny grzybek do cerowania, żeby zacerować mu skarpetki.

Lucy nie radziła sobie z jego skarpetkami – co tydzień zgarniała je na kupkę w rogu sypialni, gdzie leżały, mrużąc i sycząc do siebie, aż do chwili, gdy w końcu pakowała je do plastikowej torby i podawała na odległość ramienia Robowi, który zaglądał ostrożnie do środka i rozważał głośno, czy powinno się je pogrzebać, czy spalić.

– Mógłbyś je wyprać – podsuwała Lucy.

– Nie sądzę, żeby udało mi się wpakować je do pralki – mówił. – Mogłyby się zbuntować i uciec.

Milkli, mając przed oczami straszny obraz skarpetek Roba pędzących w amoku przez Clitheroe.

– Grzebiemy – zarządzała Lucy i wkładała torbę do śmieci. Idź, kup sobie nowe.

A w nocy miała przerażające sny, że wieko kubła samo się podnosi.

– Chodźmy gdzieś dzisiaj wieczorem – zaproponował Rob. Nie wywalili mnie, więc należy to uczcić. Wkładaj odświętną kieckę, dziewczyno, biorę cię do pubu.

Ich stary grat znowu się zepsuł z jakiegoś nieznanego i tajemniczego powodu. Mechanik w miejscowym warsztacie, którego Lucy już dobrze знаła, zapalił silnik, posłuchał, jak pokasłuje, popierduje i zdycha, po czym orzekł:

– Wsiadł na dobre.

– Wiem – powiedziała Lucy. – Mógłby pan go jakoś naprawić?

– Same części będą kosztować więcej niż cały ten samochód.

– Bardzo pana proszę – uśmiechnęła się do niego Lucy błagalnie.

Jak większość mężczyzn skonfrontowanych z jej olśniewającą urodą, natychmiast zmiękł.

– Zobaczą, co się da zrobić – przyrzekł.

– Bardzo dziękuję – powiedziała i uprzytomniwszy sobie, że jest teraz skazana na dojazd do pracy na tylnym siedzeniu rozpadającego się motocykla Roba, dodała szybko: – Strasznie zależy mi na czasie.

Wyruszyli teraz na tym motocyklu do ich ulubionego wiejskiego pubu w kotlinie między falistymi wzgórzami, jakieś pięć mil za Clitheroe. Odkryli ten pub przypadkiem. Wspiąwszy się kiedyś na szczyt stromego wzgórza, Rob zatrzymał nagle motor i powiedział:

– Spójrz tylko.

Widok zapierał dech w piersiach – leżała przed nimi duża, szeroka dolina, gęsto zalesiona, z wąską wstążeczką srebrnej rzeczki biegnącej środkiem. Nie dolatywał do nich żaden dźwięk oprócz cichego pobekiwania owiec i poszczekiwania psa.

– Nasuwa mi to na myśl poezję Wordswortha – powiedziała Lucy.

– Co? Beczenie owiec?

– Nie, piękno zatrzymane w czasie. Cud przyrody. Czuję się przytłoczona majestatem natury.

– Może ty jesteś przytłoczona majestatem natury, aleja marzę o kuflu piwa.

Wsiedli z powrotem na motocykl i zjechali do soczystej doliny. U stóp wzgórza stał stary kamienny pub, z przekrzywioną pijacko ławką przy ścianie i warującym u progu owczarkiem. Zaparkowali, zdjęli kaski i schylając głowy, przeszli pod niską belką nad drzwiami. Zamrugali, starając się dostrzec coś w panującej tu ciemności. W środku było pusto, tylko dwaj starsi mężczyźni grali w domino. Lucy wdrapała się na stołek przy barze. Wystrój pubu był nieco ekscentryczny. Na parapetach okien i wszędzie wokół stały wypchane zwierzęta, a najbardziej spektakularny był

zad lisa z rudą kitą, znikający w ścianie.

– Wyzywam cię na pojedynek. – Rob usadowił się za stołem z dużym kuflem piwa z pianą, zapalił skręta i wytrząsnął kostki domina z pudełka.

Ciszę zakłócało jedynie tykanie dużego, starego zegara. Owczarek ułożył się przyjacielsko u ich stóp.

Lucy wygrała. To go zawsze bardzo złościło i musieli grać znowu i znowu, dopóki jej nie pobił. Znowu ustawiła kostki przed sobą i, ciesząc się w duchu z posiadania podwójnej szóstki, spytała ostrożnie:

– Zdaje się, że chciałeś mi coś powiedzieć?

– Złoję ci tyłek – oświadczył radośnie, patrząc na swój przydział kamieni.

– To wszystko, co mi miałeś do powiedzenia? Nie jestem pewna, czy to najodpowiedniejsze miejsce.

– Ha, ha – powiedział. – Właściwie jest jedna rzecz...

Podniósł skręta z popielniczki, wbił wzrok w gorejący koniuszek i strzepnął mały stożek popiołu.

– Jestem ciekaw... – Poobgryzanymi paznokciami drugiej ręki zaczął oddłubywać popękany lakier na stole. – Jestem ciekaw, czybyś za mnie nie wyszła.

Podniósł głowę i popatrzył na nią bez uśmiechu. Zegar na ścianie tykał, Lucy rozejrzała się po pustym pubie. Byli tu teraz jedynymi gośćmi – żeby coś zamówić, należało nacisnąć dzwonek na ladzie i przywołać właściciela, który gderając, wynurzał się z zaplecza, gdzie oglądał telewizję ze swoją rozłożystą małżonką.

W dzieciństwie Lucy często marzyła o tym, którego poślubi. Leżała w łóżku, miała jakieś dziewięć lat, i zaciskając mocno powieki, wyobrażała sobie mężczyznę, który zostanie jej mężem. Zamknęła teraz oczy. Otworzyła je i siedział przed nią Rob. Biała koszula bez kołnierzyka, wystrzępiona lekko na brzegach. Podwinięte rękawy na muskularnych, owłosionych ramionach. Na jednym nadgarstku pokrzywiona, miedziana bransoletka, na drugim skórzane sznurowadło, które zawiązał kiedyś podczas dni studenckich i zapomniał zdjąć. Dwa palce lewej ręki poplamione nikotyną. Ciemne włosy, opadające aż do ramion, mokre od potu, zmierzwił przez motocyklowy kask.

Siedział pochylony ku niej, rozchełstana koszula ukazywała delikatne, bezbronne zagłębienie na szyi, które aż się prosiło o pieczętę. Zatopiła oczy w jego twarzy, tak znajomej, że już nawet nie dostrzegła, jaki jest przystojny. Linie biegnące od nosa do ust były głębsze, niż kiedy go poznała. Spojrzała w jego ciemne, lekko skośne oczy. Zwykle można było w nich wyczytać, że lada chwila zdarzy się coś niespodziewanego, acz miłego – teraz, w starym pustym pubie,

dostrzegła czający się w głębi lęk.

Wyciągnęła rękę i delikatnie pogładziła go po szorstkim, zarośniętym policzku.

– Tak – powiedziała.

– Mam świadka. – Popatrzył na owczarka, który w psim uśmiechu rozdziawił pysk i zaczął walić ogonem w drewnianą podłogę. – Nie będziesz mogła się wycofać.

– Nie mam zamiaru.

Podniosła drugą rękę i objęła dłońmi jego twarz. Pochylił się ku niej i pocałowali się, z czułym spokojem, pod tykającym głośno zegarem i zadkiem lisa wystającym ze ściany.

– Jeszcze jedno małe piwo z tej okazji? – spytał Rob, wskazując jej pustą szklanke.

– Zamów duże – powiedziała. – Jak szaleć, to szaleć.

Rozdział 15

Na miłość boską, Lucy, nie wierć się tak! – Caroline, z ustami pełnymi szpilek do włosów, usiłowała upiąć jej fryzurę.

Lucy od rana miała na przemian ochotę turlać się ze śmiechu albo wybuchnąć płaczem. Matka od siódmej rano miotła się po domu jak oszalały nietoperz, buchając histeryczną energią, zdolną wysłać w przestrzeń pojazd kosmiczny, a ojciec, który bardzo przeżywał całe wydarzenie, ale nie wiedział, jak to okazać, zamknął się w cieplarni ze swoimi pomidorami, które na ogół nie stawiały żądań uczuciowych ani pytań, jak wyglądają.

Annie, pierwsza drużna, zupełnie nie doceniała powagi sytuacji i powtarzała bez przerwy: „Ale heca!” Leżała teraz na łóżku Lucy, gniotąc swoją bardzo drogą, kremową satynową suknię drużny, i czytając w „Cosmopolitan”, jak osiągnąć wielokrotny orgazm. Najmłodsze drużny Lucy, córeczki jej kuzynki Sary, które wyglądały jak dwa aniołki, a były w rzeczywistości małymi czortami w przebraniu, zdjęły już z głów diademy i okładały się nimi w najlepsze. Helen, która buntowała się przeciwko swojej sukience, twierdząc, że wygląda w niej grubo przy chudej jak patyk Annie, powtarzała w kółko: „Czuję się jak idiotka. Dlaczego nie mogliśmy ubrać się na czarno?” Jediną osobą zachowującą spokój była Claire, ale wynikało to głównie z paraliżującego onieśmienia na widok okazałości domu Lucy i z przerażenia bezczelnością Annie, która już kilka razy powiedziała „pieprzę”

w obecności Caroline. Sama Caroline tolerowała Annie, ponieważ okazało się, że jej ojciec jest znajomym jednego z przyjaciół Archiego, i ponieważ czuła, całkiem słusznie, że dziewczyna przez wyzywające zachowanie chce ściągnąć na siebie uwagę, jak opryskliwe dziecko. Budziła w niej instynkt opiekuńczy i miała ochotę jej matkować.

Lucy syknęła, kiedy szpilka ukłuła ją w głowę.

– Siedź spokojnie – zbeształa ją Caroline. – Mówiłam, żeby wziąć fryzjerkę i zawodową makijażystkę, kochanie. Nie rozumiem, czemu mi nie pozwoliłaś.

– To byłby całkiem niepotrzebny wydatek – skrzywiła się Lucy. – I tak wciąż powtarzasz, że to wszystko kosztuje majątek.

– To nie ma nic do rzeczy – obruszyła się Caroline. – Przecież to twój wielki dzień.

Lucy ugryzła się w język, żeby nie odparować, że to raczej wielki dzień Caroline. Ona sama była tylko zwiewnym, białym dodatkiem. Ale zaraz pomyślała,

że jest niesprawiedliwa. Matka włożyła tyle wysiłku w organizację ślubu, jakby całe życie córki od tego zależało. To wprost niewiarygodne, jak bardzo się przejmowała. Rob natomiast umył ręce już na samym początku i zdecydowanie odmówił brania udziału w pasjonujących dyskusjach, czy między posiłkami podać szampana czy sorbet z melona, i czy lepiej wybrać namioty w jasnoróżowe, czy może jasnożółte pasy.

– Wyskoczył ci pryszcz na brodzie – zauważyła Helen, patrząc nad ramieniem Lucy na jej odbicie w lustrze.

– Dziękuję ci, kochana siostrze...

Lucy sięgnęła po podkład. Poczowała, co się święci, zaraz po obudzeniu; rósł jej pod skórą, pulsował i świecił niczym latarnia morska. Typowe. Nie miała pryszczycy od dwóch lat, a w dniu ślubu – proszę bardzo! Wyskakuje na samym środku brody. Obrysowała starannie usta konturówką, zastanawiając się, jak się miewa Rob. Oby tylko nie miał kaca. Postanowił spędzić tę noc w pensjonacie razem z rodzicami i zaproszonymi krewnymi oraz z Nickiem, który obiecał, że zrobi coś ze swoimi zielonymi włosami. Skromny pensjonat leżał niedaleko reprezentacyjnego hotelu, w którym miało się odbyć przyjęcie weselne i w którym Caroline zarezerwowała pokoje dla klientów Archiego. Zaproponowała, bardzo delikatnie, że zapłaci też za rodziców Roba, ale Peggy podziękowała ze słowami, że woli być z resztą swojej rodziny, która przyjeżdża na ślub. Paru klientów Archiego przylatywało helikopterem, co Caroline mimochodem, acz często, wtrącała do rozmów z przyjaciółkami. Rob powiedział Lucy, że jeśli jej matkę tak ekscytują niecodzienne środki transportu, to może uda mu się namówić wujka Boba, żeby wziął swój wózek do rozwożenia mleka.

Caroline omal nie zemdląła, kiedy Rob oznajmił, że jego drużbą będzie Nick. Naturalnie, poznała go już i wiedziała, jaki to miły chłopak w gruncie rzeczy, ale czy to na pewno dobry pomysł, żeby go w ten sposób eksponować? To tylko taka mała sugestia, może jednak Rob ma jakichś innych, bardziej konwencjonalnych przyjaciół? Lucy odparła ostro, że cieszyłaby się, że Rob wybrał Nicka, bo drużbą mógł być kolega z ławy szkolnej, Colin, za dnia listonosz, a w nocy Anioł Piekła. Matka zbladła jak papier i nie wysuwała już żadnych sugestii. Wtedy Lucy zaproponowała, że skoro ma takie zastrzeżenia wobec Nicka, to drużbą może zostać Annie, która przyjęła to z entuzjazmem, w przeciwieństwie do Caroline.

– Czy moglibyśmy postarać się nie być zbyt ekstrawagancy?

– spytała z ledwo tłumioną histerią.

Później pracowicie przygotowywała grunt wśród znajomych, zaznaczając, że družba jest nieco ekscentryczny, ale bardzo mądry. To przyjaciel pana młodego z uniwersytetu. Starła się także zacierać różnice w pochodzeniu córki i jej narzeczonego, podkreślając, że poznali się na studiach, a on jest prawdziwym oryginałem. Jej zdenerwowanie podsycił fakt, że na ślubie mieli być obecni wpływowi klienci Archiego i ich wykwintne żony. W chwilach załamania zadawała sobie po cichu pytanie, dlaczego Lucy musiała wybrać właśnie Roba, dlaczego nie mogła spotkać kogoś... cóż... bardziej z ich kręgów. Lucy, patrząc jej przez ramię na listę gości rodziców, skomentowała:

– To wygląda jak spotkanie w interesach.

– Pomyśl o prezentach – odparła Caroline cierpko.

Poruszyła także sprawę kolczyka Roba.

– Chodzi mi tylko o to, jak to wypadnie na fotografiach. Będzie wyglądać trochę dziwnie z cylindrem. Jak u sztukmistrza w cyrku.

Lucy obiecała, że spróbuje porozmawiać z Robem, lecz obawiała się, że to nie da. Nie zdjął go ani razu od przekłucia ucha, nawet wtedy gdy przyplątała się infekcja. Myślała, czy nie zdjąć mu go we śnie, ale musiałaby chyba najpierw odurzyć Roba chloroformem. Na uniwersytecie ten jego kolczyk nie raził, zastanawiała się jednak, dlaczego upiera się przy noszeniu go w świecie ludzi pracy. Podejrzewała, że jest to ostatni, dość nieszkodliwy odruch buntu przeciwko establishmentowi, do którego teraz sam należał.

– Doskonale – powiedziała Caroline i cofnęła się, podziwiając w lustrze efekt swojej pracy. – Gotowe.

Lucy wstała ostrożnie, opierając się dłońmi o toaletkę. Czowała się, jakby miała na głowie tort.

– Wyglądam idiotycznie – stwierdziła z irytacją.

– Nic podobnego – zaprzeczyła Caroline; w kąciu jej oka błysnęła łza. – Wyglądasz pięknie. Archie, sam powiedz, czy Lucy nie wygląda olśniewająco?

Jej ojciec, elegancki i dystyngowany w szarym przedpołudniowym garniturze, wszedł do sypialni i stanął za nimi.

– Obie wyglądacie cudownie – powiedział lojalnie. – Jestem bardzo dumny z moich dziewczyn.

Caroline uśmiechnęła się blado. Lucy jęknęła i wymieniła z nim w lustrze porozumiewawcze spojrzenie.

– Pomyśl tylko, ile pieniędzy zaoszczędzisz – powiedziała.

– To prawda. – Pocałował ją. – Ale będzie mi ciebie brakować. Bardzo.

– Och, tato, przeniesiemy się teraz bliżej was, dzięki nowej pracy Roba. Będzie nam się o tyle łatwiej widywać.

– Oczywiście.

Ale w głębi ducha Archie wiedział, że Rob nie należy do mężczyzn, którzy chętnie przyjeżdżaliby w niedzielę na lunch do teściów. Odrzucił już – uprzejmie, lecz stanowczo – próby wciągnięcia go na listę członków miejscowego klubu golfowego, do którego Archie chciał go zapisać, skoro mieli mieszkać z Lucy w odległości zaledwie piętnastu kilometrów.

– Nie ma sensu, Archie, jestem do niczego, naprawdę – powiedział. – Jeszcze cię przeze mnie wyrzucą. Gubię kije golfowe i dewastuję wszystko wokół.

Lucy wiedziała, że ojcu musi być przykro. Bardzo chciał wziąć Roba pod swoje skrzydła, wciągnąć go do rodziny, dawać mu rady w interesach i może nawet pomóc nawiązać parę kontaktów. A Caroline była pewna, że przy odrobinie wysiłku miałby całkiem dobrą prezencję i jeśli chciał, potrafił być taki zabawny. W końcu czasy się zmieniają i mówienie z akcentem nawet staje się modne. Ale Rob zdecydowanie odrzucił opiekuńcze skrzydła Archiego. W jednej z rozmów stanowczo zaprotestował też przeciwko ofercie polecenia go paru wpływowym redaktorom naczelnym ogólnokrajowych gazet, i siedzieli obaj nastroszeni w salonie, w pełnym napięcia milczeniu, dopóki sytuacji nie uratowało nadejście Lucy i Caroline.

Lucy przyjrzała się sobie krytycznie w lustrze. Starła się przynajmniej wybrać najmniej strojną suknię, bo całe to zamieszanie wokół panny młodej było takie dziecinne i nie pasowało do idei feministycznych, które wyznawała w czasach studenckich. Kiedy powiedziała Annie, że wychodzi za męża, przyjaciółka była wściekła.

– Dlaczego? – spytała ze złością.

– Bo mnie poprosił – odparła Lucy nieśmiało.

Nie odważyła się przyznać, że bycie żoną Roba wydaje jej się niesłychanie seksowne, chociaż trochę jej trudno przywyknąć do myśli, że będzie się nazywać „Pani Atkinson”*. Brzmiało to jak nazwisko sprzedawczynie lizaków. Annie powiedziała, że ona i Rollo nigdy się nie pobiorą, bo małżeństwo prowadzi do utraty tożsamości i jak w ogóle można brać poważnie kogoś, kto jest żoną? Poza tym to i tak tylko świstek papieru.

– Mam nadzieję, że zatrzymasz swoje nazwisko – powiedziała ostrzegawczo. – Nie będę się z tobą przyjaźnić, jeśli zostaniesz „panią Atkinson”.

Lucy nie wiedziała, co odpowiedzieć, bo nie poruszyła jeszcze tej kwestii z

Robem, obawiając się jego reakcji. Na jej sugestię, że zostanie przy własnym nazwisku, mógł równie dobrze powiedzieć: „W porządku”, jak wpaść w furję. Nigdy nie potrafiła przewidzieć, kiedy wyjdą na wierzch jego głęboko tradycyjne, północne korzenie. Zaczynała też odkrywać, że Rob ma w sobie coś z purytanina i nienawidzi marnować pieniędzy na drobne przedmioty luksusu, które ona kupowała wręcz odruchowo. Przyzwyczajona do wygod i dobrobytu, nie potrafiła ograniczać wydatków tak jak Rob, który z kolei nie mógł zrozumieć, czemu Lucy nie zadowala się tym, co ma. Ale „zadowalanie się” nie było mocną stroną Lucy.

Ugłaskała teraz Annie kłamstwem, że w pracy zatrzyma swoje panińskie nazwisko, jeżeli tylko uda jej się zacząć gdzieś po przenosinach do Oksfordu. Jednak w głębi ducha wcale nie paliła się do natychmiastowego powrotu do pracy. Niechętnie przyznawała to nawet sama przed sobą, ale z przyjemnością nie robiłaby nic przez jakiś czas i zajęła się urządzaniem domu. Do widzenia, superkobieto; witaj, pani domu.

Poza tym – spojrzała niespokojnie na swój płaski brzuch – okres się jej spóźniał. Ona i Rob nie byli najlepsi w stosowaniu antykoncepcji. Rob uparł się, żeby odstawiła pigułki, bo tylko ją zatruwają i burzą równowagę hormonalną, więc przerzucili się na kapturek. Prezerwatywy Rob z góry odrzucił, twierdząc, że to jak noszenie kalosza na fiucie. Ale z kapturkiem też nie szło im za dobrze – raz skończyło się to histerycznym napadem śmiechu Lucy, kiedy sprężysty krążek wystrzelił jej z ręki i odbił się od ściany łazienki. Zwykle musiała zakładać go mozolnie przez pół godziny, a potem umierała ze strachu, że nie zdoła go wyjąć albo że zacznie jej wędrować po ciele i wysunie się nosem. Ogólnie rzecz biorąc, nie byli wzorem pary, która ściśle przestrzega zasad świadomego macierzyństwa, i istniała pewna możliwość, że Lucy może być w ciąży. Otóż to – powiedziała sobie. Co prawda, w gruncie rzeczy nie chciała jeszcze mieć dzieci, ale gdzieś w głębi duszy ta myśl wydała jej się ekscytująca. Nie podzieliła się jeszcze swoimi podejrzeniami z Robem, gdyż wiedziała, że wpadłby w euforię i nie umiał opanować podniecenia. Doskonale dogadywał się z dziećmi, czego nie mogła powiedzieć o sobie. Wydawały się jej małymi, niebezpiecznymi istotami z innej planety, a wszystkie niemowlaki, jakie znała, bez przerwy wydalały nieprzyjemne substancje, czego absolutnie nikt nie powinien robić publicznie.

– Naprawdę musimy już jechać...

Caroline zaczynała dygotać z nerwów. Zabierała do kościoła wszystkie druhny, a dwie najmłodsze zdążyły już zgubić swoje diademy, i doprawdy byłaby wdzięczna, gdyby Annie nie paliła papierosów w sukni druhny. Chciała wynająć

sznur stosownych do okazji samochodów, lecz Lucy oświadczyła, że czułaby się jak w taborze cyrkowym. I tak dość już było zamieszania, nawet bez białych Rolls-royce'ów przystrojonych idiotycznymi srebrnymi podkowami i girlandami wstążek. Lucy jechała z ojcem jego rangę roverem, którego Archie wyczyścił i odkurzył, żeby sierść Bena nie oblepiła jej sukni, bo jeszcze wkroczyłyby w nawę kościelną pokryta czymś w rodzaju puchatego brunatnego bolerka.

– Powinnaś jechać z tyłu – narzekała Caroline, upychając za nią welon i tren, kiedy Lucy wsiadała do samochodu obok ojca. Pognieciesz sobie suknię... I pamiętaj, jedź wolno! – krzyknęła za mężem, kiedy ruszył.

Archie i Lucy uśmiechnęli się do siebie nerwowo. Archie zdjął jedną rękę z kierownicy i położył na dłoni córki.

– Wiem, że jesteś szczęśliwa – powiedział. – I to mi wystarczy.

Kiedy jechali, Lucy patrzyła na jego profil, na jego nadal przystojną twarz, szpakowate włosy zaczesane do tyłu z opalonego czoła, na lekko wystający podbródek, i myślała, jak bardzo go kocha. Czy to samo będzie czuć po latach do Roba?

Przy kościele musieli poczekać, aż minie ich wóz Caroline. Lucy zobaczyła, że usta jej matki niestrudzenie się poruszają. Dzięki Bogu, że ona sama jechała z ojcem. Caroline z wielkim przejęciem podchodziła także do sprawy własnego stroju – powinien być drogi i wytworny, ale nie nazbyt ostentacyjny – i zdecydowała się w końcu na szkarłatną szyfonową sukienkę z żakietem od Chanel, których koszt pobladły na widok rachunku Archie skwitował mruknięciem, że to może spowodować perturbacje na giełdzie. Jej kreację uzupełniał ogromny czarny kapelusz, w którym wyglądała, zdaniem Helen, jak ożywiony grzyb. Z powodu zbyt dużego ronda nie mogła wsiąść w nim do samochodu, toteż leżał na bibułce w bagażniku. Lucy zastanawiała się, czy nie trzeba będzie ustawić wokół niej w kaplicy podtrzymujących go stożków.

Kiedy podjechali pod kościół, matka podskoczyła, żeby pomóc jej wysiąść. Pięć drухen czekało w pobliżu, dwie najmłodsze milczały buntowniczo po próbie pacyfikacji przeprowadzonej przez Caroline w samochodzie. Nagły powiew wiatru wyrzucił Lucy welon, niemal unosząc ją z ziemi.

– Czuję się jak pieprzona Mary Poppins – szepnęła do Annie.

– Gotowa? – uśmiechnął się do niej Archie.

Przez otwarte drzwi kościoła usłyszała dźwięk organów. Wsunęła ojcu rękę pod ramię.

– Gotowa.

Zrobiła krok naprzód i poczuła, że nie może się ruszyć. Obróciła się gwałtownie. Najmłodsza druha, Clarissa, stała na jej trenie.

– Złaż natychmiast! – zgoniła ją Annie, nie przestając się uśmiechać. Obiecała obu siostrą bitwę wodną później, jeśli będą grzeczne.

Lucy zastanawiała się gorączkowo, w jaki sposób ma iść. Panny młode, w jej przekonaniu, powinny płynąć lekko i posuwicie, podczas gdy ona musiała drobić małymi kroczkami z powodu dwóch najmłodszych druchen niosących tren, które inaczej mogłyby zostać pociągnięte gwałtownie do przodu i rąbnąć ją w plecy. Musieli zestroić krok, jak konie w pantomimie. Pociągnęła ojca za ramię.

– Zwolnij – szepnęła, kiedy przeszli przez ciężkie, dębowe drzwi kościoła.

Ogłuszył ich dźwięk organów. Goście siedzieli nieruchomo jak żałobnicy, lecz kiedy Lucy weszła, rozległ się szmer i wszyscy jak jeden mąż odwrócili się w ich stronę, oprócz kuzynki Cassie, która starała się utrzymać w ławce dwuletniego synka, wyrrywającego się do ołtarza. Mistrz ceremonii miał przykazane, aby usadzić gości panny młodej po lewej stronie, a pana młodego po prawej. Ale goście Roba stanowili taki nikły procent zebranych, że jedna strona była zapchana eleganckim towarzystwem w kapeluszach, a druga na pół pusta. Po konsultacjach poproszono część gości panny młodej, żeby się przesiedli, i pośród pomruków uprzejmej rezerwy jedwab spotkał się z poliestrem.

Zaproszenia, wydrukowane na grubym kremowym papierze z wytłaczanymi ozdobnymi literami, nosiły dopisek: stroje przedpołudniowe. Kiedy rodzina i przyjaciele zaczęli wydzwaniać do rodziców Roba z pytaniami, co to znaczy i czy muszą włożyć coś specjalnego, Jack zapewniał, że to nie jest chyba obowiązkowe. Jednak Peggy uznała, że on sam powinien zrobić jakiś wysiłek i sprawić sobie stosowny zakiet. Zaprowadziła go do krawca, który wziął miarę, i kiedy później zobaczyła go w tym stroju, omal się nie popłakała. Jack, niegdyś dobrze zbudowany, postawny mężczyzna, przypominał teraz żółwia w szarej skorupie. W końcu zgodziła się, żeby reszta rodziny nie robiła sobie kłopotu i nie wpędzała się w dodatkowe koszty, jako że i tak musieli zapłacić jeszcze za nocleg. Większość mężczyzn ze strony Roba była w garniturach, oprócz jego młodocianego kuzyna, Pete'a, który zbuntował się i przybył w dzinsach. W ogóle nie chciał przyjeżdżać, dał się dopiero skusić obietnicą dużej ilości darmowego piwa. Peggy kazała mu trzymać się blisko siebie, bo chciała mieć go na oku. Wierciła się teraz niespokojnie na kościelnej ławie. Miała spódnicę za ciasną w pasie i przeklinała się, że kupiła za mały rozmiar z myślą, że zmusi ją to do przejścia na dietę. Ale była tak zdenerwowana całą ceremonią, że jedyną pociechę stanowił nieprzerwany

dopływ czekoladowych eklerków. Patrząc teraz na rząd gości za sobą, zżymała się, że Kelly, osiemnastoletnia kuzynka Roba, włożyła taką krótką i obcisłą spódniczkę. Żeby chociaż była odpowiednio zbudowana, ale miała nogi jak balerony – jak to Rob kiedyś brutalnie ujął. Już choćby rajstopy trochę by pomogły.

Idąc nawą, Lucy nie bardzo wiedziała, co zrobić z twarzą. Złapała się na tym, że odpowiada na spojrzenia przyjaciół nieco drwiącym uśmiechem, a nie było to chyba stosowne w przypadku panny młodej. Spróbowała więc oblec twarz w wyraz spokojnej błogości, mówiąc sobie: „Pomyśl o Grace Kelly”. Skończyło się na malutkim uśmieszku kątem ust, którym chciała dać znać, że wie, jak nonsensownie wygląda, i na lekkich, królewskich skinieniach głową w odpowiedzi na liczne pozdrowienia. Ze wszystkich sił starała się nie wypatrywać w tłumie gości Maksa, którego wypierała z myśli przez cały ranek. Jednak myśl, że go zobaczy, uporczywie powracała. I co dziwniejsze, była nęcąca.

Zdumiał ją, przysyłając pisemne potwierdzenie przyjęcia zaproszenia na jej ślub, sformułowane z najwyższą starannością: „Max Yorke uprzejmie dziękuje Pani i Panu Beresfordza... „i tak dalej. Większość jej przyjaciół po prostu zadzwoniła ze słowami: „OK, fajnie”. Caroline powiedziała jej, że Max mieszka teraz ze swoją dziewczyną z Bristolu w mieszkaniu, które kupili mu rodzice – tytułowani obecnie sir George i lady Yorke – a ich zaręczyny zostały stosownie ogłoszone w dzienniku „Telegraph”. Archie i Caroline również zamieścili tam odpowiedni anons: „Państwo Beresford z Burford w Oxfordshire z radością powiadają o zaręczynach swojej najstarszej córki, Lucy, z panem Robem Atkinsonem z Darwen w Lancashire”.

– To brzmi, jakbyś wychodziła za śmieciarza – zauważyła Helen okrutnie.

Caroline przyjęła nowinę o nadaniu tytułu szlacheckiego George’owi z mieszanymi uczuciami, zastanawiając się w skrytości ducha, kiedy nadejdzie kolej Archiego. Kiedy zaś wspomniała Lucy o nowo kupionym mieszkaniu Maksa, bardzo pilnowała się, żeby nie dać jej odczuć, że to ona mogła mieszkać w eleganckim domu w Chelsea.

Lucy i Rob strasznie się pokłócili przy ustalaniu, kogo zaprosić na ślub. Rob pracowicie wypisał listę złożoną z dwudziestu osób, Lucy szybko doszła do sześćdziesięciu. Zajrzała mu przez ramię.

– Boże święty, nie możesz go zaprosić! Natychmiast się upije i zacznie z kimś bójkę. I na pewno nie jego! Zwariowałeś? Chyba nawet nie ma pary porządnych butów. Nie pozwolę, żeby mój ślub przekształcił się w popijawę w pubie.

– Czyj ślub? – spytał Rob łagodnie.

Lucy westchnęła, zatykając długopis za ucho.

– OK, nasz ślub. A właściwie ślub mojej matki.

– Właśnie. Popatrzmy teraz na twoją listę.

Próbowała schować ją za siebie, ale Rob wyrwał jej kartkę z ręki i podniósł wysoko nad głowę, a potem usiadł tyłem i zaczął czytać.

– Chyba stroisz sobie żarty – powiedział. – Połowa to twoi byli chłopcy. A ci co tu robią? – spytał, pokazując na nazwiska długoletnich przyjaciół Lucy, których od pierwszego spotkania uznał za pustych i mało interesujących. Lucy wiedziała, że niektórzy z nich są puści i niezbyt interesujący, ale dobrze się z nimi bawiła i знаła ich całe życie. Poza tym ich rodzice też byli zaproszeni, jako znajomi Archiego i Caroline. Rob określił ich mianem „użytecznego tłumu”.

– Ja przynajmniej utrzymuję stosunki z moimi przyjaciółmi – odparowała Lucy.

– Ty w ogóle z nikim się nie widzisz.

– Bo wszyscy są w więzieniu – wyszczerzył zęby Rob.

– Nie kłam. Chętnie spotkałabym się z twoimi przyjaciółmi ze szkoły. Oprócz Colina – dodała szybko. – Czemu nie chcesz nas poznać?

– Nie sądzę, żebyś ich polubiła. Niewiele macie wspólnego.

Przesunął palcem po liście i zatrzymał się na Maksie. „Max z narzeczoną” napisała Lucy ostrożnie.

– Tylko nie ten palant – powiedział.

– Nie mogę go nie zaprosić. Jego rodzice też przychodzą. Przecież to niczego nie zmienia, prawda? Dobrze, zaproś sobie, kogo chcesz, a ja zaproszę, kogo ja chcę.

Rob położył się na łóżku i zamknął oczy.

– Tylko nie tę bandę motocyklistów – dorzuciła.

Kiedy szła wolno wzdłuż nawy, Rob odwrócił się od ołtarza i pomachał do niej. Pastor spojrzał na niego z naganą. Doprawdy, nie tego się spodziewał. Wyobrażał sobie, że to będzie taki przyjemny ślub, kiedy omawiał sprawę z Caroline. Pierwsze wątpliwości naszyły go podczas próby dzień wcześniej, gdy przed kościół zajechał na ryczącym, starym motocyklu drużba pana młodego o włosach jak nieskoszony trawnik.

W połowie nawy Lucy odważyła się zerknąć w bok. Max bez żenady wlepił w nią zaciękawione spojrzenie i bezwstydnie przytrzymał ją wzrokiem, aż poczuła szarpnięcie małej druhny za welon i odwróciła głowę, mijając jego rząd. Próbowała

się uśmiechnąć, ale usta zastygły jej w grymasie. Bezwiednie zacisnęła rękę u boku, potem popatrzyła przed siebie i zobaczyła Roba. Ogarnęła ją fala ulgi. Wychodzi za mąż za Roba, jakżeby mogło być inaczej?

Przy ołtarzu z trudem opanowała straszliwą chęć, żeby wybuchnąć śmiechem. Bała się zerknąć na Roba, bo natychmiast wyczuła, że on też ledwo się hamuje. Nick stał z zasznurowanymi ustami, wlepiając wzrok w coś fascynującego na sklepieniu i nucąc sobie cichutko pod nosem. Odwróciła się do Annie, żeby posłać jej porozumiewawcze spojrzenie, ale przyjaciółka była zajęta sztorcowaniem małych drухen, które zabrały się za odczepianie kwiatów wiszących na krańcach ławek. Jedna z nich trzymała się za majtki, jakby czuła gwałtowną potrzebę pójścia do ubikacji, chociaż Caroline dopilnowała, aby obie się wysiusiały przed wyjściem z domu.

Pastor zaintonował pieśń, a Rob wbił wzrok przed siebie i poszukał ręki Lucy. Spojrzała na niego przez mgiełkę welonu i uśmiechnęła się z rozczuleniem. Wyglądał tak komicznie. Ale zdjął kolczyk. Płatek ucha miał różowy i zaogniony. Wiedziała, że sam wolałby pójść po prostu do urzędu stanu cywilnego, a potem wraz z gośćmi do pubu, niż bawić się w te wszystkie ceregiele w kościele. Zgodził się jednak, żeby sprawić przyjemność jej i jej rodzicom. Ścisnęła go za rękę, a on posłał jej łobuzerskie spojrzenie.

Zaschło jej w ustach. Nic nie jadła od rana i poczuła teraz lekkie mdłości, zapewne z powodu kieliszka szampana, który wypila przy ubieraniu się. Żołądek podskoczył jej do gardła. Może ma w brzuchu dziecko. Może pływa już w niej jak maleńka złota rybka. Uśmiechnęła się na tę myśl i zdała sobie sprawę, że już jej to nie przeraża.

Kiedy włożyli sobie na palce obrączki, pastor odetchnął z ulgą. Dzięki Bogu, już prawie po wszystkim. Najmłodsza drухna tuż po pierwszym hymnie oznajmiła głośno i niefrasobliwie, że chce kupę. Ta druga natomiast niespodziewanie wybuchnęła głośnym płaczem. Annie natychmiast wyniosła ją przed kościół i łaskotała tak długo, aż mała przestała szlochać, po czym wniosła ją z powrotem na barana i zdjęła dopiero na widok groźnej miny Caroline. Sama Caroline też nie potrafiła już zapanować nad ogólnym rozprężeniem, bo mimo danych sobie obietnic płakała przez cały ślub. Archie dyskretnie podał jej chusteczkę do nosa.

Po ceremonii Rob wolno uniósł welon znad twarzy Lucy. Wziął ją delikatnie pod brodę i pochylił się nad nią. A później podniósł ją do góry i namiętnie pocałował. Po kościele przebiegł pełen zakłopotania szept, a zmartwiała Caroline uniosła brwi, patrząc na Archiego. Żar bijący od młodej pary mógł podpalić świece

na ołtarzu. Pastor zakaszał. Rob niechętnie postawił Lucy na podłodze. Z tyłu dał się słyszeć aplauz ich uniwersyteckich przyjaciół.

Przed kościołem fotograf zabrał się za robienie nieskończonej ilości zdjęć, ku lekkiemu zniecierpliwieniu Archiego, który wiedział, że wszyscy, łącznie z nim samym, marzą o drinku. Tymczasem zerwał się wiatr i Lucy rozpaczliwie trzymała się za głowę, żeby nie wyjść na ślubnych fotografiach z fryzurą rozczapierzoną jak ogon pawia.

– A teraz rodzice – zarządził fotograf. Caroline, Archie, Jack i Peggy wystąpili naprzód.

– Proszę się uśmiechnąć i stanąć blisko siebie – padła komenda. Jack musiał się trzymać na odległość kapelusza od Caroline.

Peggy ze świstem wciągnęła oddech na pstryk aparatu. Jej strój wyjściowy, który prezentował się tak elegancko na wieszaku i miał taki ładny kolor, teraz wyglądał jak szmatka przy jedwabnej kreacji Caroline. Choć trzeba przyznać, że Caroline zachowała się bardzo miło i powitała ją słowami: „Jaki piękny kostium! Gdzie go kupiłaś?” Peggy wstydziła się przyznać, że w domu towarowym, więc powiedziała wymijająco: „W naszym miejscowym sklepie”. Żałowała też, że kupiła kapelusz z woalką, bo miał i wrazenie, że patrzy na świat przez sieć rybacką, a do tego jej buty na wysokich obcasach były o wiele za ciasne.

Podczas przyjęcia goście weselni szybko rozdzielili się na poszczególne grupki. Przyjaciele Roba i Lucy ze studiów trzymali się razem, ubrani w szeroki asortyment rozmaitych nieodpowiednich strojów, i wlewali w siebie ogromne ilości alkoholu, z niecierpliwością czekając, aż skończy się oficjalna część bankietu. Większość z nich od dawna się nie widziała, bo prawie wszyscy zaczęli pracować – oprócz Nicka, który zaczepił się przy związku studentów, co znaczyło, że mógł odsunąć decyzję co do dalszej kariery i korzystać z subwencjonowanego piwa. Dwaj koledzy Roba z gangu motocyklowego, których Lucy w ostateczności uznała za godnych zaproszenia, stali z jego rodziną, jak para yeti w garniturach. Starsze kobiety spośród jego krewnych usiadły, żeby dać odpocząć nogom, odmówiły wypicia szampana i zaczęły nerwowo rozpytywać o sok pomarańczowy. Ciocia Marge zsunęła buty i masowała spuchnięte kostki.

– W kościele był niemożliwy upał – powiedziała, przecierając drżącą dłonią twarz. – Omal się nie ugotowałam.

Mała frakcja pod wodzą Jacka – któremu Peggy stanowczo zabroniła wypić więcej niż dwa piwa – ruszyła na poszukiwanie prawdziwego drinka, bo szampan zdecydowanie im nie odpowiadał.

– Za dużo bąbelków – stwierdził Bob, brat Jacka. – Strasznie mi się odbija.

Pośród nich, jak przybysze z innego świata, snuli się przyjaciele Archiego i Caroline z dziećmi, a wytworne kobiety, zderzając się kapeluszami, całowały się wylewnie w policzki z okrzykiem: „Nie widziałam cię od wieków! Czyż Lucy nie wygląda olśniewająco?”

Rob i Lucy stali razem, trzymając się ciasno za ręce. Nie zamienili ze sobą słowa od wyjścia z kościoła, kiedy to Rob nachylił się do niej i spytał szeptem: „Czy twoja matka włożyła to na głowę, żeby wygrać jakiś zakład?”

– Jak się czujesz, moja żono? – zadał jej teraz pytanie do ucha.

– Poślubiona.

– Ja też. Mogę się teraz z tobą rozwieść.

– To bardzo pocieszające. Gdzie mój kontrakt przedślubny?

– Będiesz mogła wziąć wszystko – powiedział Rob wielkodusznie. – I motocykl, i gitarę.

– Rob... – zaczęła z wahaniem. Gwar tłumu niemal zagłuszał jej głos.

– Tak?

– Być może jestem w ciąży.

– Co?! Być może jesteś co?! – wrzasnęła i podniósł ją do góry. – To cudownie!

– Naprawdę? – spytała, patrząc na niego niepewnie.

– Jasne, fantastycznie! Ogłośmy to.

– Nie! – pisnęła Lucy. – Jeszcze nie teraz. Może to nieprawda.

Rob poklepał ją po brzuchu.

– Koniec z szampanem.

Lucy jęknęła. W tym właśnie momencie, kiedy patrzyli na siebie z radosnym oszołomieniem, pojawili się rodzice Maksa.

– Lucy, kochanie, wyglądasz zachwycająco. Prawda, George? – Kapelusz Annabelle mógł śmiało konkurować z nakryciem głowy Caroline. Jej pocałunek sparzył Lucy w policzek, a ciężki zapach perfum spowił ją duszącą chmurą.

– To jest Rob. Rob, to sir George i lady Annabelle Yorke.

Rob wyszczerzył zęby i, włożywszy papierosa do ust, zmierzył Annabelle zmrużonymi oczami, ściskając jej rękę.

– Lady Yorke – powiedział z emfazą. – Miło mi panią poznać.

Lucy patrzyła na niego z paniką w oczach. O Boże. Czy nie wyskoczy z czymś niestosownym?

Na szczęście, Annabelle właśnie wypatrzyła Maksa.

– Max! – zawołała w kierunku tłumu. – Chodź się przywitaj!

Lucy jeszcze nie poznała Cat.

Lucy zeszywniała. Max zaczął przepychać się wśród gości, pozdrawiając po drodze przyjaciół. Jak śmie być taki piękny, pomyślała. Jak śmie być taki wytworny, taki czarujący, taki doskonale swobodny. Rob wyglądał przy nim jak niepościelone wyrko. Topornie i niechlujnie. Na ramieniu Maksa wisiała dziewczyna w eleganckim kremowym kostiumie i takimż kapelusiku, z perłami w uszach i wokół szyi. Miała gładkie czarne włosy przycięte na pazia, jaskrawoczerwone usta i alabastrową cerę.

– To jest Cat – przedstawiła ją Annabelle i dodała wylewnie: Oni też wkrótce się pobierają! Jesteśmy tym bardzo podnieceni.

Max – zwróciła się do syna – zaprosiłeś Lucy, prawda? Ślub odbędzie się w kościele Świętej Marii Panny, w maju.

– Oczywiście, że ją zaprosimy – powiedziała Cat. – I Roba też.

Uśmiechnęła się do Lucy, przewiercając ją wzrokiem. Max tylko patrzył, a potem pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Miło cię znów widzieć.

Poczuła ciepło jego skóry i zapach wody po goleniu. Nadal tej samej.

– I ciebie. – Stali skrzepowani naprzeciwko siebie, nie wiedząc, co powiedzieć w obecności swoich obecnych partnerów. – Jak się masz?

– Jestem zajęty od rana do nocy i...

– Zaproponowano mu, żeby został wspólnikiem – wtrąciła Cat. – Najmłodszym w całej firmie. Jestem z niego naprawdę dumna – dodała, otwierając szeroko niebieskie, dziecinne oczy. – Ale biedak haruje tak ciężko... Prawie cię nie widuję, kotku, prawda? – Max zrobił stosownie zakłopotaną minę. – A jeszcze czeka nas teraz przeprowadzka. Musicie nas odwiedzić w nowym domu.

– A ty gdzie pracujesz? – spytała ją szybko Lucy. przeczuwając, że Rob zaraz wyskoczy z jakąś prowokacyjną uwagą.

– W agencji reklamowej. Ale Max chce, żebym to rzuciła, prawda, kochanie? Ma takie staroświeckie poglądy na pracę kobiet.

– Całkiem słusznie – wtrącił George.

Rob rzucił papierosa na ziemię i przydeptał.

– Chyba nie zostaliśmy sobie jeszcze przedstawieni – zwrócił się z przesadną uprzejmością do Maksa. Lucy stanął nagle przed oczami jego obraz, jak stoi nago w szafie.

– Chyba nie – potwierdził z uśmiechem Max, którego uwagi nie uszedł akcent Roba, palone skręty i zaborczy gest. jakim obejmował Lucy. W tym człowieku

było coś kanciastego, co go irytowało. Zupełnie nie pasował do Lucy.

Zapadła cisza. Max czekał na reakcję Roba, który tylko omiół go znudzonym wzrokiem. Lucy błagała w duszy o ratunek i oto nadszedł w postaci jej ojca. Archie pocałował Annabelle serdecznie w policzek i wymienił uścisk dłoni z George'em. Rob skorzystał z okazji i odciągnął Lucy.

– Chodź, nie przywitałaś się jeszcze z ciocią Marge. Marzy o tym, żeby cię poznać – powiedział, przedrzeźniając nieskazitelną resztę towarzystwa i dodał cicho na boku: – Co za palant. Pieprzony dupek.

– Nie bądź taki wulgarny! – warknęła Lucy, wyszarpując mu ramię.

Spojrzał na nią zdumiony. Nie mógł jej chyba imponować taki nadęty bufon? Lucy gotowała się z wściekłości. Czuła się ośmieszona.

W tym momencie wpadł na nich wuj Arthur, czarna owca w rodzinie Roba. Trzymał w obu rękach po kuflu piwa i miał kieszenie wypchane cygarami, które Archie kazał wyłożyć na barze.

– Spójrzcie tylko na niego – obruszyła się ciotka Marge, zgorziona. – Pijany jak bela. Uważaj, panienko... – Zachwiała się, potrącona przez Cat, która zmierzała do toalety. Lucy podtrzymała starszą panią pod ramię.

– Przepraszam – powiedziała Cat, omiatając ją niewidzącym wzrokiem, jak kogoś z obsługi.

Mowa Nicka też nie wypadła najszcześliwiej. Caroline siedziała z uśmiechem przyklejonym do warg, kiedy zabawiał towarzystwo dykteryjkami z ich życia studenckiego i wspólnych hulanek. Przyjaciele z uniwersytetu zarykiwali się ze śmiechu, a reszta gości uśmiechała się uprzejmie, chociaż raz i drugi przekroczył nieco granicę dobrego smaku, zwłaszcza gdy nawiązał do przyłapania Roba w pokoju akademickim Lucy, kiedy jeszcze tam mieszkała. Caroline robiła dobrą minę, lecz posłała pełne wyrzutu spojrzenie córce, która udała, że tego nie widzi.

Pod koniec przyjęcia Caroline zaczęła się uspokajać. Przygotowania kosztowały ją tyle nerwów i wysiłku. Lucy nie potrafiła w pełni docenić starań, jakie trzeba było włożyć w dopilnowanie różnych drobiazgów, które były takie ważne. Uważała na przykład, że nie warto poświęcać tyle uwagi doborowi odpowiednich, blad różowych kwiatów w dokładnie tym samym odcieniu co jedwabne podbicie namiotu – ale końcowy efekt, trzeba przyznać, był całkiem zadowalający. Caroline miała tylko nadzieję... cóż... miała nadzieję, że Lucy i Rob będą szczęśliwi. Sięgnęła po kieliszek szampana, żeby wznieść toast za drużyny i poczuła zimny dreszcz na plecach. To pewnie przeciąg.

Po deserze Lucy spełniła swój obowiązek i zaczęła zabawiać rozmową różne

stare ciotki i przyjaciół rodziców. Rob poszedł do baru z kumplami z uniwersytetu. Peggy siedziała przy jednym stole z kobietami ze swojej rodziny i żadna z nich nie brała udziału w tańcach, oprócz Kelly, która miotała się po parkiecie z wesołym zapamiętaniem. Dla Lucy najbardziej frapującym momentem wieczoru była chwila, kiedy wuj Bob tańczył rock'n'rolla z jej matką, przerzucając ją sobie przez plecy. Caroline przeszła tę próbę ogniową z uśmiechem przyklepionym na ustach, ale nie dała się zaprosić po raz drugi. Innych znaków integracji towarzyskiej nie było. Jakby między dwoma grupami rozstało się Morze Czerwone.

O jedenastej Lucy zaczęła rozglądać się za Robem. Powinni już jechać do hotelu, w którym czekał na nich luksusowy apartament dla nowożeńców – zafundowany przez Caroline i Archiego. Goście powoli zaczynali się żegnać, tylko dawni przyjaciele z uniwersytetu bawili się jeszcze w najlepsze. Znalazła Roba w barze, w jednej ręce trzymał kufel piwa, a drugą obejmował ojca, którego łokieć co chwilę spadał z kontuaru.

Lucy miała już na sobie prosty beżowy kostium ze spodniami. Przebrała się na drogę po skończonym przyjęciu w pokoju zarezerwowanym dla rodziców. Kiedy zdejmowała suknię ślubną, Caroline uściskała ją z całych sił.

– Jesteśmy z ciebie tacy dumni – powiedziała.

– Lubicie go. prawda? – spytała Lucy, wycierając matce łzy z policzków.

– Tak, naturalnie. Jest wyjątkowym młodym człowiekiem. Trochę się od nas różni, ale jestem pewna, że będziesz z nim szczęśliwa.

– On mnie naprawdę kocha, mamó.

– Wiem, skarbie.

– Chodź już. Musimy jechać.

Rob odwrócił się do niej. Był całkiem pijany.

– Naprawdę musimy? Już, teraz? – spytał zaczepnie.

– Możesz zostać, jeśli chcesz – powiedziała Lucy ze złością. – Ale ja wychodzę.

– Lepiej idź, synu – wtrącił Jack. – To twoja noc poślubna.

Widać było, że on też wypił znacznie więcej niż dwa piwa.

W drodze do wyjścia Lucy poszukała Peggy, żeby się pożegnać. Ta, zdesperowana, wypytywała dwie stare ciotki, gdzie podziały swoje torebki.

– Dobrze się pani bawiła? – spytała Lucy ciocię Marge.

– Było bardzo miło – odpowiedziała, przyciskając jej do policzka mięką jak poduszka dłoń. – Namiot wygląda pięknie.

Rozdział 16

Nie – powiedział Rob. – Nie, nie i nie. – Co masz przeciwko Sophie?

– To głupie imię. Brzmi jak sofa. Albo nazwa mydła. Czemu nie Susan? Albo Suzanne? Danielle?

– Żartujesz?

– To może Dawn?

Lucy odwróciła się do niego ze złością.

– Teraz to już chyba kpisz.

– Jeśli to będzie chłopiec, musi być Jack. Zawsze mówiłem, że nazwę syna po moim ojcu.

Całe szczęście, pomyślała Lucy, że klasa średnia zaanektowała to imię.

– Jack może być – powiedziała. – A co sądzisz o Benie?

– Benjamin? – ryknął Rob. – Chcesz, żeby twoje nieszczęsne dziecko nazywało się jak królik?

– Nie Benjamin, tylko Ben.

– To imię dobre dla psa. Już lepiej Stephen. Lucy spojrzała na niego ostro.

– Michael, Peter – zaproponował.

– Nudne jak flaki z olejem. Może Jake? Albo Tom. Albo Daniel. A jeśli to będzie dziewczynka, to Laura.

– Po moim trupie – powiedział Rob. – Brzmi jak ze starej piosenki. Nic z tego. Już wolę imię Dawn.

– Dawn Atkinson? Zmiłuj się... Daj jej jakąś szansę wyróżnienia się. Już i tak będzie obarczona nazwiskiem Atkinson – Rob rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie – więc trzeba jej dać jakieś ładne imię.

Leżeli na leżakach przy hotelowym basenie, starając się nie zwracać uwagi na wiszący im nad głowami wielki dźwig. Tego szczegółu nie było w folderze reklamowym. A na zdjęciach uśmiechniętych rodzin żaden z tatusiów nie był wytatuowany.

Test ciążowy kupiony w drodze na lotnisko potwierdził, że Lucy jest w ciąży. Kiedy pasek zabarwił się na różowo, skoczyła podekscytowana Robowi na łóżko. Spał jeszcze jak kamień i obudził się przestraszony.

– Co jest, wybuchł pożar?

Lucy pomachała mu przed nosem papierkiem lakmusowym.

– Czy to najlepsza pora, żeby robić eksperymenty naukowe? – zapytał z sarkazmem.

– Jestem w ciąży, ty cymbale!

Wlepił w nią wzrok i powoli na jego twarzy rozlał się szeroki uśmiech.

– To fantastycznie! Chodź tu do mnie. No, no... Cudownie.

Będziemy mieli dziecko.

Lucy wsunęła się obok niego do wąskiego łóżka. Skorzystali z obniżonej oferty wakacyjnej wyjazdu na ostatnią chwilę, za co Rob uparł się sam zapłacić. Dostali wprawdzie sporą sumę pieniędzy w prezencie ślubnym od jej rodziny, lecz kazał to Lucy włożyć na osobny rachunek. Nie chciał jej pieniędzy. To znaczyło, że nie mogła teraz narzekać na hotel, choć okazało się, że leży przy placu budowy. Na dokładkę dostali pokój z dwoma łóżkami. Na początku zsunęli je razem, ale nieuchronnie otwierała się między nimi zionąca przepaść. Jakby tego było mało, Lucy już drugiego dnia zaczęła cierpieć na niedyspozycję żołądka i spędziła większość miesiąca miodowego, biegając co chwilę do łazienki.

Rob natychmiast zadzwonił, by podzielić się ze swoimi rodzicami radosną nowiną o dziecku. Lucy wahała się, co robić. Nic była to wiadomość, którą chciałyby oznajmiać matce przez telefon. A Archie natychmiast obliczył, że musiała być w ciąży już podczas ślubu. Pomyślał, że pobrali się pod przymusem. Koszmar. I jeszcze tyle to wszystko kosztowało. Oblewały ją zimne poty.

– Jak się urodzi, możemy udawać, że to wcześniak – pocieszył ją Rob.

Wiedział, jak przejmuje się tym, co powie Caroline, chociaż on sam uważał, że doprawdy nie ma o co robić tyle krzyku. Co za problem, skoro i tak są już po ślubie? Był pewien, że jego rodzice tak właśnie do tego podejną, i rzeczywiście. Peggy nawet nie mrugnęła okiem, tylko wydała radosny okrzyk przez telefon, a potem powiedziała, żeby kończył rozmowę, bo wyda fortunę. Jej pierwszy wnuk. Rob już słyszał, jak szczeka drutami, zabierając się za robienie kaftanika.

Caroline uparła się powitać ich na lotnisku, chociaż Archie był zdania, że może lepiej się nie narzucać i zostawić nowożeńców samych. Ale trzeba było podwieźć ich do Lancashire, gdzie musieli jeszcze spakować się w Clitheroe i stoczyć bitwę z prezentami ślubnymi, zanim przeprowadzą się z całym dobytkiem do domu, który kupili tuż przed ślubem w małej wiosce pod Oksfordem. Ich pierwszy prawdziwy dom! Lucy była bardzo podniecona. Archie zaproponował, że przekaże na ten cel pokazną sumę w prezencie ślubnym, ale Rob oferty nie przyjął. Archie, choć było mu trochę przykro, doceniał fakt, że zięć chce, aby stanęli na własnych nogach.

Natomiast Lucy uważała, że Rob zwariował. Była przyzwyczajona do brania datków od ojca i wytknęła Robowi, że gdyby jego ojciec zaoferował mu pieniądze, to by nie odmówił. Zapłacił przecież za jego pierwszy motocykl, prawda? Rob pozostał nieugięty. Powoli przekonywała się, że kiedy raz coś postanowił, bardzo trudno było go od tego odwieść.

Peggy nie posiadała się z dumy, że kupują własny dom, i to tak szybko. Warto było ponieść te wszystkie wyrzeczenia, żeby Rob skończył studia. Pierwsze pokolenie w jej rodzinie, które zaraz po ślubie zamieszka we własnym domu. Ona i Jack mieszkali z teściami, dopóki nie dostali przydziału na domek komunalny, który kupili dużo później. Nie mogła też uwierzyć, że Rob i Lucy chcą mieć dwa samochody. W jej pojęciu była to ekstrawagancja granicząca z rozrzutnością.

W drodze powrotnej Lucy głowiła się w samolocie, w jaki sposób oznajmić nowinę rodzicom.

– Cześć, babciu! Wolisz chłopczyka czy dziewczynkę? – zasugerował Rob.

Lucy, która czuła wzbierające mdłości, posłała mu piorunujące spojrzenie.

– Nie pomagasz mi – syknęła. – Wcale mi nie pomagasz. To będzie dla nich najgorsza rzecz na świecie, zobaczysz – dodała ponuro. – Moja matka udziela się w grupach wsparcia dla upadłych dziewczyn. Jeśli jej przyjaciółki dowiedzą się, że brałam ślub, będąc w ciąży, wykluczają z klubu ze stemplem „Córka jest ladaczną” na czole. W kategoriach przestępstwa towarzyskiego to gorsze niż kradzież. Proszę cię, przestań się śmiać!

– Posłuchaj – powiedział, zarykując się z uciechy – to dziecko, nie syfilis. Jestem pewien, że przesadzasz.

– Ani trochę! – zaprzeczyła. – Takie rzeczy nie zdarzają się w mojej rodzinie. Dla matki będzie to widomy znak, że nie wywiązała się należycie ze świętych obowiązków rodzicielskich.

– Idąc do hali przylotów za Robem, pchającym wózek z bagażami, Lucy starała się przybrać szczęśliwą, pogodną minę młodej żony bez cienia trosk. Wiedziała jednak, że wygląda okropnie – była wymęczona, wychudzona i nawet niezbyt opalona, jako że nie mogła wytrzymać na słońcu. Na domiar złego jej wnętrze, które w samolocie zachowało godny podziwu spokój, teraz postanowiły to nadrobić serią szaleńczych podskoków. Rob, który miał koński żołądek i żadnych kłopotów z niestrawnością, wyglądał kwitnąco i był opalony na brąz.

Jak tylko Lucy zobaczyła swoich rodziców – takich nobliwych, spokojnych i niczego nie podejrzewających – wybuchnęła płaczem. Caroline, przerażona, podbiegła do niej i wzięła ją w objęcia.

– Na miłość boską co się stało, kochanie? Coś ci jest? – Archie i Rob trzymali się z boku. – Źle wyglądasz.

– Nie jestem chora – załkała Lucy. I w jednej chwili zaniechała wszelkich ostrożnych przygotowań. – Jestem w ciąży.

– Dobry Boże – powiedziała Caroline. – To szybko.

Archie spojrział na nią ostro. Szybko? To wręcz niemożliwe.

– Chodź i usiądź. – Caroline pociągnęła ją w kierunku rzędu plastikowych krzeseł.

– Tak mi przykro, mamó – szlochała Lucy, chwytając ją kurczowo za rękę. Postanowiła nie owijać nic w bawełnę. – Podejrzywałam to jeszcze przed ślubem, ale nie byłam pewna. Upewniłam się dopiero na wakacjach.

– Który to miesiąc? – spytała Caroline łagodnie.

– Chyba trzeci – chlipnęła Lucy.

– No cóż... – Caroline była stanowczo zbyt spokojna. – To jeszcze nie koniec świata, prawda?

– Mieliśmy nadzieję – wtrącił Rob – że się ucieszysz.

– Sama nie wiem, co myśleć – powiedziała wolno Caroline. – To duży wstrząs. Archie, kochanie, mógłbyś przynieść mi trochę wody?

Lucy chciała ją objąć, ale Caroline, bardzo delikatnie, odsunęła jej rękę.

– Dziękuję, Lucy. Nic mi nie jest.

Lucy spojrzała błagalnie na ojca. Jego mina świadczyła, że lepiej zrobi, nie więcej nie mówiąc. Rob stał z boku, osobno.

Archie zaczął nagle z ożywieniem nawoływać ich do pośpiechu.

– Czas już na nas. Chodźcie, samochód stoi niedaleko. – Pochwycił wózek z bagażem mimo protestu Roba. – Poradzę sobie rzekł krótko, niemal agresywnie.

Ten człowiek spał z jego córką przed ślubem, o czym oczywiście Archie wiedział, ale teraz podsunęto mu dowód pod nos. I wcale mu się to nie podobało.

Przyśpieszył, żeby dogonić Caroline, która szła bardzo szybko przodem, obejmując się rękami, jakby coś przyciskała do piersi. Podążając za nimi, Rob rzucił okiem na Lucy. Po jej policzkach płynęły łzy. Poczul ogarniającą go złość. Dlaczego ci ludzie muszą robić z igły widły? Chryste, co za rodzina. Tak cholernie zależy im na pozorach. Czemu nie zdobędą się na odrobinę szczerości, zamiast tego uprzejmego chłodu? Czemu nie wygarną sobie, co im leży na sercu i nie zrobią porządnej awantury, jeśli są wściekli? Miał po uszy ich dobrych manier, które nakazują powściąganie emocji.

Chciał wziąć Lucy za rękę, ale odsunęła się, przekładając torebkę na drugie

ramię.

– Nie przejmuj się – szepnął do niej. – Nie zwracaj na nich uwagi. O co chodzi? Jesteśmy szczęśliwi. Moja mama i tato są szczęśliwi.

Popatrzyła na niego oczami czerwonymi od płaczu.

– Ty naprawdę nic nie rozumiesz, co?

Podczas jazdy do Lancashire w samochodzie panowała lodowata atmosfera. Caroline nie mogła się zmusić do rozmowy z żadnym z nich, toteż wymówili się od zostania na noc pod pretekstem, że Archie musi iść rano do pracy. W drodze powrotnej Caroline siedziała z zaciśniętymi mocno ustami. Archie wziął ją za rękę.

– To naprawdę nie ma już teraz takiego znaczenia, kochanie. Czasy się zmieniły, a oni są ze sobą szczęśliwi.

– Lucy nie jest szczęśliwa.

– Chyba jesteś niesprawiedliwa – zaprotestował.

– Wiem, że to wszystko jest ponad jej siły. – Głos Caroline się załamał. – To jego wina. Jestem pewna, że ona nie byłaby taka głupia, ale w jego rodzinie pewno nie przykłada się wagi do takich spraw.

– Znowu jesteś niesprawiedliwa – zauważył Archie. – To bardzo przyzwoici ludzie.

– Przyzwoici, ale nie tacy sami jak my. Nie wyznają tych samych zasad. Przykro mi, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to była tragiczna pomyłka.

– Czemu dopiero teraz? Przed ślubem nie miałaś do niego żadnych zastrzeżeń.

– Miałam. Tylko że Lucy tak się na niego uparła, że byłam gotowa go zaakceptować. Ale kiedy zobaczyłam go na lotnisku... Był taki buńczuczny i pewny siebie, ani cienia zawstydzienia czy poczucia winy. I traktował ją jak swoją własność. Czuję, że ją straciliśmy – dokończyła ze szlochem.

– Chyba zbyt dramatyzujesz – próbował ukoić ją Archie.

– To wszystko jest takie koszmarnie. Jakby została uprowadzona, a my nic nie możemy na to poradzić.

– Nie przesadzaj. On ją naprawdę kocha, przecież wiesz. To była zwykła wpadka, jak dziecko się urodzi, nikt już o tym nawet nie będzie pamiętał. Chyba najważniejsze, że Lucy jest mężatką?

Caroline wbiła w niego przenikliwy wzrok.

– Tak sądzisz?

Nazajutrz rano Lucy była mocno przybita. Rob robił, co mógł, żeby ją

rozweselić.

– Spójrz, możemy to sprzedać za kupę forsy – powiedział, podnosząc ostrożnie dwa dość szkaradne platynowe puchary ofiarowane im przez jednego z klientów jej ojca.

Lucy spojrzała na niego zgorszona.

– Nie sprzedaje się prezentów ślubnych – powiedziała z oburzeniem.

Siedziała na podłodze, otoczona górą pomiętych, ozdobnych papierów i starała się nie pomylić przy sporządzaniu listy osób, którym należy podziękować. Myśl o konieczności napisania tylu listów i o przeprowadzce odbierała jej chęć do życia. Ale przede wszystkim była zdruzgotana bezmiarem dezaprobaty matki. Nawet nie zadzwoniła. Lucy otrząsnęła się. Musi się zająć czekającą ją robotą. I nie da się terroryzować. No i co z tego, że matka się gniewa? Jest już mężatką, nie dzieckiem. A Rob równie chętnie napisze list dziękczynny, jak zacznie grać w golfa. Rozpakowała mały, zawinięty w kwiecisty papier pakuneczek.

– Porcelanowe kieliszki do jajek od cioci Marge – powiedziała. – Popatrz, mają małą kurkę na boku.

– Bardzo pożyteczne. – Ostrzegł ją wzrokiem, żeby nie ważyła się krytykować.

– A co to jest, do diabła?

– Srebrna taca – powiedziała Lucy, patrząc na dołączoną karteczkę wykaligrafowaną ozdobnymi literami. – Od Annabelle i George’a. O, przepraszam, od sir George’a i lady Annabelle.

– Do czego to służy?

– Nie jestem pewna. – Lucy odwróciła tacę i obejrzała spód. – Ale jest z czystego srebra.

– Moglibyśmy ją przetopić.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Na pewno się do czegoś przyda – powiedziała powściągliwie.

– Do czego?

– Nie wiem.

– Przynajmniej będziemy mogli ofiarować to komuś innemu w prezencie ślubnym. Komuś, kogo nie lubimy. Kurczę blade dodał, rozpakowując kolejne pudełko. – Jeszcze jedna cholerna karafka.

Rozdział 17

Będzie nam bardzo miło – powiedziała Lucy. – Od wieków nie byliśmy nigdzie na kolacji.

Na biodrze trzymała dziecko, drugą ręką potrząsała energicznie butelką, a słuchawkę miała zaklinowaną pod uchem. Laura otworzyła usta do krzyku, więc czym prędzej włożyła jej smoczek do buzi i zaczęła ją kołysać. Śmieszna rzecz z tym kołysaniem. Jak tylko podali jej Laurę na szpitalnym łóżku, zaraz zaczęła się z nią rytmicznie kołysać, jak taktomierz. Ze zdumieniem odkryła też, że ni stąd, ni zowąd nuci piosenki, tworząc nonsensowne rymy do jej imienia. Widocznie urodzenie dziecka miało na kobiety zgubny wpływ. Pozbawiało je zdrowego rozsądku.

Lucy była całkiem nieprzygotowana na ogrom miłości, jaki poczuła do Laury. Rob także zupełnie oszalał, chociaż jego pierwszą reakcją była groza na samą makabrę porodu. Kiedy Laura po wielu męczących godzinach wyłoniła się na świat – Lucy w połowie tego procesu miała ochotę powiedzieć: „To był bardzo głupi pomysł. Chodźmy do domu i zapomnijmy o całej sprawie” – była cała pokryta krwią i Rob powitał ją niezbyt stosowną uwagą. Ale był bardzo zmęczony – w końcu musiał stać przez cały czas, podczas gdy Lucy leżała, jak później zauważył. Gdy ukazała się główka Laury, Rob wykrztusił zdumiony: „To dziecko!” Lucy spojrzała na niego nad swoim falującym brzuchem: „A sądziłeś, że niby co mam w środku?” „Wezbrane gazy?” – podsunął.

Kiedy stało się jasne, że żadna z nich nie umrze, w każdym razie nie natychmiast, pochylił się nad maleńką istotką skuloną w ramionach Lucy. Miała zaklejone oczka i popiskiwała jak kotek, zaciskając pięści. Wezbrała w nim fala nieznanej dotąd czułości, miał ochotę zarazem śmiać się i płakać.

– Mogę...?

Lucy uśmiechnęła się i delikatnie podała mu dziecko.

– Podtrzymuj jej główkę – powiedziała ostrzegawczo.

Rob bardzo, bardzo ostrożnie wziął córkę na ręce i przygarnął do siebie. Kiedy poczuła jego ciepło, zakwiliła i instynktownie przylgnęła mu do piersi. Spojrzał na nią, łza zawisła mu na powiece i spadła na miękki kocyk dziecka. Delikatnie dotknął palcem jej pokrytego meszkiem policzka. Teraz już wiedział, co znaczy słowo „radość”.

Kiedy pielęgniarka zasugerowała, że powinien już iść, nie mógł się od nich oderwać – najchętniej położyłby się razem z nimi do łóżka. Przy drzwiach odwrócił się jeszcze.

– A więc Dawn – powiedział i w podskokach ruszył korytarzem, omal nie zderzając się z salową niosącą stos prześcieradeł.

– Laura! – krzyknęła za nim Lucy. – Laura albo nie pokazuj mi się więcej na oczy!

Lucy nie ukrywała, że oczekuje asysty Roba przy porodzie, co Archie w szczególności uważał za dziwny pomysł. Ostatnia rzecz, jakiej by pragnął, to widzieć Caroline rodzącą dziecko i był pewien, że i ona nie chciałaby go wtedy u swojego boku. Po co? To były kobiece sprawy. Zaofiarował się, że zapłaci za separatkę dla Lucy, lecz Rob nie przyjął propozycji.

– Dzięki, Archie – powiedział – ale nie trzeba.

Podtekst był jasny: nie wtrącaj się, ona jest teraz moja. Z jednej strony Archie go rozumiał, z drugiej jednak czuł się całkiem niepotrzebny.

W połowie ciąży Lucy doszło do niełatwego pojednania. Po kilku tygodniach Caroline nie mogła już znieść zaistniałej sytuacji i zadzwoniła.

– Nie pochwalam tego – powiedziała, zanim jeszcze Lucy zdążyła otworzyć usta. – Nie pochwalam i nie będę udawać, że jestem szczęśliwa, że to dziecko w ten sposób przyjdzie na świat.

Ale to nasz wnuk i jesteśmy z ojcem gotowi służyć wam wszelką pomocą.

Nastąpiła długa cisza i Lucy poczuła, jak drży jej dolna warga.

– Tak mi przykro, mamó – pisnęła.

– Wiem. – Głos Caroline nieco zmiękł. – Ale ojciec i ja należymy do starego pokolenia. Nie spodziewaliśmy się czegoś takiego. Powiedziałam już wszystkim – dodała dzielnie.

Lucy zbladła i spojrzała na telefon. Zamieściła notatkę w biuletynie kościelnym? Dała ogłoszenie do „Timesa”?

– Wykazali wiele zrozumienia. Wiem, że twoim zdaniem przesadzam, bo w dzisiejszych czasach to nie ma znaczenia, ale dla mnie ma, Lucy. W każdym razie więcej nie wspomnę o tym ani słowa.

Hurra! – pomyślała Lucy.

– A teraz powiedz mi, czy myślałaś już o tym, jak urządzić pokój dziecinny. Widziałam piękny materiał w Liberty...

Kiedy rodzice przyszli odwiedzić ją w szpitalu, Caroline była przerażona, widząc Lucy z noworodkiem na wspólnej sali. Nie wiedziała, że Archie zaofiarował się w dyskrecji opłacić jej osobny pokój, co zostało odrzucone. Jej grozę potęgował fakt, że kobieta na sąsiednim łóżku, ważąca jakieś sto dwadzieścia kilo, rzucała dzieckiem podczas przewijania jak kawałkiem ryby, mówiąc: „Przymknij się, Ryan, bo cię trzepnę w tyłek”. Twarz Caroline mówiła wszystko. Archie też czuł się tu wyraźnie nieswojo w eleganckiej marynarce i tweedach. Trzymał Laurę na rękach, jakby była z kruchego szkła.

– Jesteś prześliczna – powiedział, patrząc na jej nadętą, małą twarzyczkę, pomarszczoną jak czerwona kapusta.

Caroline i Archie założyli dla Laury fundusz powierniczy. Peggy robiła jej na drutach niezliczone wełniane sweterki, które przysyłała im w starannie zapakowanych paczkach. Lucy była pełna podziwu dla ich kunsztownych pracochłonnych wzorów. Peggy nie mogła odżałować, że się przeprowadzili i Lucy myślała z żalem, że byłaby im o wiele bardziej pomocna niż Caroline, która prowadziła ożywione życie towarzyskie i dała im jasno do zrozumienia, żeby nie oczekiwali od niej zostawiania z dzieckiem na każde zawołanie. Poradziła, by zaangażowali au pair. Lucy zwróciła jej uwagę, że w domu ledwo starcza miejsca dla niej. Roba i dziecka, więc au pair musiałyby chyba spać na dachu albo zwisać z okna w hamaku.

– Musimy się pośpieszyć – powiedziała Lucy, kiedy Rob stanął w drzwiach z twarzą pooraną zmęczeniem. Pod pachą miał gruby plik gazet i kolorowych magazynów, których nie zdążył przeczytać w pracy.

– Co?

– Wychodzimy na kolację, zapomniałeś?

Rob jęknął rozdzierająco.

– Nie! Tylko nie dzisiaj! Proszę cię, Lucy, głowa mi pęka i muszę jeszcze przejrzeć to wszystko. Przez cały dzień nie miałem ani chwili dla siebie. Nasz przygłupi, świeżo upieczony sprawozdawca sądowy przekreślił nazwisko w ważnym procesie i grożą nam wniesieniem skargi. Do kogo wychodzimy?

– Do Cheryl i Davida.

Rob jęknął jeszcze głośniejszym głosem i upadł na kolana w maleńkim przedpokoju.

– Do tej Cheryl z Narodowego Funduszu Obróbki Dziecka?

– Nie wygłupiaj się! – powiedziała Lucy surowo. – Jest bardzo miła. I dobrze wiesz, że to się inaczej nazywa.

– Jest bardzo miła – przedrzeźniał ją. – I jest także bardzo nudna. Proszę cię,

Lucy, nie każ mi spędzać całego wieczoru z ludzkim ekwiwalentem roślin warzywnych.

– Oni nie są roślinami. Są bardzo sympatycznymi ludźmi, którzy mają córkę w wieku Laury, co też ma swoje znaczenie. I blisko mieszkają. Rob, pamiętasz, kiedy ostatni raz wychodziliśmy gdzieś wieczorem?

– Dwa lata temu – powiedział, z westchnieniem idąc pod prysznic.

Cheryl była jedną z tych kobiet, które narzucają swoją obecność, za co Lucy była jej początkowo wdzięczna, bo na pierwszym spotkaniu w Narodowym Funduszu Ochrony Dziecka wszystkie inne kobiety budziły w niej nabożny lęk i zdawały się doskonale wiedzieć, po co tutaj przyszły. Kiedy leżały płasko na plecach, ćwicząc oddechy przeponą, Cheryl świszczącym szeptem poinformowała ją, że jej mąż, David, jest kierownikiem wydziału planowania w miejscowym magistracie. Ona też była tam zatrudniona, ale nie miała zamiaru wracać do pracy. Lucy też porzuciła już myśl o znalezieniu sobie jakiegoś zajęcia, skoro była w ciąży, a późniejsze łączenie pracy z opieką nad dzieckiem mogło okazać się zbyt skomplikowane. Nie mogli sobie pozwolić na nianię i nie mieli pokoju dla au pair, więc albo musiała zostać w domu, albo oddać maleństwo do żłobka, co jej się wcale nie uśmiechało.

Kiedy obie zostały już matkami, nadal sporadycznie się widywały. Miło było spotkać się czasem z kimś w takim samym stanie paniki i chaosu, chociaż Cheryl była w tej dobrej sytuacji, że miała bardzo pomocną teściową, która często do niej wpadała i przejmowała opiekę nad dzieckiem, podczas gdy ona mogła wylegiwać się w wannie. Lucy marzyła o długiej kąpieli – ilekroć choćby włożyła duży palec do wody, Laura budziła się z najgłębszego i najspokojniejszego snu. A jeśli posadziła ją sobie obok w leżaczku, nie mogła spuścić z niej oka. Nic już nie dawało jej wytchnienia. Nawet sen.

Prawdę powiedziawszy, Cheryl zaczynała ją z lekka irytować, ale nie znała prawie nikogo w wiosce i trudno jej było wybrzydzać. Starzy przyjaciele, którzy nie wyjechali do Londynu, rozsądnie pozostali w stanie wolnym i byli przeważnie uczuleni na dzieci. Dobra zabawa oznaczała dla nich pijaństwo do późnej nocy, na co Lucy nie mogła sobie pozwolić, skoro musiała być na tyle przytomna o trzeciej nad ranem, żeby znaleźć Laurę i własne piersi. Nawiązywała rozmowy z ludźmi w sklepach, lecz wszystkie inne matki małych dzieci nie były po prostu... cóż... jej pokroju. Coraz częściej czuła, że i Cheryl nie jest jej pokrewną duszą, musiała jednak czasem z kimś porozmawiać, żeby nie zwariować. Caroline odwiedzała ją w

wolnym czasie, lecz Lucy dopiero teraz widziała, jak matka potrafi zapełnić sobie dni różnymi przyjemnościami. Zakupy, lunche z przyjaciółkami, wyjazdy do Londynu do teatru, prośzone kolacje, brydż, mały golf – wszystkie te rzeczy, które w młodości wydawały się Lucy nudne i miałkie, teraz jawiły się jako świetna zabawa. Może nadszedł już czas, jak powiedział Rob, żeby wróciła do pracy. Nie widziała go jakoś przy brydżu. Jedyne rodzaje rozrywki, jakie teraz uznawał, to pójście do pubu. Pracował bardzo ciężko i był naprawdę dobry w tym, co robił, ale ona niewiele z niego miała. Chciałaby, żeby chociaż wnosił trochę radości i pogody w ich życie, jednak ostatnio nie tryskał humorem. Wręcz przeciwnie, był gderliwy i ponury jak chmura gradowa.

Tego wieczoru Caroline, o dziwo, zgodziła się zostać z Laurą. Przyjechała swoim nowym bmw – przesiadła się na coś szybszego, odkąd przestała wozić córki – i natychmiast niebotycznie zirytowała Lucy, przywożąc własną herbatę w torebkach i herbatniki.

– Wiem, że zawsze ci brakuje – powiedziała wesoło, a Lucy miała ochotę ją zamordować.

Choćby nie wiem jak starannie próbowała posprzątać, matka zawsze natykała się na tę jedną, jedyną rzecz, o jakiej zapomniiała – niewyrzucone śmieci, okruszki na ladzie, które z niesmakiem zmiatała ręką. Archie rzadko do nich przyjeżdżał, a kiedy już się pojawiał, wyglądał nieco śmiesznie w ich domku o tak niskich sufitach, że niemal musiał się schylać.

Niechby Caroline spróbowała opiekować się dzieckiem prawie bez pieniędzy i z wiecznie zręczącym mężem. Wszystkie kobiety, które mieszkały w sąsiedztwie, a nie sprawiały wrażenia śmiertelnie nudnych, chodziły do pracy, więc nie miała miłego kółka młodych matek spotykających się na pogaduszkach przy kawie, jak Caroline, kiedy ona i Helen były małe. Lucy uwielbiała Laure, ale czuła się czasem jak więzień odbywający karę za nieznaną przestępstwo.

– Możecie zdjąć buty?

– Co?

– Buty – powtórzyła Cheryl cierpliwie.

– Czemu? – nasrożył się Rob, przestępując z nogi na nogę na oszklonym ganku. Dom Cheryl i Davida, położony na skraju wioski, był o wiele większy od ich domu i Lucy dostrzegła z irytacją, że mają dwa nowe samochody. Ale bardzo brzydkie, pocieszyła się w myśli.

– Nowy dywan – zaszczebotała Cheryl.

Rob spojrział wymownie na Lucy. Będzie mu winna zadośćuczynienie za ten

wieczór. Już dzwonek do drzwi z muzycznym kurantem powinien ich ostrzec. Posłusznie zdjęli buty i weszli do halu.

– Śliczny dywan – powiedziała Lucy uprzejmie, starając się nie uciekać oczami od krzyczącego wzoru.

– To pers – oznajmiła Cheryl z dumą. – Strasznie drogi. Najwyższa jakość, prawie sto procent wełny. Kupiliśmy go w centrum handlowym w dzielnicy przemysłowej. Byliście tam już? Prawdziwe чудо. Zrobiliśmy sobie rodziną wyprawę i jesteśmy zachwyceni. – Przechyliła głowę i uśmiechnęła się promiennie. – Teraz płaszcze. Powieszę je w szafie.

Rob i Lucy stali w halu, czekając, że gospodarze zaoferują im drinka. Nic takiego nie nastąpiło. Cheryl pojawiła się znów, bez płaszczy, i zaprowadziła ich do salonu zdominowanego przez kominek z blachy miedzianej. W jedną ze ścian wbudowane było ogromne akwarium.

– Hobby Davida – oznajmiła Cheryl. – Odciąga go od innych figli.

Lucy bała się spojrzeć na Roba.

– David! – krzyknęła Cheryl w górę schodów. – Chodź, przywitaj się z gośćmi. Już są. – Po czym dodała na boku: – Czyta Eloise bajkę. Wiemy, że ona jeszcze nic nie rozumie, ale to bardzo ważne, prawda, Lucy, żeby wcześniej zaczynać? Widziałam, że jesteś miłośniczką książek. Wasz dom to prawdziwa biblioteka! Rob, czego masz ochotę się napić?

Lucy miała straszne przeczucie, że Rob powie: „arszeniku”, ale uśmiechnął się i poprosił o piwo.

– A ty, Lucy?

– Może lampkę wina.

Cheryl znowu zniknęła. Rob spojrzał na Lucy spod oka.

– Wiesz, co to znaczy? – Co?

– Robienie mężowi dobrze przez cały tydzień.

– Cicho bądź! – syknęła wściekła, widząc wracającą Cheryl.

Rob dostał małą szklanekę piwa, którą wychylił paroma łykami. Lucy zamoczyła usta w winie. Było słodkie.

– Pyszne – powiedziała. – Dzięki.

Rozległy się kroki na schodach. David, który nosił okulary i miał smutną minę zatroskanego labradora, wszedł z kudłatą Eloise na rękach. Jak na niemowlę, miała niezwykłą ilość włosów, co zawsze zdumiewało Lucy.

– Oto nasza mała dama, która chce powiedzieć dobranoc – oznajmił David.

– Daj mamusi dużego buziaka – zaczęła Cheryl. – Pa, pa, mała damo.

David podszedł teraz do Lucy.

– Buzi, buzi...

Spojrzała na niego przerażona. Czyżby domagał się, żeby go pocałowała? Ale on podsunął jej dziecko pod nos. Cmoknęła małą posłusznie w policzek. Rob wbił się w panice w róg kanapy. David nieustępliwie przysunął się do niego.

– A teraz wujek Rob – ogłosił.

Lucy zaczęła się trząść z powstrzymanego śmiechu.

– Dalej, wujku Robie – zachęcała go. – Daj Eloise buziaka.

Rob pochylił się ostrożnie i spojrzał z niesmakiem na owłosione stworzenie.

– Były jakieś przypadki wilkołaków w rodzinie? – mruknął pod nosem.

Lucy parsknęła, starając się udawać kaszel, lecz David, dzięki Bogu, nie zwrócił na to uwagi. Rob podniósł na niego oczy.

– Nie, dziękuję, już dziś się całowałem.

David roześmiał się niepewnie i wycofał. Cheryl ostrzegła go, że mąż Lucy ma niecodzienne poczucie humoru.

Rob wysączył do końca piwo, powstrzymał się od wylizania brzegu szklanki i zwrócił się do Lucy.

– Prawie nie tknęłaś wina. A chwaliłaś, że pyszne.

– Staram się pić umiarkowanie.

– Musimy się teraz pilnować, prawda, z naszymi maluszkami! – roześmiała się Cheryl. – Dawniej potrafiłam wypić pół butelki wina w jeden wieczór!

Zacząła trajkotać do Lucy o ząbkowaniu i problemach, jakie czekają je z nocniczkami, a Rob patrzył smutno na pustą szklankę i drzwi do kuchni. W końcu wstał i spytał:

– Mógłbym wziąć sobie jeszcze coś do picia?

Lucy spojrzała na niego ze zgrozą. Cheryl zaróżowiła się lekko.

– Oczywiście. Nie zauważyłam, że już nie masz.

– Tak mi przykro – powiedziała do niej Lucy przepraszająco, kiedy Rob zniknął w kuchni, skąd dobiegł dźwięk otwieranej lodówki.

Po chwili David zszedł na dół, zacierając zamasyżowane ręce, i wykrzyknął:

– Cudownie! Czas na piwo! – Po czym wdał się z zapalem w rozmowę z Robem. – Podobno jesteś dziennikarzem – zagaił. Musimy uważać, co przy nim mówimy, prawda, kochanie? – Cheryl zachichotała rozkosznie. – Jeszcze opiszesz nas w gazetach! Rob zauważył, że to mało prawdopodobne. Wtedy David pochylił się do niego i powiedział z przejęciem: – Prawdę mówiąc, mam historię, która może cię zainteresować.

Lucy usłyszała cichy, jęk Roba. Ludzie ciągle oznajmiali, że mają dla niego wspianą historię, która z reguły okazywała się niewypałem.

– Jeśli jeszcze raz zaproponujesz spotkanie z tą parą kretynów – powiedział Rob, kładąc się na łóżku z rękami pod głową to cię zastrzełę.

– Myślałam, że się świetnie bawiłeś, wujku Robie – powiedziała Lucy, wślizgując się obok. – Kolacja była super.

Zerknął na nią spod przymrużonych powiek.

– Pate, coq bez vin i trufli?

– Przynajmniej nie żalowali nam alkoholu – roześmiała się Lucy.

– Ani trochę. Jestem spity w trupa po czterech szklaneczkach piwa i dwóch kieliszkach wina.

– Przynajmniej udało ci się wypić to wino. Mnie nie chciało przejść przez gardło. W każdym razie mogło być gorzej. Mogliśmy na przykład skorzystać z ich oferty spędzenia razem wakacji na Kanarach w apartamencie przechodnim jej matki.

– Po moim trupie – powiedział Rob. – A teraz przypomnij sobie, co mi jesteś winna.

– Niedoczekanie – mruknęła Lucy.

Rozdział 18

Co tu robią te foldery z miejscowości narciarskich? Lucy, która zmywała makijaż w łazience na górze, zmieszała się. Zamierzała je schować i poczekać na odpowiedni moment.

– Zaraz schodzę! – krzyknęła. Zawiązała szlafrok i zeszła na dół.

Rob siedział przy stole kuchennym, przeglądając błyszczące broszurki. Miał zmęczoną twarz i ziemistą cerę. Lucy pomyślała, jak bardzo należą mu się wakacje. Ale na pewno nie po raz drugi w Lake District! Na swój pierwszy urlop po przyjeździe na świat Laury wziął je do domku wypoczynkowego, który jego rodzina wynajmowała tam od lat. Domek był zawilgocony, zimny, goły i ponury. Po przyjeździe Lucy rozejrzała się z rozpaczą. Mają tu spędzić cały tydzień? Co tu, na miłość boską, można robić?

– Spacerować – powiedział Rob. – To cudowne miejsce na długie spacery. Piękne góry, wspaniałe widoki, co ci jeszcze potrzeba do szczęścia?

– Basen – podsunęła Lucy.

– Po co ci, do cholery, basen?

– Po to – wyjaśniła – że mamy roczne dziecko, z którym coś trzeba robić, a które nie będzie zachwycone, spędzając cały dzień w górach, w nosidełku na plecach, na trzaskającym mrozie.

– Bardzo ci się to spodoba, prawda, Lauro? – powiedział Rob.

– Tyją będziesz nosił.

– Nie ma problemu.

Już po pierwszym dniu Robowi wysiadł kręgosłup.

– Te nosidełka muszą być bardzo źle zaprojektowane – skonstatował, leżąc w gorącej kąpieli.

Lucy obrzuciła go krytycznym wzrokiem. – Nie są zaprojektowane do noszenia ich cały dzień. Jak ci się wydaje, kto ty jesteś? Szerpa Tensing?

– Jutro twoja kolej – oznajmił.

– Wybij to sobie z głowy. Wezmę ją na sprawunki do miasta.

– A jaki rodzaj wakacji właściwie by ci odpowiadał? – spytał ze złością.

– Wakacje w hotelu. W hotelu z opieką nad dzieckiem, basenem i salonem piękności, w którym mogłabym leżeć i dawać sobie robić maseczki i masaże. W hotelu, gdzie byłby pokój z ogromnym, wygodnym podwójnym łóżkiem i restauracja z pysznym jedzeniem i menu dla dzieci. Taki rodzaj wakacji. I najlepiej

gdzieś w ciepłych krajach.

– Przypomnij sobie Turcję – powiedział ponuro.

– Są inne miejsca niż Turcja. Poszukaj czegoś nowego. – Nie chcę szukać niczego nowego. Podoba mi się tutaj.

– A mnie nie – oświadczyła Lucy i, o zgrozo, zaczęła płakać.

– Nie bądź taka rozpieszczona – powiedział Rob. – Kupiłem ci nowy termos.

Lucy popatrzyła na niego z mordem w oczach.

– Nie przeciągaj struny...

Pomyślała o pięknych strojach, które zapakowała dla siebie i Laury. Nikt ich tu nawet nie zobaczy. Równie dobrze mogą chodzić cały dzień w płaszczach przeciwdeszczowych. A Rob nie widział sensu w płaceniu ogromnych rachunków za jedzenie w restauracji. Mógł zjeść cokolwiek upichconego w domu.

– Po jakiego grzyba chcesz brać na narty dziecko, które ledwo zaczęło chodzić?
– spytał Rob.

– Nigdy nie jest za wcześnie, żeby zacząć – powiedziała Lucy. – Popatrz, tu mają szkółkę narciarską dla dzieci. Jeżdżą tylko dwie godziny dziennie, a resztę czasu spędzają pod opieką w pokoju zabaw. Cudowna sprawa. To znaczy, że moglibyśmy spędzać razem na nartach niemal cały dzień, a w hotelu nawet wieczorem zapewniają opiekunkę.

– Zdajesz się zapominać – wycedził Rob – że ja nie umiem jeździć na nartach. Nie każdy jako dziecko spędzał wszystkie wolne chwile w Verbier.

– Możesz się nauczyć. Proszę cię, Rob. Od wieków nie byłam na nartach. Zobaczysz, to ci się spodoba. Moglibyśmy nawet zebrać paczkę i wynająć razem domek. Byłaby świetna zabawa.

– Wolę pojechać do Lake District.

– W takim razie – powiedziała Lucy, zgarniając jednym ruchem foldery – jedź sam.

– Może tak zrobię.

– Wobec tego ja pojedę z rodzicami. Ciągłe oferują, że nas wezmą. Miło będzie zatrzymać się raz z Laurą w jakimś przyzwoitym miejscu.

– Doskonale. – Rob wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło. – Jedź sobie tam, gdzie ty chcesz, a ja, do kurwy nędzy, pojedę tam, gdzie ja chcę.

– Proszę cię, nie klnij przy Laurze.

Rob z wściekłą miną wbiegł na schody. Lucy przez chwilę chciała ruszyć za nim, ale rozmyśliła się. Niech go diabli, pomyślała.

Laura dreptała po domu w okrągłym chodziku, objijając się o meble jak piłeczka

w bilardzie elektronicznym. Uwielbiała to i potrafiła już osiągnąć imponującą szybkość. Lucy schyliła się i wyłuskała ją ze środka.

– Pojedziemy same – powiedziała. – Prawda, kochanie? Nie potrzebujemy tego wstrętnego, nadętego faceta, co?

– Tato – powiedziała Laura, ruszając za Robem.

– Zdrajczyń! – Lucy włożyła ją z powrotem do chodzika. – Gdzie twoja kobieca solidarność?

Foldery leżały przez parę tygodni w szufladzie kuchennego stołu, aż Lucy natknęła się na nie podczas jednego ze swoich sporadycznych napadów porządkowania. Stała przez chwilę, przesuując palcem po okładce przedstawiającej roześmiane dziecko o zaróżowionych policzkach, sunące szusem w kolorowym kombinezonie po śnieżnobiałym stoku. Westchnęła i wrzuciła foldery do kubła. Kompromis, pomyślała. Małżeństwo polega na kompromisach. Tylko że w tym momencie nie miała ochoty na żaden kompromis. Miała ochotę zamordować Roba.

Rozdział 19

Uważaj na pudła! – zawołała Marta przez długi korytarz. – Co ty właściwie wyprawiasz, wstręciuchu? Zamierzyła się na teriera, który trzymał w zębach rolkę papieru toaletowego.

– Oddaj to zaraz! – Chwyciła za jeden koniec, a szczeniak. Toffee, uciekł w radosnych podskokach. Po chwili cały przedpokój spowity był w białą wstęgę postrzępionego papieru.

– Każę wypatroszyć tego psa i wypchać – powiedziała Marta.

– Lucy, musisz się jakoś przedrzeć. Przepraszam za ten bałagan.

Dziewczynki są w ogrodzie z tyłu. Bóg wie, co tam robią, ale przynajmniej nie ma ich w domu.

Córeczki Lucy, które, onieśmielone, wisiały u jej ramion, podniosły głowy, patrząc na nią z wahaniem.

– Idźcie do ogrodu – zachęciła je. – Znacie Emily z lekcji jazdy konnej, a Sophie też ma pięć lat – dodała do Olivii, która uczepiła się jej spódnicy, jakby się bała, że jeśli ją puści, mama uleci jak balon w powietrze i zniknie. Lucy pchnęła je lekko. Laura, weź Olivię ze sobą.

Laura chwyciła siostrę za rękę i pociągnęła.

– Chodź, ty potworze – powiedziała.

Olivia zapała się nogami, ale Laura była silniejsza, szarpnęła ją i młodsza siostra z piskiem się poddała. Uwolniona Lucy z ulgą zgięła rękę.

– Są jak pijawki. Dzięki Bogu, że już podrastają. Mam po uszy dzieci, które ciągle na mnie wiszą.

– Jeśli jeszcze raz zajdę w ciążę – powiedziała Marta, popychając nogą duże kartonowe pudło po kamiennej podłodze korytarza – to urodzę i ucieknę. Niech Sebastian się przekona, jak to jest. Chociaż wiem, co by zrobił: zaangażowałby seksowną szwedzką au pair i byłby o wiele szczęśliwszy.

Lucy roześmiała się.

– Tak czy owak – ciągnęła Marta, otwierając z pewną trudnością zabytkowe, drewniane drzwi do kuchni – musiałyby to być niepokalane poczęcie. W ogóle już nie uprawiamy seksu. Pani Burkę, to jest Lucy. Lucy, to jest mój anioł, pani B. Bez niej nigdy nie opanowałabym tego burdelu.

Zdaniem Lucy, wcale nie wyglądało na to, żeby cokolwiek zostało opanowane. Wszędzie leżały naczynia kuchenne, listy, segregatory, utensylia do konnej jazdy,

kapelusze, talerze i talerzyki. Przy zlewie stała starsza kobieta w fartuchu, z rękami zanurzonymi w mydlinach.

– Dasz wiarę – mówiła dalej Marta – że hydraulik może przyjść dopiero we wtorek, żeby zamontować zmywarkę i pralkę? Jak mam sobie bez tego poradzić? Dzięki Bogu, pani B. zgodziła się przyjść mi z pomocą.

Lucy skinęła głową osobie będącej odpowiednikiem zmywarki i pralki, która zdawała się z pogodą podchodzić do swoich obowiązków. Marta umiała w czarujący sposób przekonać każdego, że robi jej wielką przysługę. Pożyteczny dar, pomyślała Lucy.

– Pani B. jest moim wybawcą. – Marta objęła teraz swoją pomocnicę ramieniem. – Nigdy byśmy bez niej nie przetrwali.

Utonęlibyśmy w brudzie.

Pomimo bałaganu Lucy oglądała kuchnię z zazdrością. Było to duże, wygodne pomieszczenie, z ciemno belkowanym niskim sufitem. Na środku stał długi, wypolerowany stół uginający się pod stosem pudełek i książek. Reszta mebli stanowiła zbieraninę starych drewnianych szafek, zarówno sosnowych, jak i dębowych. Na przeciwległej ścianie stał ogromny antyczny kredens z małymi kolorowymi szybkami. Po prawej stronie był rozłożysty, kamienny kominek osłonięty grubą belką, a po lewej stara kuchenka gazowa z otwartymi drzwiczkami.

Marta stanęła na środku kuchni, biorąc się pod boki.

– Co o tym myślisz? – spytała. – Powinnam wyrzucić to wszystko w diabły i urządzić kuchnię w nowoczesnym stylu, z ogromną lodówką, kuchenką z bajerami i z jasnymi, dębowymi szafkami, czy też mam zaoszczędzić Sebastianowi kupę forsy i zostawić te wszystkie starocie?

– Podoba mi się tak, jak jest – powiedziała zdecydowanie Lucy.

Marta przesunęła na bok stos książek.

– Siadaj – zaprosiła ją. – Gdzie, do ciężkiej cholery, może być ten drugi ekspres do kawy? – Zaczęła grzebać w pudłach upchanych pod stołem.

– Mogę się napić rozpuszczalnej – powiedziała Lucy.

– Nie bądź śmieszna. – Marta założyła kosmyki ciemnych włosów za uszy i ponownie się schyliła. – Nie możesz pić tego świństwa. – Otrząsnęła się. – O, mam! – Triumfalnie wyciągnęła zakurzony ekspres bez sznura. – Pani B. – zwróciła się do swojej gospodyni – będzie pani taka kochana i znajdzie mi sznur? Potem musi już pani iść. I tak trzymałam panią zbyt długo.

Dziesięć minut później siedziały naprzeciwko siebie, trzymając w rękach gorące kubki cappuccino z pianką. Lucy była zachwycona, kiedy Marta zadzwoniła

z zaproszeniem, ale teraz czuła się trochę onieśmielona. Wyrzała przez zakurzone okno i zobaczyła, że Olivia i Sophie bawią się wesoło na jednej z rozklekotanych huśtawek, a Laura i Emily stoją na odległość, nie patrząc na siebie.

– Dogadają się – powiedziała Marta, podążając za jej wzrokiem. – Cudownie jest mieć przyjaciółki mieszkające tak blisko. A teraz – ciągnęła, dmuchając na kawę – powiedz mi o sobie. Interesuje mnie wszystko. Praca, romanse, wszystko. – Uśmiechnęła się łobuzersko.

– No cóż... – zaczęła niepewnie Lucy – mój mąż ma na imię Rob. Jesteśmy małżeństwem od niemal dziesięciu lat. Przeprowadziliśmy się tu w zeszłym roku, do ekskluzywnego osiedla, które może widziałas na drugim końcu wioski. – Skrzywiła się, a Marta się roześmiała. – Przedtem mieszkaliśmy w Stanton Harcourt, wiesz, w tych małych domkach, które wyglądają jak przytułki. Rob jest redaktorem naczelnym jednej z popołudniówek w Oksfordzie, a ja dwa razy w tygodniu mam poranne dyżury w lokalnym radiu.

– Powiedz mi coś więcej – zażądała Marta. – Gdzie mieszkają twoi rodzice? Czy jesteś szczęśliwa?

Lucy spojrzała na nią ostro. Takich pytań nie zadaje się komuś, kogo się ledwo poznało. W końcu roześmiała się.

– Dobrze – powiedziała, gładząc dłonią wypukłości i sęki dębowego stołu. – Moi rodzice mieszkają dwadzieścia kilometrów stąd, w Burford. Stamtąd pochodzę. Rob jest z Lancashire.

Chyba trudno mu się tu zdomowić. Najchętniej wzięłby nas z powrotem na północ.

Marta wzdrygnęła się.

– Co robi twój ojciec?

– Jest biznesmenem. To znaczy, był. Przeszedł na emeryturę, ale udziela się jeszcze jako konsultant. Spędza dni na uprawianiu ogrodu, pozwalając mojej matce organizować mu życie. A, i kupili ostatnio dom we Francji, w Prowansji, i zamierzają mieszkać tam przez sześć miesięcy w roku.

Mówiąc to, poczuła ukłucie w sercu. Caroline zadzwoniła tego ranka, żeby zaprosić ich na dwa ostatnie tygodnie wakacji, ale musiała jej uprzejmie odmówić. Rob za nic nie zgodziłby się pojechać, a ona nie miała siły wszczynać kłótni, która niechybnie by wybuchła, gdyby zaproponowała, że pojedzie sama z dziewczynkami. Łatwiej było się wykręcić, chociaż wiedziała, że matkę to zaboli, także ze względu na Archiego.

Uwielbiał swoje wnuczki i był najcudowniejszym dziadkiem pod słońcem. Nie

przestawało jej to zdumiewać, tym bardziej że kiedy ona i Helen były małe, traktował je jak bomby z opóźnionym zapłonem. Zbierało jej się na płacz, a jednocześnie była szczęśliwa, kiedy widziała, z jaką czułością odnosi się do jej córek. Po głębszej analizie swoich uczuć doszła do wniosku, że jest odrobinę zazdrosna, a zarazem wdzięczna losowi za jego obecność w ich życiu. Gdyby tylko Rob pozwalał jej rodzicom robić dla nich więcej... Ale on sobie ubzdurał, że jeśli dziewczynki będą się z nimi częściej widywać, to natychmiast przewróci im się w głowach i zażądają Bóg wie czego. Chciał, żeby doświadczyły prawdziwego życia, a nie spoglądały na zwykłych ludzi przez szybę ochronną.

– Moja matka zasiada w rozmaitych komitetach – kontynuowała Lucy – chodzi na lunche z przyjaciółkami i robi zakupy. Głównie robi zakupy. Pomaga mi też czasem z dziećmi, kiedy ma czas.

– A rodzice twojego męża?

– Matka nadal mieszka w Lancashire. Ojciec już nie żyje. Umarł w zeszłym roku. Na wylew, zupełnie niespodziewanie. Był już po jednym wylewie, ale ten drugi okazał się o wiele rozleglejszy. Straszna szkoda, był takim miłym człowiekiem.

O mało nie dodała: „Marność nad marnościami”. Taki komentarz Peggy wygłosiła na pogrzebie, mówiąc do niej, że zmarnował swoje ostatnie lata, zbyt przybity chorobą, żeby w pełni uczestniczyć we wszystkich wydarzeniach. Stał się widzem swojego życia. „Tyle lat ciężkiej pracy – powiedziała – a potem nic. Po prostu zgasł, kochanie. Ale nie powinnam się żalić. Był cudownym mężem.

Rob nie płakał po śmierci ojca. Odebrał telefon i Lucy usłyszała, jak mówi:

– Cześć, mamó. Jak się masz? – A potem: – Kiedy? Rozumiem. Tak, będziemy. Oczywiście. Powiem Lucy, żeby do ciebie zadzwoniła.

Potem wyszedł do ogródka za domem i usiadł ciężko na ławce. Lucy poszła za nim.

– Co się stało?

– Tato nie żyje – powiedział Rob. Jego twarz była zastygłą maską.

– Och, kochanie... – Objęła go mocno za szyję. Nie poruszył się.

– Pójdę zadzwonić do twojej mamy – powiedziała.

– Pogrzeb odbył się w małym kościółku na wrzosowym wzgórzu, w scenerii jak z książek Dickensa. Wiał przenikliwy, zimny wiatr, krajobraz był groźny i ponury. Twarz Roba, gdy stał nad grobem ojca w czarnym płaszczu, który mu kupiła, nie wyrażała żadnych uczuć. Tylko Laura została uznana za dość dużą, aby im

towarzyszyć, chociaż obie dziewczynki kochały Jacka, który za nimi przepadał. Klękał na podłodze, żeby się z nimi bawić, i częstował je miętówkami z kieszonki wełnianej kamizelki. Oboje z Peggy zawsze bardzo się cieszyli z ich wizyt.

Dwa lata temu wzięli wnuczki nad morze, do Blackpool, i to były niezapomniane wakacje. Peggy trochę się martwiła, że to może być dla Jacka zbyt męczące, ale uparł się jechać. Dla Lucy pobyt tam byłby torturą, lecz dzieci, jak wiadomo, nie mają gustu. Dziewczynki jeździły na osiołkach, budowały zamki z piasku, jadły cukrową watę i odwiedziły gabinet figur woskowych Madame Tussaud. Wróciły do domu z walizkami pełnymi różowych plastikowych ozdóbek i tanich świecidełek, które zaniósły do swoich pokoi jak cenną zdobycz.

– Wcale nie trzeba wydawać fortuny – powiedziała Peggy, kiedy Lucy przyjechała je odebrać. – Dzieci wszędzie są takie same. Lubią plażę i sklepy z pamiątkami. Nie mieliśmy z nimi żadnego kłopotu.

W walizce Olivii znalazła obwiązaną starannie gumką, foliową torebkę z błyszczącymi muszelkami.

– Babcia pomoże mi zrobić z nich naszyjnik – powiedziała Olivia rozanielona.

Tego samego lata Archie i Caroline zabrali je do eleganckiego i przeraźliwie drogiego hoteliku w Prowansji, gdzie rozglądali się za domem. Dziewczynki jadły co rano ciepłe croissantsy, patrząc na lazurowe morze ze skąpanego w słońcu tarasu. Archie uczył je pływać w basenie, a Caroline kupowała im stroje słynnych francuskich projektantów. Kiedy Lucy spytała je, które wakacje podobały im się bardziej, odpowiedziały bez wahania:

– W Blackpool. Tam były osiołki! – piszczały z zachwytu. – Pojedziesz tam z nami na następne wakacje, mamusiu?

– Postaram się – obiecała.

– To dobrze. – Olivia ścisnęła ją za rękę. – Zobaczysz, jak ci się tam spodoba.

Peggy podczas pogrzebu zachowała zimną krew. Z chłodnym spokojem zarządzała, kto ma jechać do kościoła czyim samochodem i kto ma gdzie usiąść. Mowę wygłosił tylko pastor i Peggy zauważyła później, że przemawiał, jakby mówił o kimś obcym, nie o prawdziwym Jacku. Podczas stypy roznosiła na dużych talerzach kanapki i własnoręcznie upieczone ciasto, a krewni i paru dawnych kolegów z pracy Jacka pili słodkie sherry. Na Lucy zrobiło to wszystko bardzo przygnębiające wrażenie i żałowała, że przyjechali z Laurą.

Rob prawie się nie odzywał. Peggy wzięła Lucy na stronę i powiedziała cicho:

– Nie martw się. Jack zachowywałby się dokładnie tak samo. Mężczyźni nie lubią okazywać uczuć. On chce tylko czym prędzej mieć to za sobą i wrócić do

domu.

Pod koniec spotkania Lucy nie mogła go nigdzie wypatrzeć. Zostawiła Laure w kuchni, żeby pomogła pozmywać talerze. Ciocia Marge, która zbliżała się już do dziewięćdziesiątki, podeszła przed nią do drzwi wyjściowych. Nieprzywykła do sherry, chwiała się lekko na nogach i trzymała się mocno ramienia swojego syna.

– Dziękuję, złotko – powiedziała, ściskając Peggy na pożegnanie. – Było bardzo miło. Doskonale się bawiłam. – Przerazona, przycisnęła rękę do ust. – Ojej...

– Nic nie szkodzi – zapewniła ją Peggy nieporuszona. – Cieszę się, że mogłaś przyjść. Szkoda, że spotykamy się teraz głównie na pogrzebach.

– Tak to już jest – powiedziała ciocia Marge. – Następny będzie mój, zobaczysz.

Pożegnawszy się z nią, Lucy poszła na tył domu i rozejrzała się po ogrodzie. Na wzniesieniu krzywo wybrukowanej ścieżki stała ławka, z której niegdyś roztaczał się widok na staw i pole, zabudowane teraz nowymi domkami. Rob siedział tam tyłem do niej. Podeszła do niego. Zobaczyła, że ma ręce splecione na piersi. Płakał. Stała przez chwilę niepewnie, potem położyła mu delikatnie dłoń na ramieniu. Nie odwracając głowy, chwycił ją za palce. Obeszła ławkę i usiadła.

– Widzisz to drzewo? – spytał cicho. – Zrobił mi na nim domek z desek ze śmietniska na końcu drogi. Całe wieki stukał młotkiem. Nie pozwolił mi się zbliżyć, dopóki nie skończył. Potem przyprowadził mnie tu z zawiązanymi oczami. Mama dała mi koszyk zjedzeniem. Mój kumpel, Geoff, powiedział, że on miał dotąd najlepszy domek na drzewie, ale mój jest lepszy. Miał okno. Myślałem, że kiedyś wezmę tam swoich synów. – Spojrzał na gołe gałęzie. – Ale już się rozpadł. Zresztą dziewczynki i tak by się nim pewno nie cieszyły. Ten ogród był dla mnie kiedyś całym światem. – Popatrzył na niewielki trawnik o starannie przystrzyżonych brzegach. – A to takie nic, prawda? Nic, jak na osiągnięcie całego życia. – Wziął długi, świszczący oddech. – Jezu Chryste, Lucy, on nie żyje. – Spuścił głowę, a Lucy go objęła.

– Był z ciebie taki dumny – powiedziała.

– Robiłem większość rzeczy dla niego. – Odwrócił się do niej. – To on chciał, żebym został dziennikarzem. Mówił, że to kariera, która zapewni mi prawdziwe pieniądze. Ale dla ciebie nie jest dość dobra, co? – Spojrzał jej prosto w oczy. – Ta niby-kariera nie jest dość dobra dla ciebie ani dla twojej rodziny, prawda?

– Rob... – Lucy była wstrząśnięta. – To nonsens. Jesteśmy z ciebie wszyscy naprawdę dumni. Czemu tak mówisz?

– Bo to prawda. – Odwrócił głowę. – W oczach taty odniosłem wielki sukces. Ale w twoich nigdy nie dorównam twojemu ojcu. – Znow popatrzył na nią. – Nieprawdaż?

– Jesteś szczęśliwa? – spytała Marta.

– Oczywiście – odpowiedziała Lucy automatycznie. I zaraz się poprawiła. – Nie. Nie, chyba nie jestem. – Podniosła wzrok na Martę. – Ale to moja własna wina.

– Dlaczego?

– Zapewne chcę za dużo. – Lucy próbowała się uśmiechnąć. – Myślałam, że wiem, czego chcę, ale to nieprawda. Patrzę na moje życie z Robem i mam wrażenie, że to nie jest to, o co mi chodziło. Przepraszam – powiedziała szybko. – Nie powinnam cię tym zanudzać.

– Wcale mnie nie zanudzasz. Mów dalej.

– Poślubiłam człowieka, który reprezentował wszystko, czego mi brakowało we wczesnej młodości: wolność, brak sztywnych zasad, nieliczenie się z tym, co pomyślą inni. Dopingował mnie i starał się zmienić na lepsze. Myślałam, że chcę wieść inne życie niż to, które znałam.

– No i?

– Okazało się, że wcale tego nie chcę. – Lucy wzruszyła ramionami. – Co zapewne znaczy, że jestem bardzo pustą istotą.

W gruncie rzeczy – dodała – rozczarowaliśmy się sobą. Żadne z nas nie jest takie, jak sobie wyobrażaliśmy. On myślał, że będę przepustką do świata, który widział z daleka, a ja myślałam, że przy nim moje życie będzie dużo bardziej prawdziwe. Teraz on myśli, że jestem rozpieszczona i próżna, a ja myślę, że on nie mierzy dość wysoko ani nie próbuje uatrakcyjnić czy choćby uprzyjemnić nam życia. Jakby – powiodła palcem po szczelinie w blacie stołu – jakby wszystko, co widzieliśmy w sobie i co różniło nasz związek od innych, gdzieś znikło. Są takie momenty, kiedy myślę, że to się jeszcze da uchwycić, ale zaraz to mija. Czasami czuję się, jakbym była żoną kogoś zupełnie obcego, kto mnie nawet nie lubi, nie lubi tej osoby, jaką naprawdę jestem, i że jeśli nie wydobędę się z tej matni, uduszę się, albo po prostu przestanę istnieć.

– To się często zdarza – powiedziała Marta spokojnie.

– Co?

– To, że wychodzimy za mąż, by od czegoś uciec. Ale najczęściej to ślepa uliczka.

– A co powiesz o sobie?

Marta rozejrzała się po swojej wspaniałej, zabałaganione kuchni.

– Powinnam być szczęśliwa – powiedziała. – Mam dwoje dzieci, mnóstwo pieniędzy, dzięki kochanemu Sebastianowi nie muszę pracować, mam czas na sprawunki i manikiurzystkę... przy okazji, gdzie jest najbliższy salon piękności? Ale czuję się – wzruszyła ramionami – niekochana. – Roześmiała się. – Co za pomysł, żeby prowadzić taką rozmowę w miłe, sobotnie przedpołudnie! Nie masz mi tego za złe?

– Nie – odparła Lucy. – Nawet nie masz pojęcia, jak cudownie jest móc z kimś o tym porozmawiać.

– Wiem, że mogę zrobić z tego domu prawdziwe cacko, i zrobię, naprawdę, ale dla Sebastiana takie rzeczy to sprawa oczywista, chyba nawet ich nie zauważa. A już z pewnością nie zauważa mnie, chyba żeby mi wytknąć, że jestem nieumalowana albo że przybrałam na wadze. Mówi do mnie jak do sekretarki, jakbym była tu tylko po to, żeby otrzymywać domowe rozkazy. Organizuję jego życie towarzyskie i prowadzę mu dom na wysokim poziomie. Moja jedyna więź uczuciowa z nim to dziewczynki, inne więzi zanikły. A najgorsze – przechyliła się ku niej i Lucy zobaczyła łzę błyszczącą w kąciu jej oka – najgorsze, że wiem, że on mnie nie kocha. Mogłabym pogodzić się z pełnieniem roli sekretarki do spraw domowych, gdyby to było podbudowane jakąś miłością i szacunkiem, ale tak nie jest. Już nie. Przez ostatnich parę lat stało się jasne, że najżywsze uczucie, jakie w nim budzę, to irytacja. Wszystko, co powiem lub zrobię, jest źle. Nie jesteśmy ze sobą szczęśliwi i przychodzi taki moment, kiedy człowiek zadaje sobie pytanie, czy warto się poświęcać i w tym tkwić. Gdzieś tam, za oknem, może być ktoś, kto mnie naprawdę pokocha. – Roześmiała się. – Nie do wiary, mówię jak bohaterka opery mydlanej. W gruncie rzeczy, nie jest tak źle. Przeważnie zachowuję stoicki spokój, a jako wyrobница domowa mam niemałe dodatkowe korzyści. Wiesz, przenieśliśmy się tu z nadzieją, że zmiana dobrze nam zrobi. Na razie to się nie sprawdzało. Dziewczynki rosną i coraz trudniej traktować je jako pretekst do zostania. Może powinnam urodzić następne dziecko. – Spojrzała na swój płaski brzuch. – Albo sobie kupić. Ale prawda jest taka, że boję się opuścić Sebastiana. Nie mam żadnego zawodu. Co bym z sobą zrobiła? Mogę osiągnąć w życiu sukces tylko przez niego. To dość okropna perspektywa.

Lucy patrzyła na nią zdumiona. Większość kobiet, przy pierwszym spotkaniu, starała się za wszelką cenę sobie zaimponować, a jej nowa znajoma od razu była gotowa zmieść wszelkie bariery. Dla niej Marta była uosobieniem elegancji i Idealnego Życia. Ubierała się szykownie, miała wycucie stylu – nawet w dżinsach

i białej koszuli, jak dziś, wyglądała fantastycznie. Ale taki efekt łatwiej osiągnąć, jeśli koszula jest marki DKNY, a dzinsy od Versace – nie żeby Lucy patrzyła na metki, oczywiście. Cóż, to nie do końca prawda. Szczerze mówiąc, patrzyła. Gdy do jej córek przychodziły na noc koleżanki, łapała się na tym, że składając ich ubrania, zwraca uwagę, czy są markowe, a kiedy Laura i Olivia wychodziły do kogoś, zawsze pilnowała, żeby miały na sobie najdroższe rzeczy.

– Kochasz go?

– Tak – powiedziała Marta. – To właśnie jest okropne. Kocham go, tyle że jemu już na tym nie zależy.

– Wygląda na to, że nikt z nas nie dostaje tego, na czym mu zależy – westchnęła Lucy.

– Przynajmniej zostaje nam białe wytrawne wino – zauważyła Marta.

– I zakupy – dodała Lucy. – I dzieci. Wiesz, kiedy zaświtała mi myśl, że może nie warto tkwić na posterunku?

– Kiedy?

– Jak kogoś zobaczyłam. – Lucy roześmiała się. – Cóż, wiem, że to zabrzmiało głupio, ale to chyba było tylko przywidzenie. To był ktoś, kto przypominał mojego byłego chłopaka, i nagle poczułam się podekscytowana, ożywiona, jakbym się obudziła z długiego snu. To było jak niespodziewane przeniesienie z teraźniejszości do czasów, gdy czułaś się piękna i wyjątkowa, a świat leżał ci u stóp. Poczułam się znów jak osiemnastolatka, która ma powodzenie i może zdobyć każdego. Poczułam się pożądana. A on był taki...

– Jaki?

– Zabójczo przystojny.

– Widzę, że masz grzeszne myśli – uśmiechnęła się Marta.

– Tak czy owak, to musiało być przywidzenie. To nie był on.

– Mamo! – Laura wbiegła do kuchni i pośliznęła się na stosie papieru.

– Nie przejmuj się – powiedziała Marta. – To tylko jakieś akta Sebastiana. – Zgarnęła ciasno zapisane kartki i rzuciła je niedbale na zawalony już papierami kredens.

– Olivia i Sophie nie chcą nas wpuścić na huśtawki.

– Zrzućcie je – powiedziała Marta. – Jesteście większe.

Laura spojrzała z wahaniem na matkę. Lucy zawsze zabraniała jej pchać, bić, szczypać czy atakować Olivię w jakikolwiek sposób. Zdecydowała teraz, że ma w Marcie sojuszniczkę.

– Dobrze – kiwnęła głową i wybiegła radośnie.

– Twoje córeczki są rozkoszne – powiedziała Marta, patrząc za nią. – Mają szczęście, że odziedziczyły twoje włosy. Śliczne dziewczynki.

– Dla nich warto to ciągnąć. Cokolwiek spieprzyliśmy w naszych związkach, mamy z nich fajne dzieci. Więc może jednak coś się nam udało?

Idąc do domu z dziećmi, Lucy poczuła, że ugniatający ją ciężar trochę zelżał. Sama się sobie dziwiła, że była taka szczera z kimś, kogo ledwo знаła. Ale Marta miała taki bezpośredni sposób bycia i tak cudownie było znaleźć prawdziwą przyjaciółkę, z którą można o wszystkim porozmawiać. To zupełnie co innego niż powierzchowna paplanina z Cheryl, która za nic w świecie nie przyznałaby się, że ma jakieś problemy. U niej wszystko było zawsze super. Jeszcze gorsza była Jackie, z sąsiedniego domku, która wpadła wczoraj specjalnie po to, żeby spytać, czy Lucy wypróbowała już nowy, cudowny, antyseptyczny spray do mycia klozetu. Jezu, jeśli to mają być największe podniety jej życia, pora umierać.

Rozdział 20

Olivia mocno spała na samym skraju łóżka, z kołdrą zsuniętą do kolan i ręką wokół szyi swojego ulubionego, czerwonego lisa, który na tę noc został wystrojony w jasnoróżową aksamitną opaskę na głowę.

Dywanik przy łóżku był usłany kartkami wyrwanymi z nowego notesu z wizerunkiem Barbie. Olivia ostatnio z niesłabnącym zapałem uczyła się pisać i jej notes był pełen wyznań miłosnych do Lucy i Roba. „Koham mame i tatę i Lore i psy”. „S” było napisane odwrotnie. Lucy westchnęła. Wszystkie „s” i „z” były w jej wykonaniu odwrócone. Często miała wrażenie, że lepiej wyedukowałyby córki w domu. Zwłaszcza Olivia zdawała się niczego w szkole nie uczyć oprócz skakania na skakance. Metoda, według której uczono ją czytać, pełna znaków fonetycznych i dziwnych symboli, była dla Lucy kompletną zagadką. Kiedy poskarżyła się nauczycielce, że córka nie ma pojęcia o ortografii, usłyszała, że ortografia jest nieważna, w tym wieku ważne jest wyrażenie myśli na papierze. Olivia była w zerówce razem z trzydziestoma pięcioma innymi dziećmi i chociaż miała miłą, wesołą nauczycielkę, więcej czasu zabierały im pogadanki wychowawcze niż pisanie rzędów równych liter.

Olivia siedziała przy okrągłym stole z czwórką innych dzieciaków i Lucy podejrzewała, że jedyne, co robią, to pokazują sobie majtki i mażą się wzajemnie po nogach kolorowymi flamastrami. Westchnęła. Rob powiedział, że według rankingu szkół to najlepsza państwowa podstawówka w okolicy. I co z tego? Miała niższy poziom od szkoły, do której chodziła Lucy, na dowód czego Caroline wyciągnęła jej wypracowanie napisane w wieku dziewięciu lat, które nie zostawiało wątpliwości, że Laura też jest daleko w tyle. Caroline prowadziła teraz kampanię na rzecz przekonania Roba, żeby pozwolił jej i Archiemu płacić za prywatną edukację córek.

Kartki z notatnika Olivii pokrywały serduszka, domki i kwiatki narysowane grubym, plamiącym mazakiem. Jej palce, wyszorowane podczas kąpieli, znów były całe w plamach jak sierść dalmatyńczyka. Zirytowana Lucy spostrzegła, że poszewka kołdry w biało-żółtą kratkę, którą kupiła z katalogu Laury Ashley, też nosi ślady wieczornej zabawy nowym, różowym, zapinanym na suwak piórnikiem, prezentem od Annie, która ją zdumiała, okazując się troskliwą i pamiętającą matką chrzestną. Ona i Roilo mieli czworo dzieci i byli współwłaścicielami zakładu ceramicznego w Walii. Hodowali kury, kaczki i złośliwą małą kozę, i jak się

zdawało, byli całkiem szczęśliwi w swoim mulistym zakątku.

Kiedy Lucy i Rob pojechali do nich w zeszłym roku na parę dni wraz z dziewczynkami, znaleźli przy swoim wilgotnym łóżku martwą mysz. Dom był ogrzewany energią słoneczną, toteż panowało w nim przenikliwe zimno. Gdy próbowali zasnąć, osłaniając się przed tynkiem opadającym z sufitu i słuchając myszy harcujących pod strzechą. Lucy szepnęła do Roba:

– To cudownie, że Annie udało się odrzucić te wszystkie mieszczańskie zwyczaje, którymi tak gardziła.

– Jak mycie się – mruknął, przewracając się na drugi bok w zawilgoconej pościeli.

Teraz składała ubrania rzucone przez Oliwię na podłogę. Rob wszedł cicho do pokoju. Podciągnął kołdrę na córeczkę i przeniósł ją na środek łóżka. Otworzyła jedno oko i na wpół śpiąc, objęła go za szyję.

– Dasz mi trochę wody, tato? – spytała, zamykając oczy.

– Dobrze, skarbie. Teraz już śpij. – Gestem dał znać Lucy, żeby zostawiła ich samych.

Cicho zamknęła szufladę komody i wyszła na palcach. Laura także spała już mocnym snem – wzięła dwie poduszki z gościnnego pokoju i leżała z głową zbyt wysoko. Lucy wyciągnęła ostrożnie jedną z poduszek, uważając, żeby jej nie obudzić. Mimo otwartego okna jej gęste jasne włosy były wilgotne od potu. Soczyste, pełne usta miała szeroko otwarte, a na brodzie kropelkę śliny. Lucy ściągnęła z niej nieco kołdrę, żeby ją ochłodzić. Uwielbiała patrzeć na swoje córki, kiedy spały. Wyglądały jak dwa małe cuda.

Na łóżku Laury leżały książki – czytała zachłannie, głównie opowieści swojej ukochanej Enid Blyton. Lucy uważała, że już czas, aby zaczęła czytać coś poważniejszego, i kupowała jej klasykę, taką jak *Małe kobiety* czy *Lew, czarownica i stara szafa*, ale gdy tylko się odwróciła, Laura wracała do ulubionej poprzedniej lektury.

Kiedy Rob czytał jej raz Enid Blyton na dobranoc, niemożliwie przedrzeźniał bohaterów, wkładając im w usta wysoce arystokratyczny akcent, a Laura okładała go pięściami i wyzywała od głupków. Bardzo ubolewał, że dzieci ciągle czytają książki tej starej snobki, i Lucy musiała go przekonywać, że nie ma w tym nic złego, przynajmniej Laura w ogóle coś czyta. Ona sama w jej wieku przepadała za historiami o pensjonarkach.

– Sprawily, że marzyłam, aby jechać do szkoły z internatem – dodała.

– No właśnie – powiedział Rob. – Żadna z nich nie pojedzie do szkoły z

internatem.

Lucy zagryzła wargi. Doprowadzała go do szału ciągłym poprawianiem błędów językowych i wymowy dziewczynek, uwagami typu: nie mówi się „wziąć” tylko „wziąć”, kochanie. Nie podobał jej się akcent, który wynosiły ze szkoły, i wkrótce obie nauczyły się mówić na dwa sposoby – inaczej w domu, inaczej w szkole. Caroline krzywiła się, słysząc je, a nawet wspomniała coś o lekcjach dykcji. Laura buntowała się.

- Ale tato mówi „wziąć”. I mówi „cholera” i „pieprzony” – dodała przekornie.
- To nie znaczy, że wam wolno – ucięła ostro Lucy.
- Czy tata jest niegrzeczny? – dopytywała się Laura.
- Czasami – odparła Lucy z roztargnieniem.
- Dlaczego się już nie śmiejecie?
- Co?
- Dawniej słyszałam, jak się śmialiście, kiedy zasypiałam. Teraz już nie.
- Człowiek po trosze wyrasta ze śmiechu – powiedziała ostrożnie Lucy.
- Mam nadzieję, że ja nie wyrosnę.

Po sprawdzeniu, czy dziewczynki śpią, zeszli oboje na dół i opadli na sofę. Lucy pomyślała, że jeśli Rob jeszcze raz nazwie sofę wersalką, będzie musiała definitywnie go opuścić. Sięgnął po gazetę. Miał na sobie starą flanelową koszulę z podwiniętymi rękawami i wyblakłe džinsy. Był boso. Przed nim na niskim stoliku stała popielniczka i leżała paczka marlboro lights, które teraz palił, porzuciwszy wreszcie skręty. Kiedy Laura się urodziła, obiecał, że przestanie palić, ale nie dotrzymał obietnicy, podobnie jak nie ograniczył ilości spożywanego piwa. Lucy zrobiła dwie filiżanki herbaty i postawiła jedną przed nim. Przysiadła na brzegu stołu.

- Rob?
- Co?
- Widziałam się dzisiaj z mamą.
- Jak się ma moja szanowna teściowa? Nadal odgryza głowy kurczakom?
- Bardzo śmieszne. Ma się dobrze. Wspomniała o czymś, o czym powinniśmy porozmawiać.

– Lucy. – Rob odłożył gazetę i przewiercił ją przenikliwym wzrokiem. – Jeśli znów chodzi o wakacje we Francji, to jestem przeciwny. Dlaczego twoja matka nie może zrozumieć, że możemy się po prostu spotykać i nie musi nam bez przerwy czegoś dawać? Byliśmy już na wakacjach. Nie chcę jej ofert. Chętnie widuję się z

nią i z Archiem, ale nie chcę być traktowany jak podopieczny jednej z jej akcji dobroczynnych.

– Chodzi o Olivie – powiedziała Lucy. – I o Laure.

– Tak?

– Nie jestem zadowolona z ich szkoły.

– Jezu, Lucy, znowu zaczynasz? Bez przerwy wyklócasz się z ich biednymi nauczycielkami i domagasz się tego czy tamtego. Małe dostają takie same wykształcenie jak wszyscy inni i jeśli sobie nie radzą, to znaczy, że nie są za bystre.

– Dobrze wiesz, że są bystre! – oburzyła się Lucy.

– Ty uważasz, że są bystre, i ja uważam, że są bystre, ale skąd możemy wiedzieć?

– Mama zaoferowała, że zapłaci za ich prywatną szkołę – powiedziała Lucy jednym tchem.

– A ty co odpowiedziałas? – spytał Rob podejrzanie spokojnie.

– Że porozmawiam z tobą.

– Odpowiedź, jak dobrze wiesz, brzmi: nie – oświadczył stanowczo. – Prywatna edukacja to kompletna strata czasu. Chodzi – jedynie o podniesienie prestiżu. Nie ma żadnej różnicy w tym, czego się uczą. Koniec dyskusji.

Lucy zerwała się ze złością na nogi.

– Nie, to nie jest koniec dyskusji! Tylko dlatego, że ty to uważasz za głupotę i snobizm, mamy pozbawić je takiej fantastycznej szansy. To dar z niebios! Dlaczego nie widzisz, jaki start życiowy im to da? Warunki w Radlett są nieporównanie lepsze, Marta mówiła mi o różnych dodatkowych zajęciach, jakie tam dzieci mają, uczą się nawet łaciny, jest basen, doskonała stołówka i... To jak członkostwo w ekskluzywnym klubie. Ustawi je na całe życie.

Rob wstał i przeszedł obok niej bez słowa. Przy drzwiach się odwrócił. Twarz miał wykrzywioną z wściekłości.

– Nasze dzieci – powiedział – dostaną taką edukację, jaką my im damy. Nie twoi rodzice. A jeśli ty stanowisz przykład wychowania w prywatnych szkołach, to z pewnością nie życzę sobie tego dla moich córek. Idę do pubu.

Kiedy wyszedł, usiadła na sofie, trzęsąc się ze złości. Jak on śmie? Jakim prawem wyobraża sobie, że jest absolutnym panem i władcą, że może sam podejmować wszystkie ważne decyzje? Wypiła herbatę. Potem wstała i podeszła do telefonu. Drżącymi rękami wykręciła numer matki.

– Witaj, kochanie – powitała ją Caroline nieco zadyszczonym głosem. –

Siedzieliśmy właśnie w ogrodzie. Prawda, jaki piękny wieczór? Próbowałaś już bombay dżin? Wszyscy go teraz piją i jest pyszny. Kupię ci butelkę... och, ale zdaje się, Rob nie lubi dżinu?

– Mamo – przerwała Lucy – jeśli nadal podtrzymujesz propozycję płacenia za szkołę dziewczynek, to chętnie skorzystamy z waszej pomocy.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Caroline powiedziała:

– To wspaniała wiadomość. Archie... – Lucy usłyszała, jak matka woła męża przez otwarte drzwi kuchni i wyobraziła sobie ojca siedzącego na fotelu ogrodowym i palącego cygaro, którego już nie powinien palić ze względu na podwyższone ciśnienie. Lucy i Rob zgodzili się, żebyśmy opłacali chesne. Cudownie, prawda? Lucy, dam ci ojca.

Usłyszała teraz ciężkie kroki ojca i lekkie sapanie. Ostatnio szybko się męczył, miał już sześćdziesiąt pięć lat i fakt, że zaczynał się starzeć, nieustannie ją zdumiewał. W jej oczach zawsze pozostał taki, jakiego znała w dzieciństwie.

– Lucy, to świetnie, bardzo się cieszę. I musisz nam też pozwolić kupić mundurki. Sprawisz nam tym przyjemność. Ale czy jesteś pewna, że Rob się zgadza? Był bardzo przeciwny, kiedy rozmawialiśmy na ten temat.

– Tak, zgadza się – powiedziała Lucy szybko. – Dzięki, tato, kocham was. Pójdę powiedzieć dziewczynom.

Pożegnawszy się, odłożyła ostrożnie słuchawkę. Co ona najlepszego zrobiła? Rob ją zamorduje. Zaraz jednak otrząsnęła się z poczucia winy. Najwyższy czas, by zrozumiał, że nie może rządzić niepodzielnie, rozstawiając wszystkich po kątach. Na każdym kroku ją krytykował, począwszy od rzeczy tak nieistotnych, jak kolejność ładowania zmywarki, po zakupy w supermarkecie, czy wreszcie sposób wychowywania dzieci –.. bez wpajania im prawdziwych wartości”, jak twierdził. Potrafił nawet przejrzeć lodówkę, mówiąc: „Cała ta zdrowa żywność to jedna wielka bzdura. Lucy, nie możemy sobie pozwolić na takie fanaberie. Trochę pestycydów jeszcze nikomu nie zaszkodziło”. Najbardziej jednak bolał ją fakt, że z nią nie rozmawiał. W pubie wśród ludzi, których ledwo znał, nie zamykały mu się usta. W domu wyduszenie z niego dwóch zdań było jak próba wyrwania zęba. Zachowywał swoje zabawne historyjki dla obcych, jakby już nie warto się było trudzić, żeby ją rozśmieszyć.

Leżąc w łóżku, czekała na dźwięk klucza w zamku. Z jednej strony bała się go usłyszeć, z drugiej pragnęła, żeby Rob wrócił. Ten głęboko frustrujący aspekt ich związku pominęła w rozmowie od serca z Martą. Chociaż czuła, że tonie, nadal za nim tęskniła. Ożywiała się, kiedy przychodził z pracy, dopóki nie zaczynał znów

czegoś krytykować i nie mroził jej lodem. Zastanawiała się, czy tak już będzie zawsze, czy będą brnąć przed siebie, pogodzeni z faktem, że ich małżeństwo osiągnęło martwy punkt. Czy prawdziwa Lucy Beresford jeszcze gdzieś tu jest? Ta dziewczyna, która myślała, że będzie mieć życie usłane różami?

Kiedy w końcu przyszedł o drugiej nad ranem, odwróciła się i udawała, że śpi. Usłyszała, jak Rob otwiera i zamyka drzwi do pokoi dziewczynek, a potem cicho wchodzi do sypialni i rozbiera się, rzucając ubranie na podłogę. Nastawił budzik i wśliznął się do łóżka. Leżeli każde na swoim skraju, przedzieleni oceanem urazy. Lucy w końcu zapadła w niespokojny sen. Około czwartej obudziła się i poszła do ubikacji. Po powrocie spróbowała się do niego przytulić. Nawet we śnie odsunął się od niej.

Obudziła się wcześniej, wyrwana poczuciem winy ze snu, który nie przyniósł jej ukojenia. Będzie musiała Robowi powiedzieć. Dziewczynki i tak prędzej czy później się wygadają, chociaż przekupiła je czekoladą, żeby na razie zatrzymały ten sekret dla siebie. Jest więcej niż prawdopodobne, że Rob zmusi ją, aby zadzwoniła do rodziców i wyznała prawdę. Wyjdzie na kompletną idiotkę. Ale musiała przyznać sama przed sobą, że postąpiła podle, wiedząc, jaki sprzeciw budzi w Robie ten pomysł. To są także jego dzieci. Co on powiedział po pogrzebie Jacka? Że w jej oczach nigdy nie dorówna jej ojcu? Z całą brutalnością uzmysłowiła mu teraz, że nie spełnia jej oczekiwań. Przez ponad godzinę przewracała się w łóżku z boku na bok i rozważała, w jaki sposób skłonić Roba do wyrażenia zgody. Obmyślała różne warianty czekającej ich rozmowy i przy każdym łyzy cisnęły się jej do oczu. Nie ma mowy – powie „nie”. O ile łatwiejsze miałyby życie, pomyślała, gdyby była sama.

Rozdział 21

Opowiedz mi o Radlett – poprosiła Laura po raz dziewięćdziesiąty. Lucy jechała tam z dziewczynkami, by kupić im mundurki w sklepie na terenie szkoły. Specjalnie na tę okazję wymyśla i wyczyściła w środku samochód – przeszło godzinę zajęło jej samo wyjmowanie z różnych zakamarków lepkich papierków po lodach i lizakach, puszek po coca-coli, pogniecionych opakowań i słomek po zestawach dla dzieci z McDonalda, nie wspominając już o pojedynczych butach i klockach Lego. W kieszeni miała czek in blanco podpisany przez Caroline. Nadal nie odważyła się powiedzieć nic Robowi, a do końca semestru pozostały już tylko cztery tygodnie. Jak o tym myślała, oblewał ją zimny pot.

– Opowiadałam ci już – odpowiedziała córce cierpliwie. – I pokazywałam ci ich folder reklamowy.

– Czy Emily tam będzie?

– Wiesz, że tak.

– W mojej klasie?

– Tak sądzę – ucięła krótko.

– Mamo – odezwała się Olivia z tyłu. – Za ile dni tam pójdziemy?

– Za dobrych parę tygodni.

– A ile jest dni w tygodniu?

– Siedem – powiedziała Lucy przez zaciśnięte zęby.

– Jaka to będzie cyfra?

– Siedem. Słuchaj, co mówię.

– Ile jest dni w roku?

– Trzysta sześćdziesiąt pięć.

– A ile dni zostało do moich urodzin?

– Olivia zamknij się – syknęła Lucy.

– Niegrzecznie jest mówić „zamknij się” – wtrąciła Laura.

– Dlaczego babcia powiedziała, że moja nowa piżama jest na sześć lat?

– Bo kupiliśmy ci większy rozmiar. – Lucy czuła, że głowa zaczyna jej pękać.

– Czy moje nogi też są na sześć lat? – dopytywała się Olivia. Nastąpiła długa chwila ciszy. – Co się dzieje, kiedy zębowej wróżce wypada ząb?

Prezenterka radiowa, prowadząca *Godzinę kobiet*, zapytała z przejęciem: „A więc sądzicie, że powinniśmy bardziej aktywnie zachęcać czarne kobiety do zasiadania w Parlamencie Europejskim?”

– Ty też się zamknij – powiedziała Lucy, gasząc radio.

Olivia rozszlochała się.

– Znowu kazałaś mi się zamknąć. Wszyscy mnie nienawidzą. Nikt mnie nie lubi i brzuch mnie boli.

– Nie miałam na myśli ciebie – powiedziała Lucy.

– A właśnie że tak! A właśnie że tak!

– Jesteśmy na miejscu. – Lucy z ulgą wjechała na podjazd.

Był to bardzo długi podjazd. Po obu stronach alei stały jesiony, jak dwa rzędy wartowników. U wylotu widać było ogromny kamienny dom zwieńczony nieco przesadną ilością wieżyczek i gzymsów. Lucy zatrzymała samochód przed głównym wejściem, ale zaraz się rozmyśliła, okrążyła klomb i zajechała od tyłu, znajdując miejsce obok dwóch dużych zielonych pojemników na śmieci.

W pobliżu nie było nikogo. Zapukała z wahaniem do okazałych frontowych drzwi ciężką, miedzianą kołatką i pchnęła je, biorąc dziewczynki za ręce. Znalazły się na wyłożonym czarno-białymi kafelkami korytarzu. Na końcu stało duże krzesło, jak średniowieczny tron. Siedział na nim, zadowolony z siebie, szary kot. Olivia i Laura pobiegły, żeby go pogłaskać, ale gdy się zbliżyły, podniósł ostrzegawczo łapę i zaczął groźnie machać grubym szarym ogonem.

Zza pomalowanych na biało drzwi dobiegł dźwięk odkładanej słuchawki telefonicznej. Wisiała na nich tabliczka: „Sekretariat”. Lucy zapukała.

– Proszę!

Znalazła się w długim, wąskim pokoju obstawionym półkami, na których stały rzędy segregatorów. Pod oknem siedziała wysoka chuda kobieta z siwiejącymi włosami ściągniętymi w mały koczek.

– Tak? – spytała, zsuwając okulary w drucianych oprawkach na koniec nosa.

– Atkinson – przedstawiła się Lucy. Jej głos zabrzmiał piskliwie i nieswojo. Odkasznęła. – Lucy Atkinson. To są Laura i Olivia... – Dziewczynki na widok tej gorgony schowały się za jej plecami. Wyciągnęła je przed siebie. – Miałyśmy się zgłosić w sprawie zakupu mundurków szkolnych.

– Aaa... – powiedziała sekretarka. Lucy uznała, że to musi być panna Beatty, jej podpis widniał na jednym z listów ze szkoły. – Mają być używane?

– Nie – powiedziała chłodno Lucy. – Nowe. Kobieta wstała niechętnie.

– Wezmę klucz.

Poszły za nią gęsiego – Lucy miała wielką ochotę chwycić ją w pasie i zaśpiewać: la, la, la... la, la, la, ale się powstrzymała – do pokoju na drugim końcu budynku, który był bardzo duży i bardzo staroświecki. Środek szkoły zajmował

ogromny, dudniący echem hall z kamiennymi centralnymi schodami. Ściany, pełne ukrytych drzwiczek, wykładane były drewnianą boazerią i aż się prosiły, żeby je postukać w poszukiwaniu tajemnych przejść. Idealne miejsce na zabawę w chowanego, pomyślała Lucy.

Podczas zwiedzania szkoły – pojechały tam, kiedy Rob był w pracy – uderzyło ją, jakie spokojne i grzeczne są jej córki. W ich dotychczasowej szkole panował ogłuszający hałas, jak na meczu piłki nożnej. Tutaj wszystko było wyciszone. Laura i Olivia, zwykle tak głośne, dostosowały się do otoczenia. W drodze do domu spytała:

– No i jak wam się podoba nowa szkoła?

– Strasznie wielka – powiedziała Laura.

– Mnie się nie podoba – oświadczyła Olivia. – Brzydko pachnie.

– Wcale nie! – oburzyła się Lucy, mając w pamięci ostry zapach moczu dochodzący z łazienek dla chłopców w ich obecnej szkole.

– Właśnie że tak. Pachnie, jakby wszystko tam było stare.

– To, co stare, jest dobre – oświadczyła Lucy stanowczo. – Jestem wielką zwolenniczką starego.

W sklepie z mundurkami dziewczynki przymierzyły sztywne, kasztanowe blezery. Laura w swoim mogłaby się utopić, ale ten na wiek Olivii był dla niej za ciasny.

– Lepiej kupić sporo większy – poradziła panna Beatty. – Finansowo to się o wiele bardziej opłaca.

Lucy zesztyniała. Ona wie, pomyślała. Wie, że nie my będziemy płacić czesne. Dziewczynki zostaną napiętnowane jak dzieci korzystające ze stypendium. Ale zaraz wzięła się w garść. Wiele małżeństw na pewno korzysta z pomocy rodziców. Nie będą jedyni. Kto w końcu może sobie pozwolić na wybulenie dziesięciu tysięcy funtów rocznie z gołej pensji? To więcej niż drugi kredyt hipoteczny.

Tego wieczoru powiedziała sobie stanowczo, że musi wreszcie zdobyć się na rozmowę z Robem. Nie może ciągnąć tej sytuacji bez końca, bo kłamstwo zaczynało puchnąć jak balon i groziło niespodziewanym wybuchem. Koło siódmej trzasnęły drzwi wejściowe. Lucy wyciągała właśnie Oliwię z wanny, Laura nadal leżała z głową pod wodą, ćwicząc wstrzymywanie oddechu. Lucy była poirytowana, bo prosiła, żeby nie moczyły włosów, nie chcąc zajmować się dzisiaj ich suszeniem, ale naturalnie jej nie posłuchały.

Rob rzucił teczkę i usłyszała jego ciężkie kroki na schodach.

– Dobry wieczór, syrenki! – powiedział wesoło. Był w nadspodziewanie dobrym humorze. Pochylił się i pocałował dziewczynki, nie patrząc na Lucy.

– Cześć – podeszła do niego i cmoknęła go w policzek.

– Popatrzył na nią zdumiony. Już od dawna nie okazywała mu żadnego zainteresowania ani tym bardziej serdeczności.

– Widzę, że jesteś z czegoś bardzo zadowolony – powiedziała.

– Zostałem redaktorem naczelnym roku, w kategorii prasy regionalnej! – oznajmił z dumą.

– To fantastycznie! – Chciała go uściskać, ale już straciła ten nawyk, więc tylko jeszcze raz z zakłopotaniem pocałowała go w policzek.

– Prawda? Może cała ta harówka nie idzie w końcu na marne. Poszukajmy jakiejś opiekunki do dzieci na wieczór i chodźmy to uczcić.

W restauracji oparła brodę na rękach, patrząc, jak Rob studiuje kartę win.

– Rob?

– Tak? – podniósł oczy.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Czy to coś złego?

– Raczej tak.

– Więc nie chcę o tym dzisiaj słyszeć. – Zatrzasnął głośno kartę win.

– Muszę – powiedziała Lucy. Patrzył na nią kamiennym wzrokiem.

– Dlaczego zawsze musisz wszystko zepsuć?

Lucy zacisnęła pięści pod stołem. Nie daj się wyprowadzić z równowagi, pomyślała. On też ma swoje racje.

– Wiem, że to nieodpowiednia chwila, ale nie mogę tego dłużej trzymać dla siebie. Ta sytuacja staje się nieznośna i zaraz wymknie mi się spod kontroli.

– Więc słucham.

– Pamiętasz tę... ofertę, którą mama nam złożyła. Proszę cię – dodała szybko – jeszcze nic nie mów. Tego wieczoru byłam na ciebie taka wściekła, że zrobiłam coś naprawdę okropnego. Zadzwoiłam do mamy i powiedziałam, że zgadzamy się, żeby płacili chesne za dziewczynki. – Wypowiedziała ostatnie słowa jednym tchem i czekała na nieuchronny wybuch. Nic takiego nie nastąpiło.

– Wiem.

– Co?

– Znalazłem list od jakiejś sekretarki z Radlett w szufladzie kuchennego stołu.

– I nic nie powiedziałaś?

– Osiągnąłem taki stan ducha – powiedział bardzo łagodnie – że nie mam już ochoty niczego zmieniać. Jeśli uważasz, że jest słuszną rzeczą w naszym związku spiskowanie za moimi plecami, by zadowolić twoich rodziców, to nie potrafię nawet wykrzesać dość energii, żeby zareagować.

Lucy spuściła głowę.

– Przepraszam – szepnęła.

– W porządku. Rób, jak uważasz. Tak chyba będzie najlepiej, prawda? Żyj swoim życiem, a ja będę żyć swoim.

– Nie chcę tak żyć. – Lucy poczuła łzy pod powiekami.

– Już tak jest – powiedział. A potem popatrzył na nią i dodał całkiem spokojnie:

– A więc, co masz ochotę zamówić?

W dniu, kiedy dziewczynki miały pójść do Radlett, Lucy obudziła się o szóstej. Leżała, zastanawiając się, dlaczego jest taka spięta. I zaraz sobie przypomniała. Pierwszy dzień w nowej szkole. Ich tornistry i worki stały porządnie spakowane u podnóża schodów – niewiarygodne, ile rzeczy trzeba im było przygotować, od worków ze strojem gimnastycznym i butami hokejowymi, po tornistry z własnym piórnikiem, przyborami geometrycznymi i Biblią. Cały poprzedni wieczór męczyła się z przyszywaniem tasiemek z ich imieniem i nazwiskiem do wszystkich ubrań, co chwilę klując się w palec. Niepotrzebna jej akupunktura na zwalczenie stresu – wystarczy przyszyć kilka identyfikatorów. O północy wpadła w panikę, że mają niewyczyszczone buty i zabrała się za naprawę tego błędu. Rob wysunął głowę zza drzwi, zobaczył, co ona robi, i cofnął się bez słowa.

Olivia nie chciała jeść śniadania. Laura wylała mleko na podłogę i Lucy ją skrzyczała. Rob nic nie mówił, tylko ucałował je i uściskał na do widzenia.

– Nie bijcie nauczycieli, dobrze? W prywatnej szkole wolno im oddać – powiedział.

Miny im zrzędy.

– Tata żartuje – zapewniła je szybko Lucy.

Na drodze podjazdowej do szkoły utkwiała w długim szeregu luksusowych samochodów terenowych z napędem na cztery koła. Miała wrażenie, że jest uwięziona w dywizji pancerniej. Kiedy w końcu znalazła miejsce do parkowania, z ulgą dostrzegła forda discovery Marty dwa samochody dalej. Marta pomagała wysiąść Sophie, opędzając się drugą ręką od Toffee’ego. Kiedy Lucy otworzyła drzwi, dobiegły ją słowa:

– Nie mam pojęcia, gdzie jest twój kostium baletowy. Skąd, do diabła, mam

wiedzieć? Toffee, jeśli jeszcze raz mnie ugryziesz, każę cię wypchać. Uważaj na ten kij hokejowy! Jezu Chryste, Emily, coś ty zrobiła z włosami?

Lucy pomogła wsiąść swoim córkom i wyjęła z bagażnika cały ich ekwipunek. Zatoczyła się lekko zaskoczona jego ciężarem.

– Przyzwyczaisz się! – zawołała Marta. – W poniedziałki to jak wyprawa na Mount Everest. Cześć, dziewczynki. Fajnie was tu widzieć. Emily i Sophie bardzo się cieszą.

Laura pobiegła przywitać się z Emily. Olivia trzymała się boku Lucy, ściskając ją mocno za rękę. Była pełna obaw. Ten budynek był taki wielki w stosunku do jej poprzedniej szkoły i zamiast drugiego śniadania z domu, dostaną w stołówce lunch. To ją mocno niepokoiło. Niektóre potrawy są wręcz niebezpieczne, na samą myśl o kaszce mannie czuła się ciężko chora.

Podeszły razem do drzwi frontowych. Lucy, mimo że sama kończyła prywatną szkołę, miała wrażenie, że tu nie pasuje. Przyjaciółka wyczuła to i próbowała ją zagadywać.

– Mała zdzira – syknęła, kiedy obok przecisnęła się przesadnie wymalowana kobieta w obcisłych, czarnych skórzanych spodniach, ciągnąc za rękę zaróżowionego chłopczyka. – Druga żona. Stadnina koni.

Tuż przy nich zatrzymał się sportowy mercedes, z którego wysiadła uderzająco piękna kobieta.

– Automaty do gier – szepnęła Marta. Lucy parsknęła.

– Popatrz – powiedziała – jest samochód gorszy od mojego. Z alei wyłonił się przedpotopowy escort.

– Opiekunka – wyjaśniła jej Marta. – Przykro mi, Lucy, będziesz musiała kupić sobie porządną drogą terenówkę, co najmniej discovery.

Lucy roześmiała się.

– I co ja bym robiła z takim autem? Nie jeżdżę po wertepach, co najwyżej zahaczę o chodnik przed sklepem.

– Mogłabyś przejechać nim Roba – zauważyła Marta.

– Co prawda, to prawda – zgodziła się Lucy.

Sophie była wprawdzie o rok wyżej niż Olivia, ale odprowadziła ją do klasy i pocałowała na do widzenia. Lucy uśmiechnęła się do nauczycielki.

– To jest Olivia Atkinson.

Mała była purpurowa z zażenowania i strachu.

– Olivio, miło cię tu widzieć. Wszyscy bardzo się cieszymy, że będziesz z nami. Prawda dzieci? – Nauczycielka rozejrzała się po klasie liczącej piętnaścioro

uczniów. – Freddie, pokaż Olivii, gdzie ma powiesić płaszcz i położyć pudełka z gramami. A teraz dodała, odwracając się do Lucy – kiedy mama się pożegna, pokażemy nowej koleżance, w jaki sposób witamy się co rano.

Olivia przybiegła z tyłu klasy i wcisnęła twarz w nogi Lucy, która delikatnie ją odsunęła i podniosła do góry.

– Będziesz się świetnie bawić – szepnęła jej do ucha. – Wyjdę teraz szybko i ani się obejrzysz, będę już po was z powrotem.

Postawiła córkę na podłodze. Freddie podszedł i wziął Olivię za rękę.

– Chodź, siadaj z nami – powiedział zachęcająco.

Lucy wymknęła się za drzwi. Marta czekała na nią na korytarzu. Uśmiechnęła się, widząc jej łzy.

– Doskonale sobie poradzi. Biorę cię na kawę. Mam nadzieję, że się nigdzie nie śpieszysz? – Lucy potrząsnęła tępo głową. – To dobrze. Jeśli nie poskarżę się komuś, jakim cholernym draniem jest Sebastian, wykrzyczę to jemu przez telefon. Co będzie nie tylko nierozważne, ale rujnujące finansowo. Więc wolę to powiedzieć tobie. Och – dodała – mam ci coś jeszcze do opowiedzenia.

Spotkałam kogoś, kto mówi, że cię zna.

Rozdział 22

Nazywa się... – zaczęła Marta, ogrzewając sobie ręce parującą* cym kubkiem kawy w swojej nieskazitelnej już kuchni, błyszczącej równym szeregiem miedzianych garnków – cholera, jak on się nazywa? Sebastian poznał go na jakimś służbowym bankiecie i wszyscy razem spotkaliśmy się później na lunchu. Jest boski, naprawdę super, do tego ma nieprzyzwoicie piękną żonę. Bardzo elegancka i wiotka jak trzcina, pomimo trójki dzieci, niech ją szlag. Mieszkali w Notting Hill, ale teraz chcą się przeprowadzić tutaj, mają zamiar kupić plebanię.

Serce Lucy waliło jak młotem. To na pewno tylko zbieg okoliczności, to nie mógł być Max. Zaraz usłyszy nazwisko jakiegoś dalekiego znajomego, może jeszcze ze szkoły. Dom jej rodziców jest tylko dwadzieścia kilometrów stąd, wokół mieszka mnóstwo ludzi, z którymi dorastała, a spośród tych, którzy wyjechali do Londynu, też z pewnością niejeden zdecydował się wrócić i osiedlić wraz z rodziną z dala od spalin i pokus wielkiego miasta. Ale z drugiej strony... wtedy przed sklepem mignął jej ktoś taki podobny...

– Już wiem! – wykrzyknęła Marta z triumfem. – Max. Otóż właśnie. Max i Caterina Yorke. Jego ojciec był ministrem w rządzie torysów, pamiętasz? Obecnie sir George, o ile się nie mylę.

– Nie mylisz się – powiedziała automatycznie Lucy.

Marta rzuciła jej przenikliwe spojrzenie.

– W każdym razie chcą kupić plebanię. Podobno zaoferowali prawie milion, jak donoszą moi szpiedzy. Musimy się tam wprosić, strasznie chciałabym obejrzeć to cudo od środka. Jesteś dziwnie milcząca. Co się stało?

Lucy odgoniła Toffee'ego, który próbował rozpruć jej spódnicę, ciągnąc za nitkę wiszącą u dołu. Starła się odpowiednio ubrać na pierwszy dzień w szkole dziewczynek i cały zeszły wieczór głowiła się, co na siebie włożyć. Czy postawić na zupełny luz, dżinsy, koszulę i okulary na czubku głowy, czy raczej na formalny kostium, rajstopy i szminkę? W końcu zdecydowała się na coś pośredniego, wybierając krótką, malinową wełnianą spódnicę, która ją wyszczuplała, czarne rajstopy i czarny sweterek polo. Nieobowiązuje, ale szykownie – uznała, pociągając lekko usta różową szminką. Podmalowała jeszcze rzęsy, ale nie powieki. Pomijając spódnicę, wyglądała jak Emma Peel z *Mścicielami*, pomyślała z satysfakcją. Paf, paf! Będzie mogła zastrzelić każdego, kto wybuchnie śmiechem na widok jej samochodu.

– Znam go – powiedziała wolno. Pociągnęła długi łyk kawy.

Ależ mocna, jakby piła adrenalinę w czystej postaci. – Znam go bardzo dobrze. A raczej znałam. To mój były chłopak. Jest...

Widziałam go wtedy, pamiętasz? Przy mojej pierwszej wizycie mówiłam ci, że zobaczyłam kogoś, kto wydał mi się znajomy. To musiał być on.

Uśmiechnęły się do siebie radośnie, jak pensjonarki.

– Naprawdę? – Twarz Marty płonęła podnieceniem. – No, no... Ty szczęściaro. On jest zabójczy. Piękny aż do bólu. Te włosy, ten szyk i to ciało jak marzenie. Kiedy mnie pocałował na powitanie, przysięgam, że miałam ochotę przewrócić się na plecy i pomachać nogami w powietrzu. Musiałam się bardzo pilnować, żeby przez cały lunch nie gapić się na niego jak sroka w gnat. Ale jego żona jest strasznie zaborcza, bez przerwy go dotyka, ciągle mówi „kochanie to, kochanie tamto” i rzuca mordercze spojrzenia, jeśli on rozmawia z inną dłużej niż pięć minut. Niech mnie wszyscy diabli... – Marta odchyliła się w krzesło i spojrzała przeciągle na Lucy, której twarz powlokła się purpurą. – To się może okazać zabawne.

– Proszę cię, nie zaczynaj... – jęknęła Lucy, składając głowę na rękach. – Mam w tej chwili dość kłopotów z Robem, jeszcze mi tylko Maksa brakuje. Dla ciebie to może być dobra zabawa – podniosła zrezygnowany wzrok na twarz Marty – ale dla mnie to będzie piekło.

– Nie udawaj – powiedziała z widoczną uciechą Marta – jesteś podekscytowana.

Jadąc do domu, Lucy zmusiła się, żeby odwrócić wzrok od kolejki u rzeźnika i w ostatniej chwili ominęła łukiem młodą matkę z wózkiem na przejściu. Pomachała przepaszająco przez okno. Każdy mijający ją samochód powodował szybsze bicie serca – czy to on? Wiedziała, że nie powinna, ale nie mogła się powstrzymać – bardzo wolno podjechała na plebanię. Zatrzymała się przy starej bramie między kamiennymi słupami. Wokół było pusto. Z wahaniem wysiadła. Posiadłość wystawiły na sprzedaż władze diecezjalne Kościoła anglikańskiego, uznawszy, że jest zbyt cennym zabytkiem, aby służyć po prostu za mieszkanie dla nowego młodego pastora z rodziną. O wiele rozsądniej było znaleźć mu nowy dom na jednym z osiedli, gdzie młodej żonie z dwójką dzieci łatwiej będzie prowadzić gospodarstwo niż w tym starym zapuszczonym domostwie, w którym hula wiatr. Rzeczywiście, z bliska widać było, że frontowe kolumny się sypią, a ogród porastają dzikie róże i wysokie osty. Ale dom był piękny, urzekający patyną

wieków, spowity tą jedyną w swoim rodzaju aurą tajemniczości i spokoju, jaką żaden nowy dom, choćby okazały i gęsto obrośnięty bluszczem, nigdy nie zdoła się poszczycić.

Lucy wciągnęła w nozdrza zapach świeżo skoszonej trawy; zza plebanii dobiegał dźwięk kosiarki. Pewno agencja nieruchomości wynajęła ogrodnika, żeby posiadłość lepiej się prezentowała – była wystawiona na sprzedaż już od pół roku, lecz wszyscy potencjalni klienci zniechęcali się skalą robót remontowych, koniecznością osuszania murów, zakładania nowej instalacji elektrycznej i bojlera. Podeszła bliżej, omijając pokrzywy i wysokie chwasty, które przebiły się przez biały żwir podjazdu. Dom był naprawdę wspaniały – pełnym podziwu spojrzeniem ogarnęła fasadę i okazałe drzwi wejściowe z ogromną żelazną kołatką i dwoma wysokimi oknami po bokach, a trzecim powyżej; później przeniosła wzrok na dach, gdzie rozpościerały skrzydła dwa kamienne orły.

Była tak zamyślona, że nie usłyszała zbliżających się kroków, ocknęła się dopiero na słowa:

– Mogę w czymś pani pomóc?

Odwróciła się, stając twarzą w twarz z wąsatym starszym panem trzymającym w ręku elektryczną kosiarkę do trawy.

– Zajrzałam tu tylko przez wścibstwo – uśmiechnęła się. – Mieszkam w tej wiosce.

– Piękny stary dom, prawda? – powiedział, idąc za jej wzrokiem w górę fasady. – Podobno już sprzedany. Poprosili mnie, żebym choć trochę doprowadził ogród do porządku, diabelska robota, mówię pani. – Potarł ręką kark.

– A więc znalazł się kupiec? – Chciała się upewnić.

– Tak mi powiedziano – przytaknął i odszedł, nadal delikatnie masując kark.

Lucy spostrzegła, że trzęsą się jej ręce. Wiedziała, że powinna już iść, ale nie mogła się powstrzymać, żeby nie zajrzeć do środka. Osłaniając oczy, starała się zobaczyć przez zakurzoną szybę.

– O kurczę – mruknęła.

Na parterze był wielki, prawdziwie staroświecki salon, z wysokim, półokrągłym sklepieniem i kandelabrem na środku. Na przeciwległej ścianie pysznił się ogromny, czarno-biały marmurowy kominek. Drewniana podłoga, pokryta kurzem, wymagała tylko drobnej renowacji. Lucy westchnęła. Ile by dała za taki dom! Usłyszała, że ogrodnik znów zabrał się do pracy. Niechętnie oderwała się od okna.

W domu zatrzymała samochód na asfaltowym podjeździe. Kiedy wysiadła, ktoś ją zawołał. Odwróciła się i zobaczyła. Iackie, zmierzającą ku niej z jakąś ulotką w

ręce.

– Chodzi o wieczór zagadek – powiedziała. – To nie całkiem w naszym stylu, ale może być wesoło. Jak myślisz, czy Rob dałby się namówić? Ma się odbyć w sobotę w Palmer's Alms. Moglibyśmy stworzyć drużynę – uśmiechnęła się zachęcająco.

– Spytam go – obiecała Lucy. – Ale jest teraz bardzo zajęty.

Jackie podeszła za nią do drzwi.

– Przepraszam cię, mam mnóstwo roboty w domu – zrobiła przejrzystą aluzję Lucy.

– Jasne. To na razie.

W kuchni odłożyła torebkę i rozejrzała się wokół. Białe laminowane szafki domagały się porządnego mycia. Metalowy zlew był poplamiony mlekiem, w środku nadal leżały miski z niedojedzonymi płatkami, część z nich wyciekła i zatkała odpływ. Na żółtawym, sosnowym barze śniadaniowym stały trzy talerze z resztkami grzanek, cały blat zasypany był okruszkami. Gazeta Roba leżała przy ścianie, obok kubka z resztką kawy z mlekiem. Trzeba wyszorować ciemny krążek, zmywarka go nie domyje.

Na automatycznej sekretarce nie było żadnych wiadomości. Pod drzwiami leżała wrzucona przez listonosza poczta. Rachunek za elektryczność, który płacili przez bank, ulotka zachęcająca do założenia nowej karty kredytowej, jaskrawy folder oferujący zdumiewającą obniżkę przy zakupie podwójnych okien i katalog wysyłkowy.

Odwróciła się tyłem do tej sterty śmieci i podeszła do lustra. Twarz, która na nią patrzyła, była nadal ładna. Jak na jej wiek. Ale było w niej zmęczenie i nieuchronne ślady upływu czasu. Kiedy zasłaniała dłońmi worki pod oczami, wyglądała tak samo jak dawniej, tak samo jak swój wizerunek, który nosiła w głowie. Jednak po odjęciu palców pojawiały się dwie głębokie, ciemne bruzdy. Jakie to okropne, żyć ze świadomością, że najlepsze lata ma już za sobą. Że nigdy więcej nie będzie ściągać spojrzeń mężczyzn, prowokować gwizdów, budzić zazdrości innych kobiet. Oparła się dłońmi o chłodną, gładką powierzchnię lustra. Nie może poddać się tak łatwo. Nie może zrezygnować z chęci, żeby być kochaną, żeby być pożądaną, cenioną, przyszłość w jasnych barwach. Czas przestać się nieubłaganie staczać po równi pochyłej.

Popatrzyła na siebie badawczo. Co by Max pomyślał, gdyby ją teraz spotkał? Byłaby dla niego tą samą Lucy czy uznałby, że nie jest już pociągająca, że stała się kobietą w średnim wieku, której nie warto poświęcać uwagi? Uśmiechnęła się do

siebie. I po raz pierwszy od wieków jakaś cząstka dawnej Lucy odpowiedziała jej z lustra uśmiechem.

Rozdział 23

Któregoś sobotniego ranka, miesiąc później, Lucy siedziała przy drewnianym stole w ich maleńkim ogródku, pijąc z dawna wytęsknioną filiżankę kawy. Nie zmrużyła oka przez całą noc, gdyż Olivia zachorowała na niestrawność i co chwilę wymiotowała. Weszła do ich sypialni z płaczem, ściskając za łapę wymiętoszonego lisa.

– Mamo – powiedziała – źle się czu... – i zanim skończyła, wyrzuciła z siebie z siłą wybuchu całą zawartość żołądka, jak w *Egzorcystcie*.

Rob jęknął głośno i przykrył głowę poduszką.

– Zrób coś z tym – powiedział zduszonym głosem. – Na widok wymiotów zawsze sam jadę do Rygi.

– Bardzo wygodna wymówka.

Lucy zwlokła się z łóżka i biorąc Olivię za rękę, zaprowadziła ją do łazienki.

– Usiądź tu – zarządziła. – I nie ruszaj się. Jak poczujesz mdłości, to zwymiotuj do klozetu. Inaczej mama będzie naprawdę zła.

Zdjęła jej poplamioną piżamę, której nie mogła nawet wrzucić do kosza z brudną bielizną, żeby wszystko nie przeszło zapachem wymiocin. Sprawdziła pościel w pokoju Olivii; dzięki Bogu, była czysta. Zeszła na dół i z na wpół zamkniętymi oczami wepchnęła piżamę do pralki. Może tam sobie pośmierdzieć do rana.

Olivia znów zaczęła lamentować.

– Szybko! Szybko! Znów mi niedobrze!

Lucy po dwa stopnie naraz wbiegła na górę. Tymczasem z pokoju wyszła rozszpana Laura.

– Co się dzieje?

– Olivia wymiotuje.

– Głowa mnie swędzi – oznajmiła Laura.

Cudownie, pomyślała Lucy, płacimy za szkołę grube tysiące, a ona ma wszy. Czy wszy nie zdają sobie sprawy z podziałów społecznych?

– Jutro rano sprawdzę ci włosy – obiecała.

Minęła godzina, zanim roztrzęsiona, ślaniająca się Olivia dała się zapakować do łóżka, a potem jeszcze dwa razy ją budziła. Za pierwszym razem zdążyła pobiec do łazienki, za drugim pobrudziła całą pościel. Kiedy Lucy zdejmowała prześcieradło i poszewki, za oknem już dniało. Ostatni raz była na nogach o tej porze, kiedy

karmiła piersią. Zrezygnowała z powleknięcia czystej pościeli i pozwoliła Olivii położyć się obok siebie. Mała natychmiast wtuliła się w nią i zasnęła. Lucy leżała, nie mogąc zasnąć ani się poruszyć – bała się, że może zepchnąć Oliwię na podłogę, a Rob jak zwykle rozwalił się, w poprzek łóżka, zajmując trzy czwarte miejsca. Leżała między nimi, czując się jak plasterek szynki w kanapce.

Wzięła gazetę i wyszła do ogrodu w poszukiwaniu chwili spokoju. W powietrzu wyczuwało się już chłód późnej jesieni i trawa była zasłana żółto-czerwonymi liśćmi. Właściwie powinna je zgrabić, ale po co, skoro zaraz spadną nowe? Poza tym miała w ten sposób przed domem kolorowy kobierzec. Nadal nie udało jej się skłonić Roba do prac ogródkowych. Uznał, że to jednoznaczne z posiadaniem volvo. Nudne. Mieszczkańskie. Burżuazyjne.

– Przecież chyba chciałbyś mieć ładny ogród? – pytała Lucy z desperacją.

– Podoba mi się taki, jaki jest – odpowiadał. – Wygląda naturalnie. Ciągłe krytykujesz ogródki sąsiadów, mówisz, że są jak spod sztancy, czemu nie doceniasz faktu, że nie dajemy się zmusić do przestrzegania bzdurnych zwyczajów, by biegać z grabiami, jakby to był jakiś rodzaj obowiązkowych prac domowych?

Trudno było polemizować z logiką jego wywodów, niemniej wzdychała do odrobiny porządku. Dopiero kiedy zaglądała przez płot do Jackie, czuła coś w rodzaju satysfakcji, że u nich panuje taki dziko rosnący żywioł. Jackie musiała chyba przycinać wszystko nożyczkami do paznokci. A może i spryskiwała rabatki antybakteryjnym sprayem.

Lucy kopnęła stosik liści w powietrze i usiadła na ławce przy stole, z ulgą pociągając łyk kawy. Otworzyła lokalną gazetę. Jeden z tytułów przyciągnął jej wzrok. „Plebania sprzedana synowi byłego ministra” – przeczytała. Pod spodem biegła krótka notka: „Po sześciu miesiącach znalazł się w końcu kupiec na plebanie, zabytek drugiej klasy, gregoriański budynek w Lower Winchborough. Max Yorke, lat 37, i jego żona, Caterina, lat 36, zamierzają już wkrótce się wprowadzić. Max, bankier z Londynu i syn znanego ministra torysowskiego rządu, sir George’a, i jego żony, lady Annabelle, z Casterton Hall, powiedział: „To piękny stary dom i z prawdziwą przyjemnością go odrestaurujemy. Nasze dzieci będą się z pewnością czuły w nim szczęśliwe”. Pod spodem zamieszczona była fotografia. Max stał przed nabytym domem, obejmując ramieniem Cat. Lucy przyjrzała się jej uważnie. Wyglądała równie młodo jak w dniu jej ślubu. I równie szczupło. Na drugim ręku Max trzymał rozkoszną ciemnowłosą dziewczynkę, w wieku około trzech lat, uśmiechającą się do obiektywu. Lucy wbiła w nią wzrok, szukając

śladów podobieństwa do Maksa. Jednak mała bardziej przypominała Cat. Przed nimi stała dwójka starszych dzieci, chłopiec i dziewczynka. Elegancko ubrani i pewni siebie. Wykapany ojciec, pomyślała Lucy, patrząc na chłopca, tylko włosy ma ciemne po matce. Bezwiednie przesunęła palcami po twarzy Maksa. Nic się nie zmienił, może nieco utył i miał podkrążone oczy, ale to był Max. Zamknęła oczy – usłyszała jego głos, zobaczyła, jak marszczy nos, kiedy się śmieje, wyobraziła go sobie ze sobą w łóżku. Wstrząsnął nią dreszcz. Dobry Boże! To pewno kryzys wieku średniego. Za chwilę będzie mieć zimne poty i zacznie podkraść drobne przedmioty w sklepach.

– Mamo! – krzyknęła Laura. – Chodź! Nie mogę wyjąć spinki z włosów Barbie! – Stała w drzwiach salonu z lalką w ręku.

– Nie teraz! – warknęła Lucy. – Choć przez pięć minut nie każ mi nic robić!

– Dobrze – nadęła się Laura. – Poproszę tatę.

Godzinę później Lucy wędrowała z wózkiem po supermarkecie, jak zwykle robiąc w sobotę rano większe sprawunki. Cudem ozdrowiała Olivia uparła się, żeby też jechać, w nadziei, że złapie ją na chwili słabości i namówi na kupno słodczy. Lucy, która wybiegła z domu, nie zadając sobie nawet trudu podmalowania oczu, marzyła tylko o tym, żeby jak najszybciej mieć za sobą ten koszmar i wziąć dziewczynki na lekcję konnej jazdy.

– Siadaj na wózku – rozkazała.

– Jestem już za duża. Chcę chodzić.

– Albo włączysz na wózek, albo będziesz czekać w samochodzie.

– Ktoś może mnie porwać – padł płaczliwy argument. – I dobrze.

Lucy podniosła małą i z niejaką trudnością wepchnęła jej nogi w otwory przeznaczone bardziej dla dwulatków niż pięciolatków. Przynajmniej na wózku nie będzie myszkować wśród półek i ścigać słodczy, nie mówiąc już o chowaniu pod zakupy takich rzeczy jak czekolada, chipsy i tysiące innych, które wyjdą na jaw dopiero przy kasie.

Rob zarządził kolejne zaciskanie pasa, jako że ostatni rachunek kredytowy z banku był o wiele wyższy niż zazwyczaj, więc nie mogła się nawet pocieszyć jakimś drogim kremem nawilżającym czy aromatycznym olejkiem do kąpieli. Buntowniczo dorzuciła do sprawunków opakowanie trzech par grubych czarnych rajstop – przy nadchodzących chłodach to była konieczność. Nie wiedziała, jak się mogła kiedykolwiek bez nich obejść.

Zaciskanie pasa oznaczało, że nie będzie szparagów, tylko zielona fasolka i sałata lodowa.

– Nudziarstwo – mruknęła do Olivii. – Mam nadzieję, że tatusiowi szybko przejdzie ta mania oszczędzania.

– Mogę kupić brzoskwinie? – spytała Olivia z przywilnym uśmiechem. – Proszę, mammo.

– Dobrze – ustąpiła Lucy. – Ale masz je zjadać do końca, nie tylko nadgryzać i odkładać z powrotem.

– Przysięgam.

Lucy odwróciła głowę od pysznego francuskiego pieczywa i roztropnie wzięła „trzy w cenie dwóch” bochenki białego testowego chleba. Trudno. Z drugiej strony, gdyby kupiła cudowny francuski wiejski chleb, pochłonęłaby go za jednym posiedzeniem, co odbiłoby się na jej biodrach – a dawno już przestała kusić Roba zaletami pełnoziarnistych wypieków.

– Tuńczyk – przypomniała sobie. – Muszę kupić tuńczyka.

Skierowała wózek do sektora z puszkami i wtedy go zobaczyła. Szedł wolno wzdłuż półki, z nosem wbitym w szeroki asortyment włoskiej oliwy z pierwszego tłoczenia. Jasnowłosy, przystojny, opalony – Max.

– Niech to jasna cholera i wszyscy diabli! – syknęła Lucy, zawracając gwałtownie i dając nura w sąsiednią alejkę.

– Co się stało, mamusiu? – przestraszyła się Olivia, której głowa wykonała gwałtowne pół obrotu.

– Ciii... – szepnęła Lucy, schylając się nad wózkiem i zaglądając ostrożnie za róg.

– Dlaczego tak się kulisz? – dopytywała się Olivia bardzo głośno.

– Zobaczyłam kogoś, z kim nie chcę się spotkać.

– Dlaczego?

– Cicho bądź!

Czemu wyszła nieumalowana? Czemu nie umyła włosów? Czemu miała na sobie stary sfilcowany sweter Roba z dziurą na brzuchu? Czemu włożyła spodnie za ciasne w udach i przykrótkie, stare mokasyny? I – o nie! – granatowe skarpetki do czarnych zamszowych butów! Z desperacją spulchniła palcami tłuste włosy i wytarła ewentualne pozostałości tuszu spod oczu, próbując się przejrzeć w metalowej rączce wózka.

– Co robisz, mamusiu? – dopytywała się Olivia.

– Nic. Tak tylko...

O Boże! Szedł prosto w jej kierunku. Wsadziła głowę do lodówki zawierającej wyroby mączne i sosy. Chyba nie pozna jej po wypiętym siedzeniu? Ciekawe, czy

z sosem Carbonara na twarzy można wyglądać interesująco? Olivia pociągnęła ją za sweter.

– Możemy kupić pizzę?

– Dobrze – syknęła w głąb lodówki.

Chyba już sobie poszedł, dzięki Bogu, pomyślała, prostując się i wykręcając wózek w przeciwną stronę. Rozległ się metaliczny brzęk i Olivia podskoczyła na pół metra w górę.

– Au! – wrzasnęła, rozcierając sobie pupę.

– Strasznie przepraszam... Dobry Boże, Lucy! – Max!

Pierwsze, co jej wpadło w oczy, to zawartość jego wózka. Najdroższa oliwa z oliwek, ponad sześć funtów za buteleczkę.

Norweski łosoś, świeża kolendra, wędzone piersi dzikiej kaczki, włoska ciabata, świeże figi i jakiś dziwny pokręcony owoc, którego nie знаła, o seksualnym kształcie. Powędrowała wzrokiem wyżej. Ciemnozielone spodnie sztruksowe, bawełniana, miękka koszula rozpięta przy szyi. Jego ręce, spoczywające na drążku wózka, były opalone, paznokcie czyste, równo przycięte. Rob, ku jej niesłabnącej irytacji, nadal obgryzał paznokcie, a nawet skórki.

Max patrzył na nią z uśmiechem. W kącikach oczu miał drobne zmarszczki i bruzdy biegnące od nosa do ust. Jego włosy były krótsze, modnie ostrzyżone, ale nadal gęste i lekko faliste. Gdyby go nie znała, pomyślałaby: co za atrakcyjny mężczyzna, i zastanawiałaby się, czy jest żonaty, czy ma dzieci, jakim samochodem jeździ, gdzie mieszka... Jak wyglądałoby jej życie z nim?

Olivia mierzyła go uważnym wzrokiem.

– Jestem Olivia – powiedziała.

– Jak się masz. – Potrząsnął jej małą łapką. – A ja jestem Max. Znam twoją mamę.

– Skąd?

– Sprzed wielu lat.

– Jeszcze przed moim urodzeniem? – To pojęcie było dla niej trudne do zrozumienia.

– Tak.

– A zna pan mojego tatę?

– Właściwie nie.

– Tata jest bardzo wysoki – wyjaśniła go Olivia. – I czasem krzyczy.

– Olivia! – skarciła ją Lucy.

– Ale to prawda. Chodźmy, mamusiu. Chcę wybrać pizzę.

– Poczekaj chwilę – powiedziała Lucy, kiedy Olivia próbowała ruszyć wózkiem w dalszą drogę, odpychając się od jej ud małymi, silnymi nogami. – Au! Przestań w tej chwili. I siedź spokojnie. Jak się masz? – zwróciła się do Maksa, nie mogąc się zmusić, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

– W porządku. – Dlaczego omija go wzrokiem? Przyjrzał się jej uważnie. Nie jest już taka olśniewająca jak dawniej, ale nadal niczego sobie. Wciąż przyciąga spojrzenia, ładna, zgrabna, z jasnymi włosami do ramion. Choć przedtem były bardziej błyszczące.

– Jak nowy dom? – spytała Lucy, rozpaczliwie szukając tematu.

– Kompletne pandemonium. Doprowadza to Cat do szału. Był w strasznym stanie. A co u ciebie? Gdzie mieszkasz?

– Na... na drugim końcu wioski. – Nie była w stanie wykrztusić słowa „osiedle”. – W nowym domu. Niezbyt go lubię, ale Rob się uparł. – I zdając sobie sprawę, jak to zabrzmiało, dodała szybko: – W gruncie rzeczy nie jest tak źle.

Dobry Boże, co ona wygaduje? Plecie trzy po trzy jak jakaś idiotka. Max pomyśli, że nie tylko zestarzała się i zbrzydła, ale jeszcze zgłupiała. Pchnęła wózek w kierunku kas.

– Muszę już... Dziewczynki mają po południu lekcję jazdy konnej i jesteśmy już trochę...

– Gdzie pobierają lekcje? – spytał Max szybko. – Cat nie może się doczekać, żeby zapisać nasze dzieci. To jedna z przyjemności mieszkania na wsi. Na plebanii mamy starą stajnię, więc może pójdziemy na całość. Ty też kiedyś jeździłaś konno, prawda?

– Tak. Ale już nie jeżdżę. Nie mam czasu.

– Jaka szkoda – powiedział Max gładko. – Cat marzy o tym, żeby znów zacząć i byłoby miło, gdyby miała kogoś do towarzystwa.

– Tak, szkoda – przyznała Lucy, znów ruszając wózkiem, ale Max ją zatrzymał.

– Gdzie twoje dzieci chodzą do szkoły? Lucy w duchu podziękowała Bogu.

– Do Radlett – powiedziała niedbale.

– Naprawdę? My swoje też tam posyłamy. Doskonale się składa, prawda? Musisz przyjść do nas z Robem na kolację. Jesteśmy jeszcze nieurządzeni, ale Cat na pewno chciałaby was bliżej poznać. Spotkałem parę, która was zna. Marta i Sebastian. Poznałem ich przez wspólnego znajomego z Londynu, co za zbieg okoliczności, że też mieszkają właśnie tutaj. Są dość zabawni. To wasi bliscy przyjaciele?

– Znam Martę całkiem dobrze – przyznała Lucy.

– To świetnie. Cat bardzo się spodobała. Zdaje mi się, że Marta namawiają, aby zapisały się razem do jakiegoś fitness klubu czy siłowni. Na pewno karta członkowska będzie kosztować majątek. – Roześmiał się.

– Naprawdę? – zdziwiła się Lucy. Po tym, co Marta mówiła o jego żonie... Hmm. Zdrajczyń. – Wybacz, ale muszę już iść.

– Daj mi twój numer – powiedział. – Zdzwonimy się i ustalimy dzień.

Lucy zaczęła grzebać w torebce.

– Nie szukaj, mam pod ręką wizytówkę. Napisz z tyłu.

Zobaczyła, że ma już wydrukowane wizytówki z nowym adresem i pocztą elektroniczną. Co za sprawność działania. Podał jej pięknego parkera. Napisała: *Lucy Atkinson*, dodając numer telefonu.

Popatrzył na to przez chwilę.

– Jakoś nie mogę się przyzwycząić, że to ty. – Podniósł na nią wzrok. – Tak dziwnie brzmi.

Serce jej podskoczyło i zdała sobie sprawę, że trzęsie się jej ręka oparta na drążku wózka.

– Ja też nie, czasami. Do widzenia. Życzę powodzenia z domem.

– Zadzwonimy. Do widzenia, Olivio. Olivia nie odpowiedziała, tylko królewskim gestem pomachała rączką.

– To był kiedyś twój chłopak? – głośno upewniła się Olivia na cały głos.

– Ciii... – mitygowała ją Lucy, zdretniała z przerażenia, że Max usłyszy. Ale jego już nie było w zasięgu wzroku. – Jesteś okropna – powiedziała, przytulając policzek do jej lśniącej, jasnej główki.

Olivia bezmyślnie wzięła pasmo jej włosów do buzi.

– Mogę kupić snickersy?

– Bierz – zgodziła się Lucy, zawracając w kierunku półek ze słodyczami. I nagle miała ochotę głośno się roześmiać. Trzymając się wózka, zrobiła kilka tanecznych kroków.

Rozdział 24

Halo... – powiedziała Lucy, patrząc w lustro nad telefonem. Trzymała w zębach kawałek grzanki. To na pewno jej matka, która chce się dowiedzieć, czy czegoś nie potrzebuje, bo wybiera się do delikatesów.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

– Czy to Lucy? – zapytał czysty, dźwięczny i władczy głos.

Lucy miała ochotę odpowiedzieć: nie, to sprzątaczką, ale się powstrzymała.

– Tak, to ja.

– Dzień dobry. Mówi Cat. Cat Yorke.

– Ach... Dzień dobry. – Lucy mimo woli wyprostowała się i przybrała ton, który Laura nazywała jej telefonicznym głosem, przedrzeźniając jej nagrane powitanie na automatycznej sekretarce. Rob często zastępował je własną wersją, mówiąc z przesadnie przeciągłym, północnym akcentem: „Witamy uniżenie, tu mieszkanie...”

– To cudownie, że cię zastałam. Max mówił, że przypadkiem widział ciebie i twoją uroczą córeczkę w supermarkecie. Nie potrafię wyrazić, jak się cieszę, że w tej małej wiosce mieszka ktoś, kogo znamy... to znaczy, kogo Max zna. Ty i twój mąż, Bob, o ile się nie mylę? Musicie przyjść do nas na kolację. Zdążyłam się już zaprzyjaźnić z Martą i oni też przychodzą. Sebastian jest taki czarujący! Ale z tej Marty szczęściara, nie sądzisz?

Czyżby? – pomyślała Lucy. To znaczy, że Marta się jej nie zwierzała.

– Rob, nie Bob – powiedziała. – Naturalnie, chętnie przyjdziemy – dodała swoim najbardziej nieskazitelnym akcentem, który nawet ją trochę mdlił. Wykrzywiła się do siebie do lustra.

– Widziałam cię z daleka w szkole, ale jestem tak strasznie zagoniona, że nawet nie miałam jak wpaść do was się przywitać. Ci okropni robotnicy i ten cały koszmaryny remont... Musicie nam wybaczyć bałagan, ale przyjdźcie koniecznie. W sobotę? Doskonale. Około ósmej? Wiecie gdzie, prawda?

– Tak – powiedziała Lucy. – Dziękuję za... – ale Cat już odłożyła słuchawkę, zostawiając ją w stanie konsternacji i poczucia niższości. Jak można sprawić przez telefon, żeby ktoś poczuł się gruby i niepewny siebie? Uświadomiła sobie nagle z całą jasnością, że jest fatalnie ubrana. Postanowiła natychmiast iść na górę, włożyć twarzowy sweterek, zrobić makijaż i pomalować paznokcie. Ile kilo można zrzucić w ciągu czterech dni? Do soboty nie tknę nic oprócz kiełków i bananów, przysięgła

sobie. Pozostawał tylko jeden mały problem. Jak przekonać Roba, żeby zechciał pójść?

– To chyba jakiś głupi żart.

Rob stał na krześle z rękami nad głową, starając się naprawić karnisz w pokoju Laury. Kiedy go zakładał, stwierdził, że śruby są za krótkie, na co Lucy wytknęła mu, że to jego wina, bo uparł się kupić tani drążek w lokalnym sklepie, podczas gdy ona obstawała przy solidnym, drewnianym, z ozdobnymi końcówkami od Johna Lewisa, mimo że kosztował trzy razy tyle. Rob był już gotowy ustąpić, dopóki się nie okazało, że trzeba zapłacić oddzielnie za każde kółeczko.

– To tylko drążek – powiedział. – I tak nikt nie zwraca na to uwagi.

– Ja zwracam – zaprotestowała. – I moja mama też. To coś mówi.

Rob jęknął i podniósł oczy do nieba.

– A więc ten drążek będzie mówił: „tani, ale funkcjonalny”.

OK?

I teraz, jak było do przewidzenia, drążek się oberwał razem z ciężkimi, podwójnymi zasłonami, które Caroline uszyła im u znajomej szwaczki. Swoje znaczenie miało też to, że Laura się na nich huśtała.

Czując, że drętwieją mu ramiona, Rob spojrzał na nią z góry wściekłym wzrokiem. Lucy nie mówiła mu nic aż do piątku, wiedząc, że i tak mają wolny weekend. Zamówiła już nawet opiekunkę do dzieci na sobotę.

– Dlaczego, do ciężkiej cholery – powiedział – sądzisz, że mam ochotę dobrowolnie spędzić wieczór w towarzystwie tego dupka i jego wypindrzonej żony?

– Ciii... – mitygowała go Lucy. – Laura.

– Mam to gdzieś. Nie idziemy.

– Marta i Sebastian też tam będą. Przecież lubisz Martę – zauważyła chytrze.

O dziwo, to była prawda. Rob poczuł nadspodziewaną sympatię do Marty, która z kolei uznała go za bardzo atrakcyjnego mężczyznę, o wiele atrakcyjniejszego, niż by to wynikało z opowieści Lucy. Natychmiast zaczęli flirtować, Rob przedrzeźniał jej sposób mówienia, a ona po kobiecemu reagowała na jego męski urok. Nie przeszkadzał jej jego akcent ani kąśliwe uwagi, bo to czyniło z niego osobowość, a Marta kolekcjonowała osobowości, żeby uatrakcyjnić swoje przyjęcia. Lucy ich zażyłość nieco przeszkadzała, gdyż nie pozwalała Marcie w pełni zrozumieć, jaki podły jest Rob. Ona przynajmniej mogła z pełnym przekonaniem potakiwać, kiedy przyjaciółka narzekała, jakim egoistycznym draniem jest Sebastian, ponieważ rzeczywiście taki był. Natomiast Marcie jej mąż do tego stopnia się podobał, że

Lucy bała się zostawiać ich samych – nie z powodu Roba, do którego miała pod tym względem zaufanie, lecz z obawy przed poczynaniami rozochoconej alkoholem Marty. Jednakże wszelkie próby zaprzyjaźnienia go z Sebastianem sromotnie zawiodły. Już przy pierwszej ich wizycie Rob był gotów nawet zmywać w kuchni talerze, byle uniknąć jego protekcyjnych uwag. Istniało niebezpieczeństwo, że zostawiony z nim sam na sam, da mu w zęby. Wszystko zaczęło się toczyć w złym kierunku, już kiedy Sebastian go spytał, gdzie chodził do szkoły.

– Proszę cię – powiedziała Lucy.

– Porozmawiamy o tym później.

Wobec tego później, wieczorem po kolacji, spytała spokojnie:

– Dlaczego nie chcesz iść?

– Bo go nie lubię. Posłuchaj, Lucy, to nie są ludzie z naszego kręgu, więc po co utrzymywać z nimi kontakty?

Spojrzała na niego zdumiona.

– Co przez to rozumiesz?

– Całe to cholerne londyńskie towarzystwo. „No cóż, kupiliśmy ten dom, a właściwie tę plebanię, głównie dla dzieci. To cudownie, że będą mogły chować się na świeżym powietrzu... „ i tak dalej, w tym fascynującym stylu.

– Doprawdy bardzo miło z twojej strony, że postanowiłaś zdecydować, z kim się mam przyjaźnić – powiedziała lodowato, przyznając w skrytości ducha, że zapewne konwersacja będzie się toczyć właśnie tak. – Marta też przychodzi – dodała.

Rob wyszczerzył zęby.

– Nie kuś mnie Martą. Jeśli ona będzie, to będzie i Sebastian. A to taki fiut, że już wolę spędzić wieczór z torysowskim członkiem parlamentu.

– Nie bądź śmieszny – powiedziała Lucy stanowczo. – Proszę cię – dodała przymilnie. – Chodźmy. Będzie miło.

– Pójdę – zgodził się Rob, odkładając widelec z nawiniętym makaronem – pod warunkiem że nikt nie wspomni o zarobkach, prywatnej szkole, giełdzie i cenie nieruchomości pod Londynem. Ani o koniach. Odmawiam rozmowy na te tematy.

– A na temat polityki? – spytała niewinnie.

– Z rozkoszą przeprowadzę poważną dyskusję na tematy polityczne z Maksem i Sebastianem – oświadczył Rob. – Z prawdziwą rozkoszą.

Lucy skurczyła się w środku.

– Po prostu chodźmy – powiedziała, uśmiechając się zwycięsko. – Zobaczysz,

będzie fajnie.

Już w samochodzie pokłócili się o wino.

– Dlaczego, do cholery, musiałaś kupić gevey chambertin? spytał Rob. – I Montrachet? To musiało kosztować majątek. Czemu nie możemy pić chardonnay, jak zawsze?

Lucy stłumiła irytację. Wiedziała, że Rob dąży do zwarcia, odkąd włożył najbardziej zniszczone, świecące się spodnie i koszulę, której nie lubiła, ignorując nową, w granatowo-białe paski, którą mu przygotowała na łóżku. Mieli także krótką sprzeczkę o dzinsy.

– Czy to takie ważne? – spytała. – Dlaczego nie możemy raz kupić przyzwoitego wina?

– „Przynieśliśmy wam mały drobiazg” – zaczął ją przedrzeźniać. – „Montrachet. Pijemy to co wieczór do kolacji!”

– Nie bądź żaloszny.

– A ty nie bądź taka pretensjonalna.

Kiedy wjechali na gładko ubity kolisty podjazd, powitały ich szeroko otwarte, mimo chłodu, frontowe drzwi, rzucające plamę światła. Lucy przeklinała w duchu, że nie mają lepszego samochodu. Discovery Marty stał obok rangę rovera Maksa, a nieco dalej mercedes Cat z imienną tablicą rejestracyjną. Podjechała fiestą w najdalszy możliwy zakątek, ale Max już zmierzał w ich kierunku.

Wysiadła jak najszybciej, żeby nie zauważył, że boczna kieszeń jest wypchana papierkami po słodyczach i kartonami po sokach. Max podszedł i wziął ją za rękę.

– Lucy, jak cudownie cię widzieć!

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Poczowała muśnięcie jego włosów na skórze i bezwiednie podniosła rękę, żeby go dotknąć. Pachniał drogim płynem po goleniu, koszulę w drobne paski wymiał krochmaloną i nieskazitelnie czystą. Poglądziła go lekko, chłodnymi palcami. Rob zatrzasnął głośno drzwiczki. Obszedł samochód i objął zaborczo Lucy w pasie.

– Rob – powitał go Max, wyciągając rękę.

– Cześć – powiedział Rob. Nie zrobił żadnego gestu, żeby uściśnąć wyciągniętą dłoń, wprawiając Maksa w konsternację. Lucy wyczuła, jak uśmiecha się do siebie w ciemności.

Max odwrócił się i poprowadził ich do środka.

– Cat! – zawołał w progu. – Rob i Lucy przyjechali. – Zamknął za nim stare odrzwia, które zatrzasnęły się z przyjemnym dla uszu, głuchym odgłosem.

Stali, rozglądając się po hallu z podłogą z czarno-białych kafli. Rob omiół wzrokiem szerokie dębowe schody prowadzące na galerię na piętrze, ciężki kandelabr u sufitu, obrazy olejne stojące pod ścianami w miejscach, gdzie Cat chciała je powiesić. Jedyнным świadectwem nieukończonych robót budowlanych były wiadra i drabiny, porządnie uprzątnięte do rogu. Po chwili z drzwi na drugim końcu wyłoniła się Cat.

– Jak to miło, że przyjechaliście! – powiedziała, podchodząc i całując ich oboje z uśmiechem w policzek. – Musicie mi wybaczyć, jestem właśnie w krytycznym momencie ubijania sosu holenderskiego. Wiesz, jak się potrafi zwarzyć... – zwróciła się do Lucy. – Dzięki Bogu, że mam Fajitę.

– To nasza gospodyni – wyjaśnił Max. – Gruba jak beka, ale w kuchni czyni cuda. Martwiliśmy się, że nie zechce się wyprowadzić z Londynu, na szczęście udało się ją przekupić podwyżką. – Uśmiechnął się do Roba. – To zawsze działa.

– Doprawdy? – powiedział Rob.

– Dajcie mi wasze płaszcze. Max, kochanie, rusz się, jesteś gospodarzem.

Lucy starała się zrzucić zgrabnie płaszczy, ale ramię utkwilo jej w rękawie. Miała rozprutą podszewkę pod pachą i często wtykała rękę parę razy w powstałą dziurę, zanim udało jej się trafić we właściwy otwór.

– Pomogę ci – zaofiarował się Max. Po krótkiej szamotaninie szczęśliwie ją wy dostał. – Nie chciał cię puścić – zażartował.

– Jaki piękny płaszczy – powiedziała Cat. – MaxMara?

– Principles – mruknęła Lucy.

– Proszę – wtrącił Rob, podając swoją kurtkę.

Lucy westchnęła. Dlaczego musiał włożyć tę okropną wiatrówkę? Miał elegancki płaszczy dobrej marki, który kupiła mu na Boże Narodzenie. Ale nie chciał go nosić po prostu dla zasady. Zaraz po ślubie przejrzała całą jego garderobę, wyrzucając wszystko, co było tandetne, zmechaczone albo z poliestru. Próbowała narzucić mu styl klasyczny, kupując wszystkie jego ubrania, lecz czasem coś się prześliznęło przez sito, jak ta paskudna kurtka.

Max zaprowadził ich do obszernego salonu. W ogromnym kominku płonął ogień. Marta na w pół leżała na skórzanej bordowej kanapie i popijała szampana; długie szczupłe nogi w przejrzystych czarnych rajstopach wyciągnęła przed siebie, ałtasowe szpilki zsunęła z pięt.

Sebastian stał tyłem do nich, patrząc w ogień. Lucy natychmiast się zorientowała, że musieli się pokłócić. W powietrzu wiało chłodem. Marta wsunęła buty i wstała. Sebastian się nie obejrzał.

– Lucy, kochanie. – Marta uściskała ją i zajrzała jej pytająco w oczy. Lucy grymasem dała jej znak, że Rob jest w złym humorze. – Cześć, Rob. – Ucałowała go wylewnie.

Rob się rozjaśnił.

– Marto, kochanie, ile już w sobie tego wlałaś?

– Tylko dwie lampki. Nie bądź nieznośny.

– Muszę cię szybko dogonić – powiedział Rob i, biorąc kieliszek oferowany przez Maksa, wypił jednym haustem.

Lucy patrzyła na to ze zgrozą. Czy ma zamiar przez cały wieczór być taki?

– Witaj, Sebastianie – powiedziała, zmuszając go, żeby się odwrócił.

– Lucy, Rob. Jak się macie? – W jego głębokim, metalicznym głosie nie było śladu zainteresowania.

Rob zmierzył go niechętnym wzrokiem.

– Na pewno serce im rośnie na widok twojej radosnej miny wtrąciła Marta.

Sebastian posłał jej wściekłe spojrzenie. Max popatrzył na Lucy i oboje wymienili szybki, porozumiewawczy uśmiech.

– Jaki piękny obraz! – skłamała Lucy, podchodząc do kominka, żeby obejrzeć wiszący nad nim abstrakcyjny bohomas.

– Prawda? – ucieszył się Max. – To młody malarz, kupiłem kilka jego prac do swojej kolekcji. Inwestowanie w dzieła sztuki jest bardzo opłacalne, nie sądzisz, Rob?

– Bez wątplenia. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Właśnie niedawno mówiłem Lucy...

– A jak idą prace remontowe? – przerwała szybko Lucy.

– Beznadziejnie. Strasznie ciężko dziś o dobrych robotników.

– No właśnie – przytaknął Rob. – Całkowicie się zgadzam. Są nieudolni i nieodpowiedzialni. Tak to już jest z klasą robotniczą. – Wyszczерzył zęby do Maksa i wypił duszkiem drugi kieliszek szampana.

Przez drzwi zajrzała mała buzia. Max uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Cosima, chodź, przywitaj się z gośćmi.

Do salonu weszła śliczna, kilkuletnia, ciemnowłosa dziewczynka w długiej białej koszuli nocnej, a tuż za nią wśliznęła się jej młodsza siostra, którą Max trzymał na rękach na fotografii.

– Jessica. Gdzie jest Bruno?

– Tutaj – powiedziała Cosima.

Do pokoju wkroczyła młodsza wersja Maksa w wojskowych, workowatych

spodniach i wielkim T-shircie, a za nim strapiona, ale ładna au pair.

– Bardzo przepraszam – powiedziała z silnym niemieckim akcentem – ale uparli się, żeby zejść na dół.

– Nic nie szkodzi. – Max podniósł Jessicę i pocałował ją w policzek. – Dzieci, powiedzcie „dobranoc” i do łóżek. Ty też, Bruno. Dość już siedzenia przed PlayStation.

– Dobranoc – powiedziały dzieci chórem, jak w modelowej rodzinie z telewizyjnego serialu; dziewczynki spoglądały na gości nieśmiało, chłopiec wojowniczo.

Max zmierzwił mu pieszczotliwie włosy i objął go po męsku ramieniem.

– Zmykaj, kolego – powiedział.

– Przepraszam za to ich najście – powtórzyła au pair, patrząc na Maksa rozanielonym wzrokiem.

– Nic się nie stało, ale teraz już pilnuj, żeby nie wychodziły z dzieciennych pokoi, dobrze?

– Oczywiście, proszę pana.

Lucy zastanawiała się, czy dygnie. Nie dygnęła, lecz wychodząc, zakręciła kusząco biodrami, a Max odprowadził ją wzrokiem.

Stół był nie tylko nakryty srebrnymi sztuccami, ale stał na nim świecznik i dwie starannie ułożone aranżacje ze świeżych kwiatów, które skutecznie zasłaniały Lucy współbiedniaków. Cat posadziła Roba obok Marty, co go nieco rozchmurzyło. Oboje byli na najlepszej drodze do upicia się. Lucy siedziała między Maksem i Sebastianem, którzy zaczęli natychmiast rozmawiać jej przed nosem o aktualnych notowaniach giełdowych i trafnościach swoich inwestycji. Lucy omijała wzrokiem Roba, którego na szczęście zabawiała Marta, ale o wiele za często kładła mu przy tym rękę na ramieniu. Potem zaczęła się rozmowa o winach i Max opowiedział wszystkim długą historię o cudownej piwnicy win, którą ma odziedziczyć Cat, i o niezwykłych rocznikach, jakie jej rodzice dali im w prezencie ślubnym. Od win przeszli gładko do cen domów w Londynie w porównaniu z domami na wsi, po czym zaczęli się zastanawiać, czy nie powinni zacząć polować, i znów wrócili do win.

– A co sądzisz o Radlett? – zwróciła się niespodziewanie Cat do Lucy.

– Hmm...

Zanim jednak zdążyła wymyślić jakąś oryginalną uwagę, ubiegła ją Marta, chwalać z entuzjazmem szkołę i towarzystwo, co Lucy mocno zdumiało, jako że

przyjaciółka wyrażała się zwykle dość niepoehlebnie o wszystkich innych rodzicach. Potem obie panie przeszły do omawiania zalet szkół z internatem i zaczęły się zastanawiać, czy powinny wysłać tam dzieci. Rob podniósł brwi, patrząc na Lucy. Zignorowała go.

Ponieważ wcisnęła się w obcisłą, czarną aksamitną sukienkę, mogła tylko dziobać jak ptaszek zdumiewające potrawy, jakie Cat podała. Zaczęli od wysmienitych małż z patelni, potem była sałatka z gołębimi piersiami na ciepło, a na główne danie cienkie wstążki makaronu z atramentowym sosem z kałamarnic posypane parmezanem. Wyglądało to jak obślizgłe glony posypane trocinami i widząc nieufne spojrzenie Roba, Lucy modliła się w duchu, żeby nie spytał, co to jest. Dzięki Bogu, przystąpił do jedzenia, ale był już tak wstawiony, że zjadłby własny krawat, gdyby go miał. W czasach, kiedy chadzali razem do restauracji, nie chciał próbować niczego, czego nie znał, a ona zabroniła mu zamawiać befsztyk „dobrze wysmażony”. Pamiętała jeden okropny moment w małej knajpce, tuż po przeprowadzce do Clitheroe. Rob zamówił jagnięcinę i bardzo wyniosły kelner, spytał go, jaka ma być. „Upieczona – powiedział Rob. – Nie surowa”. „Nie różowa” – zatuszowała to szybko Lucy. Zajęło jej też całe wieki, żeby wyperswadować mu zamawianie najtańszych win i nauczyć go trocheje dobierać.

Na deser podano doskonałą tartę cebulową, mus czekoladowy i sery. Cat prawie nic nie jadła i ciągle wstawiała od stołu, żeby dopilnować Fajitę, a Max odkorkowywał jedno wino za drugim. W pewnej chwili Lucy poczuła, że musi iść do łazienki. Kiedy wstała, zakręciło się jej w głowie. Całe szczęście, że postanowili wracać taksówką i odebrać samochód nazajutrz. W żaden sposób nie byłaby w stanie prowadzić.

– Gdzie jest...?

– Po drugiej stronie hallu – powiedziała Cat. – Albo skorzystaj z którejś na górze. Ale nie gwarantuję, jak będzie działać – roześmiała się. – Właśnie, Marto, nie znasz jakiegoś hydraulika?

Spojrzenie Lucy i Maksa się skrzyżowało. Cały wieczór nie spuszczał z niej oka, od przekąski z małży do nasączonego koniakiem musu czekoladowego. Ilekroć podniosła wzrok, widziała, że na nią patrzy. Za każdym razem, kiedy zabierała głos, zastanawiała się, jak to zabrzmie w jego uszach, każdy gest robiła z myślą o nim. Od niepamiętnych czasów nie była tak świadoma, że jest obiektem zainteresowania. Zapewne to skutek niezliczonych lampek szampana, ale czuła się dowcipna, ożywiona – i pożądana. Gdyby tylko Rob włączył się do zabawy i pokazał Maksowi, jaki potrafi być błyskotliwy i interesujący. Jednak osiągnął stan,

w którym nie miał już szans wnieść niczego choćby z grubsza zrozumiałego do dyskusji, zresztą i tak był gotów rozmawiać tylko z Martą. Lucy wstydziła się za niego.

Podeszła wolno do drzwi, koncentrując się na tym, żeby się nie chwiać, i chwyciła mocno za klamkę. W hallu wzięła kilka głębokich oddechów. Nie może już wypić ani kieliszka, bo jeszcze powie coś, czego będzie żałować, albo spadnie z krzesła. Przeszła przez hall, ale było tu tyle drzwi, że nie mogła znaleźć łazienki. Za jednymi z nich trafiła nawet na bibliotekę, w końcu poddała się i pomaszerowała w górę szerokich schodów. Na końcu galerii wisiało duże lustro – z przerażeniem zobaczyła, jaką ma rozpaloną twarz. Otworzyła pierwsze lepsze drzwi i znalazła się w dużej, jasnozielonej sypialni. Sądząc po jedwabnym szlafroku przerzuconym przez krzesło i męskich butach przy szafie, musiała należeć do Maksa i Cat. Na stoliku przy łóżku stał zwarty szereg fotografii. Wiedziała, że to nieprzyzwoite wścibstwo, ale nie mogła się powstrzymać. Podeszła i zaczęła je oglądać.

Och, jaki ideał wszystkiego, co można sobie wymarzyć! Absolutny ideał. Roześmiany Max przy sterze motorówki, z włosami romantycznie rozwianymi przez wiatr. Max z Cosimą na barana na pustej plaży, oboje w identycznych biało-granatowych koszulkach w paski. Max i Cat objęci, on w czarnej muszce, ona w jedwabnej, wydekoltoowanej sukni, patrzą sobie czule w oczy. Dwie dziewczynki w kostiumach kąpielowych i za dużych słomkowych kapeluszach, zasłaniają oczy przed słońcem. Max obejmuje ramieniem Cosimę, oboje trzymają narty, uśmiechnięci, opaleni, z goglami na czubku głowy. Jakie cudowne zdjęcia! Świadectwo szczęśliwego rodzinnego życia. Życia, które nie było jej życiem. Ku swemu przerażeniu, Lucy poczuła łzy pod powiekami. Otarła je szybko, odwróciła się i zobaczyła drzwi. Dzięki Bogu, prowadziły do sąsiadującej z sypialnią łazienki.

Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze na drzwiach. Dobry Boże, jak ona wygląda! Czerwona na twarzy, z rozmazanym tuszem, bez szminki... Przy umywalce leżała szczotka do włosów Cat i kosmetyczka pełna szminek Estee Lauder i Chanel. Lucy pociągnęła usta jedną z nich – o wiele czerwiejszą, niż zwykle używała – i skropiła się obficie drogimi perfumami. Prezentowała się już znacznie lepiej. Może się znowu pokazać ludziom na oczy. Napiła się trochę wody z kranu. Ani kropli więcej szampana.

Wyszła z łazienki i przeszła w ciemności przez pokój. Drzwi na galerię uchyliły się. O nie, tylko nie to! Zaraz złapie ją tu jedno z dzieci albo au pair, albo, co gorsza, Cat.

– Lucy?

Poznała głos Maksa, niezbyt trzeźwy i mocno ściszony. – Tak?

– Martwiłem się, co się z tobą stało. Wszystko w porządku?

– Przepraszam – odszepnęła. – Znalazłam się tu przypadkiem. Trochę się zgubiłam. – Podeszła bliżej i zobaczyła, że Max zamyka za sobą drzwi. Sięgnęła po kłamkę. – Wracajmy. Będą się niepo...

– Ciii... – powiedział. Objął ją i przyciągnął do siebie. Lucy, przerażona, myślała tylko o tym, że jej usta będą smakować serem. Oswoiła się już z ciemnością i widziała, jak na nią patrzy. Jakby miał ochotę ją pocałować.

Serce waliło jej jak oszalałe, strużka potu pociekła jej spod pachy i wsiąkła w aksamitną sukienkę. Nie, to niemożliwe. Nie tutaj, nie teraz... jego dzieci są o parę kroków stąd... au pair...

– Lucy – szepnął, podnosząc jej twarz ku sobie. Ich oczy spotkały się w półmroku. – Bardzo mi ciebie brakowało – powiedział cicho.

– Dlaczego? – spytała, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało. Nie wiedziała, jak się znaleźć w tej sytuacji. Co powinna zrobić? Stał tu przed nią, dziko atrakcyjny, seksowny, doświadczony – tak, była pewna, że ma bogate doświadczenie w tych sprawach – a ona potrafiła myśleć jedynie o serce.

– A jak sądzisz? – spytał miękko. – Nigdy nie przestałem cię kochać.

Popatrzyła na niego zdumiona. To było oczywiście kłamstwo, ale nawet nie mrugnął okiem. Kciukiem zaczął gładzić ją kolistym ruchem po gołym ramieniu. To było cudownie podniecające. Lucy poczuła, że jej opór słabnie. Rob był taki wstrętny...

– Jesteś taka...

Pochylił się i serce podskoczyło jej do gardła. To wszystko zmierza błyskawicznym pędem do małżeńskiej zdrady. Nagle dał się słyszeć głośny trzask. Max potracił przymknięte drzwi, które zatrzasnęły się z echem idącym po całej galerii. Popatrzyła na niego z przerażeniem. Próbował znów ją przytulić, ale czar przysł. Chwyciła za kłamkę, czując pulsowanie w skroniach.

– Wracajmy na dół – powiedziała zdumiewająco spokojnie, zważywszy na fakt, że wnętrzności kłębiły się w niej jak pranie w automatycznej pralce na pełnych obrotach.

– Jeszcze nie... – poprosił Max błagalnie.

– Muszę wracać – oświadczyła Lucy stanowczo.

Przepuścił ją bez słowa. Na galerii przycisnęła ręce do piersi, uciszając bicie serca i próbując złapać oddech. Sprawdziła w lustrze, czy nie rozmazała sobie

szminki. Jej oczy nienaturalnie błyszcząły. Ty zepsuta kobieto, powiedziała do siebie. Nie myśl o tym ani przez jedną chwilę. Dość niepewnie zeszła po schodach. Max pozostał w sypialni.

Wśliznęła się do jadalni, starając się jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Cat, całkowicie trzeźwa, próbowała namówić Martę i Roba na kawę, co oboje zgodnie odpierali. Jako gospodyni czuła, że przyjęcie nie toczy się zgodnie z planem – i gdzie podziewa się Max? Marcie, która dotąd uważała, że jest niesłychanie dowcipna i atrakcyjna, nagle zebrało się na płacz. Rob jest taki pociągający! Dlaczego na nią nie leci? Nikt już na nią nie leciał. Może i jest pijana, ale doskonale widziała, jak Max patrzy na Lucy. Szykuje się niezła afery, nawet w pijanym widzie zauważyła, że wymknął się za nią z jadalni. Dobrze, że Cat była akurat w kuchni, bo jego zamiary były jasne jak słońce. Lucy nie ma żadnych szans. Max – a już ona, Marta, ma na to oko – jest typem nałogowego uwodziciela. Więc dlaczego na nianie zwraca żadnej uwagi?

– Weź się w garść, ty stara pijaczko! – zwrócił się do niej Rob. – Napij się kawy.

– Twój urok mnie zachwyca. Nie chcę żadnej kawy. – Dołała sobie szampana i wychyliła duszkiem, jej czerwone paznokcie zaśniły na cienkiej nóżce kieliszka.

– Rob, pora się żegnać – powiedziała Lucy, zerkając na zmrożoną twarz Cat.

Wyszli do hallu, zostawiając Martę z Sebastianem. Kiedy czekali, aż Cat przyniesie im płaszcze, usłyszeli jego wściekły głos:

– Jesteś kompletnie pijana!

– Odpieprz się – odpowiedziała Marta z godnością.

Rob wyszczerzył zęby.

Lucy pocałowała Cat w policzek, trzymając pod rękę Roba, który się nieco chwiał.

– Dziękujemy bardzo. Jedzenie było pyszne. Uroczy wieczór.

Rob pochylił się nagle i pocałował Cat prosto w usta.

– Świetna zabawa – powiedział. – Superzarcie. Zwłaszcza te robaki.

Cat, całkowicie zaskoczona, cofnęła się. Uśmiechnął się do niej promiennie. Ignorowała go cały wieczór, jak kogoś z zupełnie innej planety, i teraz nagle pomyślała: co za atrakcyjny mężczyzna. Zaczerwieniła się. Atrakcyjny, ale nieobliczalny. Lucy wypchnęła go przez drzwi.

Na zewnątrz napadła na niego, buchając parą z ust w chłodnym powietrzu nocy.

– Ale dałeś pokaz! Byłeś kompletnie na orbicie!

– A gdzie ty byłeś? – spytał, nagle całkiem trzeźwym głosem. Lucy zmartwiała.

– Co przez to rozumiesz?

– Zniknęłaś – wyjaśnił. – Na całe wieki.

– Zgubiłam się – powiedziała szybko. – Skreśliłam w złą stronę i potem skorzystałam z okazji, żeby rozejrzeć się po domu. I tyle. Ty tak czy owak cały wieczór zajmowałeś się tylko Martą.

Popatrzył na nią twardym wzrokiem.

– Nie wierzę ci.

Lucy poczuła narastającą panikę.

– Nie bądź niemądry. To śmieszne. Zadzwońmy z komórki po taksówkę i wracajmy do domu.

– Dzwon sobie. – Zbliżył do niej wykrzywioną z wściekłości twarz. – Ja pójdę pieszo. – Odwrócił się i szybkim krokiem zaczął się oddalać.

– Rob! – krzyknęła za nim. – Przestań się wygłupiać. Jest strasznie zimno.

– Odpieprz się – powiedział głośno i wyraźnie. – Poproś swojego kumpla Maksa, żeby cię podwiózł. – I zniknął w ciemności.

Stała przez chwilę bez ruchu, otulając się płaszczem. Czująca wzbierający w piersi szloch. Wspaniale. Potrafił tak po prostu odejść i zostawić ją w środku nocy. Co ma teraz zrobić? Zapukać do drzwi Maksa i wyjaśnić, że musi skorzystać z telefonu, bo Rob sobie poszedł? Czy łapać coś samej na drodze, ryzykując, że trafi na jakiegoś gwałciciela grasującego w przebraniu taksówkarza? Westchnęła ciężko i ruszyła przed siebie. Do domu miała dwa kilometry samotnego marszu.

Rozdział 25

Pozwól sobie na mały relaks, kochanie – powiedziała Caroline. – Naprawdę nie się nie stanie, jeśli raz Rob odbierze dzieci ze szkoły. Przyjedź do mnie, pochodzimy po sklepach i kupię ci parę rzeczy. Należy ci się trochę przyjemności. Ostatnio jesteś jakaś przygnębiona.

– Dobrze, mam – zgodziła się Lucy, machinalnie rysując serduszka na żółtym bloczku przy telefonie. Caroline spędzała tydzień w Londynie, w eleganckim hotelu, wraz z Archiem, którego tu wezwała praca konsultanta. – Przyjadę pociągiem – dodała.

– Weź pierwszą klasę, kochanie. Ja stawiam.

– Jeśli nalegasz...

Kupując bilet pierwszej klasy, postanowiła, że z dworca w Londynie weźmie taksówkę. Uniknie tłoku w metrze. Dlaczego nie? Ta odrobina luksusu pomoże jej oderwać myśli od straszego chłodu, jaki zapanował – niczym zapowiedź ery lodowcowej – między nią a Robem od pamiętnej kolacji u Maksa i Cat. Caroline obiecała wziąć ją na drogi lunch, a potem do paru ekskluzywnych sklepów, co jawiło się Lucy jako szczyt szczęścia. Pomalowała nawet paznokcie i położyła odżywkę na włosy. Drobiazgi, a tak znacząco poprawiły jej samopoczucie. Cat, która wpadła na nią w szkole, była uprzejma, ale trzymała się na dystans. Widocznie po pijackim zachowaniu Roba podczas przyjęcia uznała, że Lucy nie nadaje się na przyjaciółkę. Tak też Cat to sama przed sobą uzasadniła, chociaż prawdziwym powodem, był fakt, że Max najwyraźniej nadal czuł słabość do Lucy. Cat mogła przymknąć oko na mały skok w bok zjedną czy drugą au pair, no, nawet z sekretarką, ale nie z osobą posyłającą dzieci do tej samej prywatnej szkoły – to by była zdrada zbyt daleko idąca. Obdarzyła natomiast względami Martę, z którą stały się nierozłączne, co Lucy mocno ubodło. Czy lojalność już nic nie znaczy?

Na peronie kupiła gazetę i kubek cappuccino z białą plastikową przykrywką, która nie dawała się zamknąć. Pociąg przyjechał o czasie i kiedy wsiadała do pierwszej klasy, dostrzegła jasnowłosego mężczyznę pędzącego co sił po kładce łączącej perony. Dopiero po chwili ze skurczem serca zorientowała się, że to Max.

Wskoczył do pociągu. Lucy odwróciła głowę i z uporem patrzyła przez okno. Pewno jej nie zauważy; zresztą nie miała mu nic do powiedzenia. Ale od tamtego wieczoru nieustannie o nim myślała. Jakie to dziwne, zwodnicze uczucie być blisko mężczyzny, który nie jest Robem. Co z tego, że Rob jest równie przystojny na swój

sposób, skoro jest także humorzasty, kłótniwy i potrafi jak nikt uprzykrzyć jej życie. Max był taki grzeczny, taki pewny siebie, taki... taki bezkonfliktowy. Czarujący i nieodparcie seksowny. W chwilach samotności, kiedy wracała bez pośpiechu ze szkoły po odwiezieniu dzieci, pozwalała sobie na małą, grzeszną fantazję. Fantazję, że idzie z Makssem do łóżka, najchętniej w dużym, luksusowym pokoju hotelowym, z jasną, satynową pościelą, szampanem i centralnym ogrzewaniem puszczonej na cały regulator – Rob nigdy nie pozwalał jej odkręcać do końca kaloryferów – że idą razem do łóżka wiedzeni czystym zapamiętaniem, wyłącznie dla przyjemności, że uprawiają seks dla samego seksu, nie z przymusu, obowiązku lub przyzwyczajenia, ale z dzikiej, zwierzęcej namiętności, która w małżeństwie tak często wygasa. Max z pewnością jest w tym dobry, dałaby sobie głowę uciąć. Prawdę mówiąc, ta fantazja była tak nęcąca, że Lucy oddawała się jej również w drodze z dziećmi do szkoły, i często z kontemplowania obrazu jej i Maksa nagich, splecionych ciał, wrywał ją brutalnie pytający głosik: „Mamo, nie zapomniałaś zapakować mi magnetofonu?”

– Lucy?

Odwróciła się. Na twarzy Maksa odmalowała się radość. Ogarnęła wzrokiem jego zaczesane do tyłu gęste jasne włosy, piękny, szary kaszmirowy płaszcz z podniesionym kołnierzem, skórzaną teczkę i eleganckie zamszowe buty. Zauważyła, że młoda kobieta siedząca naprzeciwko obserwuje go ukradkiem. Jego głos był donośny i pewny siebie. Lucy poczuła, że pocała jej dłoń, i pogratulowała sobie w duchu, że użyła odżywki do włosów.

– Mogę? – spytał, wskazując siedzenie obok.

– Oczywiście. – Szybko sprzątnęła „Hallo” (czytała je tylko w pociągu) i „Daily Telegraph”.

Kiedy zdjął płaszcz, zobaczyła, że ma na sobie ciemnopopielaty garnitur o nienagannym kroju i nieskazitelnie białą koszulę ze spinkami. Jej ojciec zawsze używał spinek. Rob, kiedy go poznała, nawet nie wiedział, co to jest.

– Dokąd się wybierasz?

– Na lunch z mamą w Londynie.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Max powiedział:

– Dawno się nie widzieliśmy.

– Rzeczywiście – przyznała mu rację, jakby dopiero teraz przyszło jej to do głowy. – Święta prawda. – Pozwoliła sobie na nutkę irytacji. – Jestem pewna, że byłeś bardzo zajęty.

Spojrzał na nią ostro.

– Co przez to rozumiesz?

– Przy urządzaniu domu i tak dalej.

– Ach, to – machnął ręką. – Cat się tym zajmuje. To jej działka.

– Dobrze się wam mieszka?

– Lucy – powiedział z wyrzutem – czemu jesteś na mnie zła?

– Dlaczego miałabym być zła?

– Nie mam pojęcia. – Wbił wzrok w swoje wypielegnowane paznokcie. Potem spojrział na nią łobuzersko spod oka. – Bo próbowałem cię pocałować?

– Ciii... – Zmartwiła i rozejrzała się dokoła.

– Masz mi za złe? Byłaś dość wstrząśnięta.

– Może ty całujesz ludzi na prawo i lewo, aleja nie – powiedziała ze złością. – Tak, byłam wstrząśnięta.

– To znaczy, że nie pójdziesz teraz ze mną do hotelu?

– Max! – Nie wiedziała, czy się roześmiać, czy obrazić. – Jesteś okropny!

– Wcale nie. – Wziął ją za rękę. – Myślę tylko, że moglibyśmy zacząć z powrotem w miejscu, w którym przerwaliśmy.

– Przecież to było przeszło piętnaście lat temu! – Odstawiła drżącą ręką kubek z kawą na wąski stolik. – Nie możemy zacząć od tego samego miejsca, jakbyśmy nadal mieli po kilkanaście lat.

– Dlaczego?

– Jesteś kompletnie amoralny – powiedziała. – Zawsze taki byłeś?

– Nie. – Podniósł jej palce do ust. – Tylko z tobą.

Dziewczyna z siedzenia naprzeciwko patrzyła na nią z zazdrością.

Lucy wyrwała rękę z jego dłoni i gniewnie odwróciła głowę do okna. Miała wrażenie, że Max się z niej nabija.

– Nadal podchodzisz do wszystkiego ze śmiertelną powagą, co? – spytał.

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie – prychnęła. – I w tej chwili przestań! – Bardzo delikatnie gładził jej udo przez spódnice. – Dość tego. – Podniosła jego dłoń i stanowczo położyła mu na kolanach.

Nagle Max się odwrócił.

– Masz ochotę na dobrą kawę? Ta twoja to jakaś lura.

W ich kierunku szła kobieta o zmęczonej twarzy, pchając wózek z napojami. Na dźwięk głosu Maksa rozjaśniła się w uśmiechu.

– Dwie kawy – powiedział, wsypując jej monety do ręki.

Zaczerwieniła się jak piwonia. Dobry Boże, pomyślała Lucy.

Ale z niego numer.

Podał jej parującą filiżankę.

– Słodzisz?

– Jedną łyżeczkę.

– Niegrzeczna dziewczynka – skomentował, otwierając torebeczkę i wsypując zawartość do filiżanki. Potem pomieszał jej kawę, jak dziecku, i postawił na stoliku, oddając jednorazowy kubek kobiecie rozwożącej napoje, która nadal stała obok, wpatrując się w niego rozanielona.

– Jesteś szczęśliwa?

– Co? – Dlaczego wszyscy pytają ją ostatnio, czy jest szczęśliwa? Czyżby wyglądała jakoś żałośnie?

– Czy jesteś szczęśliwa – powtórzył, ścisząc głos – z Robem?

– To nie twoja sprawa.

– Wiem. Ale jesteś szczęśliwa?

– Tak – powiedziała Lucy kategorycznie.

– Naprawdę? – Podniósł brwi.

– Czemu nie wierzysz? Mamy ładny dom, no może nie najładniejszy, ale da się wytrzymać, dwoje dzieci, Rob ma dobrą pracę, czego nam brakuje do szczęścia?

– Jeszcze tego i owego.

– Nie bądź taki cholernie protekcyjny! To, że ożeniłeś się z dziedziczką fortuny i mieszkasz w ogromnej zabytkowej plebanii, nie znaczy jeszcze, że jedynie ty umiałeś ułożyć sobie życie.

– Wcale nie to miałem na myśli – odparował. – Nie sądziłem tylko, że wyjdiesz za takiego faceta jak Rob.

– A sądziłeś, że za kogo wyjdę?

– Za mnie.

Spojrzała za okno i pomieszała kawę. Miała ochotę iść do łazienki i przeczesać włosy, ale bała się przeciskać koło niego. To zbyt niebezpieczne. W końcu znów odwróciła ku niemu głowę.

Patrzył na nią uporczywie, nie spuszczać wzroku. Ta przystojna twarz, którą tak dobrze znała, miała teraz więcej zmarszczek i bruzd, ale był to ten sam Max co dawniej, tylko dojrzały, bardziej doświadczony. Jest wyjątkowo pewny siebie, pomyślała. Stał się mężczyzną, który nie przyjmuje do wiadomości odmowy. I z pewną konsternacją zdała sobie sprawę, że niewiele znalazłoby się kobiet, które by mu odmówiły. Ona sama, gdyby miała wdać się z kimś w romans, to z nim. Był taki czarujący, męski, zdobywczy – ale wyczuła, że pod tym kulturalnym, swobodnym sposobem bycia czai się rekin. Max przyzwyczał się, że dostaje to, co

chce. A teraz chce mnie, pomyślała na poły z przyjemnością, a na poły ze strachem.

– No a ty? – spytała. – Jesteś szczęśliwy?

– Z Cat?

– Tak, z Cat – powtórzyła cierpliwie.

– Nie za bardzo – powiedział.

– Jesteś strasznie zepsuty, wiesz?

– Naprawdę? Dlaczego?

– Bo masz idealną żonę, idealny dom, idealne dzieci i nawet idealną gospodynię, a śmiesz mówić, że nie jesteś szczęśliwy.

– Ale nie mam ciebie.

– Do niedawna nie pamiętałeś nawet, że istnieję.

– Nieprawda.

– Czyżby? A gdzie te widome znaki usychania z tęsknoty przez wszystkie lata, jakie spędziłeś, wiodąc wygodne życie w pięknym domu w Londynie, gdziekolwiek on był?

– W Belgravii – wtrącił Max chępliwie. – Jasne, że nie szukałem kontaktu z tobą. Nie wiedziałem, co mnie czeka. Mogłaś strasznie zbrzydnąć.

– Jesteś okropny – zgorszyła się Lucy. – To znaczy, że interesujesz się mną tylko dlatego, że nie stałam się pękata, małą kobietką z sękatymi rękami?

– Tak – przyznał ze śmiechem.

Lucy mimo woli też się roześmiała.

– Pewno powinnam czuć się pochlebiona, że jestem nadal choć trochę atrakcyjna.

– Oczywiście, że powinnaś. Mocno pochlebiona.

– Pomyślę nad tym. – Wcisnęła się głębiej w siedzenie pierwszej klasy. – Później.

– Kiedy się dowiem?

– Czego chcesz się dowiedzieć?

– Że zmieniłaś zdanie.

– Zdanie na temat czego?

– Mojej oferty – wyjaśnił cierpliwie. – Oferty, żeby zrobić z ciebie kobietę upadłą.

– Dam ci znać – powiedziała, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – W swoim czasie.

Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji, Max podał Lucy jej torebkę. Była ze sztucznej skóry i nieco podniszczona.

– Nie bardzo mi się podoba ta torebka – powiedział, krzywiąc się. – Kupię ci nową.

– Nie, nie kupisz mi nowej – sprzeciwiła się Lucy. – Jak wytłumaczyłabym to Robowi?

– Powiesz mu, że to prezent od twojego wielbiciela.

– On nie przepada za moimi wielbicielami.

– Wobec tego – oświadczył Max, podając jej płaszcz w taki sposób, że zrobiło się jej zimno i gorąco na przemian – będziemy musieli powiedzieć mu prawdę, nie sądzisz?

Kiedy pokazali bilety i przeszli przez bramkę, Max się zatrzymał.

– Przekaż moje uszanowanie twojej mamie.

– Dziękuję, przekażę. – Uśmiechnęła się uprzejmie. – Biegnij już. Spóźnisz się na swoje ważne spotkanie.

Max skrzywił się.

– Wolę zostać z tobą.

– Nic z tego – powiedziała stanowczo. – Idź już i zachowuj się jak człowiek dorosły.

– Nie chcę.

– Spadaj – powiedziała z uśmiechem.

– Jak sobie życzysz.

Odwrócił się i odszedł. Pilnowała się, żeby za nim nie patrzeć, i zaczęła się rozglądać za postojem taksówek. Po chwili poczuła lekkie klepnięcie w ramię.

– Tak?

– Diabelnie mi się podobasz – powiedział. Pochylił się i z nienacka pocałował ją prosto w usta. Uśmiechnął się pożądliwie. – Będziesz ze mną chodzić?

– Jeśli nie przestaniesz mnie napastować, wezwę policję – zagroziła.

– Za późno – oświadczył niewzruszony. – Co się stało, już się nie odstanie.

I odszedł, pogwizdując wesoło.

Rozdział 26

Za każdym razem, kiedy zadzwonił telefon, Lucy podskakiwała. Max zapisał sobie jej numer raz jeszcze w swoim oprawnym w skórę, eleganckim notatniku, pod literą B – Beresford. Ale nie zadzwonił.

Trzy dni później spotkała go w szkole. Zobaczyła go już z daleka, stojąc w korku na podjeździe. Oparła się brodą na kierownicy i go obserwowała. Trzymał w ramionach Jessicę, Cosima wisiała mu u łokcia, a Bruno patrzył na niego z cielecym zachwytem. Postawił Jessicę na ziemi, cierpliwie wyjął z bagażnika rangę rovera wszystkie akcesoria szkolne i zgarnął całą trzódkę w stronę wielkich, starych drzwi wejściowych. Pasował do tego nobliwego otoczenia. Parę matek zatrzymało się, żeby do niego zagadać, uśmiechnął się czarująco i Lucy zauważyła, jak dwie z nich wymieniły potem między sobą pełne aprobaty spojrzenia. Rob nie cierpiał odwozić dziewczynek do szkoły i nie znał prawie nikogo z rodziców, jako że nie zadawał sobie trudu, żeby brać udział we wspólnych spotkaniach. Wypychał córki z samochodu i czym prędzej odjeżdżał, śpiesząc z powrotem na znane sobie terytorium. Wiedziała, że czuje się tu nieswojo pośród bogatych i zadowolonych z siebie ludzi sukcesu. Zabawne, jak rodzice podzielili się na grupki, myślała Lucy. Nowobogacy w modnych ubraniach znanych projektantów i w kabrioletach trzymali się razem, podobnie jak ci zamożni od pokoleń, którzy dla odmiany chodzili w starych, postrzępionych dżinsach i butach myśliwskich do kolan, a jeździli upačkanymi błotem land roverami. Trzecią grupę stanowili wspinający się po szczeblach kariery biznesmeni w nowych rangę roverach i bardzo porządnym klasycznych płaszczach. Ciekawe, do której grupy ona należy, ze swoim starym samochodem i niedbałym zwykle strojem, lecz z przebłyskami dawnej świetności. Pewno po trosze do każdej z trzech.

Zaparkowała w wolnym miejscu i przejrzała się w małym samochodowym lusterku. Nie jest tak źle. Przynajmniej pomalowała usta i miała świeżo umyte włosy. Spulchniła je palcami i uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem.

– Co robisz, mamusiu? – spytała Olivia kryształowo czystym głosem. Odkąd zaczęły chodzić do Radlett, ich akcent znacznie się poprawił. – Spóźnię się przez ciebie na apel.

Wbiegły na korytarz równo z dzwonkiem.

– Kurczę na grillu! – powiedziała Laura głośno. – Już się spóźniłyśmy.

– Cicho bądź! – syknęła Lucy.

Ktoś za jej plecami parsknął śmiechem.

– Co za czarujące wyrażenie!

– Max! – pisnęła Lucy nieswoim głosem. – To jest Laura.

– Dzień dobry. – Laura zmierzyła go nieufnym wzrokiem.

– To Max Yorke, tato Cosimy i Jessiki.

– Nie lubię Cosimy – powiedziała Laura. – Jest okropnie rozpieszczona.

– Laura! – Lucy zaśmiała się nerwowo. – Wybacz moim rozkosznym dzieciom.

Popchnęła córkę w kierunku klasy.

– Zachowałeś się strasznie niegrzecznie – skarciła ją przed drzwiami.

– Ale to prawda. Oboje są niezdolni. A Bruno bije dzieci.

– Niemożliwe – powiedziała Lucy. – A teraz daj mi buzi.

– Na ra – pożegnała ją Laura.

Lucy westchnęła. Odprowadziła jeszcze Olivię do klasy i poszła wolno w stronę parkingu. Już z daleka zobaczyła, że ktoś stoi oparty o jej samochód. Max.

– Myślałem, że nigdy nie wyjdiesz. Śmieszne autko.

– Nic dziwnego, że cię śmiesz. To nie to co twój krążownik, prawda?

– Nasza sprzątaczką miała fiestę – powiedział z roztargnieniem.

Lucy popatrzyła na niego ze złością.

– Jeśli masz zamiar znów traktować mnie protekcyjnie, to idź do diabła! I weź ze sobą swój pieprzony rangę rover.

– Jesteś po prostu zazdrosna – oświadczył. – Pójdiesz ze mną na spacer?

– Po co?

– Taki piękny dzień. Czy musisz być zawsze taka najeżona?

– Nie jestem najeżona, tylko pełna obaw co do twoich zamiarów.

Max rozłożył ręce.

– Jest rześki, słoneczny ranek. Proponuję spacer. Cóż może być bardziej niewinnego?

– Hmm... Dobrze. Jedź przodem.

Wjechał na drogę podjazdową i zamrugnął, że skręca w lewo. Ruszyła za nim. Po jakimś czasie zatrzymał się przy ścieżce spacerowej wiodącej w górę zbocza, które obiecywało piękne widoki. Zatrzasnął drzwiczki i podszedł do niej. Z jego bagażnika dobiegły ją jakieś piski.

– Mamy szczeniaka – wyjaśnił, otwierając klapy. W środku podskakiwał w metalowej klatce mały czarny labrador.

– Och... – rozczuliła się Lucy. – Jaki śliczny!

– Weź go na ręce, jeśli chcesz.

Otworzył drzwi klatki i szczeniak skoczył prosto w jej ramiona, merdając ogonem i próbując polizać japo twarzy. Westchnęła z zachwytu i przytuliła policzek do gęstej czarnej sierści, wciągając w nozdrza jej zapach. Szczeniaki pachną tak rozkosznie, o wiele ładniej niż niemowlęta.

– Rob nie lubi psów – powiedziała. – Inaczej miałabym całe stado.

– Zawsze kochałaś psy. Co się stało z Benem?

– Już nie żyje. Jest teraz w psim niebie, doprowadzając do szału szczekaniem Świętego Piotra i rzucając się na nowo przybyłych.

Max roześmiał się.

– Nie mogę sobie ciebie wyobrazić bez psa.

– Dlaczego? Nawet nie wiesz, jaka teraz jestem.

– Czyżby?

Zapiął na obroży nową smycz.

– Chodź, William – powiedział. Spojrzał na Lucy. – Tak mu dałem na imię. Stary William zdechł niedługo po tych wakacjach, wiesz. Okropnie smutne.

Idąc w górę po błotnistej ścieżce, Lucy wepchnęła ręce głęboko do kieszeni. Max spuścił Williama ze smyczy i psiak biegał tam i z powrotem, machając wesoło ogonem. Szli w milczeniu, aż nagle Max spytał:

– Tęskniłaś za mną?

– Czy twoja zarozumiałość nie zna granic? Nie, nie tęskniłam za tobą. W ogóle o tobie nie myślałam – skłamała.

– Kłamczucha.

– Max – powiedziała cierpliwie, odwracając się do niego. – Nie możemy tego ciągnąć. Nie mamy osiemnastu lat. Jesteśmy dorośli, a nawet bardziej niż dorośli – Max uśmiechnął się – i nie powinniśmy się bawić w niemądre flirty. To do niczego nie prowadzi. – Kopnęła czubkiem buta grudkę błota. – Prawdę mówiąc – zerknęła na niego niepewnie – nie bardzo rozumiem, jaki sens widzisz w takim zachowaniu?

– Rzecz w tym – podszedł do niej i przyciągnął ją lekko za kołnierzyk kaszmirowego szalika, który dostała od matki na Gwiazdkę – że piekielnie się cieszę, że cię odnalazłem. I to taką, jaką byłaś wtedy. Wiesz, ile to dla mnie znaczy? Przez całe lata nosiłem w głowie wymaginowany obraz Lucy Beresford, dziewczyny, którą kochałem najbardziej na świecie, a która okrutnie mnie porzuciła i zrujnowała mi życie – Lucy roześmiała się – i teraz odnalazłem cię znowu, i jesteś taka sama, a ja czuję to samo, co wtedy. Rozumiesz? Od tamtej pory nikt nie budził we mnie takich uczuć, ani Cat, ani żadna inna kobieta. Ty – powiedział, owijając ją szalikiem – byłaś dla mnie tą wymarzoną. Pod każdym

względem. Chciałem się z tobą ożenić. Pamiętasz? Naprawdę chciałem, Lucy. Mówiłem to całkiem serio, wtedy na plaży, chociaż ty nie wzięłaś tego poważnie, sądząc po tym, jak brutalnie mnie odrzuciłaś. Przez wszystkie te lata żyłem jakby we śnie. Wiem, że Cat ma wiele zalet, ale uwierz mi, jest cholernie nudna, i myślałem już, że nic ekscytującego mnie w życiu nie czeka, kiedy ty się zjawiałaś. Taka sama albo prawie taka sama. Rozumiesz? – spytał żarliwie. – Rozumiesz, co dla mnie znaczysz? Przy tobie czuję się jak wtedy i jestem... szczęśliwy. – Zamilkł i wziął głęboki oddech. – Czy to ci tłumaczy moje zachowanie?

– Poniekąd – powiedziała wolno. – Ale nie jesteśmy już tacy jak wtedy, prawda? Jesteśmy dorosłymi ludźmi, którzy mają rodziny, partnerów, domy i kredyty hipoteczne. – Max uniósł brwi. – Cóż, w każdym razie ja mam kredyt hipoteczny – ciągnęła ze złością. – I nie mogę pozwolić sobie na zakochanie się w kimś tylko po to, żeby być szczęśliwą.

– Dlaczego? – spytał trzeźwo.

– Dlatego, że życie nie na tym polega – oświadczyła stanowczo. Odsunęła się od niego i zaczęła iść w kierunku lasu. – Chodź, bo William się nam zgubi. Nie możesz powiedzieć sobie: „Hurra, spotkałem kogoś, kto mi się podoba”, i wskakiwać z nim do łóżka. Małżeństwo ma swoje prawa. Trzeba umieć odmówić sobie pewnych rzeczy.

– Stałaś się straszną purytanką.

– Nic podobnego! – rozzłościła się. – Po prostu podchodzę do małżeństwa inaczej niż ty.

– To znaczy, że mnie nie chcesz?

Stanął tyłem do wiatru, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie zamszowego płaszcza, owinięty czekoladowo brązowym szalikiem, z włosami rozwianymi na wietrze – żywa reklama eleganckich, sportowych męskich strojów.

– Daj spokój, Lucy-Luce. Nie wierzę ci.

Zmierzyła go wściekłym wzrokiem i nagle zaczęła się śmiać.

– Jesteś niepoprawny – powiedziała. – Ułożyłam sobie życie, lepiej lub gorzej, i jakoś się ten kołowrotek kręci, aż naraz ty się zjawiasz i próbujesz wszystko zepsuć. Przestań być taki pewny siebie. Nie pójdę z tobą do łóżka.

– Nawet jeśli cię ładnie poproszę?

– Zwłaszcza wtedy.

Podszedł dwa kroki i stanął tuż przy niej.

– Przyjmuję twoją odmowę do wiadomości, ale nie mam zamiaru się poddawać. Będę cię nękać dzień i noc.

Lucy poczuła dreszcz na plecach.

– Poradzę sobie z tobą. Nie zapominaj, jak dobrze cię znam.

– No właśnie. Dlatego prędzej czy później ulegniesz.

– Właściwie czemu nie chcesz się ze mną kochać?

Max oderwał ją od smażenia paluszków rybnych, dzwoniąc z pociągu w drodze powrotnej do domu. Był to już jego piąty telefon w ciągu trzech dni. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że zdobędzie ją uporem.

– Ponieważ nie mogę – powiedziała.

– Dlaczego?

– Zbyt się boję.

– Ja też się boję. Ale jeszcze bardziej boję się, że to wszystko się skończy.

– Co takiego się skończy?

– To szczęście, że cię odnalazłem. A ja cię kocham. – Połączenie zostało przerwane.

Lucy skonfundowana patrzyła przez chwilę na telefon, po czym delikatnie odłożyła słuchawkę. „Kocham cię”. Nie, to nieprawda, pomyślała roztrzęsiona, wracając do paluszków rybnych i rzeczywistości. Tylko mu się tak wydaje. Lubi dramatyzować, upajać się własnymi słowami. Jestem dla niego jedynie odskocznią od monotonnego życia, czymś nowym i ekscytującym. Nie mogę dać się w to wciągnąć, ponieważ nie wiem, czy można mu wierzyć.

– Kto to był? – spytała Olivia.

– Tato. Niedługo wraca do domu.

Rob wszedł, kiedy dziewczynki były w kąpieeli, z mocnym postanowieniem, że dzisiaj już powie Lucy. Powie jej wielką nowinę, którą do tej pory ukrywał, chował w sobie przez ostatnie miesiące – nowinę, którą się cieszył i gryzł. Czuł się winny wobec Lucy, że ją zaniedbuje i jest ciągle rozdrażniony. Postara się jej to wynagrodzić.

Zaoferowano mu pracę w Londynie, w jednym z ogólnokrajowych dzienników. To oznaczało dużo więcej pieniędzy i ogromny krok w karierze, ale... Tego popołudnia siedział przy komputerze w redakcji, patrząc tępo w ekran. Nie był pewien, czy Lucy zechce z nim jechać. Ta myśl go przerażała. Zawsze twierdziła, że nie cierpi Londynu, że żał jej ludzi wychowujących dzieci w mieście, że mają szczęście, mieszkając na wsi. Ale nie mógłby tu dojeżdżać, będzie mieć nienormowany czas pracy i powinien zawsze być na zawołanie. Przez ostatni miesiąc wymigiwał się od podjęcia decyzji, nie mógł jednak dłużej grać na zwłokę.

Musi wreszcie dać odpowiedź, czy bierze tę posadę, i musi porozmawiać o tym dzisiaj z Lucy. Dzięki Bogu, że jest teraz jakby pogodniejsza. Miał wrażenie, że są między nimi jakieś niedopowiedziane sprawy, które powinien wyjaśnić. Ale był tak zapracowany, że wieczorem nie miał już na nic siły, jadł kolację i walił się prosto do łóżka. Nie spali ze sobą od wieków, co z pewnością było po części i jego winą. Dziwne, że Lucy mu tego nie wymawiała, zwykle podczas kłótni wywlekała wszystkie pretensje. Ale tym razem oboje postanowili nie poruszać pewnych tematów – prawdę mówiąc, od czasu przyjęcia u Maksa niewiele ze sobą rozmawiali.

Lucy czytała Olivii bajkę na dobranoc i myślała o Maksie.

Love me, love me, say that you love me... – słyszała dochodzący z pokoju Laury przebój z filmu *Romeo i Julia*. Leonardo di Caprio był idolem Laury. Lucy nie pozwoliła jej iść na film z powodu nieprzyzwoitych scen, ale kupiła płytę. Jej samej di Caprio też bardzo się podobał, co wpędzało ją w depresję, bo mogłaby już być jego matką, więc na pewno nie zwróciłby na nią najmniejszej uwagi. Przynajmniej kiedy adorowała Bryana Feny albo Stinga, istniało nikłe prawdopodobieństwo, że im też mogłaby się spodobać, gdyby przypadkiem doszło do spotkania. Dziwna rzecz z tym wiekiem. Będąc nastolatką, nigdy by nie uwierzyła, że mężczyzna powyżej czterdziestki może być fizycznie atrakcyjny. Teraz kiedy widziała Stinga w telewizji, nie myślała: powyżej czterdziestki, brr... Myślała: super!

Słyszając trzaśnięcie drzwi, uprzytomniła sobie, że Rob wrócił do domu wcześniej niż zwykle. Dobrze, że miała świeżo umyte włosy i była podmalowana. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze i uśmiechnęła się. Nie najgorzej. Nie była już całkiem młoda, oczywiście, ale nadal godna pożądania. Musi być godna pożądania, skoro Max jej pożądał. Dzięki jego zainteresowaniu znowu się polubiła. Znowu ktoś wyznawał jej miłość i to nie ktoś, kto z nią mieszkał, tolerował ją i wychowywał z nią dzieci, ale ktoś, dla kogo była kimś specjalnym, kto jej pragnął, kto rozmawiał z nią, słuchał jej i śmiał się z jej żartów. Nie było w tym nic złego. Był po prostu... jej dobrym przyjacielem. Potrafi zapanować nad tą sytuacją. Znała Maksa od podszewki i nie ma obawy, żeby miała się w nim zakochać. Przyłożyła rękę do piersi. Nie, oczywiście, że nie była w nim zakochana.

– Napijmy się wina.

Lucy spojrzała na niego ze zdumieniem. Rob ostatnio sam przyznał, że pije za dużo i zdecydowanie starał się to ograniczyć.

- Jesteś pewien?
- Tak. W kredensie w jadalni została jeszcze butelka.
- Fleurie? Myślałam, że trzymamy ją na specjalną okazję.
- To jest specjalna okazja – powiedział. Lucy poczuła kołatanie serca.
- Muszę cię o coś spytać – dodał.

Żołądek podskoczył jej do gardła. W jakiś sposób dowiedział się o Maksie. Może ktoś widział ich w pociągu, albo w szkole, albo... usłyszał od Marty. Boże drogi! Nic jej nie mówiła, bo Marta zaprzyjaźniła się z Cat, ale nie była głupia. Doskonale wiedziała, że Max dąży do romansu.

I co teraz będzie? Rob ją zostawi. Nie, zabije ją i potem ją zostawi. Ale przecież ona nic nie zrobiła. Prawie nic – jeden mały pocałunek na stacji, parę lekkich muśnięć dłoni – zupełnie nieszkodliwe gesty. Jednak nic nie tłumaczy zdrady, jakiej dopuściła się w sercu. Poczula, że się czerwieni, a jej puls bije jak oszalały. Spróbowała przybrać minę skrzywdzonej niewinności. Zerknęła na niego nerwowo, po raz pierwszy od dawna przyglądając mu się uważniej. Był zmęczony i jakby nieobecny – z roztargnieniem! przeczesał ręką długie ciemne włosy przyprószone na skroniach siwizną – ale ciągle bardzo atrakcyjny. Tak, naprawdę bardzo atrakcyjny. Wyciągnął się na krzesło, poły koszuli wysunęły mu się ze spodni, ukazując płaski, owłosiony brzuch. Poczula zapomniany już przypływ pożądania i strach.

- Zaoferowano mi nową posadę. Lucy ze świstem wypuściła oddech.
- Gdzie?
- W Londynie. – Och...

Popatrzyła na swoją lewą rękę, na obrączkę i pierścionek zaręczynowy. Potem przeniosła wzrok na duży, kosztowny szafir na środkowym palcu, który odziedziczyła po babce, a którego Rob nie cierpiał, jako świadectwa jej dawnego życia, lepszego niż to, co sam mógł jej zaoferować.

- Co teraz? – spytała cicho. – Zdaję sobie sprawę, że...

– Sam nie wiem – powiedział, trąc dłonią czoło. – Chryste, Lucy, mam taki mętlik w głowie. Bardzo chciałbym jechać, ale ty tak nie lubisz Londynu. Wydawałaś mi się ostatnio o tyle szczęśliwsza – Lucy się skrzywiła – nie mam serca cię stąd wyrwać. A dziewczynki też przepadają za swoją szkołą.

Lucy patrzyła na niego, nie wiedząc, co powiedzieć. Zadzwoił telefon.

- Ja odbiorę – zerwała się.

– Nie – popchnął ją delikatnie z powrotem na krzesło. – Ja pójdę. To na pewno do mnie z pracy.

Odebrał telefon i nastąpiła długa cisza. Potem powiedział:

– Rozumiem. Tak, zaraz przyjedziemy. Gdzie? Dziewczynki?

Znajdziemy kogoś.

Jego głos przeraził Lucy. Co? Co się stało? Dziękowała Bogu, że wszyscy, których kocha, są tu, w tym domu, oprócz Maksa oczywiście, i jej rodziców... O Boże!

Dobry Boże! Jej rodzice! Przeszył ją ból tak ostry, że głośno syknęła. Chodzi o jej ojca, wiedziała to, jeszcze zanim Rob wszedł i coś do niej powiedział; coś stało się ojcu, ostatnio nie najlepiej się czuł, brakowało mu oddechu, miał bóle w piersi, zawroty głowy, różne objawy, które martwiły Caroline, a które ojciec zbywał machnięciem ręki. Byli teraz tacy zajęci urządzeniem nowego domu we Francji, że nie miał czasu na chorowanie.

Rob przykląkł przed nią i objął ją ramionami. Popatrzyła mu głęboko w oczy. Powiedział cicho:

– Twój ojciec miał atak serca. Wzięli go do szpitala, jeszcze oddycha, ale to nie wygląda dobrze. Twoja matka z nim jest, pojechała ambulansem. Poczekaj.

Usłyszała, że wraca do telefonu i rozmawia z Martą.

– Dzięki. Zaraz je podrzucimy.

Dziewczynki już spały i ze zdumieniem otworzyły oczy, kiedy Rob i Lucy podnieśli je, owinięte kołdrami, i zanieśli zimną nocą do samochodu.

– Co się stało? – wymamrotała Laura.

– Nic, kochanie – powiedziała Lucy. – Dziadzio zachorował, tatuś i ja jedziemy się z nim zobaczyć. Wszystko będzie dobrze, wrócę rano, żeby was odwieźć do szkoły.

Laura ucałowała ją przez sen.

W szpitalu Lucy szła za Robem długimi, słabo oświetlonymi korytarzami, aż znaleźli się na oddziale kardiologicznym. Caroline siedziała zgięta wpół przed podwójnymi drzwiami, płacząc. Lucy podbiegła do niej.

– Mamo?

Caroline podniosła twarz. Była zagubiona, przerażona, nieumalowana – Lucy nigdy jej takiej nie widziała.

– Nie mogę – załkała. – Nie mogę żyć bez niego.

Rob ukląkł przy niej, delikatnie odsuwając Lucy.

– Idź do niego – powiedział cicho. Objął mocno Caroline, która oparła mu głowę na ramieniu.

Lucy pchnęła drzwi wahadłowe. Podeszedł do niej młody lekarz.

– Panna Beresford?

– Pani Atkinson. Jestem jego córką. Gdzie on jest?

– Tam – wskazał głową. Znużonym gestem przeczesał ręką przetłuszczone włosy, twarz miał poszarzałą ze zmęczenia. – Muszę pani powiedzieć, że to niestety nie wygląda dobrze. Miał rozległy zawał serca, ciśnienie jest bardzo wysokie. Robimy, co możemy, ale – dotknął delikatnie jej ramienia – powinna się pani przygotować na najgorsze.

Lucy stanęła skamieniała. Nie mogła się poruszyć, wciągnęła głęboko powietrze, przytrzymała, wypuściła. Czuła się ogłuszona, zrozumiała, co znaczy ciężar smutku – była przygnieciona do ziemi, samo utrzymanie się na nogach sprawiało jej trudność, chciała skulić się na podłodze, chciała stać się jak najmniejsza, żeby mniej bolało.

– Chce go pani zobaczyć?

Poszła za lekarzem do białego parawanu. Jej ojciec tam leżał, jego potężna postać na wąskim szpitalnym łóżku wyglądała zarazem masywnie i krucho. Był opłatany rurkami, na twarzy miał maskę tlenową. Pierś bardzo wolno unosiła mu się i opadała. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że ma podbródek pokryty ohydną mazią.

– Żółć – powiedział lekarz. – Zaraz to wyczyścimy.

Lucy dotknęła palców ojca. Były sine, pokryte plamkami, ale to były jego mocne ręce.

– Czy on mnie słyszy? – spytała. – Nie wiem. Może.

– Jest przytomny?

– Czynności mózgowe jeszcze nie ustały, ale za wcześnie, żeby coś powiedzieć. Lucy stała bezradnie przy łóżku, trzymając ojca za rękę.

– Tato? – powiedziała. – Jesteśmy tu, jesteśmy tu wszyscy.

Czuła się potwornie skrepowana, stojąc w tej sali szpitalnej przy łóżku mężczyzny, którego kochała najbardziej na świecie, który tyle jej dał, a dla którego ona nic nie może zrobić. On zawsze we wszystkim starał się jej pomóc, a ona nie wiedziała teraz, jak się zachować, nie wiedziała nawet, co powiedzieć.

– Kocham cię – szepnęła, łzy ciekły jej po policzkach. – Proszę cię, proszę...

Trzymając go za rękę, przestała być Lucy Atkinson, mężatką, matką dwójki dzieci, osobą dorosłą – jej dłoń zmaląła, zmiękła, a ona znów miała pięć lat i śniły jej się potwory. Ojciec trzymał ją w ramionach, huśtał, pocieszał. Ale tym razem potwory nie dawały się odpędzić.

– Proszę cię, nie odchodź... – załkała nieswoim, piskliwym głosem.

– Przepraszam – powiedział doktor. – Mogłaby pani na chwilę zostawić nas samych?

Lucy cofnęła się, parawan zasunięto, do sali wbiegł personel medyczny. Odwróciła się i uciekła.

– Co? – Matka podskoczyła do niej na korytarzu, widząc jej ściągniętą twarz.

– Nie wiem. Chyba umarł.

Caroline, wsparta na ramieniu Roba, osunęła się i byłaby upadła, gdyby jej nie pochwycił.

– Nie – zaczęła zawodzić – nie, nie, nie...

Rob objął ją mocno i odprowadził w głąb korytarza. Lucy opadła na krzesło. Po chwili pojawił się młody lekarz.

– Ojciec nie żyje – powiedziała Lucy.

– Niestety.

Miała ochotę krzyżeć. Jak może nie żyć? Jeszcze wczoraj rozmawiała z nim przez telefon, czynił jej zartobliwe wymówki, że niedługo do nich nie trafi, jeśli będzie tak rzadko przyjeżdżać, pytał, co Laura chce na urodziny, rozmawiał z Olivią, dowcipkował z nią. obiecał jej królika, bez względu na to, co powie mama. Jak ma powiedzieć dziewczynkom, że on nie żyje? Jak ktoś może być w jednej chwili tak pełen życia, a w drugiej martwy? Jak tyle charakteru i siły ducha może się po prostu skończyć?

Rob wrócił korytarzem z Caroline. Przestała płakać, miała nieruchome, szklane oczy, półprzytomne z bólu.

– Nie żyje – powiedziała Lucy. Matka patrzyła na nią bez słowa.

– Zawieziemy cię do domu – powiedział Rob.

– Chcę go zobaczyć – oświadczyła Caroline stanowczo. Lucy zaprowadziła ją do sali. Cała krzątanina i bieganina już ustała. Personel szpitalny rozstąpił się przed nimi. Archie leżał na łóżku z zamkniętymi oczami. Lucy podziękowała w duchu Bogu. Nie mogłaby znieść jego otwartych, martwych oczu, nie mogła się zmusić, żeby dotknąć jego ciała, w którym nie było już życia. Przestał być jej ojcem. Był ciałem. Ojcem został w jej sercu, w jej myślach, w jej pamięci. Odwróciła się.

Usłyszała, jak Rob rozmawia z lekarzami.

– Odwiozę je do domu i wrócę. Tak, wiem, trzeba załatwić wiele spraw, naturalnie.

W samochodzie milczeli. Lucy weszła z matką do domu, uciszyła skomlącego Hamisha, który bezskutecznie rozglądał się za Archiem. Zaprowadziła matkę do sypialni, pomogła jej się rozebrać i położyła ją do łóżka.

– Nie zostawiaj mnie – poprosiła Caroline.

– Nie zostawię. Zaraz wracam.

Zeszła cicho na dół. Strasznie brakowało jej Roba. Chciała, żeby wziął ją w ramiona, żeby pomógł jej ustać na nogach, żeby jej przypomniał, że ma własną rodzinę, własne życie. Nastawiła w kuchni czajnik. Na drewnianym stole leżała kartka urodzinowa. Była otwarta. Archie napisał: „Kochanej Laurze... „, Lucy usiadła. Zaczął to pisać tego wieczoru. Ostatni akt dramatu przed śmiercią. Wstała i poszła poszukać Hamisha, setera, który zastąpił Bena. Leżał z podkulonym ogonem w swoim koszyku, skowycząc cicho. Ukłękła przy nim i zanurzyła palce w rdzawą sierść. Pachniał jej ojcem. Rozplakała się, przytulona twarzą do jego pyska, do jego jedwabistych, miękkich uszu.

Rob zajął się wszystkim. Dał nekrolog do gazety, wynajął przedsiębiorcę pogrzebowego, zadzwonił do pracy Lucy, by powiedzieć, że nie będzie jej przez parę tygodni. Umówił się z Martą, że zatrzyma dziewczynki i będzie je wozić do szkoły. Powiedział Laurze i Olivii, że ich dziadek nie żyje. Marta przywiozła je do Caroline, która bardzo chciała zobaczyć wnuczki. Oszołomiona środkami uspokajającymi, od śmierci męża niemal nie ruszała się z łóżka, przytulona do jego poduszki. Laura podeszła do niej i objęła ją delikatnie dziecinnymi ramionkami.

– Nie martw się – powiedziała. – On jest w niebie. Ty też tam niedługo pójdziesz.

Po raz pierwszy od dwóch dni Lucy roześmiała się.

– Och, Laura – westchnęła.

Caroline uśmiechnęła się blado i zmierzwiła jej włosy.

– Dzięki Bogu, że mam was obie. I ciebie – dodała, przygarniając Lucy. – I ciebie – uchwyciła mocno rękę Roba.

Helen, która była w podróży zagranicznej, miała przylecieć lada dzień. Lucy patrzyła na Roba i zbierało jej się na płacz. Nie dałaby sobie rady bez niego. W nocy po śmierci ojca Rob kochał się z nią po raz pierwszy od miesiący. Cicho, bez słowa, jakby na znak, że trzeba żyć dalej, że ze śmierci może powstać nowe życie. Później zasnęła w jego ramionach.

Najgorszą rzeczą było porządkowanie ubrań Archiego. Pachniały nim tak mocno, że nie mogła się zmusić, żeby je wyrzucić. Caroline chciała, żeby Rob wziął marynarki i buty, miały jego rozmiar, chociaż Archie był znacznie grubszy w pasie. Rob zgodził się, żeby nie robić jej przykrości. Było też parę rzeczy, z którymi Caroline nie była w stanie się rozstać – na przykład jego ulubione buty. Lucy zatrzymała jego chusteczki. W dzieciństwie robiła sobie z nich przed snem

kuleczki i trzymała je przy twarzy, bo pachniały jego wodą kolońską i dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Teraz też przytknęła je do nosa, wciągnęła ich zapach i poczuła, że nie jest sama.

W ciągu następnych tygodni, a zwłaszcza podczas pogrzebu, Lucy wciąż czuła przy sobie obecność ojca. Nagły odgłos, powiew wiatru, i stał przy niej. Kiedy nie mogła sobie poradzić z rozpaczą, jak to czasem bywało, wyciągała rękę i chwytowała go za szeroką dłoń, czuła ciepło jego mocnych palców splecionych z jej palcami. Trzymała się tej dłoni z całych sił przez parę minut, a potem puszczała i ból znowu stawał się do zniesienia. Cztery dni po jego śmierci zadzwonił telefon.

– Tak mi przykro – powiedział Max. – Chciałem zadzwonić wcześniej, ale byłem zbyt przygnębiony... moje biedactwo.

– Oczywiście – powiedziała. – Bardzo miło, że dzwonisz. Przekażę mamie. Chcesz przyjść na pogrzeb? Będzie w czwartek. Nie możesz? Nie przejmuj się, nie szkodzi.

Rob stanął za nią.

– Kto to jest?

Uciszyła go ruchem dłoni, która lekko drżała.

– Rob i ja jesteśmy wdzięczni. I powiedz rodzicom, że kwiaty były piękne. Mama sama podziękuje, ale jest teraz zbyt...

– Rozumiem – przerwał szybko. I spytał bardzo cicho: – Moglibyśmy się spotkać?

– Nie sądzę, żeby to było w tej chwili możliwe. Ale dziękuję za troskę. Powiem jej. Muszę już kończyć – powiedziała Lucy. – Tak, Cat, może się jutro spotkamy. Ja też idę na sprawunki. W Waitrose? Po odwiezieniu dzieci do szkoły? Może cię wypatrzę. Dzięki. Jesteś taka miła.

Odłożyła słuchawkę.

– Kto to był?

– Max i Cat. Składają wyrazy współczucia.

– Dziwne, że się tak przejęli.

– Max znał tatę całkiem dobrze, nie pamiętasz?

– Ach, tak – powiedział Rob. – Rzeczywiście.

Lucy pchnęła wózek w kierunku wielkich automatycznych drzwi. Ręce drżały jej na drążku. Każda rzecz kosztowała ją teraz tyle wysiłku. Wszędzie wokół toczyło się normalne życie, podczas gdy w jej życiu powstała wielka wyrwa; wyrwa, której nic nie wypełni. Gdziekolwiek poszła, wszyscy pytali, jak się czuje

Caroline, mówili o swym współczuciu, troszczyli się, jak sobie radzą. Tęskniła do normalnej rozmowy. Tylko Rob podtrzymywał ją na duchu. Dzień po śmierci ojca nawet się roześmiała kiedy spytał głęboko przejętym tonem, czy nowe auto Archiego musi zostać zwrócone.

Zobaczyła Maksa od razu. Stał tyłem do niej, przy stoisku z gazetami, przerzucając pismo „Konie i psy gończe”.

– Widzę, że masz nowe zainteresowania – powiedziała mu przez ramię. – Kupujesz teraz konia?

– Cat kupuje. Dla dzieci. Może ja też sobie kupię. Chciałbym mieć takiego do polowania z psami.

– Robi się z ciebie właściciel ziemski pełną gębą.

– Nie przyjmuję do wiadomości tej złośliwej uwagi. Jak się masz?

– Jestem chora od słuchania pytań, jak się mam. A co u ciebie?

– Wariuję z tęsknoty za tobą.

– Tak? Naprawdę?

– Oczywiście – powiedział defensywnie.

Lucy spojrzała na niego nagle nowymi oczami. Owszem, był bardzo przystojny, ale w jego wyglądzie było coś wystudiowanego; ta nienaganna prezencja, ten staranny ubiór na każdą okazję... nawet na zakupy?

– Nie śpieszyłeś się z telefonem.

– Lucy, na miłość boską, jak miałem zadzwonić wcześniej? Rob odebrałby telefon i pomyślałby, że to bardzo dziwne. Poza tym załatwiałem poważną transakcję. W grę wchodziły duże pieniądze. Nie mogłem wszystkiego rzucić.

– Naturalnie – powiedziała Lucy. – Przeprowadzamy się.

– Co?

– Przeprowadzamy się. Musimy mieszkać o wiele bliżej Londynu. Rob ma nową pracę. – Odsunęła się, żeby przepuścić zaaferowaną matkę z popłakującym dzieckiem. – Co chcesz, żebym zrobiła?

Max speszył się.

– Jak to?

– Mam odejść od Roba? Zostać tutaj? Czy ty mnie naprawdę kochasz, Max?

Na jego twarzy odmalowała się panika. Rozejrzał się nerwowo dokoła.

– Oczywiście, że cię kocham – powiedział cicho. – Ale nie możemy tak pośpiesznie nic postanawiać. Przecież mamy domy, dzieci...

Lucy roześmiała się głośno.

– Strasznie cię przestraszyłam. Przeraziłeś się, że przyprę cię do muru i zmuszę

do podjęcia decyzji, której nie masz absolutnie zamiaru podejmować, co? Ani trochę się nie zmieniłeś. Nadal chcesz mieć wszystko, prawda? Ale nie możesz mieć wszystkiego, Max. To się źle kończy. Nasza historia też by się źle skończyła.

Jakaś kobieta sięgnęła z tyłu po magazyn na półce.

– Najlepiej będzie, jeśli się spotkamy gdzieś w spokoju... – zaczął Max.

– Najlepiej będzie – powiedziała Lucy cierpliwie – jeśli się nie będziemy spotykać. Owszem, mogłabym się z tobą przespać.

Mogłabym się w tobie znów zakochać i pewno bym się zakochała. Mówiłbyś mi, jaka jestem cudowna i jak bardzo mnie nadal kochasz, moglibyśmy wymknąć się na weekend do pięknego, pięciogwiazdkowego hotelu, a nawet, kto wie, na parę dni za granicę, jeśli każde z nas wymyśliłoby jakieś przekonujące kłamstwo.

Ale mielibyśmy przed sobą przyszłość tylko wtedy, gdybym ja zostawiła Roba, a ty byś zostawił Cat, gdybym wprowadziła się z dziećmi do twojego domu i zostałbyś weekendowym ojcem dla swoich dzieci. Jak ci się podoba taka perspektywa? Chciałbyś wychowywać moje córeczki?

W jego oczach pojawiła się panika. – Nie to miałem na myśli.

– Oczywiście, że nie to. Miałeś na myśli romans. Chciałeś flirtu, dobrego seksu i poczucia, że masz znów osiemnaście lat.

Tego się nie da zrobić. Nie da się kreować dramatów, nie raniąc innych. Nigdy nie odejdziesz od Cat, prawda?

Patrzył na nią spłoszony. – Ja...

– Jasne, że nie. Nie zrezygnujesz z wygodnego życia. Chcesz tylko urozmaicić je wielką namiętnością, pikantną przyprawą, która nie tknie serca.

– To niesprawiedliwe – powiedział Max szybko. – Stałaś się bardzo twarda, Lucy.

– Nic podobnego. Nie jestem tylko dość miękka, żeby nabrać się na mrzonki, które oferujesz.

– Aleja cię kocham. – Wziął ją za rękę. – Uwierz mi, to prawdziwe uczucie.

– Może tak, może nie – powiedziała Lucy. – Ale w ciągu ostatniego tygodnia przekonałam się, na czym polega prawdziwa miłość. Wybacz, Max – dokończyła, wymijając go wózkiem. – Czas, żebyś znalazł sobie inną rozrywkę.

– Odeszła szybkim krokiem, tak szybkim, że niewielu spośród klientów sklepu dostrzegło łzy na jej policzkach. Nie tylko Max został podczas tego spotkania pozbawiony złudzeń.

Weszła do kuchni, uginając się pod ciężarem toreb z zakupami. Rob stał przy

oknie. Popatrzyła na niego zdumiona. – Nie jesteś w pracy? Myślałam, że cię pilnie potrzebują.

– Mogą poczekać. Lucy, muszę cię o coś zapytać.

Odstawiła ostrożnie torby, uważając, żeby nie zbić butelek z sokiem. Jeden z plastikowych uchwytów zawinął jej się ciasno wokół nadgarstka. Zdjęła go i roztarła rękę. Nie patrzyła na Roba. – Tak?

– Czy przestałaś mnie kochać? Osłupiała. Podniosła na niego wzrok.

– Oczywiście, że nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie jestem takim mężczyzną, jakiego chciałabyś mieć, prawda? – Przetarł dłonią oczy i odwrócił się tyłem. – Nie musimy przeprowadzać się wszyscy razem. Mogę jechać sam. Jeśli wolisz zostać tutaj.

Lucy podeszła do niego i wolno przesunęła mu rękę po plecach. Pod bawełnianą koszulą czuła kości kręgosłupa. Mimo swojego wzrostu i siły, był taki kruchy, bezbronny. Wsunęła mu palce we włosy, drugą ręką obejmując go w pół. Delikatnie położyła mu głowę na ramieniu. Odsunął się lekko i Lucy pomyślała: Tracę go. Mogę stracić najcenniejszą rzecz na świecie dla czegoś tak bezwartościowego, tak nieuchwytnego, że byle podmuch to zmiecie.

– Nie, wolę zostać z tobą – powiedziała.